

# Solomon Annie

## Śmiertelny grzech

*Zemsta! Edie Swann żyła żądzą odwetu, odkąd przed laty opuściła rodzinne miasteczko. Teraz wraca wyrównać rachunki. Przywozi ze sobą listę nazwisk. Każdemu, kto się na niej znalazł, przekazuje niepokojący znak, że ma on na rękach krew. Jednak to, co spotyka ludzi z jej listy, przekracza jej zamiary i wyobrażenie...*

### Rozdział I

Przybyła w nocy, wślizgując się do miasta jak cień. Ciemność była jej sprzymierzeńcem. Budziła przeszłość, tę mroczną otchłań pełną gniewu i tajemnic. Odtworzenie tamtych wydarzeń wymagało użycia czarnej magii.

Fakt, że pojawiła się tu o północy, miał w sobie sporo ironii: podjechała na cmentarz, poza krąg ulicznych latarni, o tradycyjnej godzinie duchów. Posuwała się przed siebie wolno, a drogę wskazywały jej gwiazdy, punkciki światła. I pamięć.

Tamtej nocy, przed laty, też świeciły gwiazdy, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi i przełamał ciszę na to, co przedtem i potem. Usłyszała go przez zamknięte drzwi swojej sypialni, mimo że już od dawna powinna była spać. Ale czy można zasnąć, gdy ojciec został oskarżony i zaginął, a matka tonie we łzach rozpaczy?

Zapamiętała ciemność za oknem, księżyc jak wąskie usta wygięte w uśmiechu, głosy dorosłych dudniące jak grzmot. I nagły krzyk matki.

Nieludzki, zwierzęcy, rozzierający, rozrywający wszechświat na strzępy. Krzyk tak dziki, że samo wspomnienie jeszcze dziś przyprawiało ją o dreszcz.

Teraz nikt nie krzyczał. Nic nie zakłócało ciszy prócz szumu kół toczących się krętą cmentarną alejką biegnącą między grobami.

W końcu zwolniła. Zatrzymała się. Zgasła silnik.

I ruszyła drogą biegnącą między zmarłymi. Ostatnia rzecz, którą widziała w tym mieście. Ostatni obraz domu. I pierwsze, co ujrzała po powrocie.

Czarny anioł.

Omiotła rzeźbę światłem latarki. Oczyma dziesięcioletki widziała odpychającą twarz. Dwadzieścia lat później stwierdziła, że w zamyśle to oblicze miało być przyjazne. Jednakże masywne, rozłożyste skrzydła, przysłaniające kamienną głowę nadawały rzeźbie wygląd nietoperza wampira.

Ten anioł wywołał gorący spór. Chociaż odesłano ją do własnego pokoju, słyszała, jak matka i ciocia się kłóca.

- To jest przerażające. Bezbożne - powiedziała jej ciocia. - Skaza na jego imieniu.

- To oni go zniesławili, nie ja.

- Jacy oni?

- Nie wiem!

- Nie możesz tego zrobić, Evelyn.

- Już to zrobiłam. - Głos matki był ostry i pełen napięcia. - Będzie tam stał, dopóki hańba nie zostanie zmazana.

Dopóki tego nie udowodnię.

Dopóki tego nie udowodnię. Biedna matka.

Tego nie można było udowodnić. Wszystko okazało się zbyt trudne, zbyt ciężkie. Jak samo życie.

Pochyliwszy się, przesunęła palcami po kamiennej głowie. Zasnęte błoto wypełniało litery wycięte w marmurze.

Wyjęła scyzoryk i wydrapała brud, dmuchając, aby usunąć resztki.

Charles Swanford.

Cześć, tato.

Przyjrzała się inskrypcji, choć wcale nie musiała jej czytać, Kiedy była wyryta w jej pamięci. „Ukochany mąż i ojciec”. I cytat: „Śpieszno im, by krew niewinną wytoczyć”.

Niewinna krew. Wyprostowała się i stanęła twarzą w twarz z uniołem. Jej ojciec i matka potrzebowali czarnego anioła. Byli

słabi. Nieprzygotowani na trudności, jakie przygniotły ich w życiu. Wycofali się i ukryli. Uciekli. Umarli. Przybyła tu dla nich. Zgasiła latarkę, a ciemność spowiła ją jak całun. Edie wróciła. I wszystko naprawi.

## Rozdział 2

Edie Swann. - Red McClure podniósł wzrok znad podania o pracę i spojrzał na Edie, która stała po przeciwnej stronie kontuaru.

Wstrzymała oddech, nie wiedząc, czy jej nazwisko obudzi w nim jakieś skojarzenie. Czy je rozpoznał? Zastanawiała się, czy używać prawdziwego nazwiska. Nie różniło się tak bardzo od tego, które nosiła, opuszczając Redbud, więc fałszywa tożsamość mogłaby jej się przydać. Ale używanie fałszywki nie było w jej stylu. Nie chciała wracać jako ktoś inny, pragnęła pojawić się tuż pod nosem całego przeklętego miasta, była pewna, że dwadzieścia lat dzielące przeszłość od dnia dzisiejszego musiało zatrzeć wspomnienia. Jak dotąd nie myliła się ani trochę.

Red spojrzał na nią szczerze i przyjaźnie. Bez podtekstów. Miał poczciwą okrągłą twarz, budzącą zaufanie do barmana. Jego wygląd zachęcał do zwierzeń.

Ale od niej i tak niczego nie wyciągnie.

- No dobrze.

W „Redbud Gazette” znalazła ogłoszenie, że szukają pomocy do baru. Zastanawiała się, czy lokal nazwano na cześć miasta, czy raczej właściciela. Kiedy tam dotarła i zobaczyła przerzedzoną, czerwoną czuprynę i piegowatą twarz, sprawa się wyjaśniła.

Ponownie przestudiował jej podanie, chyba już po raz trzeci. Edie hamowała zniecierpliwienie.

**3**

- Dużo się kręciłaś - powiedział. - Nowy Jork, Boston, Chicago, St. Louis, Nashville.

Wzruszyła ramionami.

- Próbuję znaleźć mój eden.

Rzuciła aluzję, czekając na jakiś znak, że została rozpoznana, ale nic takiego nie nastąpiło. Przeszył ją dreszcz zadowolenia. Na dworze było gorąco, panowała ciężka, letnia, nasycona wilgocią duchota, a klimatyzowane pomieszczenie wydawało się przechłodzone na wskroś. Przyda się to, kiedy już zaczniesz pracować, ale w tej chwili czuła, że chłód przenika odkryte ramiona, osłonięte jedynie obcisłą kamizelką.

- I sądzisz, że znalazłaś go w Redbud? - W jego głosie brzmiało powątpiewanie.

- Nigdy nie wiadomo. - Obdarzyła go czarującym uśmiechem, który zazwyczaj rezerwowała dla klientów.

Zadziałało, jak zwykle. Podobnie jak kilka innych sztuczek, które miała do sprzedania. Opieranie łokci na kontuarze i pochylanie się do przodu, aby dekolt był bardziej widoczny.

- To dobre miejsca. - Stuknął palcem w kartkę, mając na myśli listę barów, w których wcześniej pracowała. - Znam niektóre. Oczywiście, ze słyszenia. Ale byłem w Sassafrass w Nashville. Niezły lokal. Tutaj tego nie znajdziesz. To lokal dla najbliższych sąsiadów. Okoliczna klientela.

Bar dla sąsiadów to pewna przesada, zważywszy że przybytek znajdował się na skraju miasta, prawie kilometr od fabryki Hammerbilt HVAC. Jedynymi sąsiadami byli kierowcy ciężarówek dostarczający stalowe pokrycia dachowe i robotnicy płynący stałym strumieniem, bez których Red's nie przeżyłby ani chwili.

- Tego właśnie szukam. - I aby uwiarygodnić swoje słowa, rozejrzała się po barze. Bałaganiarskie zbiorowisko stolików ulokowanych pod ścianami i na środku, stołki przy kontuarze. Wszystko upchnięte w ponure pomieszczenie, ciemne i tak chłodne, że można by się tam poddać hibernacji. - Wygodne

miejsce. Jestem już zmęczona wędrowaniem. Trzydzieści miast w ciągu kilku miesięcy. Czas zapuścić korzenie.

- I wybrałaś Redbud? - Nikomu przy zdrowych zmysłach nie wpadłoby do głowy, żeby zamieszkać w tej mieścinie przy drodze. Zwłaszcza gdyby miał wybór, a ona na pewno miała.

Roześmiała się. Wcześniej przygotowała sobie odpowiednią historyjkę.

- Prawdę mówiąc, to Redbud wybrało mnie. Miałam kłopoty z motorem i musiałam wybulić co nieco na naprawę. Z resztą kasy nie dojechałabym dalej niż do Redbud.

- Wracając do pracy, to masz niezłe papiery.

- Więc jak będzie? Ściągnął usta.

- Umiesz zrobić, hm... któryś z tych jabłkowych martini? Zamilkła. Przypuszczała, że nie było tu zbyt wielu chętnych na mieszane drinki.

- Zrobię jabłkowego killera.

Przeskoczyła na drugą stronę kontuaru. Rozejrzała się za wódką i jabłkowym schnappsem. Pierwsze znalazła, drugiego nie. Zapytała.

Właściciel baru, czerwony na twarzy, powiedział:

- Nie ma. Tutaj tego nie zamawiają. Tylko...

- ...chciałeś sprawdzić, czy znam się na rzeczy? Przytaknął.

- Okej. Daj mi sekundę.

Zrobiła szybki przegląd półek, znalazła trochę brandy, a w lodówce kartonik soku jabłkowego dla dzieci i cytrynę.

Wymieszała drinka z lodem, dodała odrobinę wódki i wlała napój do staromodnej szklanki, dekorując skrzyconym plasterkiem cytryny. Następnie przygotowała drugiego drinka z piwem imbirowym i wlała go do wysokiej szklanki.

- Kwitnąca jabłoń. Kwitnąca jabłoń z bąbelkami. Przesunęła drinki w jego stronę. Kiedy próbował, znalazła butelkę likieru kakaowego, zdmuchnęła z niej kurz, zmieszała

trunek z wódką w wypełnionym kostkami lodu szejkerze i naląa drinka do szklanki z martini.

- Czekoladowe martini. Smakuje ci? Uśmiechnął się szeroko.

- Tak, ale czy umiesz rozlewać piwo?

Obdarzyła go uśmiechem dla klientów i znowu pochyliła się nad kontuarem.

- Jak nikt inny.

Roześmiali się na te słowa i ustalili, że zaczną jeszcze tego wieczoru.

- Czekają nas fura roboty w mieście - wyjaśnił Red. - Facet, który zarządza fabryką, odchodzi i będzie pracował z grubymi szychami w IAT To spółka matka Hammerbilt.

- Ach tak? - Edie udawała umiarkowane zainteresowanie. Ale jej uwagi nie uszła żadna informacja o Hammerbilt.

- Na festynie raczej nie będzie alkoholu, więc pewnie pojawi się tu spory tłum. Powinnaś postawić samochód koło parku. To będzie wielka impreza pożegnalna. Spójrz.

Podał jej ulotkę ze szczegółami. Zerknęła na nazwisko głównego bohatera wieczoru i serce zaczęło jej walić.

Czasami bogowie jej sprzyjali.

- Dzięki. - Wsunęła ulotkę do kieszeni. - Pewnie tak zrobię.

Potrzebowała jakiegoś lokum, więc Red zaproponował jej pokój nad barem. Przepraszył za bałagan i omówili szczegóły. Pokój należało oczywiście posprzątać, ale znajdowało się w nim wszystko, co niezbędne. Łóżko, płyta ceramiczna, stół, który był wspólny dla jadalni i salonu. Nie nazwałaby tego przytulnym mieszkaniem, ale przecież nie znała tego pojęcia, odkąd wyjechała z Redbud.

Och, miała jakiś dom - mieszkanie cioci Penny, trzy zagracone pokoje, w tym jeden ze składanym łóżkiem dla Edie. Od dawien dawna nie wiedziała już co to ogródek i drzewo, na którym można powiesić huśtawkę. I właściwie wcale za tym nie tęskniła.

A w każdym razie nie tak bardzo jak na początku.

Ale to było lata temu, nie czas myśleć o przeszłości. Musiała coś załatwić.

Wtarczyła torby na górę po metalowych schodach i wyrzała na ulicę na tyłach. Nikt nie będzie jej tu przeszkadzał. Idealne miejsce, by nadać sprawom bieg.

Powiesiła w niedużej szafie kilka ubrań, które ze sobą przywiozła - dwie sukienki na wszelki wypadek. Zgarnęła walające się na zapleczu porzucone pudła i zaniosiła je do pokoju, gdzie ustawiła je w coś na kształt komody.

Nim minęło południe, zdołała wszystko rozpakować. Prócz jednej rzeczy. Zanurzyła rękę głęboko w wewnętrznej kieszeni torby i wyjęła plastikowy woreczek. Zważyła lekki pakunek na dłoni, podrzucając nim delikatnie. Kąciki jej ust uniosły się w ponurym uśmiešku, wyrzuciła zawartość torebki na goły materac.

Dwanaście maleńkich czarnych aniołów rozsypało się na łóżku.

### Rozdział 3

Miasteczko Redbud zbudowali imigranci i przybysze ze wschodu, szukający w Tennessee przygód i bogactwa. To oni zaprojektowali kwadratowy plac, wokół którego powstało miasto. W miarę jak się rozrastało, nowi mieszkańcy, dla których brakowało już miejsca, rozciągali granice, niekoniecznie przestrzegając ustalonego porządku. Poza obszarem pierwotnego miasta, z jego schludnym układem przecinających się pod kątem prostym ulic, które otaczały centralny plac, panował chaos, a kręte alejki biegły ku wijącym się drogom, tworząc labirynt pełen tajemnic.

Drzewa, które niegdyś rosły dziko na krańcach, stopniowo ustąpiły miejsca domom rozwijającego się ośrodka.

Dopiero później ojcowie miasta powrócili do tej tradycji, sadząc juda-szowce w równych rzędach wokół kwadratowego placu i na jego

przedłużeniu - w parku Redbud. Wiosna dawno minęła, a wraz z nią piękne różowe pąki, od których miasto wzięło nazwę. Teraz drzewa były zwyczajnie zielone i jeśli się ich nie znało, można je było wziąć za zupełnie inny gatunek. Ale Edie je pamiętała i kiedy szła między nimi do parku, wyobrażała sobie korony obsypane różowymi pąkami. Wyglądało na to, że całe miasto wyległo na ulice, aby świętować odejście Freda Lyle'a z fabryki Hammerbilt. Park Redbud był obwieszony balonami i wstęgami, na których widniały jasnoniebieskie napisy: „Dziękujemy panu, Fred”. W parkowym zakątku cztery dziewczyny bez chwili wytchnienia wydawały hot dogi i hamburgery. W głównej alei wzniesiono niewielką estradę, ale w tej chwili nikogo na niej nie było. Plakat, który widziała w oknie baru Red's, informował, że występy muzyczne zaczną się dopiero wieczorem.

Wmieszała się w tłum. Jej uwagę przyciągnęły szyldy sponsorów. Kościół miejski Redbud obsługiwał stoisko z deserami. Jakaś nastolatka rozdawała staromodne tekturowe wachlarze z napisem wydrukowanym z jednej strony „Runkle's Real Estate”. Bar miał swoje stoisko - z lemoniadą, wodą i mrożoną herbatą. Zero alkoholu dla pana Freda. Tłum płynął wokół niej, gdy stała nieruchomo, próbując odtworzyć nastrój tego miejsca. Pamiętała huśtawki w narożniku - wyżej, mamusiu, wyżej! - i fontannę, i klatki z małpkami. Czy na pewno? Wspomnienia są zwodnicze. Podstępne. Usiłowała je zatrzymać, ale rozplynęły się w powietrzu jak dym.

Na placu zabaw pokrzykiwały teraz inne dzieci i też wołały do rodziców, by huścili je wyżej. Stała jak wryta, zdumiona ich niewinnością. Wydawało jej się niemądre, że ktoś może być tak niewinny. Jak gdyby wszechświat bardziej litościwie obchodził się z młodymi istotami niż z ich rodzicami.

Zgrzyt mikrofonu sprawił, że skierowała wzrok na estradę. W siateczkę stukał siwowłosy mężczyzna o łagodnej twarzy.

- Mieszkańcy Redbud - zaczął. - Przyszliśmy tutaj, aby podziękować panu Fredowi za wieloletnią pracę dla miasta.

Przez

**14**



dwadzieścia lat był dyrektorem fabryki Hammerbilt, chlubą tej społeczności, kształtując naszą przyszłość umiejętnie i z oddaniem. Było dla nas zaszczytem pracować z nim oraz ze spółką matką Hammerbilt, International Ambient Technologies. A teraz, w przededniu zasłużonego awansu na naczelnego dyrektora wszystkich północnoamerykańskich holdingów IAT, mogę tylko powiedzieć, dziękujemy panu, Fred.

Brawa i gwizdy aplauzu wzniosły się w powietrze, gdy Fred Lyle spokojnym krokiem podchodził do mikrofonu. Ale nie wszyscy byli po jego stronie. Kilkakrotnie usłyszała za sobą prychnięcia, a ktoś nawet mruknął:

- Bzdety.

Odwróciła się, szukając w tłumie malkontenta, ale nie zauważyła go. Tymczasem Fred Lyle rozpoczął przemówienie. Puściła mimo uszu pochwalne peany, jakie wygłaszał na własną cześć, starając się odtworzyć go takim, jaki był wiele lat temu. Ale jej pamięć przechowała tylko nazwisko i nastrój tamtej chwili. Salon w starym domu. Nisko wiszące draperie. Światło lampy i cienie. Sofa, na której siedziała z matką, przytulona do jej obojętnego ramienia. Wślizgująca się do pokoju ciocia Peggy.

- Evelyn, przyszedł pan Lyle. - Mówiła cicho i łagodnie, jak zawsze w ostatnich dniach. Jak gdyby wszyscy grali w szkolnym przedstawieniu, które właśnie się zakończyło. Dodała bardziej stanowczym tonem: - Idź do swojego pokoju, Edie.

Chyba jej nie posłuchała. Być może przywarła mocniej do ciała matki, jakby w nadziei, że kontakt fizyczny przywróci ją do świata żywych. Nie pamiętała, co zrobiła, ale na pewno nie poszła do swojego pokoju. Czekala, aż pojawi się pan Lyle. Na jego widok matka zeszywniała. Stała się czujna i skupiona. I nagle pokój wypełniła wściekłość. Ogromne fale gniewu. W obawie, że znowu usłyszy ten krzyk, Edie czmychnęła z pokoju.

Teraz wpatrywała się w człowieka stojącego na estradzie. Zwykłego człowieka. Z przerzedzonymi włosami, w okularach. Dobry człowiek. Dobry obywatel. Nieszkodliwy.

Ale Edie Swann wiedziała swoje.

- Bzdety! - Tym razem głos za jej plecami zabrzmiał głośniejsze. Edie odwróciła się i zobaczyła wysokiego, szczupłego mężczyznę z przetłuszczoną kitką, który wygrażał w powietrzu pięścią. - Tokłamstwo.

Ludzie dokoła niego patrzyli ze złością.

- Zamknij się, Terry - rzucił jakiś mężczyzna.

- A właśnie, że się, kurde, nie zamknę - warknął i ruszył w stronę tamtego, który szybko się wycofał. - Tego właśnie chcę - odgryzł się Terry. - Żeby się zamknął. Ale ja wiem, w czym rzecz. Wiem, co się tam dzieje, wcale nie są tacy dobrzy.

Coraz więcej ludzi odsuwało się od Terry'ego.

- W Hammerbilt jesteśmy dumni z naszej pracy - mówił Fred Lyle. - Dumni z naszego przywiązania do miasta i jego mieszkańców.

- Gówno prawda! - zawołał Terry, tym razem tak głośno, że wszyscy usłyszeli.

Lyle zająknął się, ale poprawił okulary i mówił dalej.

- Jesteś pijany - zwrócił się do Terry'ego jakiś mężczyzna z tłumu. - Idź do domu. - Położył dłoń na ramieniu Terry'ego, a ten odwrócił się błyskawicznie. - Nie dotykaj mnie.

- Po prostu myślę, że powinienes...

Terry zamachnął się, tamten oddał cios i zanim Edie się zorientowała, zaczęła się ogólna bijatyka. Ktoś pacnął ją w brodę, zatoczyła się do tyłu, z trudem łapiąc równowagę. Jakaś kobieta krzyczała. Edie odpychała napierający tłum, aby zachować wokół siebie minimalną strefę bezpieczeństwa. Natrafiła na coś pięścią i poczuła ból w całej ręce.

- Cholera. - Ogromny, jasnowłosy mężczyzna patrzył na nią spode łba, pocierając szczękę.

W ciągu kilku sekund zdała sobie sprawę, co się stało, ale też uświadomiła sobie znacznie więcej. Mężczyzna był nie tylko duży. Był wyjątkowo przystojny. Miał mocno zarysowaną szczękę i wydatne usta, muskularne ramiona i szczupłe, silne nogi. Ale w tym momencie cała ta potężna energia zastygła w gniewie. Skierowanym przeciwko niej.

Uwięził jej rękę w żelaznym uścisku i przepychał się przez tłum, ciągnąc Edie za sobą.

- Hej... Puść mnie! Zignorował ją, krzycząc do ludzi:

- W porządku, już dosyć. Przestańcie! - Krzyczał głośno i zdecydowanie, brnąc przez ciżbę.

- Puść mnie!

Ale on tylko przyciągnął ją bliżej. Zatoczyła się na jego twardą niczym skała pierś i zacisnęła zęby. Jednocześnie zawołał do grupy mężczyzn, którzy nadal walczyli z Terryem:

- Powiedziałem, żebyście przestali! - Kopnął jednego z mężczyzn, a wolną ręką odciągnął drugiego. - Liczę do trzech...

Pozostali potulnie zaprzestali bijatyki. Tylko Terry nadal wywijał pięściami, mimo że teraz jego ciosy tylko młóciły powietrze.

Jeden z walczących spiorunował Terry'ego wzrokiem, po czym rzekł ze skruchą:

- Przepraszam, szeryfie. Ale ten dupek...

Szeryf? Edie utkwiała w nim wzrok. Jęknęła cicho i omiotła go spojrzeniem. Nie miał munduru ani odznaki. Tylko wytarte dzinsy i T-shirt opinający szeroką klatkę piersiową. Ale czy szeryf w małym miasteczku musi chodzić w mundurze?

- Nie myśl, Holt, że zamkniesz mi usta - zwrócił się Terry do większego od siebie mężczyzny. - Nikt nie zamknie mi ust.

- To też doskonale wiemy - odparł mężczyzna imieniem Holt. - Chodź, po drodze opowiesz mi o swoich kłopotach.

Po przyjacielsku otoczył ramieniem Terry'ego, który bezskutecznie usiłował się wyswobodzić. Edie zauważyła, że Holt przesunął rękę na kark Terry'ego i trzymał go jak w kleszczach, tak samo jak ją - twardo i zdecydowanie.

Szeryf razem ze swoimi więźniami zaczął się oddalać od tłumy.

- Hej! - Edie się potknęła. - Gdzie mnie...

- Może pan mówić dalej, Fred! - krzyknął Holt.

## **2 - Śmiertelny grzech**

- Dziękuję, szeryfie - powiedział Fred Lyle do mikrofonu i kontynuował przynudzanie.

Edie usiłowała wyswobodzić się z uścisku.

- Czy dasz mi wreszcie odejść? Spojrzał na nią.

- Obraziłaś oficera policji.

- Wcale nie! - Zapiszczała nie swoim głosem, próbując się uspokoić. - Broniłam się. Nic nie poradzę na to, że trafiłeś na moją pięść.

Uśmiechnął się szeroko.

- Tak to wyglądało? - Odwrócił głowę Terry'ego w swoją stronę. - Tak to wyglądało, Terry?

- Nie wiem - odparł naburmuszony Terry.

Przepchali się przez tłum i dotarli do krawężnika, przy którym stał czarny SUV. Edie została usadzona z przodu, obrońca prawa zmagął się jeszcze z Terryem, którego upychał na tylnym siedzeniu. Gdy tylko Holt stanął do niej plecami, Edie wydostała się z samochodu.

- Nie zmuszaj mnie, żeby cię ścigał. - Holt nawet nie zadał sobie trudu, żeby się do niej obrócić. - Mam dziś wolne, a i tak wyrobiłem dzienną normę. Nadgodziny psują mi humor. A lepiej, żebyś mnie nie widziała w złym humorze. Rozważała to, gdy zamykał tylne drzwi. Nagle wyrósł przed nimi Red.

- Wszystko w porządku, Edie? Holt, do diabła, co ty wyprawiasz z moją nową barmanką?

- Ach, więc jest barmanką. Dlaczego od razu nie powiedziałaś?

Uśmiechnął się do niej szeroko, a iskierki w jego oczach trochę ją onieśmieliły. Czy ma zielone oczy? Złapała się na tym, że najwyraźniej mu się przygląda. Zmarszczyła brwi.

- Przecież nie dałeś mi dojść do słowa - odparła.

- Racja. Moja wina. Policzek od dziewczyny może zaszkodzić mojej reputacji.

- Jest potrzebna dziś wieczorem, Holt.

- Spodziewasz się tłoku?

- Jakbyś zgadł.

Holt znowu potarł szczękę.

- Chyba nie zamierzasz mnie aresztować za obrazę twojej dumy? - zapytała Edie.

- Masz całkiem niezły lewy sierpowy.

- Lepiej mi idzie podawanie dwóch piw jednocześnie.

- Tak?

- Holt... - denerwował się Red.

- Okej, okej. - Holt roześmiał się. - Chciałem się tylko dowiedzieć, kim jest ta mała zadziorna osóbką walcząca z całym miastem.

Oparł się o samochód. Terry zaczął łomotać w okno.

- Mogłeś zapytać - stwierdziła Edie. Wzruszył ramionami.

- A co w tym zabawnego?

Dupek. Już jej się to prawie wymknęło z ust, ale Red chwycił ją za ramię i mocno pociągnął.

- Edie - zawołał za nią Holt - miło było cię poznać. Odwróciła się do niego i odchrząknęła, idąc tyłem za Redem:

- Nie mogę powiedzieć tego samego.

Holt odprowadzał ją wzrokiem - harda, czarnowłosa kobieta w mieście delikatnych blondynek. Nie miał nic do blondynek. Ożenił się z jedną z nich. Ale Cindy zawsze była skromna, ukrywała starannie pośladki pod miękkimi spódnicami i luźnymi spodniami. A dziewczyna, która właśnie się oddalała, kołysała dumnie pupą w ciasnych dżinsach. Kragłą, soczystą i stworzoną do pieszczot. Z trudem oderwał oczy, żeby ktoś nie oskarżył go o natrętne podglądactwo. Ale, do diabła, to właśnie robił.

Chcąc czym prędzej z tym skończyć, odwrócił się i wezwał przez radio swoją zastępczynię, żeby zabrała Terry'ego Bishopsa, następnie ogarnął wzrokiem park, pęki kolorowych balonów

i grupki mieszkańców. Ale i tak widział tylko piersi Edie opięte skórzaną kamizelką, tatuaż widoczny na ramieniu. I burzę

ciemnych włosów, upiętych luźno na czubku głowy - jak u dziewcząt z zespołu Ronette na płycie z kolekcji ojca. Z głową pełną takich myśli nie powinien wracać do domu, do mamy. I do pięcioletniej córki.

Serce znowu mocniej mu zabiło. Edie, kimkolwiek była, oznaczała problemy. Problemy wielkiego miasta. Wyjechał z Memphis pięć lat temu i choć niechętnie się do tego przyznawał, tęsknił za nim. Za jego tempem, światłami, dziwnymi postaciami. Nie wspominając już o ryzyku, podnoszącym adrenalinę. Brakowało mu tego tak samo, jak brakuje usuniętej kończyny.

Zmusił się, by odtworzyć w pamięci inne rzeczy. Ćpunów, dilerów, alfonsów i gangi. I trupy. Wszędzie trupy. W zaułkach, w pobliżu klubów, na ulicy w środku dnia, w szpitalnych łóżkach. Zwłaszcza w szpitalnych łóżkach.

Widok trupów prześladował go nawet w Redbud.

Jego zastępczyni Samantha Fish podjechała na sygnale i zatrzymała się z piskiem opon. Wyskoczyła z samochodu schludna jak spod igły, w odprasowanym mundurze, z włosami upiętymi w zgrabny koczek.

- Tak jest, szeryfie. - Niemal zsalutowała.

- Spocznij - rzekł oschle Holt.

Ale kierowanie takiego polecenia do byłej sierżant armii było jałowym zadaniem.

- Tak jest. - Dalej stała wyprostowana jak struna, zerkając na tylne siedzenie auta szeryfa. Terry robił raban. - Czy to ten opryszek?

- Tak, to on.

Ostrożnie otworzył drzwi, zaskakując tym Terry'ego, który akurat w nie walił. Pijaczyna wyleciał na zewnątrz i upadł na twarz, co ułatwiło Sam zakucie go w kajdanki.

- Przymknij się, Bishop.

Ustawiła go do pionu silną ręką, którą stać było na więcej niż podtrzymywanie chwiejącego się pijaka. W gruncie rzeczy dałaby radę niejednemu mężczyźnie. Holt przypuszczał, że gdyby zmierzył się z nią w walce wręcz, to przegrałby, mimo że był cięż-

szy o jakieś piętnaście kilogramów i wyższy co najmniej o dziesięć centymetrów.

Terry zachwiał się na nogach i wyszczerzył do niej zęby.

- Cześć, Sam.

- Dla ciebie zastępca Fish - powiedziała, surowo marszcząc brwi.

- Och, daj spokój, Sam. Skoczmy na piwo? Pociągnęła go do swojego wozu.

- Przypominam, przez piwo masz kłopoty.

- Jasne, ale jest gorąco. I chce mi się pić.

Więcej narzekań Holt już nie usłyszał, bo Sam wepchnęła Terry'ego do środka i odjechała. Facet spędzi noc w nowym miejskim areszcie, a nie na ulicach i w barze Red's.

- Tatusiu! - Miranda podbiegła do ojca i objęła go za kolana. Tuż za nią szła jego matka, Mimsy. Na widok swoich kobiet

poczuł ciepło na sercu. Po co tęsknie wzdychać do ciemnowłosej kochanki, skoro ma się przy boku taką jasnowłosą rodzinę?

- Obiecałeś mi lody - zgaśniła go Miranda tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Odziedziczyła po matce piękną, świetlistą skórę, która zawsze fascynowała go u Cindy. Lubił wodzić palcem po błękitnych żyłkach widocznych pod delikatną skórą żony, nie mogąc się nadziwić, jak kruchą jest kobietą. Ale Miranda była zupełnie inna. Już w wieku pięciu lat stawiała żądania zamiast przekonywać jak Cindy.

Podniósł córkę i posadził sobie na ramionach.

- I mam zamiar tego dotrzymać.

Jej małe paluszki objęły czubek jego głowy.

- Chcę czekoladowe.

- Podoba mi się dziewczyna, która wie, czego chce. - Pocałował ją w kolano i mrugnął do matki. - Gdzie jest tata?

Mimsy przewróciła oczami.

- Nie wiem, dlaczego ten człowiek nazywa to grą, skoro jest to dla niego sprawą życia i śmierci.

- Aż tak źle?

- Kiedy go ostatni raz widziałam, klócił się, kto był zawodnikiem wszech czasów: czy Babe Ruth, czy raczej Joe DiMaggio.

Holt uśmiechnął się. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. W każdym razie nie w Redbud. Dawało to poczucie bezpieczeństwa, chociaż było zbyt przewidywalne. Rozejrzał się wokół siebie. Festyn rozkręcał się w najlepsze. Uśmiechnięte twarze, rozkrzyczane dzieciaki, zapach hot dogów i popcornu. Jego miasto. Tutaj się urodził i dorastał. Jego miejsce na świecie. A teraz był to również dom Mirandy.

Niepokój szukał drogi do jego serca, by rozgościć się w nim jak kłujący cierń. Ale nic złego nie mogło się stać w mieście takim jak Redbud.

Przyciągnął mocniej kolana Mirandy. I może w tym właśnie był problem.

#### Rozdział 4

**O** dziesiątej wieczorem w barze Red's wrzało już jak w ulu. Edie było to na rękę. Nie musiała wyciągać z nikogo informacji, na których jej zależało. Aż huczało od rozmów o bójce i Terrym Bishopie - poznała już jego nazwisko. I od uwag na temat jej udziału.

- Hej, to ty jesteś tą dziewczyną, którą szeryf odciągnął z pola bitwy?

- We własnej osobie. Dopiero przyjechałam do miasta i już jestem notowana. - Przetarła blat kontuaru, przy którym siedziało trzech nowo przybyłych, i obdarzyła ich swoim powitalnym uśmiechem. - Edie.

- Podaj nam piwo, Edie.

Nalała piwo i postawiła przed grupką gości.

- Andy Burkett - przedstawił się ten, który siedział w środku, mały, krzepki mężczyzna z szopą tłustych, rozczochranych



włosów, które wciąż opadały mu na czoło. - Prowadzę warsztat Myera.

- Tak? A co się stało Myerowi?

Wszyscy jak jeden mąż wskazali na podłogę.

- Jakieś sześć, siedem lat temu - odparł Burkett - kupiłem go od wdowy. Pomyślałem, że w całej okolicy przyzwyczaili się, że to warsztat Myera, więc po co, u licha, to zmieniać?

Diabelskie zagranie, pomyślała Edie, przypominając sobie własną decyzję.

- Jakie znaczenie ma nazwisko, no nie? Podstawowe.

Burkett wzruszył ramionami i przedstawił dwóch swoich kompanów. Skinął głową w stronę sztywniaka siedzącego z jednej strony.

- Ten nicpoń to Howard Wayne, a ten drugi - wskazał kciukiem na brzydala po drugiej stronie - to Russ Elam. Pracują w fabryce.

- Oblewacie awans pana Freda? - zapytała Edie.

Każdy z nich miał na głowie czapkę firmową Hammerbilt pokrytą tłustymi plamami. Czy fabryka rzeczywiście była pieś-czoszkiem miasta?

Howard poprawił czapkę i odparował:

- Jeśli nie zamkną budy, to reszta mnie nie obchodzi.

Edie starała się nie okazywać nadmiernego zainteresowania.

- Tak? A mogą?

Andy dźgnął Howarda łokciem.

- Gdzie tam. Howard to stary pierdoła i cykor, i tyle. - Howard przyjął to dobronudownie i ostatnie słowa utonęły w gromkim śmiechu.

- Naprawiasz harleye? - zapytała Edie mechanika.

- A niech mnie, jasne. Jak się trafi okazja - odparł Andy. - Czemu? Masz harleya?

- Model A 1200, z obniżoną tylną ramą, ściętym błotnikiem i przepiękną chromowaną karoserią. - Gdy mówiła o swoim cacku, w jej głosie brzmiała duma.

Trzej mężczyźni, wyraźnie pod wrażeniem, unieśli brwi.

- Mógłbym kiedyś rzucić okiem? - zapytał Andy.

- Wpadnę do ciebie któregoś dnia - odparła Edie. Wymienili uśmiechy.

- Hej... podobno biłaś się z Terrym Bishopem? - rzucił chudzielec, Russ. - Dlatego szeryf Drennen cię odholował? Świat na chwilę stanął w miejscu.

- Powiedziałeś: Drennen?

- No. Holt Drennen. Szef policji w mieście. Czemu? Wzruszyła ramionami, szybko zmyślając historyjkę.

- Znałam jednego Drennena w St. Louis. Ktoś z rodziny? Howard, ten przysadzisty, odpowiedział:

- Nie. Wszyscy Drennenowie nadal tu mieszkają. - Pochylił się do przodu. - Odpuść sobie. Jak to się stało, że podpadłaś Holtowi?

Edie również pochyliła się do przodu, co uczynili też najbliższej siedzący klienci.

- Nadział się na moją pięść. - Wyprostowała się i dodała z groźną miną. - Nie lubię, jak ktoś napatacza mi się pod rękę.

Trzej mężczyźni roześmiali się, a Edie mrugnęła do nich. Oddaliła się, by napełnić puste szklanki. I pomyśleć o tym nazwisku. Drennen. Ale Holt był za młody, żeby...

- Daj mi trzy budsy, jednego light, RC i rum. - Druga pracownica Reda pochyliła się nad barem, trzymając tacę. Lucy Keel była wysoka i zgrabna, z głosem lekko schrypniętym od palenia i burzą rudych włosów, które wiły się wokół jej długiej, chudej szyi. Miała na pewno sześćdziesiątkę, była twarda i gruboskórna, a kiedy Red przedstawiał je sobie, powiedziała, że pracuje w barze od trzydziestu lat.

- Przez ten czas przeżyłam dwóch właścicieli, trzech mężów, walkę z rakiem piersi i wypadek samochodowy. Więc nie wierzę w żadne bzdety i nie szukam przyjaciół. Podawaj mi szybko drinki, to się dogadamy.

Edie uwijała się jak w ukropie, by przygotować drinki dla Lucy. Nie chciała wkurzyć kelnerki. Nikogo nie chciała wkurzyć.

Tylko wykonywać swoją robotę i zlać się z tłumem. Dokładnie i powoli. Spokojnie. Być jedną z nich.

- No popatrz, popatrz. - Lucy trąciła Edie łokciem, gdy zdejmowała kapsle z butelek. Starsza kobiet skinęła głową w stronę drzwi. - Prawo znowu cię ściga - powiedziała z uśmiechem.

- Witaj, Edie.

Holt Drennen zbliżył się do baru razem ze swoją starszą wersją.

Serce jej podskoczyło, ale szybko się opanowała i zmarszczyła brwi.

- Szeryfie, chce pan znowu wejść jej w drogę? - zawołała Lucy przez ramię i odwróciła się, żeby roznieść drinki.

Holt uśmiechnął się szeroko.

- Może.

- Podobno ma niezły cios! - wykrzyknął ktoś z sali. Holt potarł szczękę.

- Chcesz zobaczyć moje siniaki? Cała sala wybuchnęła śmiechem.

Ktoś podszedł do obu mężczyzn i klepnął starszego w plecy.

- Miło pana widzieć, szeryfie.

- Ciebie też, Henry - odparł drugi mężczyzna.

- Czym mogę służyć? - Edie przerwała te czułe słówka. Holt nadal miał na sobie džinsy, a rękawy koszulki ciasno opinały silne ramiona i okazałe bicepsy. Przypomniła sobie jego zdecydowany i mocny dotyk. Złapała się na tym, że gapi się na jego ramiona, na duże dłonie o długich, smukłych palcach.

- Chcesz piwo, tato? - zapytał Holt.

Tato. To słowo otrzeźwiło ją. Wszystko wróciło na swoje miejsca.

- Po to tu jestem.

- Z beczki czy z butelki?

- Nalej nam, dziewczyno - powiedział starszy mężczyzna z uśmiechem. - Chcemy zobaczyć, jak ci idzie.

Złapała dwa kufle i napełniła piwem. Postawiła przed mężczyznami. Holt przedstawił jej ojca.

- James Drennen, Edie...

- Swann - uzupełniła, wymieniając krótki uścisk dłoni.

- Swann - powiedział Holt. - Nie znam chyba tego nazwiska. A ty, tato?

James pił piwo dużymi łykami. Przyglądał jej się znad brzegu naczynia.

- Nie. Raczej nie.

Edie zmieniła temat. Chciała porozmawiać o ich nazwisku.

- Dwóch stróżów prawa w jednej rodzinie. Imponujące.

- Tylko jeden. - James wskazał na syna. - Ja jestem na emeryturze.

- Ach, więc „odziedziczyłeś” pracę - powiedziała, akcentując słowo „odziedziczyłeś” i rzucając Holtowi znaczące spojrzenie.

- Stałem do wyborów, jak wszyscy - odparł łagodnie Holt, najwyraźniej niezrażony podejrzeniem o nepotyzm.

Potem uśmiechnął się szeroko z diabelskim błyskiem w oku. - Ale znajomości na pewno pomagają.

- Nie mówiąc już o dziesięciu latach pracy w policji w Memphis - podkreślił James.

- O tak. To też.

I usłyszała to, czego wolałaby nie wiedzieć. To nie jakiś prostak z odznaką, ale gliniarz, który dokładnie wiedział, co robi. A przy tym tak cholernie dobrze się prezentował przy pracy.

- Terry Bishop siedzi w areszcie? - zapytała.

- Mógłby wpaść w tarapaty, więc nie pozwoliłem mu wałęsać się po okolicy - odparł Holt łagodnie.

Wzięła głęboko oddech. Kto nie ryzykuje... i tak dalej.

- A co go tak zdenerwowało? Coś w fabryce? Mówił, że coś wie. Wiesz, o co chodzi?

Starszy Drennen prychnął lekceważąco.

- Nie uwierzyłbym w ani jedno słowo Terry'ego Bishopa.

- Zwłaszcza gdy wypił sześciopak - dodał Holt. - Wyrzucili go z Hammerbilt. Od tamtej pory ciągle pokrzykuje. Jeśli nie pracuje się w fabryce, to nie ma innej roboty.

- Szeryfie, ma pan na nią monopol? - zawołał ktoś, więc Edie odeszła, żeby obsłużyć klientów. W samą porę. Gdyby zaczęła wypytywać miejscową władzę, mogłaby wzbudzić podejrzenie. Zwłaszcza że dopiero co przyjechała do miasta.

## Rozdział 5

Red zamknął bar o drugiej w nocy. Dwie godziny wcześniej, niż zwykle kończyła pracę, ale to jej pasowało. Miała swoje sprawy.

Edie, Lucy i Red szybko uwinęli się ze sprzątnięciem. Kiedy Lucy skończyła, padła na krzesło, zdjęła swoje zdrowotne buty i rozcierała stopy.

- Mój drugi mąż masował mi stopy - rzekła w zamyśleniu.

- Tak?

Edie włożyła do ust plasterki pomarańczy. Nie było dużego zapotrzebowania na takie dodatki, ale lubiła mieć świeże w zapasie.

- Miałaś męża? Edie pokręciła głową.

- Za dużo mam do zrobienia.

Lucy pokiwała głową niczym mędrzec.

- Przy facecie musisz wyhamować, to pewne.

- Hej - wtrącił się Red. - Uważaj, co mówisz. Wróg słucha.

- Daj spokój, Red, nie jesteś wrogiem - rzekła Lucy. - Najwyżej starym pierdołą. - Zachichotała z własnego dowcipu.

Włożyła buty i przysunęła krzesło do stołu. - Równa z ciebie dziewczyna, Edie. I szybko pracujesz. Tylko tak dalej.

- Skierowała się do drzwi. - Do zobaczenia wieczorem, Red.

Edie wymieniła uścisk dłoni z szefem.

- Dzięki za pracę.

- Zasłużyłaś na nią. Poklepał ją po plecach i wyszedł.

Edie zgasiła światła, zamknęła drzwi na klucz i wysliznęła się na dwór, by pooddychać świeżym powietrzem. Musiała coś zrobić, zanim położy się spać, ale na razie rozkoszowała się ciemnością. Oparła się o ścianę budynku i wdychała nocne powietrze. Warkot samochodu Reda oddalał się powoli. I zapadła cisza. Najmniejszego szumu ulicznego ruchu. Zbyt daleko od szosy. Tylko szepty jej własnych duchów.

- Podobno masz kłopot z motorem, Edie Swann.

Głos zabrzmiał w gęstych ciemnościach, bezcielesny jak duch. Podskoczyła.

- Hej, spokojnie, kobieto. To tylko ja. - Holt Drennen podszedł bliżej.

- Jezu. - Przez minutę myślała, że faktycznie nawiedza ją duch. Zważywszy, kim była, miała święte prawo tak uważać. Ale to tylko żywa dusza. Walnęła Holta pięścią w sam środek szerokiej, twardej klatki piersiowej. - Nie podkradaj się tak do mnie.

- Rety, czy nikt cię nie nauczył, żeby używać słów, a nie pięści?

Oparła się wygodnie o ścianę, oddychając już spokojnie.

- Czy nikt cię nie nauczył, kiedy należy pójść do domu?

- Szeryf zawsze ma coś do roboty.

Nic nie odpowiedziała, wiedząc aż za dobrze, że ma świętą rację. Co by powiedział, gdyby mógł zajrzeć do jej serca? Że jego praca dopiero się zaczyna?

Musi trzymać go na dystans. Być zimna jak arktyczny świt. Ale nie była zimna. Jej serce dudniło, wypełniając ją ciepłem. Rytmicznie stukała palcem w udo. A jej umysł szeptał jedno słowo. Niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo.

Znowu doszła do głosu, i to ze zdwojoną siłą, lekkomyślność, którą ciotka ciągle jej wytykała. Była świadoma bliskości tego dużego mężczyzny. Wyobraziła sobie ich razem, jak harmonijną melodię, przyciszoną i kuszącą. To nagłe pożądanie wydało jej się szaleństwem. Nawet nie знаła tego człowieka. Powinna go przepędzić. Było późno. Czowała się zmęczona.

I wodzona na pokuszenie.

- Myślałam, że masz dziś wolne - powiedziała.
  - Dla ścisłości, to było wczoraj.
  - Więc teraz jesteś na służbie. - Wyteńczyła wzrok i dostrzegła jakiś emblemat na jego koszuli. Gwiazda? Kurtka od munduru? Dzięki za ten mały cud. Dobrze, że nie zakradł się tu w dżinsach i koszulce. Wyglądał w nich zbyt interesująco. I gdyby był tak ubrany, mógłby czasem odkryć więcej, niżby chciała.
  - A ja jestem twoim pierwszym porannym zadaniem?
  - Muszę sprawdzać wszystkich nowo przybyłych. Zamilkła znowu ostrożna. Mówił serio czy tylko się przekomarzał?
  - Podać ci numer mojego ubezpieczenia?
  - Nie. Red go ma w razie czego.
- Zesztywniała. Czy już ją sprawdził? Jeśli odkrył, kim jest, to dlaczego nic nie mówi? Nie, nic nie wiedział. Niczego nie odkrył. Była po prostu... nowym przybyszem, tak jak powiedział. I czuła niemal namacalnie jego pożądanie. Mogłaby nim manipulować. Uwieść go. Rozmowa do poduszki mogłaby ujawnić różne sekrety. A był naprawdę wyjątkowo przystojny.
- Więc po co przyszedłeś?
- Wbijał w nią wzrok i chociaż nie mogła dostrzec wyrazu jego oczu, czuła, że przeszywają ją z pożądaniem. Zadrzała.
- Sama prawda?
  - Noc to idealna pora na zwierzenia.
  - Źle sypiam. Mieszkam tu od pięciu lat, ale ta cisza mi przeszkadza.
  - Chłopak z miasta?
  - Nie. Urodziłem się i wychowałem w Redbud. Ale miasto mnie zepsuło. Nie mogę wyrzucić z głowy tego szumu. Pomyślałem, że może bar jest jeszcze czynny.
  - Picie na służbie, szeryfie?
  - Tylko kawa, Eddie Swann. Niewinna filiżanka kawy. Serce zaczęło jej mocniej bić, ale nie okazała podniecenia. Kawa sam na sam z Holtem Drennenem to więcej niż pokusa.

To wyzwanie. Ale, do licha, nie miała ochoty rzucać wyzwania mężczyznom.

- Bar jest zamknięty, ale mogę otworzyć, jeśli chcesz. - Ziewnęła, mając nadzieję, że złapie aluzję. Złapał.

- Dzięki, ale jest już późno. Nie chcę cię pozbawiać cennego snu.

Postawiła stopę na pierwszym stopniu.

- Będę ci winna kawę. Przytaknął.

- Nie zapomnę o tym.

Czuła jego wzrok na plecach, gdy wchodziła na górę z metalicznym stukiem, który odbijał się echem od ścian.

Dotarła na górny podest, przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Odwróciła się, żeby powiedzieć dobranoc, ale szeryfa pochłonęła ciemność.

Czując się bezpiecznie, pożałowała, że nie podała mu tej filiżanki kawy. Albo nie zaprosiła go na górę. Ale jej żal trwał tylko chwilę. Wystarczająco długo, by się upewnić, że sobie poszedł. Będzie miała dość czasu na dokończenie swojego zadania.

Robiła to drżącymi rękoma. Nie ze strachu, wierzyła przecież w słusność swojej misji, ale dlatego, że aura Holta Drennena, szeryfa w Redbud, wisiała w powietrzu. Jak kuszący zapach wiatru, który zepchnął ją z kursu.

Zawsze podobali jej się wysocy faceci. Mogli ją zgnieść, a nie robili tego. Lubiała ich ciężar. Żadna burza nie była w stanie ich powalić. Holt był dużym mężczyzną. O twardej ręce, kiedy trzeba. Ale też pogodnym. Błysk w jego oczach przyciągał jej uwagę. Iskra, która zdawała się mówić, że świat byłby poważnym miejscem, gdybyśmy się na to godzili.

Ale on przecież nie znał jej życia. Nie słyszał krzyku własnej matki, dobywającego się z głębi duszy i umysłu. Nie widział, jak obcy ludzie grzebią jego ojca.

Odkleiła pasek taśmy z koperty. Ścisnęła ją mocno w dłoni. Zeszła ukradkiem po metalowych schodach i prześliznęła się do



zaułka, gdzie stał jej motor. Uruchomiła rozrusznik i silnik obudził się z rykiem. Ten drażniący dźwięk dodał jej ducha, przypomniał, że ma dużo siły, mocne kości, mięśnie i mózg.

Przychyliła się w lewo, wyprowadziła motor i odjechała z warkotem.

## Rozdział 6

Rankiem po festynie James Drennen pojechał do nieużywanego kamieniołomu na wschód od miasta. Ręce mu się pociły, w ustach czuł suchość, ale nie zwracał uwagi ani na jedno, ani na drugie. Od razu zauważył, że ktoś już tu był. Każdy znał służbowy samochód Freda Lyle'a. Po rybie na zderzaku rozpoznał też auto Kennetha Parsleya oraz korwetę Dennisa Runkle'a, która rzucała się w oczy, nawet jeśli na tylnej szybie nie widziało się napisu „Nieruchomości Runkle”. Ale nawet bez tych znajomych wskazówek i tak wiedziałby, kogo ma się tu spodziewać. Ich grupka była połączona przymierzem oszustwa i krwi, więc nie mógłby zapomnieć o żadnym z jej członków. Kilku z nich brakowało, to fakt. Ale nie można przywołać zmarłych z powrotem na ten świat. A w każdym razie tak mu się wydawało.

Zaparkował furgonetkę i podszedł do płaskich skał nad wykopem. Fred Lyle chodził tam i z powrotem, a twarz miał trupio bladą i spiętą.

Pastor Parsley przysiadł na wzniesieniu i spokojnie wpatrywał się w otchłań. W ciągu ostatnich dwudziestu lat przybyło mu sporo kilogramów i podbródek zlewał się z szyją. Ale nadal otaczała go aura prawości, która Jamesowi zawsze wydawała się nie na miejscu. Niezachwiana pobożność Parsleya wyniosła go do roli przywódcy społeczności. Nikt nie jest bliżej Boga niż Ken Parsley, jak mawiała Mimsy, i z pewnością on sam też tak uważał.

Dennis Runkle, jak zwykle, rozmawiał przez telefon, poruszając szybko ustami i gestykułując wyraziście. Ciężki złoty ro-leks na jego nadgarstku błyszczał w promieniach słońca. Dennis był w nieustannym ruchu, James nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział go w innym stanie. Ale choć dobiegał siedemdziesiątki, nadal wydawał się małym cwaniaczkiem, którym był już w liceum, tyle że teraz mógł śmiać im się w nos. Miał największy dom w mieście, najszybszy samochód i najseksowniejsze były żony.

Runkle, Parsley, Lyle i on sam. James przystanął na chwilę, aby przyjrzeć się tej zbieraninie charakterów. Wszyscy trzymali się z dala od skraju przepaści. Rozumiał to. Sam też nie miał ochoty tam podchodzić.

- Jimmy! - zauważył go Fred. - Co teraz zrobimy?

- Przede wszystkim trzeba zachować spokój.

- Zachować spokój? Zwariowałeś?

- James ma rację. - Ken Parsley ruszył powoli w ich stronę. Z powodu upału zdjął marynarkę, ale mankiety koszuli miał zapięte. Bez marynarki wydawał się jeszcze okrągłszy. Spodnie opinały gruby brzuch, który dźwigał dzięki wysokiemu wzrostowi i potężnym, szerokim ramionom. - Musimy zachować spokój. Przemyśl to.

Fred wydobył chusteczkę z kieszeni i przetarł twarz.

- Runkle! - Rzucił agentowi nieruchomości gniewne spojrzenie.

Runkle podniósł dłoń, a z ust Freda wydobył się jęk zniecierpliwienia. Ale dziesięć sekund później Dennis Runkle chodził już tam i z powrotem. A raczej biegał. Zresztą był to jego normalny sposób poruszania się. Po co chodzić, skoro można biegać?

- Posiadłość Jansenów wpędzi mnie do grobu. Zmarszczył brwi. Małomiasteczkowy, samozwańczy Donald Trump postawił na rozwój Hammerbilt i zakupił farmę Jansenów pod budowę nowego oddziału. Ale przy ścisłej kontroli budżetu pieniędzy na rozwój było niewiele. Występował już jako inwe-

stor strategiczny nowych budynków mieszkalnych w zachodniej dzielnicy Redbud, które jedni uważali za betonowe szkaradztwo z fasadą imitującą drewno, a drudzy za symbol postępu. Dennis Runkle stał twardo po stronie tych ostatnich i podobno przeniósł swoje biuro z placu w centrum miasta do jego zachodniej części, choć niektórzy mogliby powiedzieć, że uczynił tak z powodu spadających cen nieruchomości.

- No dobra. - Mały człowieczek pocierał dłonie. - Czy aż tak się pali? Muszę zająć się interesami, mam kupę roboty. Stanęli kręgiem, Parsley górował na Runkle'em, a James pochylał się nad Lyle'em. James wyczuwał niecierpliwość i zdenerwowanie pozostałych. A może to był tylko jego własny niepokój.

Fred sięgnął do kieszeni i wydobyl jakiś przedmiot. Otworzył dłoń. Na środku leżał maleńki czarny anioł.

W powietrzu wisiało napięcie. Wszyscy wpatrywali się w ten przedmiot. Nikt nie wyciągnął ręki, aby go dotknąć.

- Skąd to masz? - zapytał pastor.

- Przyszło pocztą - odparł Fred.

- Przyniosłeś kopertę, tak jak prosiłem? - zapytał James. Fred wyjął z kieszeni pogniecioną kopertę i podał im do obejrzenia.

- Do diabła, Fred - rzekł Dennis Runkle. - Nie ma znaczka. Ktoś ją wsunął do twojej skrzynki. To kawał.

- A niby jaki dowcipniś mógłby o tym wiedzieć? - Fred nie dawał za wygraną. - Tylko wy wiecie. Czy któryś z was to podrzucił?

Unikali swoich spojrzeń. Od wielu lat nie rozmawiali o tych sprawach i trudno było przełamać nawyk milczenia.

- Oczywiście, że nie - odparł w końcu Ken Parsley.

James utkwiał wzrok w zabawce leżącej na dłoni Freda. On również nie miał zamiaru jej dotykać.

- Co to jest? Plastik?

- Chyba tak - rzekł Fred.

Runkle nerwowo podrapał się po szyi, był to gest alergika, który towarzyszył mu od pierwszej klasy.

**27 - Śmiertelny grzech**

**33**

- To jakiś kawał, mówię wam. Robicie wiele hałasu o nic. Kogo chciał przekonać? Lyle'a czy siebie?

- Za tydzień jadę do Chicago - oznajmił Fred Lyle. - Przejmuję nadzór nad całą kampanią IAT w Ameryce Północnej. Wiecie, co będzie, jak to się wyda?

Brzemienna cisza zaległa nad kamieniołomem. Słysząc było tylko świst gorącego wiatru między skałami.

- Może czas się przyznać - stwierdził w końcu Ken Parsley.

- I co dalej? - zapytał Fred. - Nie licząc tego, co stanie się ze mną osobiście, to będą przecież konsekwencje dla fabryki. IAT zastanawia się, które zakłady zamknąć. Ta groźba jest dziś tak samo realna jak dwadzieścia lat temu.

- To samo wmawialiśmy sobie wtedy - powiedział Parsley. - Nie możemy ciągle zasłaniać się tą samą wymówką. Pewnego dnia prawda wyjdzie na jaw. Lepiej, żeby usłyszeli ją od nas.

- Nie. Zdecydowanie nie - odezwał się Runkle. - Wiecie, ile pieniędzy wpakowałem w ten interes z Jansenami? Fabryka nie może zostać zamknięta. To już przeszłość. Zostawmy ją w spokoju.

- James? - Fred Lyle zwrócił się do niego. - Jesteś tutaj stróżem prawa. Co, według ciebie, powinniśmy zrobić?

- Po pierwsze, jestem byłym stróżem prawa.

- Chyba nie chcesz, żeby twój syn cię aresztował - zauważył Runkle, trafiając w sedno.

James zacisnął usta. Na samą myśl o tym przeniknął go lodowaty dreszcz.

- Nie mieszaj do tego Holta.

- Mówię tylko...

- Dostyc - warknął. - Mój syn nie ma z tym nic wspólnego. I nigdy nie będzie miał. Nigdy. - Starał się, by w jego głosie nie zabrzmiał gniew i strach. - Przykro mi, pastorze, ale zgadzam się z Dennisem. Rozgrzebywanie starej sprawy nikomu nie pomoże, tylko przyniesie szkodę nam i miastu. Wszystko, czego dokonaliśmy, poszłoby na marne.

- A poza tym - dodał Runkle - złożyliśmy przysięgę, pamiętacie? Że nigdy nie powiemy. Że żaden z nas nigdy nie zdradzi.

Parsley westchnął, ale skinął głową.

- Więc wszyscy się zgadzamy? - James spojrzał kolejno na każdego z mężczyzn.

- Milczenie jest złotem - powiedział Runkle.

- Ale nadal nie wiemy, kto to podrzucił i po co - zauważył Fred.

James przytaknął.

- Spróbuję się rozejrzeć. Znalezienie tej osoby nie powinno być trudne. Jeśli znajdzie się sprzedawcę, to do ustalenia nabywcy jeden krok. - James uśmiechnął się do nich z przymusem. - Idźcie teraz do domu. Wszyscy. Dam wam znać, gdy będę coś wiedział.

Odprowadził ich do aut. Zorganizował powrót, pilnując, aby między jednym a drugim odjazdem minęło dziesięć minut. Runkle odjechał jako pierwszy. Spieszy się do sfinalizowania kolejnych interesów, pomyślał James.

Następny był Fred, a potem Ken Parsley. Na miejscu został już tylko zakurzony pikap Jamesa. Sprawdził godzinę. Za kilka minut będzie mógł odjechać tak jak tamci. Zostawić to za sobą. Podszedł jeszcze do skraju starego kamieniołomu i zmierzył się z tym, czego wolał nie wspominać.

To było dawno, dawno temu. Od tamtej pory... Nie chciał myśleć o tamtym dniu. Znalazł na dole połamane i zakrwawione ciało. Panował wtedy upał, temperatura sięgała zenitu, a na dnie nie było wody, która złagodziłaby upadek. Gehenna schodzenia na dół, owijanie ciała linami, aby wciągnąć je na górę. Straszny krzyk nieszczęsnej młodej wdowy.

Zadrżał pomimo upału.

Pamiętał jeszcze, jak zamknięto kamieniołom. Ile miał wtedy lat? Dziesięć? Jedenaście? Wydawało się, jakby całe miasto zostało zamknięte i przestało istnieć. Jego ojciec nie był jedynym człowiekiem, który nie obejrzał ani jednego meczu Małej Ligi latem 1954 roku. Dorośli rozmawiali przyciszonymi głosami, jak

gdyby ktoś umarł. Pamiętał samochód z napisem „Przeprowadzki”, którym jego najlepszy przyjaciel wyjechał do Chicago, gdzie ojciec znalazł pracę. Kiedy zaczęła się piąta klasa, wiele ławek świeciło pustkami. I właśnie wtedy zakłady Hammerbilt ogłosiły, że przystępują do budowy nowej fabryki w Redbud. To było jak drugie Boże Narodzenie w tym samym roku. Zgryzotę na twarzy jego matki zastąpił uśmiech. A na drugie śniadanie do szkoły dostawał bułkę z szynką zamiast mortadeli. Ale pozostał strach, ukryty głęboko w ludzkich umysłach. Byli o krok od przepaści, tak jak on w tej chwili. Gdyby z fabryką Hammerbilt stało się to samo, co z kamieniołomem... Odwrócił wzrok od wyschniętego dna. Słońce nagrzało okoliczne skały do białości. Blask raził oczy. Nie, nie chciał rozmyślać o złych czasach. Zrobił to, co musiał. Co było najlepsze dla miasta i jego mieszkańców. Przypomniawszy sobie małego czarnego anioła, który patrzył na niego z dłoni Freda Lyle'a. Spójrz gdzie indziej, zabaweczko. Redbud dobrze sobie radzi. Podobnie jak Drennenowie. Cieszył się miłością i szacunkiem syna i biada każdemu, kto spróbuje mu to odebrać.

## Rozdział 7

Jeśli nie liczyć porannego wałęsania się pod barem, to dzień Hol-ta po festynie wyglądał jak każdy inny. Najpierw szeryf patrolował ulice Redbud, a potem udał się do swojego biura. Ale był jeden wyjątek. Chociaż bardzo się starał, nie mógł wyrzucić z pamięci widoku szczupłego sprężystego ciała Edie Swann. Kiedy stał obok niej w ciemnościach, krew burzyła mu się w żyłach. Wprawdzie tylko przez chwilę, ale dobrze znał to uczucie. Towarzyszyło mu, gdy stał na rogu ulicy, czekając na

handlarzy narkotyków. Gdy wchodził do lokalu ze striptizem, ubrany w dracze spodnie, wiedząc, że oszukuje wszystkich dokoła i że jeśli odkryją, kim jest, to będzie tylko kolejnym trupem wyłowionym z Missisipi.

Od wielu lat nie doznawał takiego wrzenia krwi. Odkąd wrócił na tarczy do rodzinnego domu. I został „szeryfem”, swoim przełożonym.

Co nie do końca było prawdą. Ojciec podsyłał czasem zastępców na pół etatu, a w razie potrzeby pomagali mu członkowie ochotniczych sił policyjnych. Jednak większość pomocników przeszła na emeryturę w tym samym czasie, co jego ojciec, a wśród ochotników byli głównie mężczyźni po osiemdziesiątce.

Oczywiście, kiedy potrzebował prawdziwego wsparcia, mógł się zwrócić do szeryfa hrabstwa albo Stanowego Biura Śledczego. Pomogli mu w zeszłym roku, kiedy grupa ćpunów upatrzyła sobie Redbud jako doskonałe miejsce na główną kwaterę.

Ale najczęściej Holt działał w pojedynkę. Z początku budziło to w nim niepokój, ale z czasem się przyzwyczył. Jak do wielu innych rzeczy. A Edie Swann zaczęła zdzierać ten przytulny kokon, w którym się zaszył po śmierci Cindy. Dobrze chociaż, że nie był już jedynym policjantem w mieście. Zanim nastąpiło załamanie rynku, krążyły plotki, że fabryka planuje ekspansję, a to wróżyło rozwój miasta, czyli zwiększenie liczby ludności i ruchu na ulicach. Holt wykorzystał koniunkturę, aby przekonać radę miasta do utworzenia pełnoetatowego stanowiska zastępcy szeryfa.

- Pokażcie gubernatorowi, że zależy nam nie tylko na rozwoju, ale że potrafimy myśleć perspektywicznie - zaproponował Holt w czasie wystąpienia przed radą, które odbyło się półtora roku temu.

Sześć miesięcy później zatrudnił Sam. Spędziła dwie zmiany w Iraku i świeżo odeszła z armii, wyglądała na osobę poważną i zrównoważoną, czego właśnie wymagała ta praca. Czasami nawet okazywała zbyt dużo powagi - trzymanie się regulaminu stanowiło jej religię. Ale wychowała się w hrabstwie Corley, więc

małe miasteczka znała jak własną kieszeń. Gdyby kiedyś chciał odejść, z powodzeniem by go zastąpiła. Miał więc teraz wsparcie. W weekendy się zmieniali, tak że każde z nich pracowało co drugą sobotę. I dlatego przed kilkoma godzinami znalazł się na zapleczu baru Red's, kręcąc się w mundurze w pobliżu mieszkania Edie Swann.

Krótki romans z Edie przynajmniej przełamałby rutynę. A w ogóle to kiedy ostatni raz uprawiał seks z kimś innym niż z samym sobą?

Zadzwoił telefon, zakłócając ciszę wczesnego poranka. Spojrzał na zegarek. Szósta. Jak każdego ranka, odkąd Miranda nauczyła się korzystać z telefonu.

- Cześć, słoneczko. Dobrze spałaś?

- No.

- Co robisz?

- Jem płatki.

- Z mlekiem? Cisza.

- Musisz pić mleko, maleńka.

- Nie mogę unieść.

- Zostawiłem w szklance w lodówce. Dłuższa cisza.

- W porządku. - Wiedział, że się dąsa. - Grzeczna dziewczynka.

- Kocham cię, tatusiu.

- Ja ciebie też. Nie budź babuni.

- Nie obudzę.

W każdym razie nie celowo.

Gdy się rozłączył, w uszach brzmiał mu jeszcze jej słodki głosik, który przywrócił życiu właściwy wymiar.

Odsunął krzesło i skierował się do pomieszczenia na tyłach. Przez całe lata Redbud obywatel było się bez więzienia. Jeśli ojciec Holta musiał kogoś aresztować, wzywał policję stanową albo szeryfa hrabstwa. Rozwiązanie sprawdzało się przez długie lata z racji niewielkiej przestępczości, nie było jednak wygod-



ne. Zmiany zaprowadzone przez Holta na posterunku objęły też przerobienie na areszt pomieszczenia, które służyło za magazyn. Nieduże biuro Holta mieściło się przy głównym placu Redbud w budynku urzędu miasta i sąsiadowało z biurem burmistrza, Izbą Handlową oraz innymi publicznymi urzędami.

Obecnie jedyną celę aresztu zajmował tylko Terry Bishop. Siedział na brzegu pryczy z głową zwieszoną między kolanami. Koński ogon się rozwiązał i rozsypane włosy oblepiały całą głowę. Wyglądał źle i na pewno tak samo się czuł.

- Dzień dobry - powiedział Holt. Terry zerwał się na nogi. Jęknął.

- Jezu, szeryfie, niech pan nie krzyczy.

- To co, będziesz grzeczny?

- Napiłbym się kawy. Holt otworzył celę.

- Claire's jest już otwarte - oznajmił, mając na myśli kawiarnię na placu. Nie ma mowy, żeby dał Terry'emu choćby szklankę wody za publiczne pieniądze.

Terry wyszedł z celi, powłócząc nogami i gderając.

- Na twoim miejscu odpuściłbym sobie kawę i poszedł prosto do domu. I siedziałbym tam do końca weekendu.

Przemyśl, jak należy się zachowywać w miejscu publicznym.

Terry przyjął to do wiadomości i ruszył do drzwi.

Holt wziął kurtkę od munduru. Pora skontrolować ruch na ulicach miasta i na szosach. W sobotę nie było takiego natężenia jak w ciągu tygodnia, ale nie zaszkodzi upewnić się, czy wszyscy przestrzegają ograniczeń prędkości.

Edie spała krótko. Po paru godzinach znów była na nogach.

O szóstej ubrała się i wyszła. Dziesięć minut później zaparkowała motor w pobliżu głównego placu, skąd mogła obserwować budynek urzędu, nie rzucając się w oczy. Oparła się o drzewo

i ziewnęła. Lubiła spać, jak wszyscy. Ale uznała, że odpocząć może później. Kiedy zakończy sprawę.

Pół godziny później Terry Bishop zszedł, potykając się, po schodach. Kiedy znalazł się na chodniku, przeciągnął się i potarł

kark. Wyglądał niechlujnie i był wyraźnie zmęczony. Po tylu piwach i nocy spędzonej w areszcie prawdopodobnie też brzydko pachniał.

Ale co tam, do diabła. Wdychała już gorsze smrody. Odpaliła motor. Zrównała się z Terryem w bocznej ulicy kawałek dalej.

Zwolnił, kiedy ją zobaczył. Przyłożył dłoń do czoła, aby osłonić oczy przed porannym słońcem.

- Podwieźć cię? - zapytała. Wpatrywał się w nią. - Nie pamiętasz mnie.

- A powinienem?

- Wczoraj. Na festynie. Ty, ja i szeryf ...

- Byłem nawalony.

- Wiem. Byłam tam. - Wyciągnęła rękę. - Edie Swann. Uścisnął słabo jej rękę.

- Terry Bishop.

- Wiem, kim jesteś.

- Tak? Więc czemu chcesz mnie podwieźć?

- Myślałam, że chciałeś wczoraj powiedzieć coś interesującego.

- O czym?

- O Fredzie Lyle'u i Hammerbilt. Zgromił ją wzrokiem i ruszył przed siebie.

Edie szybko zaparkowała motor i pobiegła za nim.

- Poczekaj chwilę! Zatrzymaj się!

Nie posłuchał jej, ale w końcu Edie zrównała się z nim.

- Chcesz mnie wrobić?

- Niby po co? - zdumiała się Edie. - To mnie interesuje. Naprawdę.

- Jesteś dziennikarką czy co?

- Nie. Już powiedziałam. Jestem aktywną obywatelką.

- Mną się nikt nie interesuje.

- Podwiozę cię do domu. Będziemy mogli porozmawiać. To go jeszcze bardziej przeraziło.

- Raczej nie.

Przyspieszył kroku, a ponieważ miała krótsze nogi, ledwie mogła za nim nadążyć. Dała za wygraną.

- Jak zmienisz zdanie - zawołała za nim - znajdziesz mnie w barze Red's. Wpadnij. Postawię ci piwo.

Ani nie przyjął, ani nie odrzucił zaproszenia. Nawet nie potwierdził, że usłyszał. Po prostu szedł przed siebie.

Edie patrzyła na jego zgarbione plecy i ręce wciśnięte w kieszenie. Mogła pospać, bo i tak nic z niego nie wyciągnęła. Ruszyła w stronę motoru. Wczoraj, po paru piwach, był dosyć wygadany. Jeśli nic nie pomoże, to zawsze jest jeszcze bar.

Wyjeżdżając z miasta, Holt zauważył, że Terry przed kimś ucieka. Zwolnił. Rozpoznał towarzyszkę Terry'ego. Co też Edie Swann i Terry Bishop mieli sobie do powiedzenia?

Może chciała go przeprosić, że wtrącała się wczoraj w jego sprawy. Holt uśmiechnął się. Chociaż wiedział o niej mało, jednak był pewien, że przepaszanie nie jest w jej stylu. Postanowił wrócić do sprawy później. Któregoś dnia zada jej to pytanie.

A to oznaczało, że znów ją zobaczy.

No jasne. Kiedy znowu pójdzie do baru...

Uśmiechnął się - oszukiwał sam siebie. Wyjechał na drogę wylotową z miasta. Przez pierwsze pół godziny ruch był niewielki, ale stopniowo się nasilał. Godzinę drogi na zachód znajdował się Wal-Mart, ludzie jechali na sobotnie zakupy. Obserwował, jak zwalniają, widząc jego wóz, a po mniej więcej pół godzinie zawrócił i skierował się ku wschodniej stronie miasta, gdzie czekała go druga niespodzianka. Powracający ojciec.

Holt machnął ręką, żeby się zatrzymał.

- Co robisz w tej okolicy, tato? - Jeśli Redbud miało jakąś gorszą dzielnicę, to właśnie tej należało się takie miano.

Miasto rozwijało się w kierunku zachodnim, a jego starsze rejony podupadały. Nic tu nie było oprócz starego kamieniołomu.

James wysiadł z pikapa i włożył ręce do kieszeni.

- Nic. Jadę sobie.

- Martwisz się czymś?
  - Po prostu lekki niepokój.
  - Chcesz wrócić na swoją starą posadę? W każdej chwili możesz być moim zastępcą. Wystarczy jedno słowo. James się uśmiechnął.
  - Wszystko w porządku, synu. Słońce na niebie. Będzie piękny dzień. Chciałem zobaczyć wschód.
  - Jak tam Miranda?
  - Udaje, że pije mleko, które jej zostawiłeś.
- Wymienili uśmiechy. Obaj mieli świadomość, że dziewczynka manipuluje swoimi mężczyznami, i akceptowali to.
- Nie zatrzymuję cię. - James poklepał Holta po plecach. -Zobaczymy się później?
  - Jasne.
- James, wsiadając do samochodu, podniósł oba kciuki do góry. Jeśli nawet wcześniej się czymś martwił, teraz wyglądał normalnie. Ranek rzeczywiście był piękny. Zapowiadał się udany dzień.

## Rozdział 8

Amy Lyle nie potrafiła sobie przypomnieć, co ją obudziło w niedzielę o świcie. Zwykle miała twardy sen, tak samo jak Fred. Spała obok tego mężczyzny od trzydziestu pięciu lat i wiedziała, że rzadko bywał nerwowy. Być może jakiś szósty zmysł właściwy żonom, kazał jej otworzyć szeroko oczy o drugiej nad ranem i pospiesznie wyjść z pokoju w samej nocnej koszuli, kiedy zobaczyła, że druga strona łóżka jest pusta. A może to niepokój, który jej towarzyszył od jakiegoś czasu. Przez ostatnie dni Fred nie był sobą. Coś go dręczyło. Miała nadzieję, że tym razem nie chodzi o jego serce. Doktor stwierdził bez ogródek, jaki wpływ może mieć na niego stres, ale kiedy pytała Freda, jak się czuje,

zawsze odpowiadał, że dobrze. Dobrze. Czy może być bardziej nieprzekonująca odpowiedź?

Może zbudził ją jakiś hałas, jakiś odgłos domu. Miejsca, gdzie obchodzili rocznice i urodziny. Wychowali dzieci. Miejsca, które była zmuszona opuścić. Tak bardzo była zajęta planowaniem przyszłości, że nigdy nie przystanęła, aby zastanowić się, gdzie jest.

A teraz była tutaj, w kuchni, razem z szeryfem, podczas gdy nieruchomy Fred leżał cicho w swoim gabinecie. Czekali na przyjazd ambulansu. Ale Fred nie potrzebował już lekarza.

- Nie słyszała pani, że wyszedł z sypialni?

Amy spojrzała pustym wzrokiem na stojącego przed nią mężczyznę. Szeryf Drennen. W Redbud zawsze był jakiś szeryf Dren-nen.

- Pani Lyle?

- Tak?

- Czy słyszała pani, jak mąż wychodził z sypialni?

- Nie.

- Ale coś panią obudziło?

- Tak.

- I nie pamięta pani co?

- Nie.

Chyba chciał usłyszeć od niej coś więcej, ale nie potrafiła nic powiedzieć.

- Czy poznaje pani? - Trzymał jakąś plastikową torebkę z małym aniołem. Czarnym, z rozpostartymi skrzydłami. Do oczu Amy znowu napłynęły łzy. - Pani mąż trzymał to w dłoni, pani Lyle. Czy widziała to pani wcześniej?

Pokręciła głową w zdumieniu.

- Fred miał to w ręce? Ale... po co Fred trzymał anioła? Zwłaszcza że i tak - przerwała na chwilę, aby zebrać myśli - i tak mu nie pomógł. Nie opiekował się nim. - Głos jej się załamał.

- Nie wiem. - Szeryf mówił łagodnie i ze współczuciem. Podał jej chusteczkę. - Przykro mi... Bardzo mi przykro z powodu pani straty.

Przyłożyła chusteczkę do oczu.

- Dziękuję panu.

- Muszę zadać jeszcze kilka pytań. Jest pani pewna, że nigdy wcześniej nie widziała pani tego anioła? W biurku męża albo w jego gabinecie? Albo na komodzie?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Czy z czymś się pani kojarzy? Znowu pokręciła głową.

- Może ma jakieś religijne znaczenie?

- Fred nie był zbyt religijny.

Do pokoju weszła kobieta. Holt odsunął się na bok, aby mogła wziąć Amy za rękę. Poczul ulgę, gdy ją zobaczył. Hally Butene straciła męża mniej więcej przed rokiem, a Lyle'owie dotrzymywali jej towarzystwa w pierwszych bolesnych godzinach. Teraz przyszła kolej na Hally.

- Tak mi przykro, moja droga - odezwała się Hally swoim charakterystycznym, schrypniętym głosem.

Była wysoką, smukłą kobietą, ubierała się klasycznie, a stroje zawsze dobrze leżały na jej szczupłej figurze. Siwe, krótko ostrzyżone włosy tworzyły szykowną fryzurę, a duże okulary w rogowej oprawie wyglądały zarazem modnie i funkcjonalnie. Jej mąż pracował do śmierci jako rewident księgowy w fabryce, nawet w dniach największej żałoby nie była ani zaniedbana, ani źle ubrana. Nawet teraz, w środku nocy, miała na sobie odprasowane spodnie i koszulę i poruszała się ze spokojną godnością.

Objęła Amy mocnym uściskiem ramion, dzięki czemu nie było widać, że Hally nieustannie trzęsą się ręce, a głowa lekko drży.

- Mogę ją zabrać na górę? - zapytała Holta.

Mówiła bardzo wyraźnie, starając się oddzielać słowa. Choroba Parkinsona rujnowała jej ciało, ale błysk w oczach świadczył o bystrości umysłu i inteligencji.

- Tak, już skończyliśmy.

Hally skinęła głową, otoczyła Amy ramieniem i wyprowadziła ją z kuchni.

Holt poszedł do gabinetu, gdzie Sam robiła ostatnie zdjęcia. Technicy medyczni z pogotowia ratunkowego i doktor Ferguson, miejscowy koroner, stali po bokach i czekali na swoją kolej. Doktor wydał już opinię co do czasu i przyczyny śmierci, prawdopodobnie atak serca - Lyle przeżył już jeden - i nie było nic więcej do roboty. Gdyby nie ten czarny aniołek...

Holt podniósł woreczek z dowodem rzeczowym do światła i wpatrywał się w mały przedmiot. Co to ma wspólnego z Fredem Lyle'em? Dlaczego ścisnął go w dłoni? Wyglądał jak dziecięca zabawka. Tylko bardziej złowieszczo.

Czarny anioł. Diabelski anioł.

Odsunął na bok złe przeczucia. Skinął na Sam.

- No dobra. Wynieśmy stąd pana Lyle'a.

Wiadomość o śmierci Freda Lyle'a rozniosła się po Redbud lotem błyskawicy i zgasła świąteczny nastrój poprzednich dni. Edie czuła, że i w barze zapanował smutek. Zwieszane głowy, bardziej refleksyjne rozmowy. Zastój w interesie. Nawet Lucy hamowała swój ostry język. Oparłszy się o kontuar, ssała lód ze swojej pustej szklanki.

Edie naląła jej coli.

- Myślisz, że to prawda z tym czarnym aniołem? - zapytała. Lucy mieszkała tu od dawna, a jeśli śmierć Freda Lyle'a miała

rozwiązać ludziom języki, to Edie mogła równie dobrze zacząć od kelnerki.

- Że znaleźli czarnego anioła przy ciele Freda Lyle'a? - parsknęła Lucy.

- O tym, co to znaczy.

- Tó jakaś bzdura. Faceci plotkują jak przekupki.

- Słyszałam, że ma to jakiś związek z problemami w fabryce.

- Hej, wierzysz w to, co opowiadają starsze panusie?

- Daj spokój, Lucy. Starsza kobieta westchnęła.

- W porządku. Ale pamiętaj, że cię ostrzegałam. - Rozsiadła się za barem, sącąc colę. - Wiele, wiele lat temu gadali, że ktoś

wpadł w tarapaty w Hammerbilt. Chodziło o pieniądze. Malwersacja. Falszowanie ksiąg. Coś w tym rodzaju. Niektórzy mówili, że był niewinny, ale większość uważała, że nie. I udowodnił, że mieli rację, bo się zabił. Wysłuchiwanie własnej historii tak, jakby chodziło o obcych ludzi, nie było wcale zabawne. Ale naciskała Lucy.

- I to ma związek z czarnym aniołem? Jaki?

- Rodzina... jego żona, matka, czy kto tam jeszcze, postawiła tego anioła nad grobem. I w nocy on się robi czarny. Edie wybuchnęła śmiechem.

- Daj spokój.

- Przecież mówiłam, że to bzdury. Dołączył do nich Red.

- Idź na cmentarz, to sama zobaczysz. Duży czarny anioł, jak stojący nad grobem wysłannik diabła. - Przybliżył do nich głowę. - Mówią, że zrobi się biały, kiedy zostanie udowodnione, że był niewinny.

Lucy przewróciła oczami.

- Mówią również, że tylko dziewica może go dotknąć, inna tego nie przeżyje.

- Domyślam się, że nie masz szans - powiedział Red, na co Lucy zdzieliła go dość mocno.

- Hej, Edie!

Ktoś ją wołał, żeby złożyć zamówienie. Przeszła szybko na drugą stronę baru i naląła dwa piwa dla stałych klientów

- Russa Elama i Howarda Wayne'a.

- Słyszałaś o czarnym aniele, którego znaleźli przy ciele Freda? - zapytał Howard.

- O niczym innym się nie gada - odparła Edie. - Ach, jeszcze o jakimś starym grobie.

- Skóra mi cierpnie - zwierzył się Howard. - Może to jakiś diabelski kult zbiera żniwo?

- Zamknij się, Howie - odezwał się Russ. - Za wcześnie na Halloween.

**40**



- No, ale ja widziałem ten grób - wyjaśnił Howard. - I rzeczywiście stoi tam czarny anioł.

- Jak będziesz złopał tyle piwa, to zobaczysz całą zgraję czarnych aniołów - stwierdził Russ, wywołując salwę śmiechu.

Edie wykrzywiła usta w uśmiechu, ale wcale nie było jej wesoło. Fred Lyle dostał to, na co zasłużył, prawda? Raban, jaki się podniósł po jego śmierci, to tylko wymierzanie sprawiedliwości.

Rozejrzała się po barze, zastanawiając się, kogo jeszcze mogłaby przycisnąć. Pojawiła się nowa osoba.

Holt Drennen. Miał na sobie mundur, a w każdym razie jego elementy. Seksowne džinsy i czarny T-shirt z gwiazdą szeryfa na piersi. Rzeczą najbardziej przypominającą mundur była sięgająca bioder czarna kurtka z gwiazdą na rękawie i jego nazwiskiem nad piersią. A gdyby mimo to miała wątpliwości, kim jest, to miał przy sobie kajdanki. I jeszcze praktyczny pas ze wszystkim, czego potrzebuje dzisiaj gliniarz. Gaz pieprzowy. Amunicja. Kabura.

- Przyszedłem na kawę, która mi obiecałaś - powiedział do niej, kiedy zbliżyła się z wahaniem.

Postawiła przed nim filiżankę i naląła kawy z dzbanka. Podsunęła mu cukier i mleko, ale pił czarną i przyglądał jej się znad filiżanki.

Holt widział, że była w swoim żywiole - zalotne uśmiechy, mruganie do klientów. Dowcipkowała z facetami z fabryki. Podobał mu się jej uśmiech. Tak samo jak czarne włosy opadające na oczy i na ramiona. Część z nich upięła, a reszta opadała w nieładzie.

Ale nie przyszedł, żeby na nią popatrzeć. No dobra, nie tylko po to. Przyszedł, żeby się dowiedzieć, co miejscowi plotkarze opowiadają o śmierci Freda Lyle'a. Przez cały dzień docierały do niego jakieś aluzje. Pogardliwy wyraz na twarzy Sam, gdy wróciła z lunchu. Wysłuchiwanie jej opowieści o życiu pozagrobowym i przesłaniach z tamtego świata. Jeśli nawet stąpająca twardo po ziemi Sam była poruszona, nietrudno sobie wyobrazić, co

się działo z resztą mieszkańców. Najłatwiej było się tego dowiedzieć w Red's.

- Jaki jest temat dnia? Umyła kilka szklanek.

- Fred Lyle. Czarne anioły. Wiesz, że na cmentarzu jest figura anioła przy czyimś grobie i w nocy robi się czarna?

- Tak, słyszałem o tym.

- To prawda?

- Na cmentarzu faktycznie jest czarny anioł. Ale przypuszczam, że istnieje logiczne wytłumaczenie. - Zawiesił dramatycznie głos. - Oksydacja. Podobno to się zdarza. W naturalny sposób.

- Nie wierzysz w magię?

- Nie za bardzo.

Przypomniawszy sobie, jak znalazł czarnego anioła w dłoni Freda Lyle'a. Przeniknął go niepokój.

- Mówią też o kulcie diabła.

Holt się skrzywił. Miał nadzieję, że uniknie takiej rozmowy.

- Poważnie?

Edie wzruszyła ramionami.

- Tylko przekazuję.

Chwyciła ścierkę do naczyń i zaczęła wycierać umyte szklanki.

- Jakie znaczenie ma śmierć Lyle'a dla miasta?

- Oprócz tego, że przez jakiś czas wszyscy mają o czym gadać?

- Lyle piął się na szczyty. Czy to nie dzięki niemu o fabryce zrobiło się głośno? Co się stanie z Hammerbilt bez Freda, który promował ten zakład?

Holt przejechał palcem po brzegu filiżanki. Jej pytania wskazywały na głębsze zainteresowanie miastem, niż mógłby się spodziewać. I głębsze zrozumienie powiązań pomiędzy różnymi gałęziami gospodarki Redbud. Może zatem mówiła serio o zapuszczeniu korzeni. Dziwne, ale ta myśl go przygnębiła. Jakby chodziło o zamknięcie w klatce dzikiego ptaka.

- Mówiło się o ekspansji i Redbud było na to przygotowane. Awans Lyle'a mógł sprawić, że miasto byłoby na serio brane pod uwagę. Teraz, kiedy mamy kryzys, nie wiadomo.

- Miasto chyba na to postawiło. Widziałam, że ktoś buduje klub rekreacyjny w północnej części.

- Dlaczego nie? Pole golfowe, basen. My, wieśniacy, też potrzebujemy relaksu.

Uśmiechnęła się do niego ironicznie.

- Grasz w golfa?

- Wolę bardziej dynamiczne dyscypliny.

- Jakie jest twoje uzależnienie? Futbol? Koszykówka?

- A co? Chcesz się zmierzyć?

- Może.

Roześmiał się. Odstawił filiżankę i wstał ze stołka.

- Dzięki za kawę.

- Do usług, szeryfie. Muszę dbać o dobry nastrój stróża prawa.

- Będę o tym pamiętał. - Zasalutował żartobliwie i ruszył do drzwi.

Edie odprowadzała go wzrokiem. Tak długo, aż wyszedł w ciemną noc. Z tyłu wyglądał równie ponętnie.

## Rozdział 9

**Dwa** dni później odbył się pogrzeb Freda Lyle'a i przez szacunek dla zmarłego Red zamknął bar. Edie skorzystała z wolnego dnia, aby udać się do publicznej biblioteki w Redbud.

Przechowywano tu wszystkie numery „Gazette”, ale wydania z poprzedniego wieku były dostępne tylko na mikrofilmach. Bibliotekarka zaprowadziła Edie do pokoju na tyłach, poinstruowała, jak odnaleźć na półce poszukiwaną datę i jak korzystać z urządzenia do czytania mikrofilmów. Edie podziękowała jej,

**43 - Śmiertelny grzech**

**49**

poczekala, az odejdzie, po czy wyjela pudełko z data piaty lipca 1989 roku.

Nie musiala dlugo szukać. Artykul byl na pierwszej stronie. Uderzyly w nia znajome slowa. Charles Swanford, księgowy, Hammerbilt. Przeskoczyła dalej, szukając nieznanych materialów. Ale nowosci znalazła dopiero pod data osmy lipca.

Arlen Mayborne, asystent księgowego, mial powiedziec: „Był miłym człowiekiem. Łatwym w obejściu. Nigdy bym go nie podejrzewal”. A rewident księgowy Alan Butene stwierdzil: „To tragedia pod wieloma względami. Dla mnie osobiście tez, stracilem przyjaciela i współpracownika”.

Co to wszystko wnosilo nowego? Nigdy nie udalo jej sie naklonic matki, by porozmawiala z nia o dniu, w którym umarl ojciec. Dokad poszedl? Z kim sie spotkal? I co wlasnie doprowadzilo go na skraj rozpacz? Co zaszlo miedzy wyjściem z domu rano a rzuceniem sie na dno starego kamieniołomu po południu?

Gdyby tylko mogła sie tego dowiedziec, uzyskalaby odpowiedz na najwazniejsze pytanie swojego zycia: dlaczego? Dlaczego skoczyl z tej skały? Czy byl winny sprzeniewierzenia pieniedzy fabryki? Czy byl tchorzem? Nie chciala w to wierzyc. Jej matka nigdy nie uwierzyla. Ale czy miala inne wyjście?

Wpatrywala sie w ekran urzadzenia do mikrofilmów, kiedy poczula czyjś obecność w pokoju. Na progu stalo dziecko, ktore sie w nia wpatrywalo. Jedno z tych pieknych dzieci o doskonałych rysach, jedwabistych jasnych włosach, przyciętych równo na wysokości brody.

- Co to jest? - Wskazala na przedramię Edie, a dziewczyna opuscila wzrok na ozdobny tatuaż.

- Łabędź.

- Dlaczego masz tam łabędzia?

- To moje nazwisko. Edie Swann.

Dziecko przyjelo to do wiadomości, ale nadal bacznie ja obserwowalo.

Edie nigdy nie uważała się za osobę ceniącą więzi rodzinne. A w dzieciach denerwowały ją niewinność i ufność. Ta dziewczynka była jeszcze mała. Pięć? Sześć lat? Edie przełknęła ślinę, nie wiedząc, co powiedzieć. Chciała, żeby dziecko już sobie poszło.

Ale dziewczynka weszła do środka i zbliżyła się do krzesła Edie.

- Mogę tego dotknąć? Rany.

- Uhm...

Dziewczynka wzięła mruknięcie za przyzwolenie i zanim Edie zdołała ją powstrzymać, wdrapała się na jej kolana. Wodziła drobnymi paluszkami po obrazku.

- A jak to zrobiłaś?

To przynajmniej było łatwe. Informacja.

- To się nazywa tatuaż. Trzeba iść do specjalnego zakładu, a oni rysują to igłami i tuszem.

- Czy to boli?

Prawda czy kłamstwo? Doświadczenie nauczyło Edie, że nie warto trzymać dzieci pod kloszem.

- Tak - odparła. - Boli.

- Więc czemu to zrobiłaś? - Świdrowała Edie wielkimi, zielonymi oczami, żądając odpowiedzi.

- Czasem jest tak, że wiesz, że coś może boleć, ale i tak to robisz, bo to zabawne albo chcesz sprawdzić, czy sobie poradzisz, prawda?

- Kiedyś zeskoczyłam z huśtawki w parku.

- Uderzyłaś się?

Skinęła poważnie głową, a Edie wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Więc wiesz, co miałam na myśli?”

- Miranda!

W progu stanęła nieduża, krępa kobieta z krótkimi blond lokami, nieco zaniedbana, lecz pociągająca. Matka? Edie przyjrzała się bliżej. Wyglądała młodzieńczo, ale nie była młoda.

- Dobry Boże, Mirando, co ty robisz najlepszego? Wiesz, że nie wolno ci się oddalać. - Dziewczynka najwidoczniej nie przejęła się tą reprimendą, bo ani drgnęła. Kobieta zwróciła się do Edie. - Bardzo przepraszam, że pani przeszkodziła.

- Wcale nie przeszkadzałam, prawda? - Miranda zadała to pytanie Edie.

- No... nie.

Co innego mogła powiedzieć? A poza tym stwierdziła, że to prawda.

- Chodź już, idziemy. Miranda zeskoczyła z kolan Edie.

- Czy ja też mogę mieć łabędzia na ręce? - zapytała Miranda starszą kobietę.

- Co takiego? - Kobieta była skonsternowana. Edie wskazała na swoje ramię.

- Chyba ma na myśli to.

- Tatuż? - Kobieta się roześmiała. - Mirando Drennen, nie przestajesz mnie zaskakiwać.

Edie nie była na to przygotowana.

- Drennen?

- A tak, proszę wybaczyć. Jestem Mimsy Drennen. Miranda jest moją wnuczką.

Wyciągnęła rękę.

- Edie Swann. - Uścisk Mimsy był mocny i krótki, ale przyjazny. - Jakies pokrewieństwo z szeryfem?

- To mój tatuś - powiedziała Miranda.

- Twój... tatuś?

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Holt może mieć dziecko. Jeszcze raz spojrzała na dziewczynkę, unikając nachalnego wpatrywania się. Spojrzały na nią zielone oczy Holta.

- Zna pani mojego syna? - zapytała Mimsy.

- Jest tutaj szeryfem, prawda? Chyba większość ludzi go zna.

Edie rzuciła to lekko i miała nadzieję, że Mimsy nie uzna tej odpowiedzi za wymijającą, choć taka właśnie była. Już samo za-

interesowanie Holtem było niewłaściwe, ale jego matka i dziecko? To groziło murowaną katastrofą. Zanim zdołała jakoś zareagować, wtrąciła się Miranda.

- Chcę mieć łabędzia na ręce - zażądała.

- Absolutnie wykluczone - odparła Mimsy.

- Dlaczego?

- Tatuże są dla dorosłych, dlatego.

- Chcę być dorosła - powiedziała Miranda.

- Jakbym nie wiedziała. I będziesz szybciej, niż myślisz, czy chcesz, czy nie. - Mimsy podniosła dziewczynkę. - Chodź, dziecko, musimy wracać do domu.

Miranda pomachała nad ramieniem babci, a Edie, choć rozsądek podpowiadał co innego, zrobiła to samo.

Wróciła do swojego mikrofilmu, myśląc o Holcie. Ostatnio robiła wiele rzeczy wbrew rozsądkowi, czyż nie tak?

## Rozdział 10

W dniu pogrzebu Freda Lyle'a Redbud ogarnęła cisza. Holt zlecił Sam kierowanie ruchem w okolicach małego cmentarza, który zappełnił się rodziną, przyjaciółmi i pracownikami fabryki. Podczas gdy całe miasto odprowadzało na miejsce ostatniego spoczynku jednego ze swoich, Holt udał się na patrol. Nie ma lepszej sposobności do napadu niż opuszczone miasto.

Ale w Redbud panowały cisza i spokój, nic się nie działo wśród małych, schludnych domków. We wschodniej części budynki były bardziej zniszczone, podwórka zarzucone częściami samochodowymi i dziecięcymi zabawkami. Ale nie zauważył wybitych okien ani innych przejawów wandalizmu, które widywało się tam wcześniej. Nic nie odbiegało do normy oprócz jednego zachwaszczonego ogrodu. Stał obok niego motor oparty o zrujnowany budynek, służący dawniej za garaż.

Holt doskonale znał ten dom, kilka razy przepędzał stąd ćpunów. Będzie musiał znowu porozmawiać z Runkle'em. Trzeba skosić trawnik, odmalować ściany. Wyglądał na zapomniany i opuszczony. Nic dziwnego, że co i rusz jakiś opryszek urządzał tu sobie centralę do prowadzenia biznesu.

Zaparkował. Wsiadł z wozu i wszedł po frontowych schodach. Drzwi były zamknięte na klucz, zasłony zasunięte. Powoli ruszył na tyły domu.

Przy tylnym wejściu ktoś siedział na stopniach, odwrócony do niego plecami. Tę burzę włosów rozpoznałby wszędzie

- Edie?

Oboje byli tak samo zdziwieni.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- Miałem cię zapytać o to samo.

Zbliżył się do schodów i postawił jedną stopę na stopniu.

- Czekam na agenta nieruchomości. Dennisa Runkle'a. Holt uniósł brwi.

- Tutaj? W tym miejscu? Wzruszyła ramionami.

- Na tyle mnie stać.

- I na wysokie rachunki za remont?

- To zbrodnia, że dopuszczono do takiej ruiny. Zdecydowanie powinieneś kogoś aresztować.

- Aresztowałem. Przepędziłem stąd gang handlarzy narkotyków. Zobaczyłem motor. Myślałem, że znowu ktoś rozkręca tu biznes.

Podniosła rękę.

- Ja nie. Szukam jakiegoś mieszkania.

- Więc to twój motor? - Spojrzała na nią z zaciekawieniem. A nawet z zazdrością. - Niezłą maszynę tu przywiozłaś.

- Nie czekał na odpowiedź. Wskazał na zrujnowany dom. - Więc... masz zamiar zostać tu na jakiś czas?

Edie rozejrzała się po podwórku. Przyjechała tu prosto z biblioteki, nie wiedząc, co zastanie, ale nie oczekiwała, że będzie aż tak źle. Trawa już dawno przegrała walkę z chwastami, któ-



re miejscami sięgały do kolan. Dom jej babci był zaniedbany i opuszczony, w ścianach sporo dziur.

- Nie wiem. - Wstała, przedarła się przez gąszcz chwastów do wiązu rosnącego w południowym rogu ogrodu. - Być może.

Jak pamiątka lepszych czasów, na gałęzi wisiały pozostałości huśtawki zrobionej z opony. Grubą linę, którą zwykle wiązał jej ojciec, zastąpił niebieski nylonowy sznurek. Chociaż opona prawie zupełnie skruszała, niezniszczalny nylon wisiał dalej. Popchnęła wiszący kawałek czarnej gumy. Salwy śmiechu rozbrzmiały w jej pamięci.

Holt podszedł do niej.

- Można to łatwo naprawić. Nowa opona, nowa lina. I będzie działało.

Gdyby tylko naprawienie innych rzeczy było równie proste. Przeniknęła ją fala smutku, odwróciła się w stronę domu. Biała farba schodziła płatami ze ściany, a rdza naznaczyła plamkami metalową futrynę drzwi.

- Raczej nie będzie mi potrzebna - odparła.

Może to był zły pomysł. Utonie we wspomnieniach. A wracanie do przeszłości zawsze było ryzykowne. Chyba właśnie dlatego ciocia Penny nigdy jej tu nie przywiozła.

- Dlaczego nie zostawisz przeszłości w spokoju? - narzekała bez przerwy, zwłaszcza w ostatnich dniach życia.

- Dlatego że ciągle mi towarzyszy. Przez cały czas - odpowiedziała Edie, podając jej szklanek wody ze słomką.

Ciocia wymiotowała niemal wszystkim, przestała jeść, niewiele piła. Pragnęła umrzeć, a to doprowadzało Edie do pasji. Penny odstawiła szklanek, jakby chciała jeszcze podsyć złość Edie, uniosła się w szpitalnym łóżku i odwróciła twarzą do ściany.

Edie zacisnęła zęby.

- Proszę - błagała. - Jesteś jedyną osobą, która może mi o tym opowiedzieć. Jedyną, która żyje.

Głos jej się załamał. Łzy złości i rozczarowania szczypały powieki, przetarła je.

Z jękiem bólu ciocia Penny odwróciła się do swojej siostrzenicy.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie - wyszeptła. - Jesteś silna. Dasz sobie radę.
- Łatwo ci mówić - odparła Edie. - To nie ty zostaniesz sama. Z usta cioci wydobył się zduszony śmiech.
- Nie, ja będę martwa.
- Ty i wszystko inne.

Ciocia słabym gestem wskazała jej miejsce na łóżku. Edie usiadła, a ciocia wzięła ją za rękę.

- Czy musisz przedzierać się przez świat z zacisniętymi pięściami? Nie rozumiesz, że pewnych rzeczy nie da się już zmienić? Choćbyśmy nie wiem jak tego pragnęli.

- Chcę tylko wiedzieć, co się wydarzyło. Proszę.

- Dobrze. Nie mam już siły z tobą walczyć. Ale wiem, że nie przyniesie ci to spokoju.

Wreszcie, po tylu naleganiach, ciocia Penny powiedziała jej to, co chciała usłyszeć. Tydzień później zmarła. Edie została do jej pogrzebu, zlikwidowała mieszkanie, przekazała odzież organizacji dobroczynnej. Miesiąc później przyjechała do Redbud. Samotna, bez korzeni, gotowa na wyrównanie rachunków.

- Jeśli myślisz na serio o kupnie domu, pewnie znalazłoby się coś lepszego.

Holt wprowadził w ruch szczątki opony. Patrzyli, jak się kołysze.

- Gdybym miała gotówkę, rzecz jasna.

- Gdybyś miała głowę na karku - poprawił Holt.

W tym momencie usłyszeli czyjeś nawoływanie, pełne sztucznej serdeczności.

- Halo?

- Jestem z tyłu - odkrzyknęła Edie.

Zza rogu wyłonił się nieduży, pełen energii mężczyzna, z opalenizną, którą zawdzięczał zapewne regularnym pobytom na polu golfowym. Nie był młody, ale dobrze się trzymał. Miał na sobie drogie ubranie. A na ręce, którą wyciągnął do powitania, błyszczała ciężka złota bransoleta.

- Panna Swann? Dennis Runkle. - Szeroki uśmiech towarzyszył wyciągniętej ręce. Przeniósł wzrok z Edie na Holta.

- Miło pana wiedzieć, szeryfie. Jakiś problem?

Holt zaprzeczył ruchem głowy.

- Po prostu chcę się upewnić, czy nie sprzeda pan pannie Swann sterty desek.

Runkle zachichotał.

- Och, uprzedzałem pannę Swann, że posiadłość jest w kiepskim stanie. Ale ona powiedziała, że szuka czegoś na uboczu.

- Lubię jeździć motorem - powiedziała Edie do Holta, wykorzystując ten sam argument, którego użyła wobec Runkle'a. - Sąsiedzi mogliby narzekać na hałas.

Holtowi wystarczyło to wyjaśnienie, ale napomniął Runkle'a, żeby bardziej dbał o dom, a Edie ostrzegł przed kupowaniem rudery.

- Kliencie, miej oczy szeroko otwarte - poradził dziewczynie.

Kiedy odszedł, Runkle zwrócił się do Edie.

- Drzwi frontowe czy tylne?

Wybrała frontowe. Zaprowadził ją do wejścia.

- Proszę patrzeć pod nogi, młoda damo.

Runkle włożył klucz do zamka, miał trudności z przekręceniem go, ale w końcu zdołał otworzyć drzwi.

Nagle otoczyły ją znane i nieznane rzeczy. Róże na ścianie były jeszcze widoczne, chociaż tapety zabrudziły się i wyblakły. Nie pozostało nic z atmosfery przestronnego, jasnego holu. Zamiast swojskiego zapachu niedzielnego obiadu w powietrzu unosił się smród stęchlizny i pleśni. A poza tym dom był teraz jakby mniejszy. W dzieciństwie wydawał jej się ogromny. Z biegiem czasu wyraźnie skarłał.

Ruszyła za agentem nieruchomości do kuchni. Rude nacieki rdzy szpeciły śnieżnobiały porcelanowy zlewozmywak babci.

- Nie ma co oglądać - powiedział Runkle. Pociągnęła drzwi od piecyka, otworzyły się z piskiem.

- Niewiele gotuję.

Przypomniała sobie kurczaka pływającego w oceanie tłuszczu. Ziemniaki puree. Uśmiech matki, kiedy zasiadali do stołu. Ojca odsuwającego krzesło dla cioci Penny.

- Chce pani obejrzeć resztę domu?

Zaprowadził ją po schodach do sypialni i wtedy zadała pierwsze istotne pytanie.

- Do kogo należy dzisiaj ten dom? Dlaczego dopuścili do takiej ruiny?

- W tej części miasta niewiele się dzieje. Dom od wielu lat jest niezamieszany. Dwadzieścia, trzydzieści lat temu mieszkała tu rodzina Bellinghamów. Starsza pani Bellingham zmarła, a nieruchomość została sprzedana jako masa spadkowa. Kupiłem ją pięć czy sześć lat temu, trochę na zapas. W najbliższym czasie nastąpi rozwój tej dzielnicy. Wynajmowałem dom od czasu do czasu. Chociaż ostatni lokatorzy to była zgroza, jak stwierdził szeryf. Niedługo chyba zburzę ten budynek i zakończę jego nieszczęsny żywot.

Bellingham. Panieńskie nazwisko jej matki. Odpowiedź na pytanie, które jej zadawano przy wypełnianiu kwestionariuszy.

Skierowała się do pokoju, w którym spała, kiedy tu przyjeżdżali. Pokój matki. Nie rozpoznała go. Nie było śladu po białej komodzie i różowej wełnianej narzucie na łóżko. Przestrzeń zajmowało żelazne łóżko z gołym materacem.

Wyglądało jak więzienna prycza.

- Wystarczy to pani, młoda damo? Skinęła głową i zeszli na dół.

- Muszę sprawę przemyśleć.

- Oczywiście - odrzekł Runkle, mrugając okiem. - Nie będę miał pretensji, jeśli się pani nie zdecyduje. Mogę zaproponować mieszkanie w mieście, jeśli zmieni pani zdanie. Ładne drewniane podłogi. Nowy sprzęt.

Wyszli z domu i stanęli przy samochodzie Runkle'a - jaskra-woblękitnej korwecie.

- Proszę dać znać Dennisowi Runkle'owi, jak może pani pomóc.

Przyszła pora na prawdziwy powód tego spotkania. Wymacała palcami niewielki skarb w kieszeni i pochyliła się w stronę przednich drzwi. Oglądała samochód zachwyconym wzrokiem. Jeśli facet ma takie auto, to na pewno lubi się nim chwalić.

- Niezła bryka. Ożywił się, zachęcony.

- Lubi pani samochody?

- Jasne. - Aby odwrócić jego uwagę, wskazała na jakiś gadżet na desce rozdzielczej. - Co to jest?

Runkle wdał się w długie wyjaśnienia na temat momentu obrotowego, tak jakby nigdy nie słyszała tego terminu. To jej odpowiadało. Kiedy był zajęty pokazywaniem i tłumaczeniem, wsunęła swój drobny prezencik pod teczkę leżącą na siedzeniu pasażera.

- Robi wrażenie - rzuciła, kiedy zamilkł, by zaczerpnąć tchu.

- Najlepszy, jaki można kupić. - Uśmiechnął się z dumą i sięgnął po teczkę.

Edie zamarła i z zapartym tchem czekała na rozwój wydarzeń. Przeszył ją dreszcz przecucia.

Ale on tylko otworzył teczkę i wyjął z niej jeden z tych wachlarzy z reklamowym nadrukiem, które widziała na festynie. Wręczył go Edie, wskazując na logo.

- Tutaj jest mój telefon i e-mail. Niech się pani odezwie, młoda damo. Na pewno znajdziemy dla pani coś odpowiedniego.

- Dzięki.

Obdarzyła go uśmiechem zarezerwowanym dla klientów i patrzyła, jak odjeżdża. Pomachał do niej z samochodu.

Kiedy zniknął, wyjęła z kieszeni pogniecioną listę, z którą nie rozstawała się od kilku tygodni. Listę od cioci Penny.

Wpatrywała się w pięć nazwisk, jakby były magicznymi kluczami, którymi otwiera się krainę zemsty.

Widziała Lyle'a na pikniku. Teraz Runkle'a. Pozostało trzech.

Zabawa dopiero się rozkręcała.

## Rozdział I I

Dennis Runkle był człowiekiem zadowolonym. Niezależnie od tego, co mówiła Edie Swann, miał przecucie, że ten czarnowłosy dziwoląg zdecyduje się na kupienie domu Bellinghamów.

Bez pośpiechu wychodził z ostatniego spotkania w tym dniu - kolejna ruina we wschodniej części miasta. Ta dzielnica nie miała jeszcze swoich pięciu minut. Ale to się zmieni. Na pewno. O ile fabryka Hammerbilt nie zostanie zamknięta. A gdyby udało mu się nabyć to szkaradztwo po dobrej cenie, miałby w ręku dwie ładne parcele na wschodzie, tę i dom Bellinghamów.

Zszedł po krzywych stopniach na ulicę. Dlaczego ciągle nazywa to domem Bellinghamów? Jak powiedział tej Swann, Bellinghamowie przestali być właścicielami wiele lat temu. Wtedy, gdy... W ciągu ostatnich tygodni tyle rozmyślał o przeszłości, że starczyłoby na kolejnych dwadzieścia lat.

Czarne anioły, też coś.

Teraz, kiedy pochowali biednego Freda Lyle'a, może przestaną gadać.

Zszedłszy ze schodów, przystanął na chwilę, aby zachwycić się błękitnym blaskiem kabrioletu. Napawał się swoim sukcesem. Pomyślał o kobiecie, od której przed chwilą wyszedł. Biedactwo. Po śmierci matki była nareszcie wolna.

Lepiej późno niż wcale.

Pamiętał ją ze szkoły. Niezbyt ładna, ale zawsze miła. Mawiali na takie „greczna dziewczynka”. A teraz siwa i zmarnowana. Życie przepłynęło jej między palcami.

Poczuł dziwny impuls, aby wrócić i zaprosić ją na obiad. Albo chociaż na lunch. Tak, lunch byłby bardziej na miejscu. Może nawet miło rozmawiałoby się z kobietą w zbliżonym wieku. Przed chwilą ucieli sobie całkiem sympatyczną pogawędkę.

Ale nie mógł sobie wyobrazić, że miałyby usiąść koło niego w błyszczącej korwecie. Wyglądałby śmiesznie. Do tego auta pasowały tylko młode i ładne kobiety.

Przewycięzył więc ten chwilowy impuls i otworzył drzwi samochodu. Już miał rzucić teczkę na przednie siedzenie, ale w tym momencie uśmiech zastępnął na jego ustach. Coś leżało na siedzeniu pasażera. Coś małego i czarnego. Ostrożnie przechylił się nad fotelem kierowcy i trącił to coś palcem. Przedmiot przetoczył się, a Dennis Runkle w jednej chwili zrozumiał, co to jest.

Mały czarny anioł. Dokładnie taki jak ten, którego Fred Lyle otrzymał krótko przed śmiercią.

Co to ma...

Wśliznął się za kierownicę. Wpatrywał się w przedmiot. Od jak dawna tu leżał? Do późnego popołudnia na siedzeniu piętrzyły się foldery i dokumenty, które miał zawieźć do nowego biura. Czy ktoś to podrzucił parę dni temu? Jak mógł tego nie zauważyć? A może stało się to dzisiaj? Przed kilkoma minutami.

Rozejrzał się dokoła. Na ulicy było pusto. Odpalił silnik i powoli ruszył ulicą. Nikt nie krył się za drzewami i krzakami.

Zaczął się pocić.

Każdy mógł to zrobić. Przy dobrej pogodzie zawsze opuszczał dach. Lubił się pokazać. Ale teraz... Co za głupota z jego strony, żeby tak się wystawiać.

Dodał gazu i gdy tylko zobaczył duży parking - stację benzynową Myera - zatrzymał się, szybko podniósł dach samochodu i zasunął okna. Poczul się bezpiecznie, więc ruszył w drogę, nastawiając klimatyzację. Nie wiedzieć czemu, było mu strasznie gorąco.

Rzucił okiem na małą, ciemną figurkę, przypominającą wysłannika diabła. Znowu przeszył go dreszcz.

Co to miało znaczyć? Jakiś rodzaj wudu?

Nagle chwycił figurkę, jednym szarpnięciem otworzył schowek i wrzucił przedmiot do środka.

Ale nadal trudno mu się oddychało. W ogóle nie mógł oddychać.

Ścisnął kierownicę. Czul w gardle skurcz. Dyszał, usiłując złapać powietrze, i w gwałtownym odruchu chwycił się za szyję. Samochód gwałtownie skręcił. Ogarnęła go panika i w nagłym

przebłysku, zrozumiał, co się dzieje. Ale świadomość przyszła zbyt późno.

Holt był na popołudniowym patrolu, kiedy odebrał wezwanie przez radio. Gdy dotarł na miejsce wypadku, zgromadziła się tam już spora grupa ludzi. Przyjechała miejska ochotnicza straż pożarna, nieopodal stał ambulans. Sam ograniczyła taśmą miejsce zdarzenia i nie dopuszczała ciekawskich.

Odciągnął ją na bok, by nikt nie słyszał.

- Jaki stan?

- Nie żyje - odparła.

- Przecież widzę.

Spojrzał nad jej ramieniem na wrak samochodu. Krzykliwy niebieski kabriolet rozbił się na słupie telefonicznym i wyglądał jak zgnieciona puszka. Ciało Dennisa Runkle'a tkwiło zaklinowane za kierownicą wozu.

- Zwykły wypadek. Mnóstwo świadków - powiedziała Sam, wskazując głową w stronę grupy odseparowanej od pozostałych. Holt rozpoznał Andy'ego Burketta, który prowadził warsztat Myera, ale innych nie znał.

- Ta sama historia, co zwykle - stwierdziła. - Za szybko jechał, stracił panowanie nad autem i ciach. - Wydała świst przypominający przelatujący nad głową i wybuchający pocisk z mózdzierza. - Zbadałam tor poślizgu. Zgadza się z tym, co mówią świadkowie.

- Jakieś sugestie, dlaczego tak szybko jechał?

- Głupota? Miał dobre siedemdziesiąt lat, więc po co dawał po gazie jak młodziak.

- Dyskryminacja z powodu wieku, wiceszeryfie Fish? To żadna teoria.

- No to może hamulce nawaliły.

- Wtedy byłyby jakieś ślady. - Holt dał znak Andy'emu Burkettowi, który podszedł wolnym krokiem. - Mówiłeś, że szybko jechał. Ktoś go ścigał?

Mechanik pokręcił głową.



- Zjechał z tej górki, jakby go sam diabeł gonił.

- A widziałeś jakiegoś?

- Nie, szeryfie.

- Sam, zapytaj pozostałych. - Sam oddaliła się, a Holt znowu zwrócił się do Burketta. - Możesz poczekać? Wyciągniemy ciało i odholujesz samochód.

- Jasne, szeryfie.

Holt, technicy medyczni i strażacy wspólnymi siłami otworzyli drzwi po stronie kierowcy i wyciągnęli ciało Runkle'a, które następnie przewieziono do miejskiej kostnicy.

Pozostali świadkowie potwierdzili zeznania Burketta, na czym kończyła się rola Holta - spisanie raportu i zamknięcie sprawy. Dał znak Burkettowi, że może brać się do pracy. Mechanik zadzwonił do warsztatu, żeby ktoś podjechał po wrak.

Grupa gapiów stopniała, ale pozostało kilkunastu wytrwałych. Patrzyli w milczeniu, jak Burkett zaczepia hak, i stali obok, gdy kierowca uruchomił kołowrotek, by podnieść wrak. Zgnieciony metal wydał brzęk, kiedy samochód wędrował w górę, a z siedzenia na podłogę auta spadła teczka.

- Wolniej! - zawołał Burkett do kierowcy.

Kierowca zatrzymał kołowrotek, otworzył się schowek w aucie. Wypadły z niego papiery, instrukcja obsługi i różne drobiazgi, które turlały się z jednej strony na drugą, gdy kołowrotek znowu zaczął pracę, tym razem wolniej.

- Czekać. Czekać! - Holt podniósł rękę i Burkett krzyknął do kierowcy, żeby wyłączył urządzenie.

- Coś ważnego, szeryfie? - zapytał mechanik. Holt nie zareagował.

- Sam - powiedział łagodnie. - Przynieś woreczek na dowody z mojego bagażnika. I rękawiczki.

Po paru sekundach wróciła z tym, o co prosił.

- Co to jest?

Zamiast odpowiadać, Holt włożył rękawiczki, wsunął się do środka przez otwarte teraz drzwi po stronie kierowcy i podniósł coś z podłogi auta.

- Boże miłosierny - westchnął Burkett z nieklamany lękiem.

Wyczuwając, że sprawa jest doniosła, gapie przysunęli się bliżej, a Burkett wykrzyknął:

- Znów ten czarny anioł!

Ludzie zaczęli szeptać. Holt gwałtownie podniósł głowę.

- Zabierz stąd tych prostaków - polecił Sam.

Za późno. Odepchnęła ich, ale zdążyli już usłyszeć. Rzucił gapiom najsurowsze, najzimniejsze spojrzenie.

- Idźcie do domu. Wszyscy.

Ludzie gderali i przestępowali z nogi na nogę, ale ani on, ani Sam nie oddali pola, więc jeden po drugim zaczęli odjeżdżać. W końcu została tylko pomoc drogowa. Holt wysłał Sam do biura, żeby spisała raport, a Burkett tymczasem skończył podnoszenie kabrioletu i pomoc drogowa odjechała do warsztatu.

- Co mam zrobić z tym autem? - zapytał Holta. - Ktoś się po nie zgłosi?

- Jeszcze nie. Posłuchaj, muszę mieć dokładny przegląd. Hamulce, linka paliwowa, skrzynia biegów, masz wszystko sprawdzić. Dosłownie wszystko. Chcę wiedzieć, czy ktoś nie majstrował przy tym aucie. Zrób to osobiście, dobrze? Bez pomocników.

Napięcie w głosie Holta udzieliło się Burkettowi. Skinął poważnie głową.

- Tak jest.

- Aha, Andy... zachowaj to dla siebie. Jeśli będziesz coś notował, to trzymaj to pod kluczem. Jeśli będą przecieki, domyślę się, skąd wyszły.

- Na pewno nie ode mnie.

- Dobra. Zadzwon do mnie, jak skończysz. Osobiście. Jasne?

Burkett przytaknął, a Holt dał mu wizytówkę z numerem telefonu. Chociaż starał się tego nie okazywać, czuł się zmęczony i przygnębiony. Śmierć dwóch szanowanych mieszkańców miasta w tak krótkim czasie była czymś zatrzważającym. I nad obiema jak fatum wisiał ten czarny anioł.

## Rozdział 12

**Sam** Fish jak zwykle zrobiła to, co jej kazano: pojechała do biura, żeby napisać raport. Nie lubiła zbytnio tego zajęcia, ale wykonywanie rozkazów było jej stylem życia. W przeciwnym razie wszystko się pieprzyło na potęgę. Zresztą i bez tego było nieźle popieprzone. Doszła to tego wniosku w kraju Alibaby. Natychmiast zrugowała się w duchu. W Iraku. Miała na myśli Irak, rzecz jasna. Nie okazujemy braku szacunku.

Westchnęła. Nie mogła się przyzwycząić do życia w cywilu. Może powinna była zostać w armii. Gdyby jej mama się nie rozchorowała, na pewno by nie wróciła. Do końca życia. Co zrobić, nie zawsze wszystko toczy się tak, jak sobie zaplanujemy. Egzekwowanie prawa było dobrym zajęciem. A Holt dobrym szefem. I do tego niczego sobie.

Poczuła ciepło na twarzy i natychmiast stłumiła tę myśl. To wszystko przez matkę, która ciągle powtarzała jej, żeby wyluzowała.

- Co zamierzasz zrobić, żeby ten przystojny mężczyzna cię zauważył?

Czy było coś niewłaściwego w wykrochmalonym mundurze? Sam nie pojmowała, jak można chodzić w wygniecionym ubraniu. Jeśli ktoś nie umie zadbać o własny schludny i reprezentacyjny wygląd, to jakim cudem ma uporządkować otoczenie?

Weszła do biura. Zmarszczyła brwi na widok bałaganu na biurku Holta. Może i jest przystojny jak gwiazdor filmowy, ale pod tym względem do siebie nie pasują. Musiałaby ciągle za nim chodzić i sprzątać bałagan, który po sobie zostawiał. Już patrząc na to biurko, odczuwała pokusę. Ale ją przewyciężyła. Holt nie czepiał się jej, więc mogła jedynie zrobić to samo.

Wyjęła formularze i zaczęła je wypełniać. Widziała w życiu niejedne zwłoki, ale wracając z Iraku, myślała, że ma to już za sobą. Wyobrażała sobie, że jej służba będzie polegała na odstawianiu do aresztu osobników pokroju Terry'ego Bishopa

**59 - Śmiertelny grzech**

**65**

pijaków i włóczęgów. A tu proszę, dwóch martwych mężczyzn w ciągu niespełna dwóch tygodni. I jeszcze te czarne anioły.

Podniosła wzrok znad formularza i zapatrzyła się w przestrzeń. Zbieg okoliczności czy celowe działanie?

Zastanawiała się, co myśli o tym Holt. Odkąd była jego zastępcą, nie mieli jeszcze prawdziwego przestępstwa. Czy to było pierwsze? Poczowała gęsią skórę na ramionach. Prawdziwe śledztwo. Czy nie byłoby cudnie ścigać znowu złych ludzi?

Kiedy Holt dotarł w końcu do domu, Mimsy czekała z kolacją. Kazała mu usiąść przy stole w kuchni, tym samym, przy którym jadał przez całe życie, postawiła przed nim chłodne piwo i talerz chili. Ile posiłków już dla niego ugotowała? Rozejrzał się po kuchni. Zobaczył rysę na blacie w miejscu, gdzie rozbiła się szklana waza, kiedy wbrew regułom grał tu w futbol. Kącik przy telefonie, w którym piętrzyły się byle jak ułożone karteczki z wiadomościami, listy zakupów, ulotki. Dom. Rodzina. Naturalny porządek rzeczy.

Zmiażdżone ciało Dennisa Runkle'a zakłóciło mu ten obraz. Zawał? Kolejny miejscowy VIP powalony przez atak serca?

Może coś z samochodem. Jakaś mechaniczna usterka, przypadkowa albo...

Albo co? W Redbud nigdy jeszcze nie doszło do morderstwa.

A jednak...

Dwa zgony. Dwa czarne anioły. Nienaturalne. Nadprzyrodzone?

Odsunął talerz z chili. O rany, zaczyna wymyślać szalone rzeczy.

Do kuchni wpadła Miranda, gotowa do spania, w swojej ulubionej nocnej koszulce wykończony koronkową falbanką. Nikt nie mógł zarzucić jego dziecku, że ubiera się jak chłopak.

- Tatusiu!

Wskoczyła mu na kolana, rozpraszając ponury nastrój. Nie potrafił się martwić, kiedy była w pobliżu. Otoczyła jego szyję rączkami i uścisnęła.

- Spóźniłeś się.
- Przepraszam, kochanie. Pracowałem.
- Mam fatuaż.
- Co takiego?
- Fatuaż. Zobacz. - Podwinęła rękaw nocnej koszuli, żeby odsłonić ramię. Pokazała mu jakiś obrazek, który sama narysowała. - To łabędź.
- Roześmiał się.
- Ale dlaczego...?
- Nie martw się, to tylko pisak. - Jego matka weszła do kuchni. - Zaraz go zmyjemy. - Rzuciła Mirandzie przeciągłe, udręczone spojrzenie.
- Nie chcę go zmywać. Czy muszę, tatusiu?
- Takie jest życie. Czasem musimy robić rzeczy, na które nie mamy ochoty. - Dotknął czubka jej nosa. - Ale skąd pomyśl z tatuażem?
- Miranda dziś kogoś poznała - powiedziała Mimsy.
- Naprawdę? - Holtowi przyszła do głowy tylko jedna osoba z tatuażem. Ale jakim cudem Miranda mogłaby poznać Edie? - Jakaś nowa koleżanka?
- Tak, ale to nie dziecko - odparła Mimsy. - To była... szczerze mówiąc, nie wiem, kim jest. Zjawą z przeszłości. Mojej przeszłości. Burza czarnych włosów, a każdy sterczał w inną stronę. Mocny czarny makijaż. Znałam kiedyś wiele takich dziewcząt.
- Spojrzał na Mirandę.
- Więc pewnie poznałaś moją znajomą, Edie.
- Znajomą? - powiedziała Mimsy, świdrując go wzrokiem. Swatanie było jednym z jej ulubionych zajęć.
- Aby zapobiec jakimkolwiek domysłom, wyjaśnił:
- To nowa barmanka w Red's. Gdzie ją spotkałyście?
- W bibliotece - powiedziała Miranda, nieświadoma niedomówień między babcią a tatą. - Bawiła się taką dużą maszyną. - Obiema rączkami zakreśliła w powietrzu jej rozmiar.
- Holt podniósł wzrok na matkę.
- Czytała mikrofilm - wyjaśniła Mimsy.

Po co Edie przekopywała stare mikrofilmy w bibliotece? Nie wyglądała na książkowego mola. Prawdę mówiąc, nie potrafił sobie wyobrazić, że może usiedzieć spokojnie przez tyle czasu, żeby w ogóle zrobić użytek z biblioteki.

Miranda pociągnęła go za koszulę.

- Mogę sobie zrobić prawdziwy?

- Co prawdziwe?

- Fatuaż! - W jej tonie kryła się wymówka, że tata wcale nie uważa.

- No pewnie.

Jej twarz pojaśniała z radości i żałował, że musi zgasić ten entuzjazm. Ale w końcu był jej tatą. Takie miał zadanie.

- Któregoś dnia - dodał. Wydęła usta.

- Kiedy?

- Kiedy będziesz starsza.

- Ile muszę mieć lat?

- Dzięki Bogu, że już jesteś w domu - powiedziała Mimsy. -Przez cały dzień musiałam wysłuchiwać takich pytań.

- Ile muszę mieć lat? - powtórzyła Miranda.

- Sporo. Powiem ci, kiedy to będzie. - Holt wziął ją na ręce. - Chodź już.

Zabrał ją na górę i położył do łóżka.

Otulona różową kołderką spojrzała na niego wielkim, niewinnymi oczami.

- Może zrobię sobie kwiatek - dodała. Uśmiechnął się szeroko. Była naprawdę uparta.

- Zobaczymy.

Zamknął drzwi od pokoju i przeszedł przez korytarz. Kiedy wrócił do Redbud, był w rozsypce. Nie miał pracy ani chęci, by jej szukać. Rodzice go przygarnęli. Był zbyt zmęczony, by protestować czy zdobyć się na jakieś działanie.

Prawdę mówiąc, ich uprzejmość stała się dla niego wybawieniem.

Nie mógł jednak znieść myśli, by mieszkać w swoim dawnym pokoju, więc oddał go Mirandzie, a Mimsy przeobraziła

chłopięce królestwo w krainę różowych falbanek i koronek. Teraz spał w tak zwanym zapasowym pokoju, wąskim pomieszczeniu, w którym nocowała zwykle ciotka Ida, kiedy przyjeżdżała z wizytą. Chociaż dalekie od przepychu, pomieszczenie było czyste i funkcjonalne, a Holt niczego więcej nie potrzebował. Przez pięć lat, które minęły od powrotu, nie wprowadził żadnych zmian. Początkowo utrzymywał w ten sposób złudzenie, że mieszka u rodziców, tylko tymczasowo. Ale stało się inaczej. Zapłacił korzenie i nie był w stanie się ruszyć.

Uruchomił laptop. Przez kilka godzin poszukiwał miejsca, skąd mogły pochodzić czarne anioły. Znalazł sklep z gotyckimi ciuchami, film z 1946 roku, grupę rockową, ale żadnych wskazówek. Co oznaczało, że nie da się tego namierzyć przez sieć i że obszar poszukiwań był praktycznie nieograniczony.

Utknął w martwym punkcie, postanowił więc zejść do salonu, gdzie jego ojciec siedział rozparty na sofie i oglądał telewizję. Holt zatrzymał się w drzwiach i obrzucił wzrokiem duży pokój.

Podobnie jak kuchnia był zniszczony i lata świetności miał za sobą. Stare trofea z zawodów koszykówki i pamiątkowe medale nadal zdobiły półki, ustępując miejsca tylko fotografiom, które ujmowały skrótowo całe jego życie. Zdjęcie do tableau z liceum, na którym wyglądał strasznie młodo i głupawo. Bał na zakończenie, na którym był z Cindy. Ich ślub, słodki, delikatny i szczęśliwy uśmiech Cindy. I Miranda. Niemowlę o czerwonej twarzy. Szkrab na zdjęciu z nim i Cindy. A potem... tylko z nim. Były też zdjęcia z życia jego rodziców. James i Mimsy na rejsie. U stóp wieży Eiffla. Przed namiotem w górach Smoky. Wszystko się przeplatało, bez ładu i składu. Ale zdjęcia pozostawały niezmiennie. A dom był zawsze domem.

To było cenne. Dziś jeszcze bardziej. Holt widział już niejedną śmierć, ale nigdy nie pozostawał obojętny. Obrazy z tego dnia krążyły po jego głowie - błyszczący błękitny wóz, dowód próżności Dennisa Runkle'a, roztrzaskany i porysowany. Zmiażdżone, zakrwawione ciało kierowcy. Ten widok przypominał

Holtowi, jak kruche jest ludzkie życie. Jak szybko można wszystko utracić. Jak istotne jest, by trzymać się tego, co najważniejsze.

Zastanawiał się, co by zrobił jego ojciec, gdyby Mimsy umarła przed ukończeniem trzydziestu lat i zostawiła go z rocznym dzieckiem. Czy szukałby schronienia w domu swoich rodziców?

Nie było takiej możliwości. Rodzice Jamesa Drennena zmarli na długo przedtem, nim ten ożenił się i został ojcem. Zaczynał od zera i stworzył dobry dom dla swojej rodziny. Holt był z tego dumny.

James siedział na sofie, pewnie oglądał jakiś mecz. Ale na ekranie widać było tylko zbliżenie jakiegoś pierścionka z brylantem.

- Chcesz to dokupić do swojej kolekcji biżuterii? - Holt przeszedł przez pokój i usiadł obok ojca. - Tato?

- Ach, cześć, Holt - rzekł James.

- Co oglądasz?

- Hm?

- Co oglądasz w telewizji?

James spojrział na ekran. Nie pamiętał nawet, że włączył telewizor.

- Niech mnie licho, jeśli wiem.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, patrząc na skrzący się i obracający pierścionek. James próbował wziąć się w garść, ale serce waliło mu jak młotem od chwili, kiedy Mimsy powiedziała mu, że Runkle rozbił się na drzewie, czego dowiedziała się od Patsy Clark, która była w Claire's w czasie wypadku.

Co wiedział Holt? Niepewność sprawiała, że Jamesowi zasychało w ustach i pociły się dłonie.

James złożył ręce i pochylił się, opierając je na kolanach. Nie chciał patrzeć na Holta, wyciągając z niego informacje.

- Podobno miałeś ciężki dzień.

- Nie najlepszy - odparł Holt znużonym głosem i Jamesowi zrobiło się go żal. Ale nie na tyle, żeby zmienić temat

- Wszystko załatwiłeś?



Holt nawet nie pytał, skąd ojciec wie, co się wydarzyło. Skinął tylko głową, akceptując fakt, że miejski telegraf działał szybko i skutecznie.

- Auto jest w warsztacie Myera. Ciało u Fergusona.

To oznaczało poszukiwanie usterek technicznych. I autopsję, bo doktor Ferguson był miejscowym kornerem.

- Kiedy będziesz znał wyniki?

- Powiedziałem obu, że sprawa jest pilna, ale wiesz, jak tu się załatwia podobne sprawy. O ile w ogóle da się załatwić.

Co to znaczyło? Że upłynie parę dni, zanim James odzyska spokój. Skinął głową i znowu zapatrzył się w przestrzeń. Ale nic nie widział.

- Wszystko w porządku? - zapytał Holt. - Najpierw spotykam cię o świcie na drugim końcu miasta, teraz oglądasz jakieś bzdury.

Chryste, musi się bardziej starać. Westchnął:

- Jestem niespokojny, ostatnio przychodzą same złe wieści.

- Opowiedz mi o tym - powiedział cicho Holt. - Tato, jak dobrze znałeś Dennisa Runkle'a?

James zeszywniał. - Ja?

- Hej, uspokój się - roześmiał się Holt. - To nie jest przesłuchanie. Po prostu pomyślałem, że może mógłbyś rzucić trochę światła na tę sprawę.

James starał się wyluzować.

- Nie znałem go zbyt dobrze. Tylko na dzień dobry. Spotykałem go przy okazji jakichś miejskich spraw, sam wiesz.

- Lubił wypić? Powiedział prawdę.

- Nigdy o tym nie słyszałem. Dlaczego? Sądziś, że był pijany? - To by było wybawieniem.

- Nie wiem. Może po prostu za szybko jechał. Faceci w tym wieku powinni mieć więcej oleju w głowie.

- Hej - James próbował się zaśmiać, ale zabrzmiało to, jakby się zakrztusił - pewnego dnia ty też będziesz facetem w tym wieku.

- Obym miał więcej oleju w głowie - skwitował sucho Holt. James zamilkł. Jak teraz skierować rozmowę na kolejną rzecz, która go martwiła? Nie potrafił nic wymyślić, więc postanowił zapytać wprost. Wziął głęboki oddech.
- Znalazłeś coś, co ma związek z tym czarnym aniołem? Holt jęknął.
- O Jezusie, tato, ty też chcesz mówić o wudu? Wudu? Tak gadają na mieście?
- Tylko pytam. Nie mówię, że to ma jakieś znaczenie. Ale będą gadać, jeśli nie znajdziesz jakiegoś wyjaśnienia.
- Dam radę. Znajdę wyjaśnienie. Takie, które nie ma nic wspólnego z czarną magią ani diabłem. Tego możesz być pewien.

James skinął głową. Oby nie miało to również nic wspólnego z nim samym.

### Rozdział 13

Arlen Mayborne nadal pracował w Hammerbilt, ale już nie jako asystent księgowego. Był teraz kierownikiem działu i Edie miała pewne trudności, żeby się z nim skontaktować.

Powiedziała mu, że pisuje na tematy gospodarcze i opracowuje materiał na temat sytuacji ekonomicznej w małych amerykańskich miasteczkach. Umówiła się z nim na spotkanie w swój najbliższy wolny dzień. Kiedy Edie przyjechała pod zakład, zmiana zakończyła właśnie pracę i strumień samochodów wyjeżdżał za bramę.

Sama fabryka tworzyła rozległy kompleks, który zdawał się ciągnąć kilometrami w północnej części miasta. Edie zatrzymała się, by podać nazwisko strażnikowi i zapytać, jak ma dotrzeć do biur. Kiedy znalazła się tam, podała w recepcji nazwisko Mayborne'a.

Usiadła na winylowym krześle i czekała. Na stojącym w pobliżu stoliku do kawy rozrzucone były egzemplarze „HYAC Today”. Z oddali docierał metaliczny szczepek oraz przemysłowy zapach stali, oleju i potu.

Edie zrezygnowała z makijażu, więc jej twarz była blada i bez wyrazu. Włosy upięła, ale zadbała o to, by wyglądały porządnie i schludnie. Luźne czarne spodnie i kamizelka tworzyły stonowany kostium. Zasłoniła ramiona; nie chciała, by tatuaże rozpraszały jego uwagę.

Osiągnęła zamierzony efekt. Gdy Mayborne po nią wyszedł, przywitał ją zdawkowym uśmiechem i nic w jego postawie nie sugerowało pytania: kim jest ten dziwoląg? A na ogół było ono wypisane na twarzach ludzi, którzy się z nią stykali. Nie przejmowała się tym. Była dziwolągiem. I to przez całe życie. Wszystko zaczęło się tutaj, gdzieś w Hammerbilt.

Ruszyła za nim korytarzem, minęli kancelarię, skęcili za róg. Ogarnęło ją nerwowe napięcie. Tylko czekała, aż wpadnie na kogoś z baru. Mayborne nigdy nie pokazywał się w Red's i miała nadzieję, że tak zostanie. Ale pracował tu Howard. Podobnie jak jego przyjaciel Russ. Czy rozpoznaliby ją w tym stroju zakonnicy? Zaciskała pięści, czekając nerwowo, czy ktoś nie zawoła: „Hej, Edie”.

Ale nic takiego się na stało i dopiero kiedy dotarli do biura księgowego, uspokoiła się na tyle, że poczuła sztywność karku i ramion.

Biuro księgowości było obszerne, stały w nim cztery biurka, a po jednej stronie znajdował się jednoosobowy pokój. Przy ścianach ustawiono szare metalowe regały na segregatory, a w rogu kserokopiarkę i niszczarkę do dokumentów. Zimne i bezosobowe pomieszczenie pachniało papierem i tuszem do kserokopiarki.

Dwaj mężczyźni w nieciekawych białych koszulach i krawatach z Wal-Martu siedzieli przy biurkach, nie wykazując większego ożywienia. Kobieta w źle uszytej, obcisłej bluzeczce zajmowała osobne stanowisko pracy. Sekretarka działu? Druga kobieta

w pokoju była młoda, młodsza niż Edie. Ubrana w kostium, który wisiał na jej kościstej figurze, wyglądała, jakby dopiero co skończyła liceum. Z całej czwórki tylko ona spojrzała z sympatią, kiedy Edie weszła do pokoju za Mayborne'em.

Czy tutaj pracował jej ojciec? Takie miejsce mogło każdego doprowadzić na skraj rozpaczy.

Mayborne wprowadził ją do niewielkiego biura, wskazał krzesło i usiadł za biurkiem. Był szczupłym, wysokim mężczyzną, z zapadniętą klatką piersiową, na której wisiała zbyt duża koszula. Na nosie tkwiły okulary w złotych oprawkach. Szklka były brudne i zaplamione, ale zdawał się tym nie przejmować. Edie starała się również nie zwracać na to uwagi.

- Co chciałaby pani wiedzieć, panno Swann?

Obdarzył ją uprzejmym uśmiechem, który rozciągnął bladą skórę. Na czubku jego głowy widniały rzędzące rude włosy, opadające w spleątanych cienkich lokach.

Przed przyjazdem zaplanowała cały wywiad, zaczynając od najmniej groźnych pytań. Wyjęła teraz notes i długopis, który trzymała w gotowości nad kartką.

- Proszę mi opowiedzieć, jak rozpoczął pan pracę w Hammerbilt.

- Przyszedłem tu prosto po liceum, wiosną osiemdziesiątego szóstego roku - odparł. - Wieczorowo skończyłem studia księgowości. Hammerbilt rozpoczął akurat program wsparcia dla pracowników, którzy chcieli zdobyć wyższe wykształcenie. Nadal on istnieje, z czego jestem dumny.

Udawała, że robi notatki.

- Kiedy to było?

- Rok albo dwa lata po tym, jak zacząłem pracować. Zainicjował go Swanford, jeden z poprzednich szefów działu. Zatrzymała długopis tak gwałtownie, że zrobił dziurę w papierze. Nie przypuszczała, że nazwisko jej ojca pojawi się tak szybko. Starła się normalnie oddychać.

- Swanford? Może pan to przeliterować? Chciałabym się z nim skontaktować.

Chwila milczenia.

- No cóż, przykro mi, ale już nie żyje. Zmarł wiele lat temu. Tragicznie. Odebrał sobie życie.

Jak zawsze, poczuła skurcz żołądka, słysząc te słowa.

- Straszna historia. Dlaczego? Przechylił się nad biurkiem i zniżył głos.

- Rozniosła się plotka, że złapano go na gorącym uczynku, że tak powiem.

- Sprzeniewierzenie?

- Proszę pamiętać, że niczego nie udowodniono. Zmarł przed procesem. I szczerze mówiąc, z początku trudno mi było w to uwierzyć. Ale nigdy nie wiadomo, prawda? Niewinni ludzie nie odbierają sobie życia. - Wyprostował się gwałtownie. - Nie będzie pani o tym pisać, prawda? To stare dzieje. Nie chcę tego znowu wywlekać. Okropne czasy. Okropne.

Uśmiechnęła się do niego ze zrozumieniem.

- Mogę sobie wyobrazić. Musiało być sporo zamieszania. Kiedy coś takiego się dzieje, plany idą do kosza, prawda? Skinął głową.

- Pani Garvey kompletnie się rozsypała, jeśli dobrze pamiętam. Bacznie nastawiła uszu. Nieznane nazwisko. Nowy trop?

- Pani Garvey?

- Hannah Garvey. Sekretarka działu.

- Czy mogę się z nią skontaktować?

- Och, ona też zmarła. Stara gwardia odchodzi.

Starła się ukryć rozczarowanie. Pokazał jej nowy trop, ale niestety, ślepy.

- Nawet pan Butene, rewident księgowy - zadumał się Mayborne.

Serce jej podskoczyło. To było znane nazwisko.

- Tak?

- Zmarł kilka miesięcy po biednej Hannah. Spadł z drabiny. Wie pani, że bardzo duży procent śmiertelnych wypadków przydarza się w domu? - Pokręcił głową. Westchnął. Ale Edie tylko ścisnęła mocniej długopis.

Kolejne nazwisko wykreślone, i to na dobre. Trzy osoby odeszły, a ona nie była bliżej ujawnienia prawdy. Kiedy to się skończy? Rozczarowanie zamieniło się w zniecierpliwienie. Strata czasu. Kompletna strata czasu.

Ale może jednak nie. W drodze do działu księgowego mijała kancelarię. Zaczął jej kiełkować pewien pomysł.

- Musiał pan być świadkiem wielu zmian w fabryce i w mieście - zadała kolejne pytanie, a kiedy Mayborne opowiadał o latach pracy, miała czas na obmyślenie planu.

Gdy Mayborne zakończył, powiedziała:

- Musi pan lubić Hammerbilt, skoro tak długo pan tu pracuje.

- Firma dobrze mnie traktowała. A poza tym, szczerze mówiąc, nie ma w Redbud zbyt wielu możliwości.

Podniosła się i wyciągnęła rękę.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. Niech mi pani przyśle ten artykuł. - Dał jej wizytówkę z nazwiskiem i adresem.

Schowała ją do kieszeni. Mayborne wyszedł zza biurka.

- Nie musi mnie pan odprowadzać. Znam drogę. Pomachał jej, a Edie przystąpiła do realizacji swojego planu, ruszając do recepcji okreśną drogą. Miała zamiar zająć się tym, gdy będzie wracać, może nawet przejechać się do sąsiedniego miasta. Ale jak tu oprzeć się pokusie wykorzystania Hammerbilt do nadania kolejnej drobnej przesyłki? Wśliznęła się do kancelarii. Jakaś kobieta rozdzielała pocztę, ale nawet nie oderwała wzroku od przegródek na korespondencję. Edie zauważyła skrzynkę z napisem „poczta wychodząca” i wrzuciła do niego małą, wyścielaną kopertę, którą miała w kieszeni.

Wyślizgując się z pokoju, na wszelki wypadek spuściła głowę i wbiła wzrok w podłogę. Uśmiechała się do siebie.

Potem popędziła z powrotem do Redbud. Była w szampańskim nastroju i podśpiewywała, wbiegając po metalowych scho-

dach do swojego pokoju. Dokładnie wiedziała, co zrobi na zakończenie tego cudownego popołudnia. Otworzyła drzwi, zrzuciła niewygodny strój, który włożyła na spotkanie z Arlenem Mayborne'em, i wcisnęła się w parę obciętych dżinsów oraz top. Włożyła słuchawki i przejrzała szybko swoje płyty, szukając tej, której chciała posłuchać. Nalała wody do wiadra pożyczonego od Reda, wzięła gąbkę, środek do mycia motoru, nabłyszczacz do chromowanych powierzchni i wosk, ręczniki frotte oraz irchę. Była gotowa do wyjścia. Na dole uśmiechnęła się na widok swojego motoru. Cześć, Piękna. Woda była zimna, ale nie przeszkadzało jej to w taki ciepły dzień. Przejechała gąbką po karoserii, rozpryskała trochę spreju i starła brud. Kiedy usunęła kurz, zabrała się do chromowanych części, polerując kierownicę i wspaniałą ramę. Wieczorem wybierała się na małą przejażdżkę i chciała, żeby motor błyszczał w słońcu i wyglądał wspaniale. Boże, czuła się wolna. Była w brzuchu potwora, w samym sercu Hammerbilt. Nawet wykorzystała fabrykę do wysłania ostatniej bomby. I czuła się z tym dobrze. Bardzo dobrze. Wyobraziła sobie adresata. Czy zadrży i zachwieje się, kiedy otworzy przesyłkę? Czy serce odmówi mu posłuszeństwa, tak jak Lyle'owi? A Runkle? Co zrobił? Miała nadzieję, że drżał ze strachu, że rozpaczliwie chciał się dowiedzieć, kto podrzucił tę małą paczuszkę. Chciała wstrząsnąć nimi wszystkimi, winnymi i niewinnymi - całym miastem, jeśli będzie trzeba. A wtedy być może prawda, stłamszona, nadwerężona, upychana po kątach, ujrzy powoli światło dzienne. Przez ostatnich dwadzieścia pięć lat biuro Runkle Real Estate zajmowało nieduże pomieszczenie od frontu w pobliżu głównego placu. Interes się rozwijał i w końcu zaczęło brakować miejsca w tym pierwotnym lokalu, ale dopiero kiedy wybudowano apartamentowiec w zachodniej dzielnicy i pojawiła się

możliwość wynajęcia biura w doskonałym miejscu, Runkle pomyślał poważnie o przeprowadzce.

Kiedy Holt zajechał do starej siedziby przy Main, zastał tam stertę pudeł i segregatorów, stosy książek i papierów, splątane przewody telefoniczne i komputerowe, które tworzyły prawdziwe pole minowe śmieci.

Marydell Figgis, jedna z pracownic Runkle'a, powitała Holta z czerwonymi, zapuchniętymi oczami.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Marydell była postawną kobietą w średnim wieku, z dużym biustem, pulchnymi policzkami i krótki jasnymi, niezbyt starannie ułożonymi włosami. Sto lat temu siedziałaby w domu i doglądała gospodarstwa w szerokim fartuchu na obfitej piersi, wysypując ziarno kurczętom. Dzisiaj musiała wbić się w garsonkę i sprzedawać ziemię, którą jej przodkowie kiedyś uprawiali.

Głośno pociągnęła nosem.

- Za tydzień mieliśmy zakończyć przeprowadzkę. - Pokręciła głową. - Nie mogę uwierzyć, że on... nie żyje.

Głos jej się załamał, a Holt poczuł się niezręcznie. Odchrząknął.

- Chciałbym zadać pani kilka pytań. Wzięła głęboki, drżący oddech.

- Oczywiście.

Rozejrzała się dokoła, szukając jakiegoś krzesła. Nie znalazła żadnego.

- Wszystkie krzesła zostały przewiezione - powiedziała bezradnie i wyglądała, jakby znowu miała się rozplakać.

- W porządku - wtrącił szybko Holt. - To nie potrwa długo. - I od razu przystąpił do rzeczy. - Czy wie pani, co pan Runkle wczoraj robił? Miał jakieś spotkania?

- Och, na pewno miał. - Omiotła wzrokiem pokój. - Sam ustala porządek spotkań. Wszyscy tak robimy. - Zajrzała do jakichś pudeł, ale niczego nie znalazła. Przeszła na drugą stronę pokoju i szukała dalej. - Przykro mi, ale nie mogą znaleźć... -



Wyprostowała się. - Mamy tablicę informacyjną i plan jest na niej zwykle wywieszony. Ale przy tej przeprowadzce... Holt zauważył komputery na podłodze.

- A komputer? Tam nie notował planu spotkań?

- O nie. Był bardzo staroświecki. Zapisywał wszystko w notesie.

- A gdzie jest ten notes?

- Powinien tu być. - Spojrzała na niego przepaszająco. Znowu wytarła nos. - Gdzieś jest. Wiem na pewno, że chciał komuś pokazać stary dom Bellinghamów na Dogwood.

Czyli tam, gdzie Holt spotkał wczoraj Edie.

- Interesuje mnie, co robił potem. - Holt wyjął wizytówkę i podał ją Marydell. - Byłbym wdzięczny, gdyby pani znalazła ten notatnik. Mój telefon jest na wizytówce. Proszę niezwłocznie mnie poinformować.

Marydell położyła dłoń na sercu.

- Zrobię, co w mojej mocy. - Pociągnęła nosem. - Nie mogę uwierzyć...

Wyszedł, zostawiając pulchną, zrozpaczoną kobietę na środku pobojuwiska.

Wsiadł do auta i pojechał prosto do Red's. Bar był zamknięty, ale nie on go interesował, lecz barmanka. Poszedł na tyły budynku i stanął jak wryty.

Edie miała na sobie kuse spodenki ucięte w połowie ud. Ledwie widoczny obcisły top bez rękawów zasłaniał jedynie piersi, a reszta ciała była taka, jak ją pan Bóg stworzył - złocista skóra rąk, ramion, nóg i szyi. Był to widok zapierający dech w piersiach.

Była zajęta i odwrócona plecami, więc go nie zauważyła. Motor stał na środku, obok wiadro wody i rozrzucone szmaty. Włosy miała upięte, ale jak zwykle część opadała na szyję, nadając jej ten seksowny, łózkowy wygląd.

Pracowała zapamiętane, szorując swojego harleya gąbką niemal tak dużą jak ona sama. Na uszach miała słuchawki.

Były wielkie, inne niż maleńkie iPody. Wyglądały raczej tak jak

słuchawki chroniące przed hałasem, więc pomyślał, że nie usłyszałaby nawet, gdyby wystrzelił z pistoletu. Stał więc spokojnie i napawał się widokiem. Pochyliła się nad motorem, by wyczyścić wszystkie zakamarki, a jej tyłeczek, słodki i soczysty jak mała który, poruszał się płynnie i rytmicznie.

Przełknął ślinę. A w każdym razie próbował.

Odwróciła się, żeby wycisnąć gąbkę nad wiadrem, i wtedy go zauważyła. Podskoczyła jak oparzona. Zdarła słuchawki z głowy. Przeszywała go wzrokiem.

- Dawno tu stoisz? Uśmiechnął się szeroko.

- Dosyć.

Zmarszczyła brwi, oparła ręce na biodrach.

- Napatrzyłeś się?

- Bynajmniej.

Wrzuciła gąbkę do wiadra. Podeszła do niego.

- Czym mogę służyć, szeryfie? Gdyby tylko wiedziała.

- Słyszałem, że byłaś wczoraj w bibliotece.

- No i co?

- Nie wyglądasz na mola książkowego.

- Nie powinieneś oceniać ludzi po wyglądzie. To powierzchowne. Nie tego oczekujemy od stróża prawa.

- Uhm. Co tam robiłaś? Zerknęła na niego.

- Lubię historię - powiedziała w końcu. - Chciałam się dowiedzieć czegoś o tym mieście. Nie wiedziałam, że to niezgodne z prawem.

Uśmiechnął się.

- To zgodne z prawem. Ale tam się wiele nie dowiesz. Mieszkam tu od urodzenia. Jeśli masz pytania, to ja pewnie znam odpowiedzi.

Obrzuciła go łobuzerskim spojrzeniem.

- To coś w rodzaju zaproszenia?

Holt zamrugał. Dopiero teraz sobie to uświadomił.

- Jasne - przytaknął, zapalając się do tego pomysłu. - Mogę cię oprowadzić.

Dumała nad tym. Bez słowa wróciła do wiadra i motoru. Poszedł za nią. Wskazał głową na słuchawki.

- Czego słuchasz?

Kolejne łobuzerskie spojrzenie.

- A jak myślisz? Wzruszył ramionami.

- Metallica? Nine Inch Nails? Roześmiała się.

- Na jakiej podstawie przypuszczasz, że słucham heavy metalu?

- Nie mam pojęcia.

W jej oczach pojawiły się psotne iskierki.

- Chcesz się dowiedzieć, jaka jestem naprawdę? Powinien się oprzeć temu zaproszeniu, ale nie mógł. Powoli przejechał wzrokiem w dół jej ciała i z powrotem.

- To znaczy pod tymi tatuażami i skąpym strojem...

- Tak jest, szeryfie - powiedziała oschle. - Pod tym wszystkim. Oparł się o mur, skrzyżował ramiona na piersi i przekrzywił głowę.

- Jadę dzisiaj na koncert - oznajmiła. - Możesz pojechać ze mną.

Wyprostował się, niepewny, czy dobrze usłyszał.

- Zapraszasz mnie na randkę?

- Randkę? - Podniosła z ziemi szmatę i wróciła do przerwanej zajęcia. - Po prostu przysługa za przysługę. Ja cię zabiorę na koncert, a ty pokażesz mi zakątki Redbud.

Holt spojrzał przelotnie na łabędzia, który poruszał się wraz z ruchami jej ręki.

- Umowa stoi - zgodził się. - Spotkajmy się przed posterunkiem.

Przerwała pracę i posłała mu szeroki uśmiech.

- Przyjadę po ciebie o siódmej - zapowiedziała i wróciła do swojej roboty.

**75 - Śmiertelny grzech**

**81**

Holt był już prawie przy samochodzie, gdy uświadomił sobie, że nie załatwił tego, po co tu przyjechał. Zawrócił. Miała już słuchawki na uszach, ale podszedł tak, żeby go zobaczyła. Nie chciał jej znowu przestraszyć. Zsunęła słuchawki, które zawisły wokół szyi.

- Ale jesteś dziś natrętny.
  - Chodzi o wczorajszy dzień. Kiedy oglądałaś dom z Run-kle'em. Nie mówił, z kim jest później umówiony?
  - Nie. Dlaczego?
  - Staram się odtworzyć, gdzie był przez kilka ostatnich godzin.
  - Ostatnich godzin?
  - Nic nie wiesz? Rozbił się na słupie telefonicznym. Gwałtownie zaczerpnęła tchu.
  - Wszystko z nim dobrze?
  - O ile można tak powiedzieć o zimnym jak lód nieboszczyku. Miał czarnego anioła.
- Zbladła. Zrobiła parę chwiejnych kroków i przytrzymała się poręczy.
- Nic ci nie jest? Skinęła głową.
  - Dopiero co... dopiero co go widziałam. Jak mógł... to znaczy. .. - W jej głosie brzmiało niedowierzenie.
  - Tak, wiem. Dla wszystkich to był szok. Jesteś pewna, że nic nie powiedział?

Skinęła głową.

- W porządku. Do wieczora.

Edie widziała odchodzącego Holta jak przez mgłę. Szybko dokończyła mycie motoru, ale już straciła do tego serce. Pozbierała wszystkie rzeczy, wbiegła na górę, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie.

Woda opryskała jej nogi. Spojrzała na dół. Ręce jej się trzęsły. Postawiła wiadro na podłodze. Pomyślała o bystrej, opalonej twarzy Runkle'a ozdobionej zawodowym uśmiechem. Jesz-

cze przed chwilą była w wyśmienitym nastroju. Miała nadzieję, że facet będzie wstrząśnięty. A teraz... Strach chwycił ją za gardło. Czy jakaś niewidzialna ręka chciała wykorzystać jej pragnienie sprawiedliwości? Kto wiedział to samo, co ona? Jakie miał tajemnice? Serce tak jej waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi. To czysty przypadek. Dwóch starszych mężczyzn - prawdopodobieństwo, że odejdą z tego świata jeden po drugim musiało być wysokie. Prawda?

A poza tym każdy może się rozbić na słupie. To nie miało z nią nic wspólnego. Zupełnie nic. Wczołgała się na łóżko, miała ochotę zagrzebać się w pościeli i ukryć. Niech życie toczy się dalej bez niej. Ale przypomniała sobie. Holt. Koncert. Jej wielki plan, by wydobyć z niego informacje. Jęknęła. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, był wieczór spędzony na przekomarzaniu się i flirtowaniu z szefem policji w miasteczku. Mogłaby do niego zadzwonić. Odwołać spotkanie.

Ale co powiedzieć? Nie mogę się spotkać, bo dwaj mężczyźni, którym wysłałam czarne anioły... są zimnymi nieboszczykami?

Ścisnęło ją w żołądku. Przewróciła się na drugi bok. Podciągnęła kolana pod brodę. Dwaj mężczyźni. Dwa czarne anioły.

I ten trzeci. Już w drodze. Za późno, żeby to cofnąć. Za późno. Za późno.

#### Rozdział 14

Edie zabrała Holta spod budynku urzędu miejskiego. Na drogę do Nashville ubrała się w dzinsy, ale rzeczy na koncert schowała do torby bagażowej. Kiedy Holt poprosił, żeby podjechała

po niego na posterunek, w pierwszej chwili przyszło jej na myśl, że pojawi się w mundurze. Nic bardziej mylnego. Miał na sobie spodnie khaki i białą koszulę rozpiętą pod szyją. Niezbyt odpowiedni strój na koncert Metalliki, ale przecież nie jechali na występ tego zespołu. Oczywiście, on o tym nie wiedział.

- Gotowy? - zapytała, podjechawszy pod budynek. Czekał na nią przy krawężniku.

- Na co?

- Na cokolwiek.

- Nie zabrałem pałki. Ani gazu łzawiącego. Skrzywiła usta.

- Myślę, że nic nam nie grozi.

Zerknął na przenośne siedzisko za jej plecami.

- A co to za cudo?

- Przyklejone. Na przyssawki. No dalej, utrzyma cię. Spojrzał tak, jakby jej nie dowierzał, ale przełożył nogę.

- Dobra. Zaufam ci.

Brawo, Holt. Poderwała motor ze świstem, zadowolona, że hałas uniemożliwia konwersację. Starła się wzbudzić w sobie entuzjazm do tej wyprawy, ale nie całkiem jej się to udało. Trzęśli się i balansowali w czasie jazdy, jej wnętrzności podskakiwały, ale to pasowało do nastroju. Jakby ktoś ją wrzucił do wielkiego miksera bez możliwości wyłączenia.

Jeszcze nie otrząsnęła się z szoku, jakim była dla niej śmierć Dennisa Runkle'a. Jasne, że to nie miało z nią nic wspólnego. Na pewno zginął tak, jak sądzono - w wyniku strasznego, okropnego wypadku.

A jeśli nie?

A jeśli wprawiała w ruch jakieś siły? Albo raczej kogoś? I jak mogła mówić, że nie miała takich zamiarów? Głowa ją rozbolała od myślenia. Bo jeśli śmierć Runkle'a nie była spowodowana gigantycznym zbiegiem okoliczności, to znaczy, że jest jeszcze jeden trup. A nawet dwa, gdyby policzyć wszystkie nazwiska na jej liście. A kto może wiedzieć, czy lista jest kompletna? Może ten,

kto za tym stoi, ma dłuższą listę. I więcej nazwisk. Może nawet, zadrżała, znajduje się na niej jej nazwisko. Bo jeśli jej anioły miały związek ze zgonami osób, które wskazywała, to czy nie powinna się znaleźć na liście? Wystawiła twarz na powiewy wiatru. Wprawiała w ruch jakąś diabelską grę. Jazda do Nashville trwała około godziny. Normalnie jechałaby bocznymi drogami i zafundowała Holtowi prawdziwy odjazd, ale w tym stanie ducha chciała tylko dotrzeć na miejsce i mieć już za sobą ten wieczór. Ale nigdy nie potrafiła się długo opierać magii szalonej jazdy. Po piętnastu minutach pędu rytm silnika wziął ją we władanie tak jak zawsze. Świat przemykał i roztapiał się w nicości. Anioły i śmierć odeszły w zapomnienie. Pozostały tylko koła i pęd motoru. Wdychała ciepłe powietrze letniego wieczoru i wygodnie oparła się o ciało, które miała za plecami. Pierś Holta otoczyła ją murem, silne ramiona obejmowały talię, długie palce uciskały brzuch. Jak mogłaby niczego nie poczuć?

To było niemożliwe. Jego usta niemal dotykały jej szyi, serce biło tuż przy ramieniu. Poczula, że z trudem oddycha, i to nie tylko z powodu podniecenia jazdą. W końcu podjechała na parking i dostrzegła, że on również nie pozostał obojętny. Oczy mu błyszczały w świetle ulicznych latarni i wyczuwała, że przejażdżka wprawiała go w identyczne uniesienie, jakie sama przeżywała za każdym razem, gdy wsiadała na motor. Ściągnęła torbę z rzeczami i przewiesiła przez ramię.

- Podobała ci się przejażdżka?

Roześmiał się. Na całe gardło i z podnieceniem.

- Chyba żartujesz. Boże, już zapomniałem, jak to jest. - Pokręcił głową, zdumiony. - Było fantastycznie. Musisz mi pozwolić poprowadzić w drodze powrotnej.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Nie sprawiasz wrażenia faceta, który lubi zastrzyk adrenaliny.

Cień melancholii przemknął po jego twarzy, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Kiedyś lubiłem. Miałem motor. Nie harleya, ale całkiem przyzwoitą yamahe.

- Naprawdę? Co się z nim stało?

- Doprowadzał Cindy do szału. W końcu go sprzedałem.

- Cindy?

- Moją żonę.

Zastanawiała się, kiedy jej powie o matce Mirandy.

- Rozwiedziony?

- Wdowiec.

To było tak zaskakujące, że omal się nie potknęła. Tysiące pytań tłoczyło się w jej głowie, Holt wydawał się spięty. Wyglądało na to, że prędzej się udławi, niż opowie o swojej żonie. Szła więc dalej ulicą Broadway, mijając spelunki, a następnie skręciła na południe w Czwartą ulicę. Jak mogła myśleć, że nie rozumiał, czym jest strata bliskiej osoby? Że te żartobliwe iskierki, które tak bardzo jej się podobały, były wszystkim, co miał do zaoferowania? Poczula wstyd z powodu błędnej oceny. Pytania, ukryte i niepostawione, wisiały między nimi.

- Wszyscy mamy jakieś swoje smutne historie - rzekł w końcu Holt. - Ale chcę to już mieć z głowy. Zmarła na leukemię, pięć lat temu w Memphis. Wróciłem tu, bo nie byłem w stanie sam wychowywać Mirandy. A ty?

Zatrzymała się i myślała, co, jak i czy w ogóle cokolwiek powiedzieć.

- Nie mogę z tym konkurować - oznajmiła w końcu. Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- Tak. Zawsze zdobywam pierwsze miejsce. - Spojrzał na nią. Odetchnął głęboko. - A więc skoro już mamy to z głowy, czy powiesz mi wreszcie, gdzie idziemy?

Skręciła za róg i zaprowadziła go prosto pod duży budynek w stylu neoklasycystycznym. Wskazała na niego głową.

- Myślałem, że idziemy na koncert?

- Bo idziemy.



- Do gmachu sądu? Czy może to tylko bardzo, bardzo, bardzo duży bank?

Roześmiała się. Wyciągnęła rękę w kierunku budynku.

- Pozwól, że przedstawię ci nowe Centrum Schermerhorna. Popatrzył z powątpiewaniem na masywną budowlę.

- I urządzają tam koncerty rockowe?

- Tego nie powiedziałam.

Przystanął, gdy podeszli bliżej. Cóż mógł zrobić innego. Nad placem górowała fontanna, oświetlona strumieniami światła. Latarnie wokół okazałego wejścia z imponującymi schodami rzucały blask na mury z wapieni. Wpatrywał się we fronton budynku.

- To Hades wyrrywający Eurydykę z rąk Orfeusza, żeby zabrać ją z powrotem do podziemnego królestwa - wyjaśniła.

- Kim jest ta druga kobieta?

Za Orfeuszem klęczała zrozpaczona kobieta o twarzy wykrzywionej cierpieniem i wyciągała rękę.

- To Żal - odpowiedziała.

Weszli po schodach, dołączając do pozostałych. Kiedy znaleźli się w środku, nie odrywał oczu od hiszpańskich marmurów, olbrzymich kolumn, żyrandoli z okrągłymi żarówkami. Edie uśmiechała się do siebie zadowolona, że na Holcie zrobiło to takie samo wrażenie jak na niej, kiedy przyszła tu pierwszy raz.

- Akustyka też jest niezła.

Mrugnęła do niego i zostawiła go z otwartymi ustami. Zniknęła w damskiej toalecie i przebrała się w rzeczy, które wiozła w torbie bagażowej, a schowała do niej džinsy i buty na motor. Zamknęła torbę i wróciła do Holta.

Na jej widok otworzył szeroko oczy. Czarna suknia z jedwabiu miała plisowaną spódnicę, która opływała biodra i nogi, kiedy szła, oraz gładki, przylegający top odsłaniający nieco piersi i wąski błyszczący pasek. Suknia była bez rękawów, tak głęboko wycięta w ramionach, że widać było obojczyk. Jej ulubiona kreacja. Elegancka i zarazem seksowna. Nie mówiąc już o pantoflach na wysokich obcasach. Różniło się to od džinsów i skórzanej kamizelki, w których dotąd ją widywał, jak niebo i ziemia.

Wybuchnęła śmiechem, widząc wyraz twarzy Holta, i mocno oparta rękę na jego ramieniu.

- Nie idziemy na koncert rockowy, prawda?
- A o Brahmsie słyszałeś? Rzucił jej sardoniczne spojrzenie.
- Raz albo dwa. Tak sędzę.

Wyjęła bilety, pokazała je kontrolerce, która zaprowadziła ich na miejsca.

- Jego *IV Symfonia* to moja ulubiona. Gapił się na nią.
- Nie słuchałaś Metalliki, prawda?
- Nie, uwertury Beethovena. Spojrzał, mrużąc powieki.
- Bawi cię to, co?
- Co takiego? - powiedziała, udając, że nie wie, o co mu chodzi. - Przewracanie do góry nogami tego, co sobie poukladałeś?
- Zaskakiwanie ludzi. Położyła dłoń na sercu.
- Przyznaję się.
- A... ten Brahms. - Odpowiedział na jej udawaną niewinność udawaną ignorancją. - Co w nim takiego wspaniałego? Światła zgasły. Wskazała głową na scenę, na której muzycy zajmowali już swoje miejsca.
- Ty mi powiesz. ,

Edie wiele razy słuchała *IV Symfonii* Brahmsa, ale za każdym razem ze zdumieniem odkrywała, że wciąż ją porusza. Kunsztowne, namiętne fale pierwszej części podływały i oddalały się, pochłaniając ją w sposób nie tylko emocjonalny, ale wręcz fizyczny. Otulona dźwiękami, zapomniała o Holcie, o całym świecie w taki sam sposób, w jaki zapominała na harleyu, zanurzona, przeniknięta do szpiku kości, ogarnięta czymś niezwykłym, czymś, co stawało się uchwytnie tylko wtedy, kiedy głęboko pogrążała się w muzyce albo mknęła drogą.

I w samym środku tego niezwykłego ogłuszenia, kiedy gęste dźwięki spadały na jej pierś i brzuch i wprawiały w drżenie

całe ciało, poczuła, że ktoś złapał ją za rękę. Chwycił tak, jakby od tego zależało jego życie. Holt.

I gdyby nawet nie pojęła od razu, że rozumie, wyczytałaby to w jego błyszczących oczach, unoszącej się piersi i szalonym, gorączkowym uścisku, w którym zamknął jej palce.

Później, dużo później, kiedy muzyka ucichła, kiedy odzyskała równowagę i wbiła się z powrotem w dzinsy, kiedy wracali na parking, wiedziała, że koncert poruszył Holta bardziej, niż był to w stanie wyrazić. Od momentu, kiedy wybrzmiał ostatni dźwięk, nie odezwał się ani słowem. Jakby odebrało mu mowę.

Ale zanim zeszli na parking, zatrzymał się, odwrócił do niej i przyciągnął ją bliżej, powoli, spokojnie. I jeszcze bliżej. Poszukał jej twarzy, obrzucił ją głębokim spojrzeniem. I powoli, bardzo powoli pocałował.

Jeszcze nigdy nikt jej tak nie całował. Spokojnie i namiętnie. Z pożądaniem, a jednocześnie z dziwnym oddaniem.

Brał w posiadanie jej usta, jakby zabierał duszę. Czule. Wiedząc, jak bardzo jest cenna. Jak ona cała jest cenna.

I tak jak pod wpływem muzyki, tak i teraz chciało jej się płakać. Albo krzyczeć z radości. Albo jedno i drugie.

Pragnęła tylko, żeby to trwało wiecznie.

A gdy się skończyło, kiedy oderwał się od niej bez pośpiechu, z ociąganiem, objął jej twarz smukłymi palcami i silnymi dłońmi.

- Dziękuję - powiedział zwyczajnie. - Dziękuję.

## Rozdział 15

**T**o nie było normalne, żeby jakiś utwór muzyczny odmienił czyjeś życie, ale kiedy Holt obudził się nazajutrz po koncercie, czuł, że zdarzyło się coś obezwładniającego i ważnego. Ziemia zaczęła się obracać w inną stronę. Księżyc zamienił się miejscami

ze Słońcem. Nic nie było już takie jak przedtem, a najbardziej wstrząsające okazało się odkrycie, że pomimo tych dziwnych i kolosalnych zmian życie toczyło się tym samym torem. A Sam, rzetelna, trzymająca się regulaminu Sam, była tego nieświadoma, podobnie jak wszyscy inni, i zadzwoniła do niego, kiedy miał wolne, jakby nic się nie stało.

- Chodzi o czarne anioły - powiedziała.  
Holt potrzebował dobrej minuty, żeby zejść na ziemię ze stratosfery i nastroić się na fale Sam. Ach, tak. Czarne anioły. Jasne. Miała poszukać ewentualnego sprzedawcy.

- Co masz?

- Nic. Nic w hrabstwie Corley w każdym razie.

- W porządku. - Potarł dłonią kark. Wciąż jeszcze czuł tam mrowienie. - Poszerz krąg poszukiwań. Zostaw hrabstwo, sprawdź większe rynki. Nashville, Knoxville, Chattanooga, Memphis. Do diabła, uderz nawet do Jackson.

Murfreesboro. Johnson City.

- Do śmierci nie zdążę.

- Rób notatki, pomogę ci.

- Więc oboje umrzemy, zanim skończymy.

Sam oznajmiła, że zostawi mu na biurku informacje o wynikach swojej pracy, po czym się rozłączyła. Wpatrywała się w ekran komputera, ale nie uczyniła nic, by kontynuować poszukiwania. Ton głosu Holta zaniepokoił ją.

Poprzedniego wieczoru widziała, jak odjeżdżał na motorze z tą barmanką. Nie podobało jej się, że kręci się koło dziewczyny. Wyglądała nieporządnie. Jakby nie używała grzebienia ani szczotki do włosów. Holt zasługiwał na kogoś lepszego. Nie mówiąc już o biednej Mirandzie, która potrzebowała matki. Sam starała się przewyciężyć snobistyczne myśli, ale dziecko zasługiwało na to, żeby jego matką był ktoś lepszy niż barmanka.

Westchnęła. Do diabła. Nie jej interes. Ale to i tak długo nie potrwa. Holt ma głowę na karku. Ten romans zakończy się rozczarowaniem. I nie ma zamiaru opatrywać mu potem ran.

Kiedy skończył rozmowę z Sam, zadzwonił Andy Burkett z warsztatu Myera. Hamulce w samochodzie Runkle'a były w porządku. Nikt nie majstrował przy skrzyni biegów, lince paliwowej ani układzie sterowniczym. Pod względem technicznym auto było w doskonałym stanie.

Niestety.

Holt miał nadzieję, że uzyska proste wyjaśnienie, a tymczasem pozostało mu tylko uznanie naturalnej przyczyny - ataku serca albo udaru. Ale doktor Ferguson się nie spieszył.

Prysznic, ubieranie, śniadanie. Miranda była przyklejona do telewizora, ale upewniła się, czy pamięta, że obiecał zabrać ją do parku. Kiedy wszedł w normalny rytm dnia, nie był już nawet pewien, czy w ogóle pojechał wczoraj na koncert, a tym bardziej, czy oczarowała go muzyka i kobieta, która rzuciła urok. Ale poranek był piękny, a jeśli nawet niebo wydawało mu się bardziej błękitne niż zwykle, a dzieci w parku bardziej sympatyczne, to tylko za sprawą ostatniej czarodziejskiej sztuczki.

Kiedy przyjechał z Mirandą do parku, dziewczęcy klub piłki nożnej rozgrywał właśnie mecz. Holt podszedł z córką do linii boiska, gdzie dziewczynka przystanęła i z przejęciem przyglądała się grze. W przyszłym roku będzie już mogła dołączyć do ligi. Usiłował wyobrazić sobie swoją jasnowłosą córeczkę kopiącą piłkę na boisku.

- Cześć, Holt - powitała go z uśmiechem Bunny Carter. Rozwiedziona kobieta zajmowała honorowe miejsce na liście ewentualnych kandydatek, jaką przygotowała jego matka. Bunny ładnie się ubierała, dbała o figurę, pracowała w fabryce i miała jasne, puszyste włosy. A poza tym dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Dziewczynka, parę lat starsza od Mirandy, biegała w tej chwili gdzieś na boisku. - Zapiszesz Mirandę w przyszłym roku?

Uśmiechnął się do niej. Chociaż wiedział o krążących po Redbud spekulacjach na temat swojego stanu cywilnego i był świadom, że informacja o tym uśmiechu obiegnie całe miasto i będzie on interpretowany przy herbacie, nie mógł się pohamować. Prawdę mówiąc, tego ranka uśmiechał się bez przerwy.

- Nie wiem. Chyba jej się to podoba. Zobaczmy. Bunny przysunęła się bliżej i zniżyła głos.

- Straszna sprawa z panem Runkle'em. Wiesz już, jak to się stało?

- Jeszcze nie.

- Czy to prawda, że znalazłeś kolejnego czarnego anioła? Miał ochotę zgromić ją wzrokiem. Rujnowała jego szampański nastrój.

- Tak, prawda.

Albo niezbyt umiejętnie ukrywał swoje uczucia, albo miała niezwykłą intuicję, w każdym razie odsunęła się od niego.

- Powinieneś przyprowadzić do nas Mirandę. Brittney z radością udzieliłaby jej wskazówek - rzekła z uśmiechem.

Uhm. Nie mówiąc już o mamie Brittney.

- Dzięki - odparł dość przyjaźnie. - Może wpadniemy.

- To może dziś po południu? - O rany, szła za ciosem.

- Zobaczę, jak się dzień ułoży. - Wziął Mirandę za rękę, a Bunny im pomachała.

Ruszył pędem do huśtawek.

- Nie tak szybko! - zaprotestowała Miranda. Ale zamiast zwolnić, wziął ją na rękę.

- Otwierają plac z huśtawkami. Zajmij jakąś, zanim ktoś cię ubiegnie.

Pomógł Mirandzie wdrapać się na huśtawkę, po czym ją rozbijał. Jak zawsze zaczynał powoli i jak zawsze popędzała go, by huśtał ją szybciej i wyżej. Ulegał tak długo, jak długo było to bezpieczne, ale nie poświęcał jej tego ranka całej uwagi.

Co robi teraz Edie? Wyobraził sobie, jak odrzuca do tyłu zmierzwione włosy, uśmiecha się szelmowsko i patrzy z łobuzerskim błyskiem w oczach. Nagle przypomniał mu się czarny anioł.

Jego myśli natychmiast przeskoczyły na inne tory i nabrały goryczy. Dwaj martwi mężczyźni. Dwa czarne anioły. Skąd, do diabła, wzięły się te przedmioty? I kto je wysyłał?

Przychodziło mu do głowy najbardziej oczywiste wyjaśnienie. Seryjny morderca? W Redbud?

Ten pomysł wydawał się niedorzeczny. Śmieszny. A jednak... Ogarnęło go złe przecucie.

Ale... obie śmierci można łatwo wyjaśnić. Atak serca i wypadek samochodowy. Dość niezwykły scenariusz jak na seryjnego mordercę. Każdy z tych mężczyzn zmarł w inny sposób. Seryjny zabójca nie zmienia sposobu uśmiercania swoich ofiar.

Chyba że... Może Runkle stracił kontrolę nad pojazdem wskutek ataku serca. To byłby punkt wspólny obu tych zgonów.

A dlaczego właśnie oni dwaj? Co Fred Lyle i Dennis Runkle mieli ze sobą wspólnego? Runkle pochodził stąd, ale Lyle przyjechał do Tennessee już jako dorosły człowiek, aby prowadzić Hammerbilt. Obaj uchodzili za zamożnych według standardów Redbud, ale nie byli nawet przyjaciółmi. Lyle miał od trzydziestu lat tę samą żonę. Runkle zaliczył już trzy, o ile Holt pamiętał. Wszystkie były znacznie młodsze niż Amy Lyle i żadna nie angażowała się w działalność na rzecz miasta, co robiła pani Lyle.

Tylko jedno ich łączyło. Czarny anioł.

Holt znał miejscową legendę. O czarnym aniele, który zmieni kolor na biały, gdy zostanie dowiedziona niewinność obarczonego winą człowieka. Ale co to miało wspólnego z Runkle'em i Lyle'em? Szczegóły wydawały się nie pasować, ale może ten obarczony winą to Hammerbilt? Nawet jeśli tak było, dotyczyło to tylko Lyle'a, a nie Runkle'a.

A może czarny anioł nie miał związku z żadnym z nich? Może ktoś wykorzystał tę mroczną legendę, by skierować śledztwo na niewłaściwy tor. Handlarze narkotyków, których przepędził ze starego domu, rozpuszczali po mieście historyjkę, że miejsce wybrane przez nich na punkt kontaktowy jest nawiedzane przez duchy. Ludzie miesiącami nie zbliżali się do tego domu. Może teraz ktoś robi to samo?

Miranda była w najwyższym punkcie i zaczynała za bardzo dokazywać. Otworzył usta, żeby jej zwrócić uwagę, kiedy nagle i niespodziewanie zrobiła najgłupszą rzecz z możliwych.

Zeskoczyła.

- Miranda! - Podbiegł do miejsca, gdzie wylądowała. Serce mu waliło, przeszył go strach. - Nic ci się nie stało? - Przejechał dłońmi wzdłuż jej rąk i nóg. Miała zadrapanie na jednym z kolan, wydawała się oszołomiona, ale nic sobie nie zlamała. Z ulgą przytulił córkę mocno do siebie, ale w końcu złość wzięła górę i odepchnął ją. - Odbiło ci? Co ty wyprawiasz? Mogłaś skrócić kark. - Chwycił ją za ramiona i nie puszczał. Utkwiła poważne spojrzenie w jego oczach. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Chciałam sprawdzić, czy się odważę.

Odebrało mu mowę, więc gapił się na nią z otwartymi ustami. W końcu zdołał wykrztusić:

- Nie rób tego więcej. Jeśli to się powtórzy, nie przyjdziemy tu przez miesiąc. Zrozumiano?

- Tak, tatusiu.

- Koniec huśtania - burknął. - Chodź. - Wyciągnął rękę. -Pójdziemy na lody.

Zapominając o reprimendzie, skoczyła w jego objęcia. Zrobił jej karuzelę, na co zareagowała z piskiem radości.

Pomysł, że w Redbud mógłby grasować jakiś maniak, nagle wydał się zarówno głupi, jak i niewiarygodny.

Kawiarnia Claire's była w sobotę krócej czynna, więc w porze lunchu wszyscy uwijali się jak w ukropie. Ponieważ było to ulubione miejsce drużyny piłkarskiej dziewcząt, w małym pomieszczeniu panował tłok.

- Będziecie musieli poczekać - zawołała Darcy, właścicielka, gdy Holt stanął w drzwiach.

Przemknęła koło nich, trzymając pod pachą kilka egzemplarzy menu. Była blondynką z wydatnymi ustami, ubraną w bluzkę z dużym dekoltem, odsłaniającym imponujący biust, w uszach miała kolczyki wielkości Teksasu, które kołysały się nad ramionami, gdy pędziła przez kafejkę. Któraś z poprzednich właścicielek musiała mieć na imię Claire, ale wszelkie dane na jej temat ginęły w mrokach przeszłości. Jak daleko sięgał pamięcią, miej-



sce to nazywało się Claire's i bez względu na to, czyje imię widniało na szyldzie, to przypuszczał, że i tak się nie zmieni. Holt zatrzymał się i podniósł Mirandę.

- Wiesz co, kochanie? Wezmę cię na barana, żeby nie blokować przejścia.

Nie protestowała, bo siedząc na jego ramionach, mogła wszystko obserwować. Jej spojrzenie zatrzymało się na czymś.

- Co jest? - zapytał.

Pokazała palcem. Staromodna lada zajmowała jedną stronę trójkątnego pomieszczenia. Naprzeciw niej stał rząd starych boksów. W jednym z nich siedziała Edie. Jadła hamburgera - rzecz najzwyczajniejsza pod słońcem. Jednak na jej widok odebrało mu mowę. Szybko napłynęło wspomnienie ich pocałunku przy świetle księżycy i ogarnęła go nieoczekiwana fala gorąca. Stał jak posąg, ale nie mógł powstrzymać Mirandy, która ześliznęła się na dół z jego ramion i popędziła do boksu.

Dotarł tam akurat w momencie, kiedy Edie mówiła:

- Istne чудо.

- Jakie чудо? - Holt starał się nie patrzeć na Edie, obawiając się, że nie będzie mógł oderwać wzroku, ale okazało się to niemożliwe.

- Mój fatuaż - powiedziała z dumą Miranda. - Sama go zrobiłam.

- Jakbym nie wiedziała. - Edie rzuciła Holtowi rozbawione spojrzenie. - Dobra robota.

Miranda wśliznęła się na siedzenie obok Edie.

- Poczekaj, Mirando - powiedział Holt, żałując, że sam tego nie zrobił. - Czy ktoś cię tu zapraszał?

- W porządku - odrzekła Edie.

- Nie chcemy ci psuć lunchu.

- Ona już skończyła. - Miranda zwróciła się do Edie. -Prawda?

- Co racja, to racja - odparła Edie. - Usiądź, Holt. Nie czekał na powtórne zaproszenie.

- To jest mój tatuś - oznajmiła Miranda.

- Wiem - powiedziała Edie. Darcy podeszła do stolika.
- Widzę, że znaleźliście miejsce - odezwała się do Holta.
- Mam fatuaż - wtrąciła się Miranda. - Chcesz zobaczyć?

- Daj spokój z tatuażem - napomniął córkę Holt. - Jakie chcesz lody?

Złożyli zamówienie, a Miranda rozsiadła się i robiła dokładnie to samo co Holt: wpatrywała się w Edie. Edie przyłapała na tym Holta, ale zdawała się nie zauważać fali ciepła, która oblała jego twarz. I dobrze, bo zaczynał czuć się skrepowany.

- Dobrze się bawiłem wczoraj wieczorem - powiedział.

- Ja też - odparła Edie.

- Powtórka?

- Co to jest? - Miranda wskazała na głowę Edie.

- A o co ci chodzi? - Edie, kręciła głową, nie wiedząc, co zainteresowało Mirandę.

- O to. - Miranda dotknęła spinki do włosów. Edie wyjęła ją.

- To spinka do włosów.

Chwyliła kilka kosmyków włosów Mirandy i spięła je z tyłu.

- Chcę zobaczyć - zażądała dziewczynka, a Edie sięgnęła do torebki, a raczej skózanego plecaka, i wyciągnęła lusterko.

Miranda podziwiała swoje odbicie i wyglądała na zadowoloną.

- Zrób mi zdjęcie, tatusiu.

Edie spojrzała na niego, unosząc brwi, ale wyjął telefon, zrobił zdjęcie i pokazał je Mirandzie. Zachichotała, po czym podniosła telefon i sfotografowała Edie.

Holt obserwował Edie, która cierpliwie znosiła paplanie Mirandy. Doskonale sobie radziła i żaden facet nie mógłby konkurować z jej kobiecym podejściem. Nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś zrobił na jej córce tak silne wrażenie. Czy tak samo zachowywałaby się przy matce? Interesowałaby się wszystkimi dziewczęcymi sprawami, jak wsuwki do włosów i tatuaże?

Z tą różnicą, że Cindy za nic w świecie nie zrobiłaby sobie tatuażu.

Ale i tak mogłaby jej przekazać całe mnóstwo dziewczęcych zainteresowań. Przez chwilę poczuł smutek, że Cindy to wszystko ominie. Spinki do włosów, pomadka, biustonosz... Panika wzięła górę nad smutkiem. Jak, u diabła, poradzi sobie z tym wszystkim, kiedy przyjdzie odpowiedni czas?

Pojawiła się Darcy z lodami dla Mirandy, ogromnym karmelowym deserem lodowym, który dziewczynka zawsze zamawiała, ale którego nigdy nie była w stanie zjeść, i z kawą dla niego. Kofeina go uspokoiła.

- Jedz powoli - polecił, kiedy jego dziecko zatopiło łyżeczkę w tej obfitości.

W dwie sekundy miała napchane usta, a buzię upstrzoną bitą śmietaną.

Skorzystał z tej okazji, żeby powtórzyć pytanie.

- To jak będzie? Teraz moja kolej, żeby pokazać ci wszystkie tajemnice Redbud.

Rzuciła mu drwiące spojrzenie.

- Nie wiedziałam, że to miasto jakieś ma. Poruszył brwiami.

- Wiesz, co mówią o małych miasteczkach? Im mniejsze miasto, tym większe tajemnice.

- Mój tata znalazł małego aniołka - powiedziała Miranda, kręcąc długą łyżeczką niezgrabnie, ale z entuzjazmem.

Wyraz przestachu przebiegł po twarzy Edie.

- Następnego?

Pokręcił głową i nagle dobry nastrój przysł. Zrobiło się poważnie. I chociaż kochał swoje dziecko nad życie, to żałował, że akurat teraz musiała wyskoczyć z tą sensacyjną wiadomością.

- Musiała coś podsłuchać.

- Był czarny - upierała się Miranda. - Taki maciupęńki. To dowód.

- Dostyc już, Mirando - przerwał Holt. - Jedz lody. Miranda próbowała podnieść do buzi lodową masę, ale zawartość spadła na stół.

- Jedz łyżeczką.

**91 - Śmiertelny grzech**

**97**

Edie sięgnęła przez stół i dotknęła jego dłoni. Jej dotyk niemal go oparzył.

- Co to znaczy?

Zmarszczyła czoło. Miał ochotę wyciągnąć rękę i wygładzić te zmarszczki.

- Nie wiem. Chyba nic. Głupi kawał.

- Nie wiesz, dlaczego obaj mieli przy sobie takie... - przeniosła spojrzenie na Mirandę i z powrotem na niego - ... takie coś?

- Pracuję nad tym.

- No nie. - Miranda zachichotała, bo znowu upuściła lody, tym razem na koszulkę. Pół twarzy miała wysmarowane czekoladą, ale Holt wiedział, że musi być gorzej, zanim będzie lepiej, więc zostawił ją w spokoju i nie wycierał jej co chwilę buzię serwetką.

- Muszę już iść - stwierdziła nagle Edie i poruszyła się na ławce.

Miranda posmutniała.

- Możesz zjeść moje lody. - zaproponowała jej lepka, karmelową papraninę, żeby tylko została.

- Dzięki, ale mam coś do zrobienia. Bawcie się dobrze. Daj trochę tacie. - Pochyliła się i powiedziała przyciszony głosem, ale na tyle głośno, aby Holt usłyszał: - Zerka na nie łakomie.

Miranda popatrzyła na Holta z powątpiewaniem.

- Chodź, usiądź koło mnie. - Holt przesunął deser lodowy na swoją stronę stołu, a Miranda się przesiadła.

Edie wstała i ruszyła w stronę drzwi, ale Holt nie miał zamiaru jej tak puścić. Sięgnął za plecami Mirandy i złapał Edie za nadgarstek.

- Kiedy masz wolne?

- W środę, ale...

- Przyjadę po ciebie o ósmej.

Widział, że chce odmówić i że za chwilę to powie.

- O ósmej. - Ścisnął jej rękę. - Żadnych wymówek. Mamy umowę, pamiętasz? Jestem ci coś winien.

Zgodziła się, taktownie, lecz niechętnie.

- Ale nic wyszukanego.
- Hej, nie sposób codziennie rywalizować z Brahmsem. -Puścił jej rękę.
- Kupisz mi spinki do włosów? - powiedziała Miranda, kiedy zostali sami.
- Jasne, kochanie. Dokończ najpierw lody. Ale dziewczynka odsunęła puchar.
- Już nie mogę.

Tak jak zawsze, tak jak zawsze. Wytarł jej buzię, ale myślami był gdzie indziej. W jego głowie tłoczyły się inne sprawy. Czarne anioły różnego rodzaju.

Edie pognęła prosto do swojego pokoju nad barem. Ściągnęła gwałtownie torbę i wyjęła ukryty w niej woreczek z aniołami. Zaczęła ten dzień w podniosłym nastroju, który pozostał po poprzednim wieczorze. Cudowna, zwariowana noc z muzyką i mężczyzną. Poszła nawet spacerkiem do Claire's, rozkoszując się słońcem i widokiem miasta cieszącego się wolnym od pracy dniem. Myślała o Holcie i tym zdumiewającym pocałunku, zastanawiała się, kiedy znowu będzie miała okazję całować się z nim i czy też będzie tak niesamowicie, niewiarygodnie i nadzwyczajnie. I ani razu nie pomyślała o śmierci i czarnych aniołach.

A teraz, Boże, znowu to.

Nie chciała już myśleć o całowaniu się z Holtem. Nie chciała myśleć o panice, która przepelniała ją i groziła wybuchem. Czy anioł zemsty rzeczywiście jej sprzyjał? A jeśli tak, to kiedy Holt się o tym dowie?

Wpatrywała się w niewielkie czarne figurki. Chciała wstrząsnąć tymi ludźmi. Zaskoczyć ich, wybić z normalnego stanu na tyle, żeby powiedzieli jej to, co chciała wiedzieć.

Teraz nigdy się nie dowie.

Uświadomiła to sobie ponad wszelką wątpliwość, tak samo jak coś jeszcze. Coś tak złowieszczonego i przerażającego, że nie byłaby w stanie sama tego wymyślić.

Wskazywała ludzi, którzy mieli umrzeć.

To było szalone. Nienormalne. W stylu jej matki. Nie w stylu Edie Swann. Ona była silna. Polegała na sobie. Sama kształtowała swoje przeznaczenie.

Ale i tak, patrząc na czarne anioły, nie mogła pozbyć się przerażenia. Coś się działo w Redbud. Nie wiedziała, co. Nie wiedziała, dlaczego. I nie wiedziała, kto za tym stał.

Ale jedno wiedziała. Nie miała już nad tym kontroli.

## Rozdział 16

Z kabiny swojego pikapa James Drennen obserwował wejście na plebanię. Siedział tam od piętnastu minut, ale nic się nie działo. Zamknięte drzwi, zaciągnięte zasłony w oknach.

Właśnie tak lubił mieć w domu pastor Kenneth Parsley. Ciemno. Tak ciemno jak w jego duszy.

Choć James przez długie lata pracował jako szef policji, nigdy nie był na plebanii. Dość często przejeżdżał tędy podczas patroli i za każdym razem dom wyglądał tak samo. Często zastanawiał się, ile Parsley płacił za prąd, zważywszy jego awersję do naturalnego oświetlenia. A może do każdego światła? Może dom również wewnątrz był tak ciemny i ponury, jak się wydawało, patrząc na niego z ulicy.

Ale w końcu tajemnice nie lubią światła, a pastor miał sporo do ukrycia.

James zadumał się nad tą przykrą prawdą, przypominając sobie pragnienie Parsleya, by wszystko wyznać. Teraz pozostali tylko oni dwaj. Tylko oni wiedzieli, co się wydarzyło. Tylko oni mogli ujawnić prawdę. Ale prawda zniszczyłaby Jamesa. Odebrałaby mu szacunek syna i poważanie wśród mieszkańców miasta. Obróciłaby wniwecz to, o co zawsze walczył. Sprawiałaby, że miasto samo siebie zaczęłoby się wstydzić.

Jego wilgotne dłonie ślizgały się na plastikowej kierownicy. Nie może do tego dopuścić. Nic nie było ważniejsze niż utrzymanie prawdy w tajemnicy. Nic i nikt.

Nawet przedstawiciel samego Boga.

Kiedy zbliżał się środowy wieczór, Edie coraz bardziej żałowała, że zgodziła się na randkę z Holtem. Wpatrywała się w wieszak z rzeczami, który stanowił jej garderobę. Nie mogła myśleć. Nie chciała myśleć. W jej głowie krążyło tylko jedno groźne słowo. Śmierć.

Czy Holt wie? Czy poczuje jej zapach - te śmiercionośne perfumy? Wylała na siebie pół dezodorantu, ale nadal nie była pewna, czy zmasała ten smród.

To były chore myśli, czyste wariactwo. Nie załatywało od niej śmiercią. Nie zdarzało jej się widywać przedmiotów, ludzi, zjaw. Komunikować się z duchami. A jednak czuła się tak, jakby nawiedzał ją duch. Jakby ją ścigał. Ale kim był? Albo czym?

Uderzyła pięścią w ścianę, nie zważając na ból. Kto tam jest?

Rozejrzała się dokoła dzikim wzrokiem, ssąc knykcie. Serce jej waliło. Na górnej wardze wystąpił pot. Nie ma nikogo. Niczego. Jest sama. Zupełnie sama. Przetarła twarz. Musi się przygotować. Włożyć... coś. Holt niebawem tu będzie.

Co wiedział? Co powinna mu powiedzieć?

Nic. Nic! Nie będzie robiła z tej randki wielkiego halo. Nie będzie goliła nóg, wcierała balsamu w ramiona i kolana, aby pachnieć uwodzicielsko. Ani myśli się stroić i układać włosów. Będzie się opierać. Postąpiła niemądrze, zabierając go na ten koncert. Musi odeprzeć wszelkie pokusy, które uosabia Holt Drennen. Słodki dzieciak, udana rodzina, prawdziwa miłość i cały ten kicz.

A jeśli okaże się na tyle głupia, że mu ulegnie, to przynajmniej wykorzysta tę okazję do wyciągnięcia z niego jakichś informacji.

Tyle że to samo powtarzała sobie ostatnim razem. A gdy tylko otoczył ramionami jej talię, kompletnie postradała rozum.

Dziś wieczorem tak się nie stanie. Będzie go trzymała na dystans. Świadoma niebezpieczeństwa, będzie panować nad sytuacją. Na tę myśl poczuła, jak przenika ją lodowaty chłód. Panowanie nad sobą. Tego właśnie jej trzeba. Będzie górą. Poprowadzi rozmowę tak, jak będzie chciała. Obiecał, że opowie jej o tajemnicach miasta. Czy wiedział coś o zdarzeniach sprzed dwudziestu lat? O czarnych aniołach? O niej? I co najważniejsze, czy potrafi naprowadzić ją na ślad tego kogoś, kto obserwuje każdy jej krok?

To dziwne, ale na myśl o randce z Edie Holtowi grało w duszy. Od czasów licealnych nie czuł się tak podekscytowany. Matka, która to zauważyła, nie dała za wygraną.

- Cały dzień jesteś jakiś niespokojny. Co się z tobą dzieje? Stała w otwartych drzwiach jego pokoju. Nie wiedział, jak długo, był zbyt pochłonięty myślami, by to zauważyć.

Roześmiał się i wzruszył lekceważąco ramionami, ale w duchu przeklinał swoją nerwowość.

- Nic się nie dzieje.

Jego życie miłosne nie było jej sprawą, chociaż bardzo się starała, by stało się inaczej.

- Przecież widzę. Całe wieki stoisz przed tą otwartą szafą.

Prawdę mówiąc, upłynęło dopiero kilka minut, ale jak na niego nawet to wydawało się niezwykle. Westchnął.

Wiedziała, że wieczorem wychodzi. Musiał się upewnić, że ktoś będzie w domu z Mirandą, bo w przeciwnym razie trzeba by załatwić opiekunkę. Ale nie powiedział ani jej, ani Jamesowi, dokąd się wybiera i z kim. Koncert był nadal jego małym sekretem. Powiedział im wtedy, że idzie do kina, sam, co już wcześniej zwykł robić.

Spojrzał na matkę i pomyślał, że lepiej mieć to już z głowy. Będzie go męczyła przez resztę dnia, jeśli jej nie powie.

- Mam randkę - powiedział.

Matce odjęło na chwilę mowę. Gapiała się na niego z otwartymi ustami.

- Mamo, nic ci nie jest?

Nagle na jej twarz wypłynął serdeczny uśmiech.



- Randkę? Naprawdę? Przewrócił oczami.

- Tak, naprawdę.

Wpadła do pokoju i ścisnęła go za ramię.

- Christy Hale powiedziała, że widziała, jak rozmawiałeś w sobotę z Bunny Carter, ale nie miałam pojęcia. - Położyła rękę na piersi. - Och, Holt, to cudownie. Bunny jest taką...

- Nie spotykam się z Bunny, mamó.

- ...miłą... Co takiego?

- Nie chodzi o Bunny. Nie umówiłem się z Bunny. Twarz Mimsy spoważniała.

- Ach tak? - Ale trwało to tylko minutę. Szybko odzyskała humor. - A więc z kim? Z Patty Jane? Myślałam, że niezbyt ją lubisz, tyle gada, ale piecze najsmaczniejsze brzoskwiniowe ciasto i jeśli...

- To nie Patty Jane.

Matka nie miała już pomysłów. Założyła ręce i świdrowała go wzrokiem. Znał to spojrzenie.

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć?

- A dlaczego by nie?

Uśmiechnął się. Pocałował ją w czoło i delikatnie odprowadził do drzwi.

- Ponieważ nie przeszła jeszcze weryfikacji. I nie sądzę, żeby lubiła ciasto brzoskwiniowe, a już na pewno nie wie, jak je upiec.

- Ale...

- To Edie.

- Edie?

- Edie Swann. - A widząc zdumienie na jej twarzy, dodał: -I zapewniam cię, że Ziemia nie przestanie się obracać. O ile tylko zdążę się przygotować do wyjścia.

Cicho zamknął za nią drzwi i zaczął rozmyślać, dokąd zabrać Edie wieczorem.

W Redbud nie było ani jednej przyzwoitej restauracji. Jeśli komuś zależało na srebrnej zastawie, białym obrusie i dobrym winie, musiał wybrać się do Nashville. I wszystko byłoby

w porządku, gdyby nie fakt, że nie wiedział, czy Edie miała ochotę na romantyczną kolację we dwoje. A nie chciał jej wystraszyć na samym początku znajomości. Mogli pojechać do Ashland City. Na sumę z frytkami. Albo do przydrożnej knajpki przy autostradzie. Ale prawdopodobieństwo, że w którymś z tych miejsc natkną się na osobę z Redbud, było bardzo duże, a nie chciał, żeby ich randka stała się tematem dnia w Claire's.

Znowu poczuł nerwowe napięcie i roześmiał się sam z siebie. Powinien już chyba dorosnąć. Czy kiedy zabierał Cindy na pierwszą randkę, też tak się denerwował? Cindy znał przez całe życie. Poza tym chodzili jeszcze do szkoły i poszli w piątek na mecz koszykówki. Łatwa decyzja. Koszykówka, Dairy Queen. Tradycja Redbud. Ale teraz było lato, szkoła zamknięta. Żadnych meczów koszykówki. A w Dairy Queen panował tłok.

Przez jego głowę przetoczyły się wspomnienia z liceum i po chwili wiedział już, dokąd zabierze Edie Swann.

Obiecał jej tajemnicę. I dotrzyma słowa.

James ciężkim krokiem wszedł z garażu do kuchni. Pocałował Mimsy w policzek. Nakrywała właśnie stół do kolacji.

- Gdzie byłeś, Jamie? Machnął lekceważąco dłonią.

- Kręciłem się tu i tam. Zatrzymałem się na kawę w Claire's.

- Co jest tematem dnia?

- Czarne anioły. Dennis Runkle. Co będzie z fabryką po śmierci Freda.

- Nie wiem, czemu się tym przejmujesz. Jesteś na emeryturze. Nie musisz już nasłuchiwać, co w trawie piszczy.

Niepotrzebnie się tym martwisz.

- Nadal tu mieszkam, Mimsy, moje dziewczę. Przerwała na chwilę nakrywanie do stołu. Obdarzyła go czułym uśmiechem, słysząc to dawne pieszczotliwe określenie.

- I oby tak pozostało.

Jej twarz złagodniała, a chwila czułości się przedłużyła. James pomyślał o wszystkich latach życia, które poświęcił swoje-

mu miastu. O rzeczach, które zrobił i które zrobiłby raz jeszcze. Wszystko zawarte było w tej chwili, w tej kobiecie. W jego rodzinie.

Mimsy zdawała się rozumieć. Tak jak zawsze. Obeszła stół, objęła go ramionami za szyję i spojrzała zielonymi oczami, które usidliły go w tej samej chwili, w której je zobaczył.

- Kocham cię, Jamesie Drennen.

Pochylił się, żeby ją pocałować. Jej słodkie, znajome usta poddawały się jego wargom.

- O.

- Hej, wy dwoje, zakaz kochania się w kuchni.

James uśmiechnął się i wypuścił żonę z objęć. W drzwiach stali syn i wnuczka, ulokowana wysoko na ramionach ojca. Boże, ależ była podobna do Mimsy. Wszyscy mówili, że do Cindy, ale James wiedział swoje. Miranda miała piękne zielone oczy Mimsy, jej złote włosy i podbródek znamionujący upór. Widział niemal rękę Boga, który rozdzielając geny i przekazując siłę z pokolenia na pokolenie, przeskoczył o jedno miejsce w łańcuszku.

- Nie ma lepszego miejsca - roześmiała się Mimsy i pocałowała go znowu w policzek. - A co się tyczy ciebie - zwróciła się do Mirandy - to chodź tu, urwisie. Pomóż swojej starej babci szykować kolację.

- Nie jesteś stara - powiedziała Miranda, zeskakując z ramion Holta i pędząc do Mimsy.

- Cieszę się, że tak uważasz. - Podała Mirandzie serwetki. - Po jednej przy każdym nakryciu.

- Kto dziś nie je? - zapytał James, widząc tylko trzy talerze.

- Holt ma randkę. - Mimsy położyła nacisk na słowie randka. James uniósł brwi i spojrzał na syna, ale Miranda się odezwała, zanim Holt zdążył coś powiedzieć.

- Idzie na randkę z panią łabędziową.

- Łabędziową?

- Mama wszystko wie - stwierdził Holt z wymuszoną, jak wyczuł James, cierpliwością. - Możecie o tym rozmawiać w czasie

obiadu. I po obiedzie. I jeszcze w łóżku. Coś mi mówi, że to będzie główny temat konwersacji. Muszę jeszcze zrobić parę rzeczy, zanim po nią pojedę. Więc... - Pochylił się i wziął na ręce Mirandę. - Bądź grzeczna dla babuni i dziadziusia, dobrze?

- Zawsze jestem grzeczna - uściśliła i wszyscy roześmiali się z tej bajeczki.

Holt puścił do nich oko na pożegnanie i wyszedł tylnymi drzwiami. Miło było widzieć, że jest szczęśliwy, nawet jeśli powodem była tylko „pani łabędziowa”.

- No dobrze, umyćcie ręce, zabieramy się do jedzenia. James zaprowadził Mirandę do łazienki i kiedy wycierali ręce, Mimsy wstawiła głowę.

- Omal nie zapomniałam - powiedziała. - Ktoś do ciebie dzwonił, kiedy cię nie było. Amy Lyle.

Ta wiadomość zwarzyła jego nastrój. Ale spojrzał w oczy żony odbite w lustrze z takim spokojem, na jaki tylko mógł się zdobyć.

- Co chciała?

- Nie powiedziała. Poprosiła tylko, żebyś do niej zadzwonił, kiedy będziesz miał czas.

Wrócili razem do kuchni.

- Mam nadzieję, że to nic ważnego. - Mimsy pomogła Mirandzie usiąść za stołem. - Ta kobieta już dosyć przeszła. Jamesowi myśli kotłowały się w głowie. Wszyscy przysięgali, że nigdy nikomu nie powiedzą. Czyżby Fred złamał obietnicę? Przez jego żołądek przepływały dziwne, bolesne skurcze. Czego jeszcze mogła chcieć Amy? I dlaczego odezwała się właśnie teraz?

Z trudem wysiedział przy kolacji. Zdołał wmusić w siebie tyle jedzenia, aby nie wzbudzić podejrzeń Mimsy. Pomógł sprzątnąć ze stołu, jak zwykle, i powkładał naczynia do zmywarki, podczas gdy Mimsy chowała resztki. Zostawili namoczone garnki w zlewie i Mimsy zabrała Mirandę na górę. Nareszcie mógł zadzwonić. Zesztywniałymi rękoma, czując napięcie w karku, wybrał numer, który Mimsy nabazgrała na kawałku papieru.

Głos Amy Lyle był cichy i łagodny.

- Och, szeryfie, dziękuję, że pan oddzwonił.

James już dawno temu przestał poprawiać ludzi, którzy nadal go tak tytułowali, więc teraz też tego nie zrobił. Poza tym gdyby Amy Lyle okazała się kłopotliwa, mógłby wykorzystać przewagę, jaką dawał mu ten tytuł.

Jednak w jej głosie nie było ani gniewu, ani napastliwości.

- Co mogę dla pani zrobić, pani Lyle?

- Och, proszę mówić do mnie Amy.

- Dobrze, Amy. W czym mogę pomóc?

- Chodzi o Freda. James znowu zeszywniał.

- A co się stało?

- Szeryfie, czy mogę liczyć na absolutną dyskrecję?

- Oczywiście.

- Chciałabym cię zatrudnić. Do przeprowadzenia dla mnie pewnego śledztwa.

- Nie mam licencji, Amy. Jestem na emeryturze.

- Wiem o tym. Ale na pewno masz wiele kontaktów. A to jest sprawa rodzinna. Chcę ją powierzyć komuś, komu mogę zaufać. Komuś, kto znał Freda i...

- Może powiesz mi, czego chcesz się dowiedzieć. Ściszyła głos.

- Chodzi... chodzi o testament. Zostawił... komuś spadek. Chciałabym znaleźć tę osobę i dowiedzieć się, dlaczego Fred miał taki dziwny pomysł.

- Możesz mi powiedzieć, o kogo chodzi?

- A zgadzasz się pomóc?

James się wahał. Prawdopodobnie nie miało to żadnego związku z ich wspólną tajemnicą. Ale jeśli nawet trzeba będzie poruszyć niebo i ziemię, lepiej żeby zrobił to on, a nie ktoś, kto nie miał w tym żywego interesu.

- W porządku, Amy. Zobaczą, co da się zrobić. Kim jest ta osoba?

- Ma na imię Eden. Cóż to za imię? Brzmi jak... jak imię striptizerki - powiedziała Amy łamiącym się głosem. - Fred zostawił jej... zostawił jej dużo pieniędzy.

James wciągnął gwałtownie powietrze, raz jeszcze poruszony przeszłością, która nie chciała odejść.

- Boję się, szeryfie. Boję się, że mój mąż miał... - Przełknęła. Słyszał, że zbiera jej się na płacz. - Drugie życie. Muszę to wiedzieć. Muszę wiedzieć, czy całe moje małżeństwo nie było oparte na kłamstwie.

Mógł ją od razu zapewnić, że nie. Prawdę mówiąc, dziwił się, że sama nie rozpoznała tego imienia, zważywszy na rozgłos, jaki towarzyszył mu dwadzieścia lat temu. Widać większość ludzi już dawno nie pamiętała takich szczegółów. W końcu to nie była ich sprawa. I nie miał zamiaru nikomu o tym przypominać. Nie skierował więc do Amy Lyle słów zapewnienia.

- W porządku. Daj mi kilka dni - poprosił. - Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

- Dziękuję. - Odetchnęła głęboko. - Nie zaznam spokoju, dopóki nie poznam prawdy.

Powiedział jej, kiedy się odezwie, i zakończył rozmowę, po czym usiadł na starym krześle przy biurku.

Przeklęty Fred Lyle. Co on sobie, do diabła, wyobrażał?

## Rozdział 17

Holt przejechał pół drogi do Nashville, żeby kupić butelkę wina na ten wieczór. W Redbud można było dostać różne gatunki piwa, ale nie dobre francuskie czerwone wino. Podczas jazdy mógł przynajmniej skupić myśli na czymś innym niż Edie, toteż kiedy dojechał do Red's, zaparkował samochód i przeszedł na tyły budynku, zdołał osiągnąć względny spokój. Który uleciał, gdy tylko otworzyła drzwi.

Uśmiech zamarł mu na ustach, słowa powitania nie chciały wyjść z gardła. Po sukni, którą miała na koncercie, powinien być przygotowany. Ale nie był.

W drzwiach stało uosobienie marzeń każdego mężczyzny. Szkarłatny materiał opływał jej białe ramiona, a w głębokim wycięciu kusily miękkie piersi. Nogi, które zdawały się nie mieć końca, były opięte obcisłymi czarnymi dżinsami i zwieńczone butami na obcasach jak ostrza noża. Powinien jej powiedzieć, żeby zmieniła buty albo zabrała drugą parę, ale nie był w stanie. Nie chciał. Pragnął, by wyglądała właśnie tak. Seksownie rozpuszczone włosy, łabędź pływający na ramieniu, dziewczyna tańcząca na ręce.

Gdy tak stał, nie mogąc wydusić słowa, na jej twarz wypłynął łobuzerski uśmiech.

- Cześć, stróżu prawa. Jesteś tam?

Usiłował coś wykrztusić, ale głos miał ochrypnięty i musiał odchrząknąć, zanim odpowiedział na powitanie.

- Cześć.

- Będziemy tu stać cały wieczór?

Poczuł, że twarz mu płonie, i miał nadzieję, że nie zauważy tego w zapadającym zmroku.

- Hm... jesteś gotowa?

- Całkowicie.

Puścił ją przodem, rozkoszując oczy widokiem z tyłu, który był równie ponętny jak z przodu.

Zatrzymała się przy drzwiach samochodu. Podeszedł do niej i położył ręce po obu jej stronach, trzymając ją w pułapce. Przytulił się do jej ucha, wdychając zapach. Korzenny. Uwodzicielski.

- Pięknie pachniesz.

Znowu ten szelmowski uśmiech.

- Cieszę się, że ci się podoba. Podobało mu się jak diabli.

- Może otworzylibyśmy drzwi - zaproponowała.

- Hm, no nie wiem, dobrze mi tutaj.

**103**

- Nie za bardzo na widoku, szeryfie? - Położyła nacisk na ostatnie słowo, przypominając ironicznie o jego pozycji w mieście.

Uśmiechnął się. W tej chwili w ogóle go to nie obchodziło. Mógł być nawet prezydentem albo cesarzem, a niechby i samym Bogiem. Jeśli tylko miał Edie Swann dla siebie przez cały wieczór. Ale wyprostował się, wyjął kluczyki i otworzył drzwi pilotem.

Edie wśliznęła się do samochodu. Jak dotąd idzie dobrze. Właśnie zrobiła to, czego nie chciała robić - ubrała się uwodzicielsko. I wprawiła go w oszołomienie. Jeśli uda jej się utrzymać go w tym stanie przez resztę wieczoru, to może zdoła wyciągnąć z niego wszystko, co wie.

Wśliznął się na fotel kierowcy i siedział obok niej, byli sami w ograniczonej przestrzeni i zaczynała się martwić tym, że również ją ogarniało oszołomienie. Mięśnie jego muskularnych nóg napinały się podczas prowadzenia auta i poczuła, że nie może oderwać wzroku. Koszula, którą miał na sobie - śnieżnobiała, podkreślająca opaleniznę - miała podwinięte rękawy i ukazywała jego silne przedramiona. Ten skrawek odkrytego ciała sprawił, że zaczęła sobie wyobrażać, jak wygląda cała reszta. Duża, brązowa, mocna. Na myśl o ramionach, na których wspierałby się, będąc nad nią, zaparło jej dech w piersiach.

Zganiła się w duchu. Trzymaj się planu, dziewczyno. Napracowała się, by wyglądać zniewalająco, i nie chciała, by jej własne hormony zburzyły ten wysiłek.

Aby odwrócić myśli, zapytała.

- Dokąd jedziemy?

Rzucił jej gorące i rozbawione spojrzenie.

- Mówiłaś, że lubisz tajemnice.

Serce Edie zaczęło mocniej bić. Czy to będzie aż tak łatwe? Szybko odwróciła wzrok, nie mogąc się skoncentrować pod przenikliwym spojrzeniem jego zielonych oczu.

- Chodzi ci o te czarne anioły? Zmarszczył brwi.

**104**



- Nie. Dlaczego tak pomyślałaś? Szybko się wycofała.

- Bez powodu. To... to po prostu tajemnica, o której wszyscy gadają. A jak wychodzisz z szefem policji, to musisz na tym skorzystać. Masz jakąś teorię?

- Nie chciałbym spekulować.

- Daj spokój, muszę coś podzucić chłopakom w Red's. Głupia zabawa?

- Jedno ci mogę powiedzieć na pewno, to nie czarna magia.

- Ale musisz mieć jakieś...

- Posłuchaj, Edie, mam dziś wolne. I jestem tutaj z cudowną kobietą...  
To ją przyhamowało.

- Uważasz, że jestem cudowna?

- Tak, też mi niespodzianka.

Serce zabiło jej szybciej, biedne, głupiutkie serce.

- I nie chcesz rozmawiać o czarnej magii ani o czarnych aniołach.

Posłał jej gorące, pełne obietnic spojrzenie. Zadrżała na myśl o tym, co się wydarzy.

- Może w ogóle nie chcę rozmawiać.

Kilka minut później zjechał z autostrady. Kiedy wyobrażała sobie, dokąd pojedą, widziała jasne i pełne ludzi miejsce, kelnerów, no, przynajmniej jakiś budynek. Tymczasem wywiózł ją na kompletne pustkowie.

Minęli znak z ostrzeżeniem: „Droga zamknięta”, ale Holt jechał dalej.

- Hej... a znak?

- Stoi tu od lat. Nikt się nim nie przejmuje.

- Nawet szef policji?

- Zwłaszcza szef policji. Może prowadzić śledztwo.

- I tym będziemy się zajmować.

- O nie, kochanie, nie dziś wieczorem.

Zaparkował samochód, wysiadł i otworzył bagażnik. Dołączyła do niego. Podał jej zwinięty koc, przewiesił sobie przez

ramię płócienny worek, zabrał nieduże naczynie do chłodzenia. Kiedy zaczęła rozkładać koc, potknęła się na nierównej powierzchni i gdyby Holt jej nie podtrzymał, upadłaby twarzą na ziemię.

- Trzymaj się, skarbie.

Otoczył ją ramionami, dotyk przeszył ją niczym błyskawica.

- Powinnam zdjąć buty - powiedziała ochryplym głosem, ale się nie ruszyła.

- Och. Tak dobrze w nich wyglądasz.

On również się nie ruszył. Tylko spoglądał na nią głodnym wzrokiem. Wpatrywała się w jego oczy i czuła się szczęśliwa.

- Chyba nie chcesz, żebym skręciła sobie kark, prawda? Pogłaskał jej szyję.

- Znam lepsze rzeczy, które można by zrobić z twoją szyją. Przesunął kciukami po jej podbródku aż do linii ust.

Dochodzące z oddali pohukiwanie sowy rozproszyło urok tej

chwili. Edie przypomniała sobie, kto miał być myśliwym, a kto zwierzyną.

Odsunęła się od Holta, który zabrał ręce. Natychmiast za nimi zatęskniła. Rozglądała się, szukając koca, który upuściła, a Holt oświetlał ziemię latarką.

Pomógł Edie rozłożyć koc, następnie zapalił wyjętą z torby latarenkę. Usiedli, a światło rzucało ich cienie na pobliskie skały i klify. Przed nimi rozpościerała się ciemna, mroczna otchłań.

Podciągnęła kolana pod brodę. Poczowała wewnętrzny chłód.

- Co to za miejsce?

- Stary kamieniołom - wyjaśnił Holt.

Chłód przeistoczył się w przerażenie, ale Holt mówił dalej.

- Nieużywany od lat. To największa tajemnica Redbud. Nasz własny zaułek kochanków. Jak jest dobre lato, deszcz wypełnia doły i dzieciaki się tu kąpią. Od dawna susza na to nie pozwala, ale za to panuje spokój i przypuszczam, że w środku tygodnia nikt się tu nie pojawi. - Sięgnął do torby. - Mam wino, żółty ser i owoce. I czekoladę. Wszystko, czego może pragnąć dziewczyna...

Zerwała się na równe nogi. Potykając się, ruszyła przed siebie.

- Edie?

Czuła, że wdrapuje się za nią, ale się nie zatrzymała.

- Hej, poczekaj chwilę. Stój.

Chwytał ją za rękę, zmuszając, by przystanąła.

- Kilka metrów dalej jest przepaść. Chcesz spaść? Proszę... - Podał jej latarkę. - Weź to.

Zamknęła dłoń na metalowym uchwycie i oświetliła przestrzeń przed sobą. Wpatrywała się w ciemność. Podeszła na skraj przepaści. Spojrzała w dół. Nawet w świetle latarki nie było widać końca.

Czy właśnie to widział jej ojciec? Czy skoczył w czarną czeluść, nie wiedząc, kiedy skończy się ta podróż?

Nie, przecież zrobił to w środku dnia. Dokładnie wiedział, gdzie skacze i jak długo będzie spadał.

- Edie? - Holt stał obok niej. - Co się stało? Wszystko dobrze?

Nie, nie jest dobrze. Nie jest dobrze, i to od bardzo, bardzo dawna.

- W porządku. Nic mi nie jest.

- Co ty... - Odwrócił ją twarzą do siebie. Przesunął palcami po policzku. - Płaczesz.

- Naprawdę?

- Tak, Edie, tak.

Dotknęła twarzy. Miał rację. Zakłęła pod nosem.

- I drżysz - stwierdził.

- Chłodno tu. - Kolejne kłamstwo, ale nie poprawił jej. - Nie lubię wzgórz.

Wpatrywał się w nią. Tak uporczywie, jakby chciał przeniknąć jej duszę.

- W porządku - rzekł po dłuższym milczeniu. - To był zły pomysł. Jedźmy stąd.

Odwrócił się, chcąc odejść, ale błyskawicznie chwyciła go za rękę.

**107 - Śmiertelny grzech**

- Poczekaj. - Wzięła głęboki oddech. Uciekanie było specjalnością jej rodziców. Ona miała być silniejsza. - Nie. Wszystko dobrze. Nic mi nie jest. - Zmierz się ze swoim strachem, a będziesz nad nim panować. Uciekaj, a będzie cię prześladował do końca życia. - Zostańmy.

Zawahał się, ale przyciągnęła go do siebie. Uniosła brodę. Stanęła nad otchłanią.

- Ciekawe, jak jest tam na dole.

- Twardo, same skały. Nic zabawnego.

Wyobraziła sobie tamten dzień. Gorące słońce rozgrzewające klify do białości. Skok w przepaść, wyzwolenie.

Rozświetlone błękitne niebo znikające w postrzępionych brzegach skał nad przepaścią. Koniec zbliżający się coraz szybciej. Wyczekiwana ulga, chwila bólu, a potem już... nic. Zupełnie nic.

Nic oprócz kruchej żony i małej córki.

Poczuła dotyk, podskoczyła.

- Spokojnie - powiedział Holt. Objął ją znowu ramieniem, przyciągnął bliżej. - Na pewno chcesz zostać?

By odsunąć wszelkie myśli i wątpliwości, przyciągnęła jego głowę. Rozpłynęła się w aksamitnej głębi jego ust. Ból znikł, zatopiony falą przyjemności. Objął ją mocniej, całował gwałtowniej, wzmagając pieszczoty języka. I tak jak przedtem, zniknęło wszystko oprócz niego. Obraz przepaści, roztrzaskanego ciała, złamanego życia - wszystko odeszło. Był tylko Holt, pełen życia i siły, trzymający w objęciu mocnych ramion, niedopuszczający przeszłości.

- I co? - zapytał łagodnie, trzymając jej twarz w swoich dużych dłoniach. - Powiesz mi teraz, co jest nie tak?

- Ile mamy czasu?

- Ile chcesz, Edie. - Musnął jej usta, zadrżała.

Starła się skupić na nim, na swojej misji, ale wszystko tonęło we mgle, jej serce waliło, a w najczulszym punkcie ciała narastało pożądanie.

Przejechała dłońmi po wspaniałej klatce piersiowej. Przesunęła je na ramiona, tak szerokie, że przesłaniały noc.

Przesłoni-

łyby wszystko. Ocierała się biodrami o jego ciało, przez dzinsy czuła jego wezbraną męskość i...

Odsunęła się, oddychając ciężko jak po maratonie.

- Muszę... Muszę złapać oddech.

Powinna zachować trzeźwość, a kiedy był blisko, czuła, że zaraz eksploduje.

Pociągnęła go na koc. Nalał jej wina do jednorazowego kubeczka. Sączyła wino, skubała ser, zjadła truskawkę. I chcąc uprzedzić jego pytania, sama zasypała go pytaniami.

- Jakie jest Memphis?

- Duże. Ciemne. Ekscytujące.

- Na pewno nie ma tam czarnych aniołów.

- Ale za to mnóstwo trupów.

Pomyślała o jego żonie, ale nie chciała się rozwodzić nad tą stratą. Nie była tu po to, żeby go pocieszać.

- Myślisz, że istnieje jakiś związek pomiędzy tymi zgonami a czarnymi aniołami?

Dotknął jej głowy. Odsunął z twarzy i ramion kosmyki, głaskał jej włosy.

- Obaj mężczyźni byli po sześćdziesiątce. To może być zbieg okoliczności. Może ktoś rozdawał czarne anioły w jakiejś promocji.

Napawała się jego dotykiem. Odchyliła głowę i delikatnie naciskała na jego rękę.

- Ty faktycznie nie wiesz, prawda? Przejechał palcem po jej policzku i ustach.

- Czego nie wiem?

- Nic nie wiesz o tych czarnych aniołach.

- Może nie ma takiej potrzeby.

- Może.

Wzięła jego palec do ust. Ssała go, wciągając i wypychając. Jej język i wargi trzymały go w mocnym, wilgotnym uścisku. Widziała, że coraz szybciej oddycha, a na twarzy maluje się pożądanie. Powoli wypuściła jego palec, a on pochylił się, żeby ją pocałować.

- I jak powiedziałem - wyszeptał - nie mam ochoty o tym rozmawiać.

Zaakceptowała to, tak samo jak zaakceptowała jego usta. Były słodkie i smakowały winem. Ogarnęła ją ulga obezwładniająca całe ciało. On nie wie. Ta myśl dźwięczała radośnie w jej głowie, uwalniając od obowiązku wypełnienia misji. Wsunęła się na jego kolana i poddała gorączce pożądania. Jego język był mocny i napastliwy, a jej ciało wypełniła po brzegi przyjemność tak intensywna, jakiej jeszcze nigdy nie czuła. Każdy milimetr skóry iskrzył i pulsował, wybijając silny rytm. Piersi stwardniały od dotyku jego ciała, ręce na jego plecach zacisnęły się w pięści.

Szybkim, przyprawiającym o zawrót głowy ruchem poderwał ją z ziemi, podniósł i oparł plecami o skałę. Nie przeszkadzał jej ucisk na plecach. Twardy i mocny. Jak on sam. Jeden sprawny ruch jego palców i dżinsy znalazły się na ziemi, podobnie jak majtki. Wsunął dłoń między jej nogi i jęknął, gdy poczuł aksamitną wilgoć. Odpiął swoje dżinsy i wreszcie zobaczyła nabrzmiąły pęd, dumnie sterczący z jego ciała. Podniósł ją do góry, aby mogła objąć go w pasie nogami, i z okrzykiem ulgi zagłębił się w jej wnętrzu.

Zadrzała, objęła jego szyję i ramiona, czując go mocno w sobie. Wślizgiwał się coraz głębiej. Gorączka i pot, rozkosz tak porywająca, jakiej jeszcze nigdy nie zaznała. Dotarł do samej jej istoty, do punktu czystej przyjemności, do samego kresu, przeniósł ją w inny wymiar, do innego wszechświata. Znalazła się w galaktyce, gdzie nie istniało nic oprócz harmonijnego ruchu ich ciał, falującego pożądania, słodkich uderzeń nadciągającej eksplozji.

I kiedy docierała na szczyt, przypominało to lot na dno przepaści. Rozsypywanie się w proch wszystkiego, co kiedykolwiek czuła, czego pragnęła i potrzebowała. Znieruchomiał, aby mogła poczuć płynące od niego coraz potężniejsze fale przyjemności. Jego ciało drżało od wstrzymywanego napięcia, aż nie sposób już było znieść oczekiwania. Jednym ruchem zakończył tę po-

dróż i dołączył do niej, jęcząc z rozkoszy i przywierając do jej ciała.

A potem nastąpiła cisza. Spokój. Powrót na ziemię.

- O rety - wyszeptał.

- Jak wyżej, stróżu prawa.

Ześliznął się ze skały - jakimś sposobem ich pozycja się zmieniła - i trzymał ją na kolanach. Zamknęła oczy i odpłynęła, opierając się mocno o jego szerokie ramiona i pierś.

Nagle, w przypływie paniki, uświadomiła sobie, co zrobiła. Straciła kontrolę. Zatraciła się całkowicie. Zapomniała o celu. I równie nagle przypomniała sobie.

On nie wie. Nie wie o niej. Ani o niczym.

Boże, tak jej z nim dobrze.

Drgnęła, gdy jej dotknął.

- Co to jest?

Pieścił miejsce nad prawą pierś.

- Tusz - odparła, nie patrząc. Wiedziała, po czym wodzi palcem. Nieduże, kształtne jabłuszko, szkarłatne i błyszczące, oraz ciemny wąż wijący się koło niego. - Kuszenie.

- Kuszenie, co?

Przesunął palec z tatuażu na jej sutek, delikatnie masując koniuszek. Lekki wietrzyk, którego wcześniej nie czuła, musnął jej gołe nogi. Zamknęła oczy, odpłynęła w noc, pączek między jej nogami pulsował jeszcze od rozkoszy, jaką jej dał.

Zapadali w drzemkę i budzili się, wypili więcej wina, a gdy kończyli drugą butelkę, przeszłość dotyczyła już jakiejś innej osoby, smutnej małej dziewczynki, która była zupełnie niepodobna do oszołomionej, odprężonej kobiety, która leżała na kocu, wpatrując się w niezliczone gwiazdy.

Oparła się o Holta, pieszcząc jego ramię tyłem głowy.

- Wiesz, kiedy sobie to wyobrażałam...

- Wyobrażałaś sobie to? Uśmiechnęła się w noc.

- O tak. Ale raczej w łóżku.

- W łóżku, tak?

- Wiem, gdzie znajdziemy łóżko.

W pół sekundy spakowali się i ruszyli do samochodu. Parę minut później wjeżdżał na zaplecze baru. Wbiegli po metalowych schodach, roześmiani i zasapani. Całował ją przy drzwiach, utrudniając znalezienie klucza i trafienie do dziurki. Kiedy wreszcie jej się udało, wpadli do pokoju, nie odrywając od siebie ust. Kopnięciem zamknął drzwi i padli na łóżko.

Został aż do świtu, kiedy to ucałował jej piersi, usta, podbródek. I znowu usta.

- Muszę iść - wyszeptał. - Chcę być w domu, gdy Miranda się obudzi.

Przeciągnęła się, oparła głowę na ramieniu i obserwowała, jak pracują mięśnie jego ud, pośladków i pleców, kiedy szukał rzeczy i się ubierał. Poczowała smutek, że ukrywa pod ubraniem te wszystkie wspaniałości.

Ale była dużą dziewczynką.

- Nie ma problemu.

- Kiedy cię znowu zobaczę?

- A kiedy chcesz mnie zobaczyć?

- Za godzinę?

- Możemy to skrócić do dwudziestu minut?

Usiadł na brzegu łóżka, przysunęła się do niego, kładąc mu głowę na kolanach! Odgarnął włosy z jej czoła.

- Moi staruszkowie co roku urządzają imprezę z okazji meczu gwiazd koszykówki. To we wtorek. Możesz wziąć wolne?

- Liga Narodowa czy Amerykańska?

- Żartujesz? Jest tylko jedna liga. Narodowa.

- Ach, są przegrani.

- Słabeusze. Ale uważaj, żeby tak nie mówić w domu Dren-nenów. Jesteśmy znani z tego, że wsadzamy ludzi do aresztu za lekceważenie naszych chłopców.

- Zaryzykuję.

- To co? Przyjdziesz?

- A odwieziesz mnie potem do domu?



- Pod warunkiem że pozwolisz mi chwilę zostać. Pochylił się i pocałował ją. Westchnął. Wstał. Zmusił się do wyjścia.

Odgłos jego kroków na schodach roztopił się w ciszy. Padła z powrotem na łóżko, zamknęła oczy, przejechała dłonią po nagim ciele. Spełniona i nasycona, pieściła swój wzgórek nabrzmiący jeszcze od seksu i pożądania. Uśmiechnęła się do siebie, przypominając sobie pieszczoty dużych rąk Holta.

Wpakowała się w kłopoty. Poważne kłopoty.

I co gorsza, wcale o to nie dbała.

## Rozdział 18

Kilka następnych dni upłynęło Edie jak we śnie. Starła się zejść z obłoków, ale nie zdarzyło się nic, co ściągnęłoby ją z powrotem na ziemię. Nikt nie umarł, nikt nie winił jej za śmierć tych, którzy odeszli. A kiedy spotykała się z Holtem - głównie w Red's, na zapleczu i w pokoju nad barem - nie była w stanie ukryć blasku, jaki w niej eksplodował.

Lucy od razu to zauważyła i nawet nie próbowała milczeć.

- Co jest między tobą i szeryfem?

- Nic.

- O tak, masz to nic wypisane na twarzy. Edie się roześmiała.

W tym czasie dała sobie luz i chociaż powinna prowadzić śledztwo, odsunęła te sprawy na bok. Koniec z wysyłaniem aniołów. Koniec z pytaniami. Przeszłość była zamknięta, czyż nie? Martwa i pogrzebana, jak te ostatnie nazwiska: jedno z jej listy - rewident księgowy w fabryce Alan Butene - i drugie, które usłyszała od Arlena Mayborne'a: sekretarka działu Hannah Garvey. Uznała to za znak. Za wiadomość z góry, że ma wziąć sobie do serca radę cioci Penny i żyć własnym życiem.

Ale wtedy odebrała telefon. Okazało się, że Hannah Garvey miała córkę, Ellen, i że kiedyś w kościele Arlen Mayborne powiedział jej o Edie.

- Prawdę mówiąc, od śmierci matki nikt się nie interesował jej osobą. - Głos Ellen brzmiał niemłodo, ale rzeško. - Bardzo długo chorowała, a poza tym ludzie nie pamiętają o starej kobiecie... - Westchnęła. - Niezbyt często mam okazję się z kimś spotkać, ale byłabym szczęśliwa, mogąc opowiedzieć, co wiem. I robię pyszną sałatkę z kurczaka. Wydawała się tak złąkniona towarzystwa, że Edie nie miała serca odmówić. Ustaliły termin spotkania i przez kilka następnych dni Edie słyszała w głowie odległy sygnał alarmowy. Myliła zamówienia i wydzierała się na Lucy, kiedy ta narzekała. Edie stała się tak nerwowa, że Holt zaczął ją wypytywać, czym się martwi. Co miała mu powiedzieć? Że prześladowuje ją przeczucie, że wkrótce wydarzy się coś okropnego? Że czas, który spędzali razem, był jedynie krótką ciszą przed atakiem huraganu? Że pewna staruszka, której Edie nawet nie знаła, mogła wszystko zmienić? Nie mogła mu powiedzieć. Wzruszała więc ramionami i mówiła, że nic jej nie jest. I grała na zwłokę.

O umówionej porze stawiała się w tej samej części miasta, w której mieszkała jej babcia, i zadzierając głowę, wpatrywała się w szeroki, pełen zakamarków budynek, dominujący nad niedużym wzniesieniem. Po wschodniej i zachodniej stronie domu znajdowały się ostro zakończone skrzydła. Okrągła wieżyczka w jednym narożniku nadawała mu baśniowy wygląd. Edie próbowała sobie wyobrazić pełne fantazji dzieciństwo w takim domu, z zamkniętą w wieży księżniczką, której trzeba pośpieszyć na ratunek, dzierżąc w dłoni tekturowy miecz. Ale bujna wyobraźnia nie była jej mocną stroną. Poza tym czy teraz ktoś ma jeszcze takie dzieciństwo? Może to taka sama fantazja jak marzenie, by w ogóle je mieć.

Długie schody prowadziły na górę prosto z ulicy. Gdy Edie po nich wchodziła, czuła coraz mocniejsze dudnienie pulsu. Czy Ellen coś wie? Czy jej matka zostawiła jakieś notatki? Sekretny

pamiętnik, książkę spotkań, dowód, który pozwoliłby wskazać palcem kogoś lub coś? Edie zaklęła, nie była pewna, czy chce się dowiedzieć.

Rosnące dziko cierniste zarośla uformowały łuk, a pod nim ciemny tunel, za którym kryły się frontowe drzwi. Edie przystanąła. Wyglądało to jak przejście z teraźniejszości do przeszłości. Od szczęścia do nieszczęścia. Przecież pogodziła się z przeszłością, czyż nie? Po co była jej teraz ta prawda?

Zawróciła. Zadzwoń do Ellen Garvey. Powie, że jest chora albo wymyśli inny pretekst.

Stała na moment i znów odwróciła się w stronę wejścia.

Do diabła.

Zacisnęła zęby. Zanurkowała w chłodny mrok, aż znalazła się po drugiej stronie, znowu w słonecznym świetle.

Stojąc pod drzwiami, zauważyła ze smutkiem, że okiennice smętnie wiszą, werandę zżera rdza, a bluszcz pnący się po ścianach spowodował w niektórych miejscach pęknięcia.

Kolejny stary dom, który potrzebował kochającej ręki.

Ellen Garvey otworzyła drzwi tak szybko, że Edie pomyślała, iż starsza pani musiała pod nimi czekać. Wyglądała... staro. Miała siedemdziesiąt lat? Czy więcej? Obwisła skóra na łokciach i ramionach wystawała spod krótkich rękawów ciemnoniebieskiej sukienki z szerokim marynarskim kołnierzem ozdobionym białą lamówką. Był to strój odpowiedni na lunch w wiejskim klubie. A przy tym dziewczęca sukienka zupełnie nie pasowała do skurczonej sylwetki. Trzeba jednak przyznać, że starsza kobieta zadała sobie trud, by ładnie wyglądać - miała nawet niewielką opaskę na siwych włosach.

Edie, mimo wszystkich oporów, była zadowolona, że nie naraziła staruszki na rozczarowanie.

- Wejdz, wejdz. - Ellen usunęła się na bok, by przepuścić Edie. - Wszystko gotowe - powiedziała pogodnie. - Mam nadzieję, że lubisz poncz herbaciany?

Jej serdeczność zaskoczyła Edie, która wolała nieco chłodniejszą postawę umożliwiającą zachowanie dystansu.

Posłusznie

podążyła za staruszką do salonu dla gości, gdzie stał długi, ciemny stół, a przy nim wielkie, masywne krzesła. W jednym końcu czekały już dwa nakrycia. Biała porcelana ze złotym brzeżkiem, lniane serwetki i ciężkie srebrne sztuce. Ellen zadała sobie dużo trudu. Czy to oznaczało, że miała coś ważnego do powiedzenia? Edie zacisnęła dłoń w pięść, starając się opanować zdenerwowanie.

Ellen również wydawała się niespokojna. Rzuciła Edie nerwowe spojrzenie.

- Nakryłam w tym pokoju. W kuchni jest przytulniej, ale nieczęsto mam okazję używać jadalni. Nie przeszkadza ci to?

Chociaż sadzanie dwóch osób przy tak ogromnym stole wydawało się Edie dziwacznym pomysłem, powiedziała uprzejmie:

- Oczywiście, że nie.

Ellen rozpromieniła się, uspokojona.

- Przyniosę sałatkę.

Kiedy wyszła, Edie zauważyła, że jedno z krzeseł ma pęknięte oparcie. Nad stołem wisiał zyrandol, ale nie było w nim ani świeczek, ani żarówek. Farba schodziła ze ścian.

Ale Ellen nie przeproszała za stan domu. Wróciła, niosąc platerowany półmisek z sałatką i jajkami w majonezie.

Przyniosła też dzbanek herbacianego ponczu i talerz maleńkich ciasteczek, które były jeszcze ciepłe i rozpływały się w ustach.

Gospodyni rozpromieniła się, kiedy Edie prawiała jej komplementy.

- Smakują ci? Bardzo się cieszę. - Westchnęła radośnie. - Już dawno, bardzo dawno nikogo nie gościłam. Matka była zbyt chora, sama rozumiesz.

Pierwsza wzmianka o Hannah Garvey wywołała u Edie przyspieszone bicie serca.

- Tak, wspominała pani, że opiekowała się matką. Ellen westchnęła i popadła w zadumę.

- Była ode mnie uzależniona. Wychowywała mnie i siostrę samotnie, bo mój ojciec zmarł, kiedy byłam malutka.

Siostra wyszła za męża i wyjechała, więc miałyśmy tylko siebie.

Nic dziwnego, że Ellen była spragniona towarzystwa.

- Pani matka pracowała w Hammerbilt?

- Przez czterdzieści lat. Była oddanym pracownikiem. Poświęciła tej fabryce swoje życie.

- To znaczy, że mieszka pani w Redbud od urodzenia.

- I to właśnie tutaj, w tym domu. - Pochyliła się do Edie i zniżyła głos. - Miałam konkurenta. Nie wierz w to, co gadają, że nikogo nie miałam. Nie siałam rutki. - Bawiła się włosami, przyklepując je drżącymi rękoma. - Ale wszystko się rozpadło. Alvin znalazł sobie inną, matka potrzebowała mnie... I tyle. - Omiotła wzrokiem pokój, według Edie niemal obsesyjnie. - I zostałam tu, w domu, w którym się wychowałam. To dziś takie niemodne. Ale to dom.

Jak by to było? Spędzić całe życie w tym samym domu, w tym samym mieście. Jak wyglądałoby życie Edie, gdyby nie wydarzyło się to nieszczęście, gdyby ojciec nie zmarł, a matka nie oszalała? Czy byłiby szczęśliwą rodziną i mieszkali w Redbud? Nie chciała oglądać swojego dawnego domu. Unikała jego widoku. Wystarczył jej dom babci, który znajdował się blisko. Ale ta kobieta wiedziała, co to znaczy mieć korzenie. Wiedziała, jak to jest dorastać rok po roku na tej samej glebie. Przez Edie przepłynęła fala zazdrości. I w końcu zadała pytanie, którego dotąd udało jej się nie postawić.

- Czy pamięta pani rodzinę Swanfordów?

Edie wstrzymała oddech, a Ellen zmarszczyła brwi.

- Swanfordów?

- Charles Swanford zmarł tragicznie wiele lat temu. Odebrał sobie życie.

Ellen nabrała tchu.

- To ten mężczyzna, który rzucił się na dno starego kamieniołomu? Mój Boże, tak, pamiętam. To były straszne czasy. Matka chodziła przygnębiona.

- Czy ona... - Edie wzięła głęboki oddech. - Czy ona mówiła, dlaczego to zrobił, albo może wiedziała coś na temat tej sprawy?

Edie niezwykle trudno było zadać to pytanie, natomiast odpowiedź nie sprawiła Ellen kłopotu.

- Nie przypominam sobie, to było tak dawno. Jeśli dobrze pamiętam - przerwała na chwilę, aby zebrać myśli - to przeszła na emeryturę krótko po tym zdarzeniu. A potem się rozchorowała...

Edie zwilżyła językiem wargi.

- Czy miała jakieś dokumenty z Hammerbilt?

- Dokumenty?

- Może... jakiś harmonogram albo książkę spotkań. Scenopisy?

- Nie. - Ellen pokiwała przecząco głową. - Obawiam się, że nie.

- Czy mogłabym... czy nie miałaby pani nic przeciwko temu, żebym przejrzała jej rzeczy?

Prośba bez wątpienia niezwykła, ale Ellen było jedynie przykro, że nie może pomóc.

- Oddaliśmy wszystko Towarzystwu Dobroczyńności. Było pudło z rzeczami z Hammerbilt, ale je wyrzuciłam. W większości były to kartki z życzeniami i pamiątki, które otrzymała, przechodząc na emeryturę. Nic, co miałoby wartość dla kogokolwiek oprócz matki. Na pewno nie było księgi spotkań.

- Jest pani pewna?

Posłała Edie uprzejmy uśmiech.

- Może pani rozejrzeć się po jej pokoju. Ale w ostatnich latach przebywała na dole. Nie mogła wchodzić po schodach.

Ellen zaprowadziła ją do obszernego pokoju, który mieścił się na piętrze na końcu korytarza. Był czysty i schludny, ale szuflady świeciły pustkami, jedynie w szafie stały stare buty i wisiała zimowa garderoba.

- Trzymam tu swoje rzeczy - wyjaśniła Ellen.

Edie zamknęła szafę, kończąc tym samym swoje dochodzenie. Hannah nie żyła, a cokolwiek wiedziała, odeszło razem z nią. Nie pozostało nic oprócz zatęchłego powietrza w pokoju, w którym nie mieszkała od dziesięciu lat.

Ciężar, jaki dźwigała w ostatnich dniach, został z niej zdjęty i Edie poczuła się nagle oszołomiona wolnością. Podziękowała córce Hannah i zbierała się do wyjścia, ale Ellen nie chciała o tym słyszeć dopóty, dopóki nie wypije herbaty i nie spróbuje ciasta cytrynowego.

- Sama je upiekłam - powiedziała z dumą.

Edie zjadła ciasto z większym entuzjazmem niż wcześniejsze dania, zachwycając się jego smakiem, wypła też filiżankę herbaty i w końcu uciekła. Była wolna. Wolna! Chciało jej się tańczyć z radości. Nic już nie pozostało do ujawnienia, nie miała kogo wypytywać.

Nie licząc, oczywiście, ostatniego nazwiska na jej liście. Ale o nim Edie nie chciała nawet myśleć, nie mówiąc już o podejmowaniu jakichś działań. Poza tym już nie musiała.

Mogła zostawić Jamesa Drenna w spokoju, nie wygrzebywać z przeszłości jego związku z dawnymi wydarzeniami i skupić się na jego cudownym, wspaniałym, seksownym synu.

Tego wieczoru Edie znowu się uśmiechała. Każda piosenka z szafy grającej była hitem, a każdy klient jej najlepszym przyjacielem.

- No, no, popatrz, popatrz - powiedziała Lucy. - Komuś się poszczęściło, coś mi się zdaje. - Uniosła brwi, uśmiechając się łobuzersko.

- Gdybym była tobą - stwierdziła wesoło Edie, stawiając na tacy kufel piwa - uważałabym z tym myśleniem. Jeszcze wypali ci dziurę w mózgu.

Lucy zaniósła się śmiechem i odeszła z piwem. I w samym środku cudownego nastroju Edie do Red's wkroczył James Drennen.

Holt nigdy nie prosił Edie, by zachowała dyskrecję na ich temat, ale wyczuwała, że związek najbardziej pożądanego kawalera w Redbud z wytatuowaną barmanką mógł nie być mile widziany. I właśnie dlatego nigdy nie rozmawiała o Holcie, mimo że Lucy nie dawała jej spokoju.

Kiedy więc ojciec Holta zajął stołek przy barze, Edie nie potrafiła powstrzymać fali niepokoju. Bardzo rzadko się tu pojawiał. Prawdę mówiąc, nie widziała go od wielu tygodni, kiedy to przyszedł z Holtem. Wsunęłaby mu wtedy anioła do kieszeni, gdyby miała go przy sobie. Cieszyła się teraz, że tego nie zrobiła. Ale to nie znaczyło, że nie odczuwała lekkiego zdenerwowania na widok ojca Holta. Zwłaszcza jeśli zjawiał się nagle i nieoczekiwanie. Sam.

- Cześć, Edie - przywitał się uprzejmie i zamówił piwo. Nalała, mając nadzieję, że nie przyszedł tu na „rozmowę”. Żeby powiedzieć, że ona nie jest typem osiadłej kobiety, a Holt potrzebuje mamy dla swojej córeczki, a nie jakiegoś przelotnego ptaka.

- Jak leci? - zapytał, kiedy postawiła przed nim piwo.

- Nie może być lepiej.

- To dobrze. To dobrze. To znaczy, że spodobało ci się nasze małe miasteczko.

Oho. Sączył piwo, a Edie poczuła dyskomfort.

- Jest w porządku. Zupełnie w porządku.

- Jesteś dziewczyną z małego miasteczka?

- Po części. A po części z dużego miasta. - Nie miała zamiaru go okłamywać.

- A gdzie mieszkałaś dłużej?

W Redbud mieszkała dziesięć lat, resztę czasu gdzie indziej.

- W dużym mieście, jak sądzę.

- Tak? A gdzie?

- W Chicago, St. Louis. Pracowałam też w barze w Nashville.

- Szukasz edenu?

Wystarczyłby sam dźwięk tego słowa, aby poczuła lodowatą kłamrę zaciskającą się na piersi. Ale towarzyszyło mu zimne, przeszywające spojrzenie, które zmroziło jej krew. I nagle „rozmowa”, której oczekiwała, przerodziła się w coś zupełnie innego. Bardzo złowrogiego.

Chciała uciec przed spojrzeniem tych oczu, ale wytrzymała. Wzruszyła ramionami. Zmusiła się do uśmiechu.



- Kto wie? Może?

James Drennen, były szeryf, ojciec jej kochanka, ostatnie nazwisko na jej liście, posłał kolejny uprzejmy uśmiech, po czym wypił piwo.

- Hej, Edie!

Z drugiego końca baru przywoływał ją inny klient, a kiedy wróciła, jedyną rzeczą, jaka pozostała po Jamesie Drennenie, był pięciodolarowy banknot.

A wraz z nim ostatnia fala strachu, którego, jak myślała, pozbyła się już ze swojego życia.

Ojciec Holta wiedział, kim jest.

## Rozdział 19

**Reszta** wieczoru upłynęła Edie we mgle przerażenia. Czy dobrze zrozumiała Jamesa? Czy powiedział już Holtowi? Dwa razy wylała drinka, a Lucy i Red zerkali na nią podejrzliwie.

- Co się dziś z tobą dzieje?

Red rzucił jej ściereczkę, żeby starła rozlany drink.

- Ma wrzód na dupie, a nazywa się Drennen. - Lucy wyszczerzyła zęby.

Edie nawet nie chciało się tłumaczyć, że ma rację... i jednocześnie się myli. Chodziło o Drennena, ale nie tego, o którym myślała.

Kiedy obsłużyła ostatniego klienta, wymknęła się z baru, wsiadła na motor i wyjechała z miasta, nie wkładając nawet kasku. Pęd motoru złapał ją za gardło, zarumienił policzki, potargał włosy.

Czy w Redbud nic nie może iść po jej myśli? To jakaś przeklęta karma, która sprawia, że wszystko obraca się przeciwko niej, tak samo jak kiedyś przeciwko jej rodzicom. Powinna była trzymać się z daleka od tego miejsca. Nie powinna była tu przyjeżdżać. Ciocia Penny miała rację.

Minęła przedmieścia, wdychała gorące, nocne powietrze i z całych sił starała się uspokoić. Skąd ten żal do wszystkich? Przecież nie jest typem osoby, która uważa się nad sobą.

W każdym razie dotąd nie była.

Starala się spojrzeć na to z jaśniejszej strony. Przecież zawsze jest jakaś jaśniejsza strona. Gdyby nie przyjechała do Red-bud, nie poznałaby Holta.

Też mi jaśniejsza strona. Raczej przekłeta ciuciubabka. Gdyby James Drennen miał pewność, kim ona jest, toby się wygadał. W końcu. A wtedy Holt dowiedziałby się, że kłamała na temat swojej osoby i czarnych aniołów. Czy zrozumiałby? Przebaczył? Czy też zakończyłby ich znajomość?

Albo co gorsza, wsadził Edie do więzienia.

Żołądek skręcał jej się z nerwów. Aby prześcignąć mrok, zjechała z autostrady na wiejską drogę i rozpędziła się w ciemności. Księżyc rzucał cienie, które ślizgały się obok niej. Ciemna pustka ogrodzonych pól. Wynurzające się z mroku sylwetki drzew. Chciała pędzić przed siebie. Zanurzyć się w gęstym, atramentowym powietrzu i uciec najszybciej, jak się da. Teraz, zanim to wszystko skończy się w nieunikniony sposób. Źle.

Dodawala gazu, pożerając kolejne kilometry. Ale niespodziewany wiraż zmusił ją do ostrego skrętu. Nacisnęła na hamulce i usłyszała głuchy trzask. W tej samej chwili ręczny hamulec przestał działać, a jej serce zamarło. Straciła panowanie nad przednim kołem.

Nacisnęła mocno na hamulce nożne. Tylne opony się ślizgały. O, Boże. Coś śliskiego musiało być na drodze.

Motor przechylił się pod nią gwałtownie, wymykając się spod kontroli. Popędził w jedną stronę, ona zaś w drugą.

Zgrzyt metalu na nawierzchni przeszył jej umysł. Ogarnęła ją panika, a kiedy leciała w powietrzu, przez głowę przemknęła jej ostatnia myśl: że nie będzie już musiała zamartwiać się Redbud i Holtem. Bo będzie martwa.

**128**

## Rozdział 20

**Edie** jęknęła. Ruszyła szyją. Coś trzasnęło, zabolęło. Trawa. Leżała na trawie. Wdychała zapach pól i obornika. W jednej sekundzie przypomniała sobie, co się stało i gdzie jest. Jej motor.

Próbowała poruszyć rękoma i nogami. Prawy łokieć bolał, ale wszystko było w porządku. Przekreśliła się powoli. Usiadła. Trzasnęły kości. Kręciło się jej w głowie. Ale jakimś cudem żyła.

Wstała, chwiejąc się na nogach. Oparła się plecami o płot. Pochwili spróbowała zrobić krok. Alleluja, udało się. Pokuśtykała do miejsca, gdzie spadł motor, przy płocie po przeciwnej stronie drogi. Postawiła go.

I zdała sobie sprawę, że trzęsą jej się ręce. Całe ciało drżało. Zaczęła głęboko oddychać, aby to przeczłuć.

Szczęśliwa, że żyje? Śmiertelnie przerażona, że omal nie zginęła? Chwyliła rączki kierownicy, opierając się o solidną konstrukcję i próbując się uspokoić. W końcu emocje opadły na tyle, że znowu była w stanie myśleć.

Znalazła latarkę, którą wozila na wszelki wypadek, i omiotła światłem linki hamulcowe. Włożyła palec w postrzępione nacięcie na przedniej lince. To wyjaśniało, dlaczego straciła kontrolę nad ręcznym hamulcem. I co spowodowało poślizg - wyciekający płyn hamulcowy.

Przejechała światłem latarki po całym motorze. Tylony błotnik miał wgniecenie, ale poza tym był w dość przyzwoitym stanie. Wytarła szmatą tylną oponę. Sprawdziła ręczny hamulec. Działał. Może dotrzeć do miasta, korzystając z tylnego hamulca, o ile pojedzie ostrożnie. Poprosi Andy'ego Burketta, żeby wymienił linkę hamulcową. Aż się palił, by chwycić w ręce jej motor.

Oddechnęła powoli, głęboko. Za dużo dramatów jak na jeden wieczór. Ojciec Holta prawie ją zdemaskował. I o mały włos nie zginęła. Teraz potrzebowała spokojnego tygodnia albo dwóch, żeby nic się nie działo.

**123 - Śmiertelny grzech**

**129**

Ale to nie było możliwe. Nie w Redbud.

W drodze powrotnej przez cały czas myślała o przeciętej lince hamulcowej. Uszkodzenie mogło powstać podczas jazdy. Wystarczył jakiś kamień, gwóźdź. Ostry kawałek szkła z rozbitej butelki od piwa. Pełno walało się ich wokół Redbud.

Wpadła jej też do głowy nowa myśl, poczuła suchość w ustach. Zawsze parkowała motor na tyłach baru. Każdy miał do niego dostęp. Nawet - zabrakło jej tchu, gdy przypomniała sobie, jak siedział przy barze i z miłym uśmiechem wyrzucał z siebie słowa tnące jak ostrze noża - James.

Znowu zaczęła drżeć i musiała stanąć, aby się uspokoić.

Wokół niej umierali ludzie. Czy była następna w kolejce?

## Rozdział 21

W następnych dniach Edie nie mogła zapanować nad niepokojem. Zawiozła motor do warsztatu, ale Andy nie potrafił powiedzieć, czy przecięcie było celowe.

- Mogło być - powiedział, kręcąc głową. - Ale równie dobrze coś ostrego mogło leżeć na drodze.

Wypadek, krzyczało jej głowie. Jasne. Taki sam jak tamte.

- Miałaś szczęście, że nie skręciłaś karku - dodał Andy.

Święta prawda. Ale może jej szczęście oznaczało czyjeś rozczarowanie? Czy ktoś ją śledził? Starał się dopaść ją w taki sam sposób, w jaki dopadł Freda Lyle'a i Dennisa Runkle'a?

Czy tym kimś był ojciec Holta?

Od tamtej nocy w barze zwyczajnie się ulotnił. Ale nie wyjawiał też swojej tajemnicy. O ile w ogóle miał jakąś tajemnicę, a nie prowadził po prostu jałowej konwersacji.

Boże. Czy ktokolwiek mógł się dziwić, że jest roztrzęsiona?

Holt również zauważył jej nerwowość. Złożył to na karb wypadku - o którym się dowiedział z powodu siniaków na jej pra-

wym boku i gadulstwa Andy'ego - i wygłosił kazanie na temat jazdy z nadmierną prędkością. Chcąc, by się od niej odczepił, zapytała, czy ma zamiar wysłać ją na powtórny kurs prawa jazdy. Wyszczrzył zęby w tym swoim seksownym, szelmowskim uśmiechu.

- Niewykluczone że tak zrobię, jeśli to się powtórzy.

W dzień przyjęcia u Drennenów od rana było pogodnie i słonecznie. I zupełnie nie odpowiadało to nastrojowi, w jakim Edie się obudziła. Starła się wymyślić jakąś wymówkę, żeby tam nie iść, ale gdy tylko podejmowała temat, Holt odgrażał się, że doprowadzi ją na miejsce w kajdankach. Za każdym razem rezygnowała, wiedząc, że upór wywoła tylko pytania, na które nie była gotowa odpowiedzieć.

Sama myśl o spotkaniu z Jamesem wytrącała ją z równowagi. Któż mógł wiedzieć, co dla niej szykował? Może czekał na odpowiedni moment, żeby publicznie ujawnić swoje rewelacje. A może miał lepszego asa w rękawie. Na wszelki wypadek pojedzie taksówką. I zabierze gaz łzawiący. Coś...

Zadrzała.

Holt powiedział, że będzie mnóstwo ludzi. A jeśli to nie James majstrował przy jej motorze, tylko ktoś inny? Na myśl, że być może wymieni uścisk dłoni z kimś, kto omal jej nie zabił, ciarki przebiegały jej po plecach. Zwłaszcza że nie miała pewności, czy w ogóle ktoś próbował ją zabić.

Złapała się za włosy, pokręciła głową. Warczała na pusty pokój, jakby mógł coś poradzić.

Nie chce nic robić.

Odrzuciła nogą kołdrę i wysliznęła się z łóżka. Co się z nią dzieje? Ta cała sprawa doprowadza ją do szaleństwa. Niczego tak nie pragnęła, jak wyzwolić się z dziwacznej, przerażającej, lepkiej sieci. Po co w ogóle przyjeżdżała do Redbud? Po co podrzucała czarne anioły? Czy gdyby tego nie zrobiła, tamci dwaj mężczyźni jeszcze by żyli? Czy byłaby bezpieczna?

Przystanąła, idąc do łazienki, bo w jej głowie zakiełkował nagle pewien pomysł. Ona wszystko zaczęła, czyż nie? A zatem

czy nie do niej należało zakończenie tej sprawy? Mogła zdać się na miłosierdzie i przyzwoitość Holta i powiedzieć mu, kim jest oraz co zrobiła. Podzielić się podejrzeniami dotyczącymi wypadku. Gdyby mu zaufała, odebrałaby broń jego ojcu.

Poczuła chłód. To było ryzykowne. Ale utrzymywanie wszystkiego w tajemnicy wiązało się z takim samym ryzykiem. Tak czy inaczej, zmierzała prostą drogą do tego, by stracić Hola. Nie mówiąc już o własnym życiu. Czowała, że zbiera jej się na płacz. Nie chciała utracić ani jednego, ani drugiego i to było najbardziej przerażające. O wiele łatwiej dryfować bez zobowiązań.

Ale już za późno.

Boże, ale to wszystko zaplątała.

Do diabła, jeśli nie chce oszaleć, to lepiej, żeby sama zakończyła tę sprawę, nim ktoś ją uprzedzi.

Szybko wzięła prysznic, wrzuciła coś na siebie i wyszła z mieszkania. Jeśli ma to zakończyć, powinna to zrobić jak najszybciej. Przeciąć ostatnią nić wiążącą ją z misją, z którą przyjechała do miasta i którą teraz pragnęła tylko porzucić.

Wsiadła na motor i odjechała, kierując się niedaleko, kilka ulic od placu.

Kościół miejski w Redbud znajdował się u zbiegu ulic East i Courthouse, więc nietrudno było go znaleźć. Skreśliła na podjazd i zostawiła motor na parkingu za świątynią. Stał tam tylko dziesięcioletni saturn. Auto kaznodziei?

Zawahała się przez chwilę. Co robi, jeśli się na niego natknie? Będzie udawała, że przyszła się pomodlić? Albo wypowiedzieć? Gdyby poprosiła o zwrot czarnego anioła, odkryłaby karty. Ale przypomniała sobie, że z duchownymi jest jak z prawnikami. Wszystko, co się powie, zostaje poufne.

Przełknęła ślinę. Lepiej mieć to już z głowy.

Podeszła do tylnych drzwi, były otwarte. Ze środka dochodził szum odkurzacza, doszła więc do wniosku, że ktokolwiek jest właścicielem samochodu, to w tej chwili sprząta. Z ulgą ruszyła w stronę przeciwną niż ta, z której dobiegał hałas, mysz-

kując po korytarzach, aż znalazła biuro. Skromna złota tabliczka na drzwiach informowała, który pokój należy do pastora Kennetha Parsleya.

Edie zatrzymała się, nasłuchując odkurzacza. Dobiegał z daleka, ale ogarnęły ją wątpliwości. A jeśli Parsley przyszedł do kościoła piechotą i siedział za tymi drzwiami? Czy naprawdę chciała to zrobić?

Odpowiedź brzmiała: nie, ale zebrała się na odwagę i delikatnie zapukała. Bez odzewu.

Powoli otworzyła drzwi. Wsunęła głowę do środka. Nikogo nie było. Szybko wśliznęła się do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Na biurku piętrzyły się książki i różne papiery. Pod ścianami stały regały z rzędami książek. Na komodzie w narożniku leżała sterta czasopism. Trzeba by kilku godzin, żeby to wszystko przeszukać.

Co też, do diabła, przyszło jej do głowy? Że trzyma czarnego anioła w biurze, w miejscu, gdzie każdy mógł go zobaczyć? Tak, jasne. Przecież nadała go z Hammerbilt parę tygodni temu. Pewnie już dawno go wyrzucił.

Ale ponieważ uważała, że robi dobrze, z uporem brnęła dalej, na wszelki wypadek. Nasłuchiwała pod drzwiami. Czy szum odkurzacza się przybliżał? Rozejrzała się po biurze, przeklęła własną głupotę i dopadła biurka.

Szarpnięciem otworzyła środkową szufladę. Długopisy po-turlały się najpierw do przodu, potem do tyłu. Różowe formularze telefoniczne, broszura o uzdrawianiu duchowym i kilka samoprzylepnych karteczek. W pozostałych szufladach znajdowały się egzemplarze Biblii, śpiewnik, słownik i teczka ze starymi kazaniami. Podobnie jak na blacie biurka. W szafie znalazła płaszcz przeciwdeszczowy, nylonowy fartuch z wyhaftowaną nad lewą piersią nazwą kościoła i parę rozpadających się butów do biegania. Przeszukała wszystkie kieszenie, odwróciła buty do góry nogami. Znalazła tylko miętową gumę do żucia i skrawek ulotki reklamującej Maraton dla Jezusa.

No dobra. Miała dość. Jej lepsza część się uspokoiła. Czas na...

- Hej, co tu robisz?

Zamarła. Wstrzymała oddech. Gorączkowo starała się wymyślić wiarygodne uzasadnienie swojej obecności w tym miejscu. Przywołała uśmiech, odwróciła się twarzą do osoby, która weszła, i stwierdziła, że to Terry Bishop z odkurzaczem.

Pretekst narodził się w jej głowie, gdy tylko go zobaczyła.

- Szukałam cię.

- W biurze pastora? Rozejrzała się dokoła.

- To jego biuro? Chciałam ustalić, gdzie już posprzątałeś, a gdzie nie.

Spojrzał na nią zwięzonymi oczami.

- Czego chcesz?

- Porozmawiać z tobą.

- O czym?

- Coś wiesz, prawda? Coś o Fredzie Lyle'u i fabryce Ham-merbilt.

- A jeśli nawet?

- Informacje mogą być niebezpieczne, Terry. Jeśli się nimi z kimś podzielisz, to nie tylko ty będziesz w niebezpieczeństwie.

- A jaki ty masz w tym interes?

- Zaspokojenie ciekawości.

Obracał w dłoniach przewód od odkurzacza i wpatrywał się w nią groźnie i posepnie.

- Ta ciekawość może cię zabić.

Na tę jawną groźbę ogarnął ją strach. Czy to on stał za próbą zamachu na jej życie? Od początku czuł do niej niechęć, chociaż nie wiedziała, dlaczego. Zresztą wielu innych rzeczy też nie wiedziała. Zmusiła się do uśmiechu.

- Czy robię coś, co cię wkurza?

Nie odpowiedział. Ale wyraz jego twarzy złagodniał i wykorzystała ten moment, by zaatakować Terry'ego.

- Przecież coś wiesz, prawda? Powinieneś to powiedzieć. Poczujesz się lepiej.



Ale zamiast nakłonić go do wyznań, uzyskała efekt przeciwny. Spojrzał na nią twardo. Wciągnął odkurzacza do biura i podłączył do prądu.

- Daj mi spokój - burknął, odwracając się do niej plecami. Miała ochotę krzyknąć, ale zapanowała nad sobą i odparła chłodno:

- W porządku. Ale wyświadczyć mi pewną przysługę. - Zrobiła pauzę, czekając na jego reakcję. Ale się nie doczekała. Mówiła dalej: - Miej na oku kaznodzieję.

Położył dłoń na uchwycie odkurzacza i rzucił w jej stronę podejrzliwe spojrzenie.

- Co to ma znaczyć?

- Nic. Po prostu... uważaj, żeby nic mu się nie stało.

- A niby co ma się stać?

- Nie wiem.

- Myślisz, że coś mu zrobię?

- Nie, nie to miałam na myśli. Chodzi o to... że ostatnio zmarło parę osób.

Uniósł wojowniczo podbródek.

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Wcale tego nie powiedziałam. Zrobił krok w jej kierunku.

- Wynoś się stąd.

- W porządku. W porządku. - Podniosła do góry ręce. - Już idę. Ale gdybyś chciał porozmawiać, to...

Włączył odkurzacza i reszta zdania utonęła w hałasie. No do-oooobra.

Wyszła z biura i żeby się nie denerwować, sprawdziła motor, zanim na niego wsiadła. Nadmiar ostrożności? Nieważne. Nie chciała wszystkiego stracić przez własne zaniedbanie. Być może groziła jej katastrofa, ale nie zamierzała poddać się bez walki. I będzie to cholernie zażarta walka, bez żadnych skrupułów.

## Rozdział 22

Pastor Kenneth Parsley miał zły dzień. Niedzielne kazanie - które spisywał odręcznie i zwykle kończył do wtorku, aby sekretarka zdążyła je przepisać - nie wyszło poza etap pustej kartki, chociaż przez całe popołudnie siedział przy biurku w swoim gabinecie.

Chusteczką do nosa otarł pot z czoła i z szerokiego karku. Ostatnio często się pocił. Może z powodu upału, a może złapał jakiegoś wirusa grypy. Albo, jak mówił lekarz, powinien zrzucić kilka kilogramów. Tak czy inaczej, nie mógł się skupić. Zmęczony wpatrywaniem się w pustą żółtą kartkę, wrzucił ją do szuflady biurka i wstał. W pokoju było bardzo duszno. A może to jego głowie brakowało świeżego powietrza. Albo nieśmiertelnej duszy.

Żołądek skurczył mu się na tę myśl, ale pastor Parsley wytłumaczył sobie, że to z głodu. Pomyślał o przekąsce, lecz bez względu na to, ile by zjadł, i tak był ciągle głodny. Od spotkania w starym kamieniołomie nie znajdował spokoju. A potem nagła śmierć Freda Lyle'a i ten straszny wypadek, który zabrał Dennisa Runkle'a - wydawało się, jakby świat wokół niego się rozpadał. Jak gdyby sam Bóg wymierzał w końcu sprawiedliwość.

Dlaczego nie miałby ukarać i jego? Czyż hipokryta nie był najgorszym winowajcą? Przetarł twarz, zmęczony niekończącym się obwinianiem samego siebie. Niech Bóg wybaczy mu tchórzostwo. Niech mu przebaczy i wskaże drogę do zbawienia.

I nie zdemaskuje go, rzecz jasna.

Zadrżał na myśl o publicznym upokorzeniu i natychmiast skoncentrował się na tym, co zrobił dobrego i co dobrego jeszcze mógł uczynić. Czy nie staczał bitew w imieniu Pana tu, na ziemi, prowadząc rzesze ludzi do Zbawiciela?

Choćby w zeszłym tygodniu. Dzięki niemu syn Tewksburych rozpoczął życie w bożej łasce. Czy to w ostatecznym bilansie nie stanowiło godnej przeciwwagi?

Może właśnie ten temat powinien poruszyć podczas niedzielnego kazania. Życie jest jak zestawienie bilansowe i trzeba mieć nadzieję, że dobro, które czynimy, przeważy nad złem, którego byliśmy sprawcami. Przepelniło go uczucie ulgi. Tak, właśnie tak zrobi. Z nowym zapalem usiadł na krześle i wyjął żółtą kartkę. W tej samej minucie, w której chwycił długopis, wszystkie myśli jednak uleciały i znowu nie wiedział, od czego zacząć.

Zerwał się na równe nogi. Musiał coś przekąsić. Potrzebował zastrzyku energii. Na pewno w kościelnej kuchni są ciasteczka. A poza tym przyda mu się krótki spacer. Trochę ruchu rozjaśni myśli. Pomoże się modlić.

Wybrał drogę okrężną, dając sobie więcej czasu. I nawet jeśli unikał samego kościoła, nie przyznawał się do tego. Gdyby tylko wszystko go nie uciskało. Kołnierzyk koszuli wbijał się w szyję, rękawy opinały ramiona. Nawet sama czaszka rozsadzała skórę głowy. Musiał się rozluźnić. To dlatego słowa nie chciały płynąć. Wszedł do męskiej przebieralni za basenem chrzcielnym. Rozpiął koszulę i zmoczył papierowy ręcznik, którym przetarł twarz i szyję. Pomyślał o chrzcie, którego udzielił w zeszłą niedzielę. Starał się przywołać tamtą radość, ale była nieuchwytna. Wyszedł przez drzwi chrzcielnicy i ruszył rampą prowadzącą do basenu. Zawsze lubił patrzeć, jak światło z witraży znajdujących się na froncie kościoła załamuje się w wodzie, oświetlając ją boskim blaskiem. Zazwyczaj widok ten wprawiał go w błogi nastrój i uspokajał. Dziś woda wydawała się po prostu zielona.

Zamrugął. A jednak uderzyło go coś dziwnego. W basenie w ogóle nie powinno być wody. Już kilka dni temu należało ją wypuścić. Mieli problemy techniczne, ale sądził, że Terry Bishop doprowadził basen do porządku. Zmarszczył brwi. Powinien zostać ukarany za to, że dał pracę temu nieudacznikowi. A teraz będzie musiał go znaleźć. Napominanie Terry'ego nie należało do najłatwiejszych zadań.

I nagle oświeciła go pewna myśl. Że to nie był tylko zwykły obowiązek. Może nieprzypadkowo basen pozostał pełen wody, gotowy do użycia. Przecież on sam potrzebował oczyszczenia,

czyż nie? Być może to właśnie był ów znak, na który czekał, aby móc powrócić na właściwą drogę. Wiadomość, że Bóg rzeczywiście mu przebaczył.

Poczuł mocniejsze pulsowanie krwi. Czy oszalał? Czy też był najnormalniejszym człowiekiem na ziemi?

Zdjął buty. Szkoda mu było czasu na wracanie do przebieralni po klapki. Ściągnął skarpetki, włożył je porządnie do butów i wsunął swoje niezgrabne cielsko do basenu. Woda powinna być podgrzana, ale okazała się szokująco zimna.

Kolejny znak. Potrzebował szoku, czyż nie?

Zanurkował, cicho wymawiając znane słowa: „Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”. Wskoczył na powierzchnię, parskając, i znowu zanurkował. „Panie, oczyść moją duszę i uczyn mnie znowu wartościowym”.

Za drugim razem został nieco dłużej pod wodą, powierzając swoje życie Bogu. Wypłynął, z trudem łapiąc powietrze.

Ciężko dysząc, otarł wodę z twarzy. Już miał zanurkować po raz trzeci, kiedy zauważył, że ktoś mu się przygląda.

Zawstydził się, wyobrażając sobie, jaki przedstawia widok. Całkowicie ubrany, przemoczony do suchej nitki, odarty z godności. Nagle i niespodziewanie przypomniał sobie, że ma spotkanie modlitewne. Będzie musiał pognać do domu, żeby się przebrać.

- Właśnie miałem zamiar... - Odchrząknął. - Mamy problem z odpływem.

W odpowiedzi ujrzał pobłażliwy uśmiech, który powoli przeobrażał się w szyderczy grymas. Czy to głowa szatana?

Kenneth Parsley wpatrywał się w tę twarz, a w ustach poczuł nagłą suchość.

- Co ty...?

Ale następne słowa rozplynęły się w piekącym bólu, który zdawał się trwać całą wieczność i zakończył nieogarnioną ciemnością.

## Rozdział 23

Holt uciekł z ogrodu Drennenów, gdzie wrzało jak w ulu, i oparł się o ścianę swojego rodzinnego domu. Wieczór był piękny. Ciepły, ale nareszcie nie upalny, więc przyszedł tłum ludzi. Mężczyźni siedzieli w większości w domu i oglądali show poprzedzający mecz, sprzecząc się między sobą na temat zawodników i statystyki. Ale wiele osób wolało spędzać czas na dworze, gdzie powietrze wypełniał zapach piekących się na grillu kurczaków.

Tylko nie on. W każdym razie nie w tej chwili. Patrzył w górę ulicy na zaparkowane byle jak samochody i furgonetki i martwił się tym, o czym właśnie poinformował go doktor Ferguson.

Zauważył nadjeżdżającego dużego czarnego pikapa i zastanawiał się, skąd ojciec wraca. Kiedy James wjechał na podjazd, wychylił się przez okno.

- Za tłoczno dla ciebie?

- Ty też się urwałś.

- Musiałem pojechać do miasta po lód. - Wyskoczył z kabiny i podszedł do Holta. - Co jest? - Szturchnął syna łokciem i uśmiechnął się. - Czym się martwisz?

Holt odwzajemnił uśmiech.

- Czytasz w myślach?

- Zawsze wiem, kiedy coś ci leży na sercu. - Obszedł furgonetkę i otworzył tylne drzwi. Z boku leżał stos zapakowanego lodu. - Pomożesz mi?

- Jasne. Ale poczekaj minutę. Właśnie dostałem sprawozdanie z autopsji Dennisa Runkle'a.

To wyraźnie ojca zainteresowało. Oparł się o furgonetkę, bejsbolówka zasłaniała mu oczy.

- I co to było? Atak serca czy udar?

- Wstrząs anafilaktyczny.

James uniósł gęste, nieregularne brwi.

- Wiedziałeś, że miał alergię na orzeszki ziemne? - zapytał Holt.

- Orzeszki? Trudno uwierzyć, że coś takiego mogło go zabić.
  - Doktor mówi co innego. - Holt podniósł z ziemi kamień i obracał go w dłoni. - Chodzi o to, tato, że ludzie, którzy cierpią na tego rodzaju alergię, mogą przeżyć atak. Jeśli uczulenie jest silne, to zwykle mają przy sobie podręczny zestaw do wstrzyknięcia epinefryny. Doktor powiedział, że Runkle miał coś takiego.
  - Więc dlaczego nie użył tego środka?
  - To właśnie chciałbym wiedzieć. W jego krwi nie było śladu lekarstwa.
  - Znalazłeś igłę? Holt pokręcił głową.
  - Sam jest teraz na miejscu wypadku i przeszukuje teren. Ale samochód był poważnie uszkodzony. Mogła ulec zniszczeniu podczas wypadku. Może wpadł w panikę i sięgnął po zestaw, a to spowodowało, że utracił kontrolę nad pojazdem. Igła mogła wypaść mu z ręki w czasie uderzenia albo została zmiażdżona pod kołami.
  - Albo ktoś zabrał ten zestaw, wiedząc, że pojawi się wstrząs. Holt spojrzał na ojca. Ta myśl również przyszła mu do głowy, ale trudno było ją zaakceptować.
  - Znalazłeś przy nim czarnego anioła, prawda? - zapytał James.
  - Tak, ale... - Holt poruszył się. Fakty nie dawały się powiązać. - To naprawdę dziwny sposób zabicia ofiary. Przecież mogło się nie udać. Gdybyśmy nawet znaleźli kogoś z naostrzoną siekierą i udałoby nam się udowodnić, że jej użył, co to ma wspólnego z Fredem Lyle'em? Umarł na atak serca.
  - Wpatrywali się w siebie w jasnym świetle dnia. Oczy Jamesa były ukryte pod czapką.
  - Masz twarde orzech do zgryzienia. Holt odrzucił kamień.
  - Może być przecież tak, jak się wydaje, straszna tragedia, w której nie ma niczyjej winy.
- James klepnął Holta w plecy.

- Otóż to, synu. Nie komplikuj tego. Przynajmniej do momentu, póki nie znajdziesz jakichś dowodów. Holt przytaknął i wziął kilka paczek lodu. James zrobił to samo. Skierowali się razem do ogrodu, ale Holt nie był zadowolony i nie opuszczał go niepokój. Kłopot w tym, że chciał, aby śmierć Runkle'a była wypadkiem. Chciał już zamknąć sprawę tajemniczych czarnych aniołów i skupić się na tym jednym, który miał wkrótce przyjechać. Zapisał sobie w pamięci, aby popytać o Runkle'a wśród ludzi. Czy jego pracownicy wiedzieli, że był alergikiem? Czy wiedziały byłe żony? Robił listę osób, które mogły wiedzieć więcej, niż powinny.

- Ta twoja dziewczyna już się pojawiła? - zapytał James.

- Przyjedzie - odparł Holt z przekonaniem, choć miał wątpliwości. Edie próbowała się wykręcić od przyjęcia, ale się nie ugiął. W tej chwili była już spóźniona, a jeśli to oznaczało, że chciała wystawić go do wiatru, to czekają ich poważne problemy.

Zapakowali lód do naczyń chłodzących ustawionych na stołach. Ojciec zniknął w domu, żeby sprawdzić, czy nie brakuje piwa. Jego matka czyniła honory domu w rogu ogrodu, gdzie stała z grupą kobiet. Z klubu czytelniczego albo z klubu robótek ręcznych, albo z grona pokerowych dziewczyn, jak sama je nazywała. Gadała jak najęta. To nic niezwykłego w przypadku Mimsy, pomyślał z czułością, chociaż powinien być na nią zirytowany. Uparła się, żeby zaprosić wszystkie domniemane rywalki Edie. Bunny Carter, Patty Jane Ellis. Kilka innych kręciło się po ogrodzie. Miała oczywiście wymówkę, że Miranda będzie się mogła pobawić z ich dziećmi, które były mniej więcej w jej wieku. Ale on i tak przejrzał machinacje matki.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Nowy gość. Odwrócił się, ale zobaczył, że to nie Edie, i ze spokojem ruszył powitać nowo przybyłą.

- Pani Lyle, cieszę się, że panią widzę.

Zaproszenie Amy Lyle było pomysłem ojca. Przed śmiercią Freda jego rodzice nie spotykali się z Lyle'ami na gruncie

towarzyskim, ale teraz, kiedy Amy została sama, zasugerował, że powinni zaprosić Amy, żeby okazać jej życzliwość.

- Mów mi, proszę, Amy.

- W porządku, Amy. Pozwól, że zaprowadzę cię do mojej matki. Przedstawi cię innym gościom.

- Dziękuję.

Ruszyła za nim w stronę grupki kobiet otaczających Mimsy. Po drodze zauważył, że Amy przeczesuje wzrokiem tłum.

- Szukasz kogoś?

Rzuciła mu bezradne spojrzenie.

- Patrzę tylko, czy jest tu twój ojciec.

- Jest w domu. Za chwilę przyjdzie.

Dotarli do celu. Usłyszał z oddali nazwę Hammerbilt, ale rozmowa ucichła, gdy kobiety zobaczyły, kogo przyprowadził.

- Witaj, Amy - powiedziała Mimsy. - Czy nie paliły cię uszy? Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

- Naprawdę? - Spojrzała nerwowo po paniach.

- Po prostu zastanawiamy się, czy wiesz coś więcej na temat fabryki. Czy mają zamiar ją zamknąć, czy nie.

Na jej twarzy odmalowała się ulga, ale pokręciła przecząco głową.

- Nic nie słyszałam. Wiem, że ma przyjechać grupa ludzi z IAT na kontrolę. To było zaplanowane jeszcze, zanim Fred... - Urwała, nie mogąc dokończyć tego zdania. - Obawiam się, że jestem teraz odcięta od informacji. Kiedy Fred... odszedł.

Kobiety bąknęły jakieś słowa współczucia, a Mimsy poklepała Amy po ręce. Ponad ramieniem matki ujrzał kogoś, na kogo czekał: na podjeździe pojawiła się Edie.

Przeniknęło go mocne poczucie własności. W tłumie delikatnych pastelów, turkusów i jasnego różu była oazą czerni. Czarne włosy, czarna krótka spódniczka, czarny top. Wszystko to opinało jej gibkie ciało, wywołując ostry dreszcz w jego piersi, brzuchu i niższych rejonach ciała.

Moja kobieta.



Silna i niezniszczalna. Nie ma w niej nic kruchego. Ta myśl uderzyła go, gdy Edie odwróciła się i odnalazła go wzrokiem. Ich spojrzenia spotkały się i ruszyli ku sobie bez jednego gestu czy słowa. Po prostu czyste rozpoznanie celu. Tylko dlatego tu jestem. Dla ciebie.

Zatrzymali się kilka centymetrów od siebie. Jej oczy błyszczały, a w twarzy dostrzegł napięcie. Ostrożność. Czyżby jego twarda dziewczyna była zdenerwowana?

Uniósł podbródek Edie i odwracał jej głowę z jednej strony na drugą.

- No proszę, proszę, Edie Swann. Uśmiechnęła się.

- Witaj, strózu prawa.

- Nie masz kajdanek.

- Postanowiłam się poddać. Skinął mądrze głową.

- Dobry pomysł. - Otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie i powiedział cicho: - Zdenerwowana?

Zesztywniała.

- A powinnam być? Posłał jej uśmiech.

- Nie wiem. Jeszcze nie poznałaś mojej matki.

- Właśnie, że poznałam. Skojarzył dopiero po chwili.

- Prawda. W bibliotece. Widzisz? Nie ma się czego bać.

- Łatwo ci mówić. - Podniosła do góry papierową torebkę. - Miranda jest?

- Miranda? Kobieto, myślałem, że przyszłaś tu dla mnie.

Zaprowadził ją nad basen. Pluskało się w nim z piskiem kilkoro dzieci. Na brzegu stała grupka matek, które pilnowały swoich pociech i gawędziły. Były tam również Bunny i Patty Jane. Gdy podeszła z Holtem do basenu, obrzuciły ją taksującym spojrzeniem.

- Cześć, Holt. - Bunny pomachała do niego przyjaźnie, ale zanim zdążył odpowiedzieć, powietrze przeszył piskliwy okrzyk.

- Pani łabędziowa!

Miranda wyskoczyła z basenu i przywarła do Edie, mocząc ją kostiumem kąpielowym.

Edie zniosła to bez słowa. Przytuliła jego córkę do kolan, po czym przykucnęła z uśmiechem.

- Jak się masz, Mirando?

- Świetnie. - Wskazała palcem na tatuaż na ramieniu Edie. -Mój fatuaż się zmył.

- Naprawdę? Miranda przytaknęła.

- Właściwie to dobrze. Bo nie miałabyś gdzie przylepić tego. Edie wyjęła z torebki garść kwadratowych papierków.

Od-

kleiła plastikową osłonę na jednym z nich, osuszyła miejsce na ręce Mirandy i przyłożyła papierek spodem do góry.

Zwilżyła go wodą z basenu, przytrzymała parę sekund, po czym powoli od-kleiła papierek.

Miranda szeroko otworzyła oczy. Krzyknęła zachwycona. Na jej ręce widniało małe serduszko.

- Tatusiu, popatrz, popatrz!

Pobiegła do basenu, by się pochwalić, a Edie powoli wstała, odprowadzając ją wzrokiem. Na jej twarzy malowało się zadowolenie. Nawet czysta przyjemność. Widząc, jak radzi sobie z jego córką, Holt poczuł przepelniające go ciepło.

- Moja matka będzie wkurzona - zauważył łagodnie. Edie przeniosła wzrok z Mirandy na niego.

- Naprawdę? - W jej głosie brzmiała nuta satysfakcji.

- O tak.

- Przykro mi.

- Wcale nie.

Po niespełna minucie otoczyła ich reszta dzieciaków, a wszystkie chciały, żeby im przykleić tatuaże. Miranda wspaniałomyślnie zgodziła się podzielić i Edie już miała zabrać się do dzieła, ale Bunny Carter uznała, że to niewłaściwe.

- Za chwilę zażądamy kolczyków na brwiach - dodała Patty Jane.

**144**

- To nie jest wieczne - wyjaśniła łagodnie Edie. - Za parę dni się zmyje.

Kierując się zdaniem Bunny i Patty Jane, inne kobiety pokręciły przecząco głowami, ale dzieciaki nie ustępowały i narobiły wokół sprawy tyle zamieszania, że jedna z matek w końcu dała za wygraną. Ta kapitulacja pociągnęła za sobą następne.

Nie ugięły się tylko Bunny i Patty Jane, które siłą wyprowadziły krzyczące dzieci z przyjęcia.

Edie naklejała tatuaż ostatniemu dziecku, kiedy nadciągnęła Mimsy. Wzięła Holta na stronę.

- Co się tu dzieje, na miłość boską? Bunny Carter wyszła obrażona, a Patty Jane wspomniała coś o diable i że porozmawia z Kennethem Parsleyem.

- Nic się nie dzieje. Dwie sztywniaczki i tyle.

- A co ona robi?

Spojrzała na Edie ponad ramieniem Holta. Na twarzy Mimsy pojawił się grymas, gdy usłyszała wyjaśnienie syna.

- Dopiero co zmyłam tamto paskudztwo. Holt otoczył matkę ramieniem.

- Wiem. Ale popatrz na Mirandę. - Jego córka promieniała. - Czy to coś złego?

Mimsy westchnęła.

- Chyba nie ma sensu robić afery, skoro jest taka szczęśliwa.

- Mądra dziewczynka.

Mimsy strząsnęła jego ramię i dźgnęła palcem w jego stronę.

- Twoja w tym głowa, żeby nas teraz przyjmowano. Chcę poznać tę kobietę.

- Ma na imię Edie.

- ,Tak, wiem. Edie.

- Możesz też na nią mówić „pani łabędziowa”.

Mimsy rzuciła synowi przeciągłe spojrzenie pełne irytacji.

- Wystarczy Edie.

Jak na zawołanie, Edie przykleiła ostatni tatuaż. Holt przywołał ją skinieniem, aby podeszła do niego i jego matki.

**10 - Śmiertelny grzech**

**145**

Mimsy obrzuciła ją taksującym spojrzeniem.

- Czy próbuje pani przekupić moją wnuczkę? - spytała, niezupełnie żartem.

Holt mrugnął do Edie, która uśmiechnęła się szeroko.

- Robię, co w mojej mocy.

- No cóż, nie jestem pewna, czy mi to odpowiada - rzekła Mimsy.

Holt chwycił Edie za rękę i ścisnął, by dodać jej otuchy. Ale Edie intuicyjnie wyczuwała, że nie należy brać poważnie słów Mimsy. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko odrobinie zabawy.

- Babuniu, zobacz! - Miranda podbiegła do nich rozpromieniona. - To serce.

Mimsy lekko zmrużyła oczy.

- To dlatego, że jesteś moim serduszkim. Miranda zachichotała i pobiegła się bawić.

- Zrobiła pani wrażenie - powiedziała Mimsy. - Czy zawsze tak łatwo podbija pani serca dzieci?

Uśmiech Edie zniknął, ale tylko na chwilę.

- Nie wiem. Nie znam zbyt wielu dzieci.

- Ale lubi je pani?

Holt przeczuwał już, że za chwilę zacznie się przesłuchanie.

- Mamo...

- Lubię Mirandę - odparła Edie.

- Chyba powinniśmy coś zjeść. - Holt pociągnął Edie. Mimsy, niezrażona, podążyła za nimi.

- A pani rodzice? Czym się zajmują?

Holt jęknął, ale Edie odpowiedziała beznamiętnie:

- Oboje nie żyją.

Holt i jego matka zamilkli. A Holt zaczął się zastanawiać, czego jeszcze nie wie o swojej kobiecie. Wtedy w kamieniołomie coś ją przygnębiło i unikała jego pytań. Wydawało się, że od tamtego czasu minęły wieki. Ale w gruncie rzeczy sam też niewiele jej powiedział o sobie. Nie cierpiał rozmawiać o Cindy.

- Przykro mi - powiedziała w końcu Mimsy. Edie mówiła dalej z twarzą bez wyrazu.

- Moja matka umarła dziesięć lat temu, ojciec dziesięć lat przed nią.

- To okropne. Musiała pani być bardzo młoda. Czy chorował?

Zesztywniała, a Holt próbował przyjść jej z pomocą.

- Mamo, daj już spokój.

- Zginął... w dziwnym wypadku - odparła Edie. - Moja matka nigdy nie doszła do siebie.

Podeszli do długiego stołu, na którym stały miski, talerze i jedzenie. Mimsy chwyciła Edie za rękę i lekko poklepała.

- To przykre, że tak wcześnie straciła pani rodziców. - Mimsy zwróciła się do Holta. - Dopilnuj teraz, żeby coś zjadła.

- Możesz na mnie liczyć. - Holt rzucił jej wymowne spojrzenie.

- No idę już, idę. - Oddalała się od nich, nie przestając mówić. - Cieszę się, że miałyśmy okazję porozmawiać, Edie.

Musimy to powtórzyć.

Groźba czy obietnica? Tak czy siak, czuł, że jego dziewczyna zdała pierwszy egzamin.

Edie odprowadzała wzrokiem Mimsy Drennen, która zostawiała ją sam na sam ze swoim synem. Chociaż otaczał ich tłum ludzi, wydawało jej się, że jakieś pole energetyczne chroni ją i Holta przed innymi. Rozejrzała się dokoła. Nie widziała Jamesa, ale i tak wyczuwała jego obecność. Trudno uwierzyć, żeby ten oddany rodzinie mężczyzna trzymał w zanadrzu bombę, która mogła rozbić jej życie.

Ale obiecała sobie, że odbierze mu tę moc, czyż nie? Otworzyła usta, po czym znowu je zamknęła. Postanowienie, że wyzna się prawdę, a samo wyznanie to dwie zupełnie różne sprawy. Poza tym Holt wyglądał na szczęśliwego. Był odprężony. Nie podobała jej się sama myśl, że miałyby to zepsuć.

Tak, jasne. Jest tchórzem.

Holt podał jej talerz.

- Jesteś głodna?

- Lepiej żebym była. Bo twoja matka nie da mi spokoju.

Była zbyt zdenerwowana, by jeść, ale przeszła się wzdłuż bufetu, nakładając porcje jedzenia, na które nie miała ochoty, na papierowy talerzyk umocowany na specjalnej podkładce. Sałatka ziemniaczana i colesław. Ambrozja. Standardowy zestaw na amerykańskiej imprezie sąsiedzkiej. Wszystko było takie zwyczajne. Każdy był ubrany w kolory lata. Żółty, turkusowy, biały. Dzieci biegały w kostiumach kąpielowych, trawa przyklejała się do ich bosych stóp. Dlaczego ktokolwiek z tych szczęśliwych, zwyczajnych ludzi miałby ją skrzywdzić?

Zemsta to broń obosieczna, uświadomiła sobie. Chciała się dowiedzieć, co się zdarzyło jej ojcu, ale prawdę mówiąc, pragnęła także zemsty. I przyjechała do tego miasta, aby jej dokonać, bez względu na koszty. Tylko że nie spodziewała się, że ceną okaże się życie. Także jej własne.

Drżała pomimo gorąca i zaciskała zęby. Kto się tam krył? Ktoś, kto też pragnął odwetu? Czy ktoś, kto po prostu chciał pozbyć się... jej?

Mimsy wyrwała się z kręgu kobiet i ruszyła pospiesznie do kogoś, kto wyszedł bocznymi drzwiami. Był to James z kilkoma sześciopakami piwa. Edie znieruchomiała, kiedy Mimsy przyprowadziła go do stołu z jedzeniem, gdzie umieścił piwo w naczyniach chłodzących.

Czy to był on? Czy to James ją prześladował? Serce zaczęło jej bić szybciej, starała się odejść na bok razem z Holtem, ale Mimsy ich zauważyła.

- Poznałeś już Edie? - zapytała męża.

Edie wstrzymała oddech, czekając na jakiś znak, że James ma zamiar zrobić jej krzywdę. Ale na jego twarzy malowała się tylko niezmacona uprzejmość. Wyprostował się, uchylił bejsbolówki i wytarł czoło wierzchem ręki.

- Pewnie że tak. Miło cię znów widzieć, Edie.

Aby zachować pozory, o ile to były pozory, Edie zmusiła się do uprzejmej odpowiedzi:

- Ma pan tutaj dużo towarzystwa do oglądania meczu. Skinął głową, rozejrzał się dokoła i znowu zwrócił na nią wzrok.

- Ci sami podejrzeni co zwykle.

Kolejna nic nieznacząca uwaga czy coś z ukrytym znaczeniem? Jej serce tak waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi, ale nikt inny nie zauważał niczego dwuznacznego. Holt wyławiał piwo z chłodziarki, a Mimsy poprawiała naczynia na stole.

Dołączyła do nich jakaś kobieta.

- James? Mogę z tobą porozmawiać?

- Oczywiście, Amy.

Ale zanim odeszli, Mimsy powiedziała:

- Znasz mojego syna, Holta?

- Oczywiście - odparła kobieta o imieniu Amy. - Był taki miły tamtej nocy, kiedy umarł Fred.

To imię zniweczyło wysiłek Edie, by się opanować. Ale na pewno w Redbud mieszkał niejeden Fred. Niejeden martwy Fred?

- A to jest Edie - powiedziała Mimsy. - Edie, to Amy Lyle. Edie przywitała się z kobietą, wpatrując się w jej bladoniebie-

skie oczy i wypłowiałe jasne włosy. Nie wyglądała na żonę wielkiej miasteczkowej szychy. Nie nosiła kreacji z ostatniej kolekcji Dany Buchman, ale coś, co kupiła lata temu w jakimś sklepie sieciowym. Spłowiałą sukienkę, która świadczyła, że zupełnie nie miała ochoty przejmować się swoim wyglądem. Wydawała się kruchą, zmęczoną i smutną kobietą.

Edie przeszło poczucie winy. Poczucie winy, które było zupełnie nie na miejscu. Nie musiała się obwiniać o śmierć Freda Lyle'a. Chciała to wykrzyczeć całemu światu. To nie była jej wina. Nie. Zostaw mnie w spokoju, kimkolwiek jesteś! Zostaw mnie w spokoju!

Zamiast tego wypowiedziała najbardziej nieoczekiwane słowa.

- Współczuję pani z powodu śmierci męża, pani Lyle.

- Dziękuję, moja droga.

Czy James chciał prześwidrować ją wzrokiem na wylot? Czy to tylko jej wyobraźnia?

Zanim to stwierdziła, wdowa po Fredzie Lyle'u zwróciła się do byłego szefa policji:

- James?

- Może wejdziemy do domu - zaproponował i wskazał jej drogę.

Teraz, kiedy mury domu oddzielały ją od Jamesa, Edie odetchnęła swobodniej. Mimsy poszła przywitać następnego gościa i Edie znowu została sam na sam z Holtem.

Co tylko przyspieszyło bicie jej serca. Teraz. Zrób to teraz. Wykonaj ten cholerny skok do czarnej przepaści i powiedz mu. Ułożyła już słowa w głowie. Holt, kochanie, jestem czarnym aniołem. Ale ci dwaj zmarli to naprawdę był przypadek. Nie miałam z tym nic wspólnego. Przysięgam na grób mojego biednego ojca. Och, a twój ojciec? Którego tak bardzo kochasz i szanujesz? No cóż, być może próbował mnie zabić.

I gdyby w to uwierzył...

Oho.

- Wszystko dobrze? - zapytał Holt. Skinęła, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- Na pewno? Chyba nie wzięłaś sobie do serca tego maglowania mojej matki, prawda? Proszę...

Podał jej butelkę piwa. Wypiła duży łyk zimnego napoju, spłukując słowa, które utknęły jej w gardle.

- Lepiej?

- W porządku.

I może to była prawda. Może wszystko jeszcze obróci się na dobre. Cokolwiek James wiedział, nie mówił o tym. Jeszcze nie. Musi po prostu trzymać się z dala od niego. I sprawdzać motor. Dzięki Bogu, nikt nie umarł w ciągu ostatnich kilku dni i miała nadzieję - oby nie płoną - że nie zobaczy już czarnego anioła.

Pociągnęła kolejny duży haust z butelki. Napięcie w żołądku zelżało i pomyślała, że ma ochotę coś zjeść.

Zanim wzięła talerz, zadzwoniła komórka Holta. Sprawdził numer.

- Muszę odebrać.



Jego twarz spoważniała. Ręka zaczęła jej drżeć i znowu odstawiła talerz.

- Kiedy? - powiedział Holt do telefonu. - Zadzwoń po doktora Fergusona. Zaraz tam będę. - Rozłączył się i odwrócił do Edie. - Przepraszam cię. Muszę jechać.

- Co się stało? - spytała z napięciem w głosie. Ramiona jej zeszywniały.

- Pastor Parsley.

Ruszył do samochodu szybkim krokiem, ale Edie go dogoniła. Serce podeszło jej do gardła.

- Co z nim?

- Chyba nie żyje.

## Rozdział 24

Kiedy Holt przyjechał do kościoła, zgromadziła się tam już spora grupka ludzi. Sam zadzwoniła po ochotnicze siły policyjne i Galen Crews był na posterunku przed frontowymi drzwiami.

- Co się dzieje, szeryfie? - zawołał ktoś spośród gapiów, kiedy Holt torował sobie drogę do drzwi.

- Chcę się właśnie tego dowiedzieć.

Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie, i skinął głową do chudego jak patyk osiemdziesięciolatka, który siedział na składanym krześle przed drzwiami, wybijając długą stopą jakiś rytm słyszalny tylko dla niego samego.

Podniósł się z krzesła, ale Holt dał mu znak, żeby usiadł.

- Jakież problemy? - zapytał Holt.

- Nie, szeryfie.

- Dobra. Nie wpuszczaj nikogo.

Holt wszedł do kościoła i spotkał Sam w kaplicy. Bez słowa zaprowadziła go na miejsce zdarzenia - przez przebieralnię dla mężczyzn i po rampie do basenu będącego chrzcielnicą. Wielkie

cielsko pastora Parsleya unosiło się na wodzie twarzą do dołu, wypełniając niemal cały zbiornik.

- Znowu atak serca? - wyszeptała Sam.

- Być może. - Holt ogarnęło uczucie przygnębienia. - Kto go znalazł?

Sam odpowiedziała po chwili:

- Terry Bishop. Jego ciotka jest sekretarką w biurze kościoła. Chyba po nią przyjechał.

- Gdzie oni są?

- W biurze pastora. Ta ciotka była... jest stara i źle zniosła tę wiadomość.

Holt zrozumiał. Pewnie dostała ataku hysterii.

- Zdjęcia? - zapytał Holt.

Sam wskazała głową na aparat, który zakupił departament i który nigdy nie był używany, nie licząc szkoleń.

Umieściła go na krześle przyniesionym nad basen z innego miejsca.

- Mam.

- Z każdej strony? Przytaknęła.

- W porządku. Idź do biura i dopilnuj, żeby tych dwoje poczekało.

Gdy odeszła, przyjrzał się uważnie miejscu zdarzenia. Basen znajdował się na tyłach prezbiterium, przez którego witrażowe okno sączył się strumień słabego światła. Woda była zielona, jak w morzu, odbijając kolor farby na dnie i ścianach basenu. To nadawało jej nieziemską aurę. Ale przypuszczalnie tak właśnie miała wyglądać ta wielka chrzcielnica. Budzić przekonanie, że jest się obmywanym przez Ducha Świętego. A to przecież było niesamowite. Tylko że teraz w basenie unosił się duch śmierci. Spokój. Cisza. Ani śladu krwi w wodzie. Czysto, jasno i ostatecznie.

Holt wyjął notes i zrobił szkic tego miejsca. Kiedy kończył, wkroczył doktor Ferguson.

- Mój Boże - powiedział lekarz, kiedy zobaczył, kto pływa w basenie. - Co się stało?

- Mam nadzieję, że pan nam powie.

**146**

Doktor badał już ciało.

- Mogę go ruszyć?

- Mamy już zdjęcia.

Chwycili nieboszczyka za stopy i we dwóch zdołali jakoś odwrócić go twarzą ku górze. Zaczął się już proces hipostazy i krew zgromadziła się w płucach. Holt widział w Memphis wielu topielców. Ofiary wypadków albo samobójstw. Na ogół ciało jest częściowo skulone, jak w pozycji płodowej, a hipostaza występuje na twarzy i szyi. Pastor unosił się na wodzie, co mogło oznaczać jedną z dwóch rzeczy. Albo nie utonął, albo utonął, ale nie w basenie. Nie było jeszcze oznak pośmiertnego stężenia, co oznaczało, że zgon nastąpił niedawno.

- Może woda zapobiegła stężeniu - powiedział doktor. Mierzył temperaturę wody, aby ją porównać z temperaturą ciała zmarłego. - Zobaczymy.

Nie było śladów walki czy przemocy. Tylko twarz zastygła w grymasie przerażenia. Przyczyny naturalne czy coś bardziej złowieszczonego? Ferguson przykłęknął nad nieboszczykiem, podniósł jego rękę. Żadnych uszkodzeń na nadgarstkach. Ani ran kłutych na szyi i twarzy.

- Co pan sądzi? - zapytał Holt.

- Nie mam pewności. - Wstał z kolan, wytarł ręce papierowym ręcznikiem. - Jak powiedziałem, czasami woda zaciera przyczyny. Ale na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że wygląda to raczej naturalnie. Umarł niedawno. Przed godziną. Może dwiema.

To by oznaczało, że śmierć nastąpiła między szesnastą trzydzieści a siedemnastą trzydzieści. Dobry początek.

- Atak serca? - zapytał Holt.

- Odpowiem, jak mu się bliżej przyjrzę.

- Miał jakieś problemy z sercem? - zadał jeszcze jedno pytanie.

- Nie leczył się w mieście. Nic o tym nie słyszałem, ale kto wie. - Rozejrzał się. - No dobrze, czy mogę go stąd zabrać?

Holt zawołał dwóch mężczyzn z ochotniczej straży pożarnej, których doktor przywiózł ze sobą. We czterech udało im się wyciągnąć ciało z wody i zapakować do worka.

Holt patrzył, jak wywożą duchownego na noszach, i miał nadzieję, że strażacy zachowają dyskrecję na temat tego, co widzieli. Wiedział jednak, że niezależnie od jego życzeń informacje i tak wyciekną.

Odetchnął głęboko. Czas porozmawiać ze świadkami.

W biurze pastora biurko i krzesło zajmowały jedną ścianę. Sam przysiadła na biurku i, skrzyżowawszy ręce na piersi, patrzyła czujnym wzrokiem. W rogu stały dwa fotele, a między nimi mały stoliczek. Sekretarka siedziała skulona w jednym z foteli, gniotąc w dłoni brzeg chusteczki. Pod ścianami znajdowały się regały z książkami. Terry Bishop opierał się o jeden z nich.

- Terry. - Holt kiwnął mu głową.

- Szeryfie. - Terry odpowiedział tym samym.

- Powiesz mi, co tutaj robisz?

Wyglądał bardziej posepnie niż zwykle, o ile było to możliwe.

- Już powiedziałem Sam. Przyjechałem po ciocię.

- O tak późnej porze?

- Jest wtorek - powiedział Terry. - Zawsze tu jesteśmy we wtorki. O tej samej porze. Wszyscy to potwierdzą.

Holt spojrzał na Sam, która cichym głosem podała mu nazwisko kobiety.

- Panno Garvey? - Holt usiadł na krześle naprzeciwko. - To prawda?

Sekretarka skubała chusteczkę.

- Zawsze przychodzę we wtorek wieczorem. Przygotować biuletyn na środę i przepisać kazanie pastora. Terry mnie odbiera i czasami jedziemy do Claire's na obiad. A potem do domu. On ze mną mieszka. Tylko tym razem... -

Skubała chusteczkę, niezdolna mówić dalej.

- Dlaczego Terry panią odbiera? Nie umie pani prowadzić?

- Umie - odparł Terry. - Pozwala mi korzystać ze swojego samochodu, kiedy tu jest.

- To prawda? Panno Garvey, czy to prawda?

Kobieta wpatrywała się w Holta, ale miał wrażenie, że go nie widzi.

- Był tam po prostu. I pływał. Jak na wakacjach. - Zadrżała, a jej spojrzenie spochmurniało. - Nie powinien był pływać w tej chrzcielnicy.

Łza spłynęła po jej policzku, odruchowo wytarła ją brzegiem chusteczki.

Holt spróbował jeszcze raz. Wziął ją za rękę i zapytał łagodnie:

- Jak tu pani dzisiaj przyjechała? Zadrżała, ale odpowiedziała:

- Siostrzeniec mnie podrzucił.

- Czy zwykle tak robił? Nie umie pani prowadzić? Terry zrobił krok do przodu.

- Mówiłem już...

- Zamknij się.

Sam wstała, żeby go zatrzymać.

- W porządku, mój drogi. - Panna Garvey odzyskiwała panowanie nad sobą. Zwróciła się do Holta. - Samochód Terry'ego jest niesprawny, więc tak się umówiliśmy. On mnie tu przywozi, może używać mojego samochodu przez kilka godzin, a potem mnie odbiera.

- O której panią tu przywiózł?

- Było parę minut po szóstej. - Skuliła się znowu w fotelu. Patrzyła na Holta przez łzy. - Będziemy musieli wyczyścić chrzcielnicę, prawda?

- Nie wiem, panno Garvey.

- Dokonać oczyszczenia.

Spojrzała na swoje ręce. Łza kapnęła na chusteczkę.

- Czy ktoś tu był, kiedy przyjechaliście? Pokręciła głową.

- Jest pani pewna? Przytaknęła.

Holt odwrócił się do Terry'ego.

- A ty? Widziałeś kogoś, kiedy przyjechaliście?

- Nie.

- A kiedy znalazłeś pastora, leżał twarzą do dołu?

- Nie dotykałem go - powiedział Terry. - Zostawiłem go tak, jak był.
- A skąd w ogóle wzięłeś się przy chrzcielnicy? To nie jest po drodze do biura.
- Jest, jeśli podjedzie się od tyłu.
- Od tyłu? Ciocia wpuściła cię do środka? Wymienił spojrzenia z ciotką. Odpowiedział niechętnie:
- Mam klucz.

Holt zmarszczył brwi.

- Klucz? A po co ci klucz do kościoła?
- Sprząta tu rano - ujęła się za nim ciotka. - Odkurza i takie tam.
- Nie wyglądasz na kogoś, kto sprząta kościoły-wtrąciła Sam.
- Ktoś musi posprzątać kościół - powiedziała ciotka. - To uczciwa praca. A on potrzebuje pieniędzy.
- Na naprawę samochodu - dodała ironicznie Sam. Holt zwrócił się ponownie do staruszki.
- Nie wie pani, dlaczego pastor wszedł do chrzcielnicy? Zaprzeczyła ruchem głowy.
- Może chciał naprawić odpływ. - Pociągnęła nosem. -W niedzielę były chrzciny. Mały Aaron Tewksbury. Zna pan Tewksburych? To taka miła rodzina. - Odetchnęła z drzeniem. -Piękna uroczystość. Naprawdę. Szkoda, że nie mogłam widzieć tego małego aniołka...
- I coś się stało z chrzcielnicą?
- Nie, wszystko było w doskonałym porządku. Przebiegło bez żadnego problemu. Ale po każdym chrzcie wypuszczamy wodę z basenu. Myślę... myślę, że może chciał zobaczyć, co się stało. - Głos jej się załamał i wydmuchała nos.
- Nie macie tu człowieka do takich robót?
- To mały kościół. Większość z nas pracuje jako wolontariusze. Zawsze brakuje pieniędzy na naprawy.
- A pani siostrzeniec?
- No... nie wiem. - Przez chwilę wydawała się zakłopotana i spojrzała na Terry'ego, szukając pomocy.

- Miałem się do tego zabrać - bronił się. Jego ciotka odzyskała pewność siebie.  
- Tak, powinien był poczekać, aż Terry to zrobi. - Znowu zaczęła płakać. - Nie wiem, dlaczego nie poczekał na Terry'ego. Lubił wszystko robić sam, ale powinien poczekać.  
- Czy miał problemy z sercem? - zapytał Holt. - Ataki? Coś, co mogłoby wyjaśnić, co mu się stało?  
Pokręciła przecząco głową.  
- Nic o tym nie słyszałam. Ostrożnie zadał następne pytanie.  
- Czy przychodzi pani na myśl ktoś, kto mógłby chcieć go skrzywdzić?  
- Zrobić krzywdę duchownemu? - Ta myśl wydawała się niewyobrażalna. Po chwili jej oczy wypełniły zdziwienie i smutek. - Chyba pan nie sądzi... drogi Boże, nie mówi pan...  
- Czy otrzymywał jakieś listy z pogroźkami? Pokłócił się z kimś?  
Jej twarz pobraźniała.  
- O co chodzi? - Pochylił się w jej stronę. - O co chodzi? Zawahała się, a Holt wymienił spojrzenia z Sam.  
- Jeśli coś pani wie, cokolwiek...  
- Nie jestem pewna - powiedziała. - To pewnie nic takiego.  
- Pozwoli pani, że sam zadecyduję.  
Wstała na drżących nogach, oparła się na Holcie, podczas gdy Sam przytrzymała drzwi. We dwoje zaprowadzili ją do biurka stojącego na zewnątrz gabinetu, a Terry ruszył za nimi. Starsza kobieta otworzyła kluczem górną szufladę i wyjęła małą, zaklejoną kopertę, którą podała Holtowi. Zważył ją na dłoni, czując tylko ciężar samego papieru. Cokolwiek było w środku, nie ważyło wiele.  
Góra koperty została otwarta i z powrotem zaklejona. Holt chwycił nożyczki, które znajdowały się w kubku pełnym długopisów, i przeciął taśmę. Wysypał zawartość na biurko.  
Ich oczom ukazał się czarny anioł.

## Rozdział 25

**Chociaż** panna Garvey widziała go **już** wcześniej, wydała okrzyk **przestrachu** i zasłoniła **usta**, jak gdyby widok anioła zdziwił ją nie mniej niż pozostałych.

- Słodki Jezu. - Terry cofnął się o krok do tyłu.

- Niech mnie diabli - mruknęła Sam.

Holt nic nie powiedział. Miał ściśnięte gardło. Trzy zgony, trzy czarne anioły. O wiele za dużo jak na zbieg okoliczności. Cokolwiek przydarzyło się pastorowi Kennethowi Parsleyowi, nie był to wypadek.

Holt odwrócił kopertę, widniał na niej adres kościoła. Pokazała ją Sam.

- Jest zaadresowana do pastora Parsleya - powiedziała Sam. - Co w takim razie robi w pani biurku?

Panna Garvey wydawała się zawstydzona.

- Nie chciałam go martwić, więc czekałam na odpowiedni moment, by mu to dać.

- Kiedy to przyszło?

- W zeszłym tygodniu - odpowiedziała panna Garvey. -Przeglądam pocztę w te dni, kiedy tu jestem. - Znowu wykręcała dłonie. - Czy źle zrobiłam? Gdybym wiedziała...?

Terry pogłaskał jej szczupłe ramiona.

- Już dobrze. Jestem pewien, że obojętnie kiedy byś mu to dała, i tak nie miałoby to żadnego znaczenia.

- Skąd wiesz, że nie miałoby to znaczenia? - spytała Sam. Terry rzucił jej pewne siebie spojrzenie.

- Chodzi mi o to, że jeśli pastor został wyznaczony na śmierć, to by i tak nic nie zmieniło. Czy by mu to dała, czy nie.

Jego ciotka gwałtownie wciągnęła powietrze i znowu zaczęła drżeć. Sam jęknęła, a Holt powiedział:

- Nie życzę sobie, by takie historie rozniosły się po mieście, Bishop. Nikt nie wyznacza nikogo na śmierć.

Terry wzruszył ramionami i przygarnął ciotkę do siebie.



- Czy możemy już jechać do domu? Ciocia Ellen jest zmęczona.

Holt zawahał się. Znał godziny otwarcia baru, więc wiedział, gdzie szukać Terry'ego, a jego ciocia rzeczywiście wygłądała na wyczerpaną. Ale nie miał ochoty jeszcze ich puszczać.

Terry jęknął rozczerwany.

- Szeryfie, jeśli chce pan wiedzieć, co się stało pastorowi, to niech pan zapyta swoją dziewczynę.

Holt osłupiał ze zdumienia.

- Co?

- To, co powiedziałem. Niech pan zapyta swoją dziewczynę, paniusię z tatuażami.

Holt zmarszczył brwi. Jak mogło mu przyjść do głowy, żeby wywlekać tu jej osobę i zwałać na nią winę?

- O czym ty, do diabła, gadasz?

- Była tu. Dziś rano. Złapałem ją, jak myszkowała w biurze pastora.

W pomieszczeniu zrobiło się nagle gorąco. Holt skoczył przed siebie. Złapał Terry'ego za gardło. Panna Garvey krzyknęła. Sam wpadła między obu mężczyzn.

- Szefie!

Holt zignorował ją i wyrywał się do przodu.

- Zamknij gębę - warknął na Terry'ego.

- Co prawda, to prawda - drażnił go Terry, bezpieczny za plecami Sam. - Powiedziała mi nawet, że bym uważał na pastora. Jakby wiedziała, że stanie mu się coś złego.

- Zamknij się, Terry - zgromiła go Sam. I kładąc ciężką dłoń na piersi Holta, zwróciła się do szeryfa: - Spokojnie. Jakby tego było mało, zadzwonił telefon Holta. Ten nie przestawał jednak świdrować Terry'ego wzrokiem. Nie ruszył się. Telefon zadzwonił ponownie. I jeszcze raz. Jego dźwięk sprowadził sytuację do normalności, a pod dotykiem ręki Sam napięcie Holta zaczęło opadać.

- Zabierz ich stąd - warknął do swojej zastępczyni i odszedł. Dzwonek zamilkł. Sięgnął po telefon, by sprawdzić, kto to był. Edie.

**159**

Widział Terry'ego. Słyszał jego słowa. I gdzieś w jego wnętrzu zawisła ciemna chmura.

## Rozdział 26

**Edie** przestała wydzwaniać. Powinna zostawić Holta w spokoju, ale cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. Co się stało z Parsleyem? Czy ktoś odnalazł czarnego anioła, którego szukała? Oparła się o ścianę domu Drennenów. Czuli, że poci się pod pachami, bynajmniej nie od upału. Czy anioł śmierci po raz kolejny uderzył w jej imieniu? Zadrżała. Dlaczego Holt nie odbierał telefonu?

- Tu jesteś, Edie.

Serce Edie mocniej zabiło, odwróciła się. Nie wiedziała, co zobaczy. Czy anioła we własnej osobie? Diabła? Ale to był tylko ojciec Holta, który wyszedł zza rogu i zbliżał się do niej. Obok niego szła wdowa po Fredzie Lyle'u.

- Dobrze się bawisz? - zapytał James Drennen.

Skinęła, bo zaschło jej w ustach i nie mogła wydobyć głosu.

- Pamiętasz Amy Lyle?

- Miłe przyjęcie - powiedziała Amy. Edie ledwo udało się wykrztusić:

- Tak, rzeczywiście.

Miała świadomość, że to wymiana pustych słów, podczas gdy to, co ważne, pozostało niewypowiedziane. Przykro mi z powodu pani męża. Przykro mi, bez względu na to, jaką rolę odegrałam w jego śmierci. Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Czarny anioł rósł w jej głowie, nabierał życia. Pikował w dół, machając wielkimi skrzydłami, których szum był niczym dudniące trzęsienie ziemi. Dźwięk w jej głowie stał się tak dokuczliwy, że nie mogła go znieść.

- Proszę wybaczyć.

Uciekła. Dosłownie pobiegła do motoru, omiatając wzrokiem niebo, jakby w każdej chwili mógł się na nim pojawić ogromny czarny potwór, porwać ją z ziemi i wzbić się w przestworza, coraz wyżej i wyżej, szybciej i szybciej. Aż zniknęłaby w oddali, pozostawiając po sobie jedynie zemstę.

Sam dziwiła się, że Holt nie wrócił do domu po wyjściu z kościoła. Zwykle to ona odwalala papierkową robotę. Ale tym razem pojechał z nią do biura, nerwowo jak wszyscy diabli.

Ona była spokojna. Od początku wiedziała, że z tą kobietą wiąże się coś dziwnego. Chcąc jak najszybciej sprawdzić historyjkę Terry'ego, zapytała Holta, czy ma przywieźć Edie na posterunek. Nie odpowiedział.

- Z chęcią ją przesłucham, jeśli ty nie chcesz tego robić - powiedziała.

- Dam sobie radę - odszczeknął. - Jeśli to będzie konieczne. Na razie nie jest.

- Ale Terry powiedział...

- Wiem, co Terry powiedział, ale Terry Bishop jest plotkarzem i pijakiem. Nie warto przejmować się wszystkim, co wychodzi z jego ust.

- Tak, ale...

- Żadnych ale, Sam.

- Ale...

- Powiedziałem...

- No dobra, dobra. - Nie przypuszczała, że będzie taki uparty. Czy ta wiedźma owinęła go sobie wokół palca bardziej, niż jej się wydawało? Trudno uwierzyć, że mógł dopuścić do tego, by jego życie seksualne wpływało na pracę.

Wprost trudno uwierzyć. To zwyczajnie niemożliwe. - Wezwiesz policję stanową?

I znowu brak odpowiedzi.

- Mamy trzy tajemnicze zgony, Holt. W Redbud nie ma środków, żeby prowadzić tak szerokie dochodzenie. -

Czekała, ale znowu nic. Jezu, można by pomyśleć, że mu rozum odebrało. - Mogę po nich zadzwonić, jeśli chcesz.

**11 - Śmiertelny grzech**

**161**

- Nikt nie będzie nigdzie dzwonił - warknął Holt. Rzucił długopis, wstał zza biurka. - Dostyc na jeden wieczór. Skończymy rano.

Sam gapiła się na niego. Odkładanie czegoś na później nie było w jego stylu.

- W porządku. Ja mogę zostać.

- Czy masz zamiar kłócić się ze mną o każdy drobiazg? Powiedziałem, że skończymy jutro.

Wzruszyła ramionami, starając się ukryć niezadowolenie.

- Jasne, szefie. Jak każesz.

Wyszedł na zewnątrz, nie czekając na nią. Czuła się jak głupi szeregowiec.

Otrzymywała już gorsze połajanki. A prawdę mówiąc, sama potrafiła gorzej obsztorcować. Ale z Holtem nigdy jeszcze się to nie zdarzyło. Kiedy pomiatał nią w taki sposób, ranił jej uczucia. Zwłaszcza że wykonywała przecież tylko swoje obowiązki. I to lepiej niż on w tej chwili.

Ale nigdy w życiu nie zdarzyło jej się nie posłuchać rozkazu. Uprzątnęła więc biurko, ułożyła raport schludnie na samym wierzchu, a następnie zgasła światło.

Może jak się porządnie wyśpi, to odzyska rozum. Tak, tego mu było trzeba. Dobrego snu. Kiedy jutro przyjdzie do pracy, zrobi to, co należy.

Zamknęła drzwi na klucz i skierowała się do samochodu. Zganiła się w duchu za to, że zwątpiła w niego choćby na moment. Holt zawsze robił to, co należało. Pęczniała z dumy, gdy o nim myślała. To zaszczyt pracować u jego boku. I była cholernie dumna. Nigdy jej nie zawiodł i nigdy nie zawiedzie. Zwłaszcza z powodu jakiejś laski na motorze, która chyba nigdy w życiu nie miała w ręce żelazka i nawet nie wiedziałyby, co z nim zrobić.

Holt po wyjściu z biura jeździł bez celu po okolicy. Nie miał chęci wracać do domu. Potrzebował czasu, żeby ochłonać. Przetrawić słowa Terry'ego i przyswoić to, co oznaczały.

Skierował się na cmentarz, do samego czarnego anioła. Ogromna rzeźba pochylała się nad kamiennym nagrobkiem Swanfordów, a jej gigantyczne skrzydła sięgały aż na dwa sąsiednie groby. Przerazające grube pasma gęstych włosów odgarnięte były z wysokiego czoła.

Holt zapatrzył się w twarz o ostrych rysach. Te oczy zdawały się go śledzić. Słowo „anioł” - zawierające w sobie bowiem delikatne, kobiece tony, obietnicę pocieszenia - nie pasowało do tej figury. Natomiast w tej postaci nie było nic delikatnego ani kobiecego. Emanowała z niej czysta męska złość.

Anioł zemsty.

Podniósł wzrok na to oblicze jak wyznawca stojący u stóp groźnego boga. Kogo mściło to bóstwo? Odpowiedź wydawała się oczywista. Ale co Lyle, Runkle i Parsley mieli wspólnego z Charlesem Swanfordem? Lyle zarządzał fabryką, więc związek wydawał się wyraźny. Ale pozostali?

Spojrzał na nazwisko na nagrobku. Poraziła go nagła myśl. Brzmiało znajomo, ale sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać. Swanford było diabelnie podobne do Swann. Zbyt podobne. Przez krótką chwilę to podejrzenie dudniło mu w głowie. A jeśli Edie...?

Nie, nie pójdzie tym tropem. To śmieszne. Jak mogłaby? Dlaczego miałaby to zrobić? Słowa Terry'ego Bishopa zasiały ziarno niepewności.

Tłumił te wątpliwości przez całą drogę do domu. Siedział chwilę w samochodzie, patrząc na dom rodziców. Dom, w którym się wychował. Dom, w którym dorastała jego córka. Wydawało się wręcz niemożliwe, żeby coś mrocznego i złego mogło krążyć po ulicach jego rodzinnego miasta.

W posepnym nastroju wszedł do środka. Matka sprzątała w kuchni razem z kilkoma kobietami.

- O, witaj, Holt. - Posłała mu uśmiech, wycierając ręce w ściereczkę do naczyń. - Jesteś głodny? Nie za wiele jadłeś.

- Potem coś połknę.

**157**

Nawet się nie zatrzymał, żeby się przywitać z pozostałymi kobietami, tylko poszedł do salonu, gdzie ojciec zbierał puste puszkę i pakował je do plastikowej torby na śmieci. Uderzały o siebie z cichym brzękiem.

- Jest Miranda? Pokręcił głową.

- Już śpi.

Holt padł na sofę.

- Kłopoty? Holt przytaknął.

- Pastor Parsley.

- Co? - Brzęk puszek ustał.

- Utonął w kościelnej chrzcielnicy.

- O Boże. - James usiadł obok Holta.

- Terry Bishop go znalazł. - I nie zastanawiając się wiele, przekazał ojcu wszystko, co wiedział, nie pomijając tego, co Terry powiedział o Edie.

- Nie wiem, co o tym myśleć, tato. To może być stek bzdur. Może Bishop chciał się tylko na mnie odegrać.

- Ale się martwisz.

- Przede wszystkim muszę ją o to zapytać.

- Myślę, że to dobry pomysł. No bo co my właściwie o niej wiemy? Przyjeżdża do miasta, nawiązuje przyjaźń z miejscowym stróżem prawa i nagle ludzie zaczynają umierać.

Ojciec potwierdził wcześniejsze wątpliwości Holta, których ten nie chciał przyjąć do wiadomości.

- Tato, daj spokój, mówisz tak, jakby Edie była jakąś psychopatyczną zabójczynią.

- Może jest. - Ojciec zamilkł na chwilę i posłał mu grobowe spojrzenie. - Nie byłem pewien, czy powinienem ci o tym powiedzieć. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć. Ale teraz nie mam wyboru. - Przerwał na chwilę, by wziąć głęboki oddech. - Czy wiesz, że Amy Lyle zwróciła się do mnie, żebym przeprowadził dla niej prywatne dochodzenie? Wygląda na to, że Fred zrobił dziwny zapis w testamencie. Zapisał dużą sumę pew-

nej Eden, która nazywa się... Swanford. Założę się o wszystko, że Edie Swann to naprawdę Eden Swanford. Holt słyszał słowa wypowiediane przez ojca, ale ich treść do niego nie docierała.

- To... niemożliwe.

Podejrzenie, które powziął na cmentarzu, uderzyło w niego z całą siłą, jak cios pięścią prosto w serce.

- Naprawdę?

James wstał i zaprowadził Holta do pokoju na tyłach domu, który służył za gabinet i prasownię Mimsy. Przecisnęli się obok kosza z wypraną bielizną, deski do prasowania i koszul na suszarce, które czekały na swoją kolej. Holt widział to wiele razy, ale teraz te rzeczy wydawały mu się dziwaczne i zupełnie nie na miejscu. James otworzył kluczem górną szufladę biurka wciśniętego pod samą ścianę. Podał Holtowi dokument.

- Przyszło wczoraj.

Była to kopia orzeczenia sądu ze stanu Pensylwania, wyrażającego zgodę na zmianę nazwiska z Eden Swanford na Eden Swann.

Holt wpatrywał się w kartkę, czuł, że niewidoczna pięść coraz mocniej zaciska się na jego sercu. Oddychał z trudem. Ale nawet gdyby wątpił w prawdziwość dokumentu, to nie mógł przecież podważyć dowodu wyrytego na jej skórze. Jabłko z owiniętym wokół niego wężem, widniejące nad jej piersią, nie oznaczało kuszenia, tylko Eden - jej imię. A ptak na ramieniu? Łabędź. Eden Swann.

Emocjonalna reakcja Edie w kamieniołomie nabrała teraz sensu. Historia, którą opowiedziała jego matce. Rodzice zmarli, ojciec wskutek dziwnego wypadku. Dziwnego wypadku.

Chociaż go to bolało, musiał przyznać rację Terry'emu Bishopowi. Wizja złowieszczonego czarnego anioła wypełniła jego umysł. Postać, która osłaniała grób Charlesa Swanforda, odpowiadała również za kilka ostatnich zgonów: pastora Parsleya, Dennisa Runkle'a i, oczywiście, Freda Lyle'a.

Słowa rozmazywały się przed jego oczami, a papier zaczął drżeć w ręce. Czym prędzej położył go na biurku.

- Fred Lyle miał atak serca. Sugerujesz, że Edie jakoś go wywołała?

James położył dłoń na ramieniu Holta. Mocny i stanowczy dotyk był jak ostatnia deska ratunku.

- Niczego nie sugeruję, synu. Tylko że teraz istnieje powiązanie. I to w ludzkich kategoriach.

I chociaż James tego nie powiedział, Holt domyślał się, o co chodziło ojcu, ponieważ taka sama myśl zrodziła się także w jego głowie. Teraz miał nie tylko powiązanie, ale także motyw.

i jeśli nawet zemsta okazałaby się niewystarczającym powodem, to pieniądze były lepszym motywem morderstwa niż jakikolwiek inny.

## Rozdział 27

**Edie** nie była w stanie myśleć. Z trudem oddychała. Popędziła do Red's, ścigana przez cień tak ciemny i ogromniejący, że zasłaniał gwiazdy. Prawie nie używała hamulców, dopóki nie wjechała na tyły baru. Zeskoczyła, wbiegła po metalowych schodach i dopadła do drzwi mieszkania. Ręce jej drżały i chwilę gmerała przy zamku. W końcu wpadła do środka i oparła się bez tchu o drzwi, cała roztrzęsiona.

Co się dzieje? Czy obudziła w Redbud jakiegoś morderczego demona? Tego samego, który zabrał jej ojca?

Ścisnęła głowę rękoma. To było szalone. Diabły, demony, anioły śmierci. Wariactwo. Wiedziała o tym, ale nie mogła zatrzymać rozpędzonego pociągu. Szaleństwo było rodzinną przypadłością, czyż nie? Niezrównoważenie psychiczne. Słabość. Czy przyszła kolej na nią?

Zbierało się jej na mdłości, żołądek kurczył się i podchodził do gardła. Oderwała się od drzwi, pobiegła do małej łazienki, podniosła klapę od sedesu. Zwymiotowała.



Silne, eksplodujące z jej wnętrza torsje zdawały się trwać bez końca. Ale groza nie minęła. Kiedy już nie miała czym wymiotować, wyczerpana i opróżniona, nadal się trzęsła i pocila. Wciąż nie mogła zrozumieć, jakim cudem ktoś mógł wiedzieć, co kryło się w jej sercu. I wykorzystywać to.

Czy ktoś ją obserwował? Śledził? I czy ta osoba знаła każdy drobiazg z jej przeszłości, wszystkie sekrety? Obrzuciła pokój dzikim wzrokiem, jak gdyby ten nieodgadniony ktoś czaił się w mroku. Ale niczego nie było. I nikogo.

Odchodząc od zmysłów, szarpnęła plastikową zasłonę prysznicza. Metalowe kółka zabrzęczały na rurze. Pusto.

Co się dzieje? Kto będzie następny? Nie wysłała Jamesowi ostatniego czarnego anioła. Czy mimo to ojciec Holta stanie się kolejną ofiarą? A może sprawca tych zgonów poinformuje Holta, że to jego kochanka wysyłała czarne anioły?

Zamarła. Terry Bishop widział ją w kościele. Wygada to Hol-towi, na sto procent. O Boże. Czy zgnije w więzieniu? Tak czy inaczej, jej życie było skończone.

Pozostała tylko jedna rzecz do zrobienia. Uciec. Zaraz. Zanim ktoś umrze. Przecież kolejną ofiarą mogła być ona.

Słaniając się, wyszła z łazienki, ściągnęła torbę z półki i rzuciła na łóżko. Wpakowała do środka swoje rzeczy, nie zwracając sobie głowy składaniem. Ładowała dzinsy, staniki i buty. Nawet nie sprawdziła, czy nic nie zostało.

Szczoteczka do zębów, skarpetki - jeśli coś przegapi, kupi to sobie tam, dokąd dotrze, gdziekolwiek to będzie.

Szarpnęła zamek, nie mogła go dopiąć, docisnęła bałagan w torbie, a ponieważ nadal nie mogła jej zapiąć, wyrzuciła to, co było na wierzchu.

Sięgnęła do zamka i nagle w tej wariackiej ciszy rozległo się pukanie do drzwi.

Zamarła.

- Edie!

Nie mogła rozmawiać z Holtem. Ani teraz, ani nigdy.

- Edie! Otwieraj!

**167**

Stała bez ruchu.

- Do jasnej cholery, Edie, muszę z tobą porozmawiać. Otwórz te pieprzone drzwi!

Chciała się skurczyć, stać się tak mała, żeby myślał, że nikogo nie ma. By poszedł sobie i zostawił ją w spokoju. Ale znowu walił w drzwi.

Rozejrzała się wokół siebie gorączkowo. Nie ma gdzie się ukryć. Czy ma wyskoczyć przez okno? Jeśli złamie nogę, nigdy nie wyjedzie z Redbud.

Ale okno było jedyną drogą ucieczki. Podbiegła je otworzyć. Potem popędziła po walizkę.

Do diabła z ciuchami. Przecież może sobie kupić nowe.

Rzuciła się z powrotem do okna. Otworzyła je szerzej.

Drzwi z hukiem wpadły do środka.

Próbowała zanurkować za okno, ale Holt dopadł do niej dwoma susami i wciągnął do pokoju, chwytając za koszulkę.

- Wybierasz się gdzieś, Eden?

Popchnął ją na łóżko i z rozmachem zatrzaskał okno. Potem chwycił niedopiętą torbę i rzucił ją w drugi koniec pokoju. Buty wypadły na podłogę, stanik uderzył w ścianę. Koszulki i dżinsy poleciały na wszystkie strony, na półkę, na kuchenkę, owinęły się wokół nogi krzesła.

A po podłodze przeleciała ślizgiem, niczym szalony łyżwiarz, mała torebka z czarnymi aniołami, które rozsypały się po całym pokoju.

Edie patrzyła na nie z grozą. Jej przerażenie odbijało się na twarzy Holta jak w lustrze. Patrzył na nią z niedowierzaniem. Z bólem. Oskarżycielsko. I na koniec z zimną pewnością.

- Odwróć się. - Surowość jego głosu przeniknęła ją chłodem aż do szpiku kości. Nie była w stanie się ruszyć.

- Powiedziałem... - Jednym zręcznym ruchem odwrócił ją tak, że leżała teraz na brzuchu. - ...odwróć się.

Skrzyżował jej ręce na plecach. Zimny metal dotknął nadgarstków. Kliknięcie obrączek zamykających się na jej rękach wydawało się ogłuszające. Brutalnie odwrócił ją na plecy, aby go widziała.

- Eden Swanford, jesteś aresztowana za zamordowanie Freda Lyle'a, Dennisa Runkle'a i Kennetha Parsleya.

Szarpnął ją, by stanęła na nogach.

- Masz prawo milczeć. - Popchnął ją w stronę drzwi. - Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie. - I na dół po metalowych stopniach. - Masz prawo do adwokata. Jeśli nie stać cię na obrońcę, dostaniesz obrońcę z urzędu.

Przed barem stała grupa mężczyzn, śmiejąc się i paląc papierosy. Na jej widok zamilkli.

- Hej, szeryfie - zawołał jeden z nich - co zrobiła tym razem? Uderzyła pana? - Parsknęli śmiechem, a Holt popchnął Edie do przodu.

- Zrozumiałaś?

Odskoczyła od niego i odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

- Wszystko zrozumiałam.

- To dobrze.

Otworzył drzwi, położył dłoń na jej głowie i wepchnął ją na tylne siedzenie samochodu. Faceci pod barem patrzyli za odjeżdżającym wozem.

## Rozdział 28

**Przez** większą część nocy Holt nie pozwolił Edie spać. A ponieważ sam był zbyt wściekły, by zasnąć, chodził tam i z powrotem po biurze i przez dziesięć minut wrzucał do kosza pogniecione kulki papieru, po czym wrócił do pojedynczej celi, w której siedziała Edie, patrząc na niego chłodno przez kraty. Północ. Druga w nocy. Czwarta rano. Była ciągle tam, gdzie ją zamknął, jak zjawą, która nie potrzebowała ani snu, ani sprawiedliwości.

Od razu przyznała się, że wysłała czarne anioły, ale pozostałym zarzutom uparcie zaprzeczała.

- Nikogo nie zabiłam.

Oparty o ścianę naprzeciwko celi, obserwował ją badawczo.

- Ale wiedziałaś o testamencie Freda Lyle'a. Wyciągnęła się na pryczy z rękoma pod głową, jak gdyby jego uporczywe nawracanie nic a nic jej nie przeszkadzało.

- Nadal nic nie wiem o testamencie Freda Lyle'a. Dlaczego mi nie powiesz, o co chodzi?

Obrał inną taktykę.

- Dlaczego zmieniałaś nazwisko?

Pytał ją o to już tuzin razy. I znowu, po raz kolejny opowiedziała mu tę samą historię. Edie Swanford była smutną, patetyczną dziewczynką, a ona chciała stać się kimś innym.

- Dlaczego mnie okłamałaś?

- Eden Swann to moje prawdziwe nazwisko. Wszyscy mówią na mnie Edie. Nie kłamałam.

- Wiedziałaś, kto wysłał czarne anioły.

- To nie była twoja sprawa.

- Stała się moją sprawą, kiedy zabiłaś tych mężczyzn.

- Powiedziałaś ci...

- Tak, wiem. To sprawka demona. Tajemnicza istota działająca w twoim imieniu.

- Nie, nie w moim imieniu.

- Nie chciałaś, żeby ci faceci umarli?

- Chciałam, żeby się przestraszyli, to na pewno. Ale umarli? Jako nieboszczycy są dla mnie bezużyteczni.

- Chyba że chciałaś się na nich zemścić. Usiadła na pryczy. Odwróciła się twarzą do niego.

- Czy to jeszcze do ciebie nie dotarło? Chciałam nimi wstrząsnąć. Żeby zmiękli i zaczęli mówić.

- Mówić albo umrzeć?

- Przestań to powtarzać.

- Przestanę, kiedy powiesz prawdę.

Świdrowała go wzrokiem. Przetarł twarz dłonią. Był zmęczony tymi wykrętami, ale jeszcze bardziej wkurzony. Nie miał obowiązku trzymać jej pod kluczem. Nie miał nawet obowiązku jej aresztować. Ale chciał, żeby znalazła się na krawędzi. Gdyby po-

czuła się choć w najmniejszym stopniu tak oszukana jak on, kiedy zobaczył czarne figurki rozsypujące się po podłodze, zaśpiewałby hymn pochwalny samemu diabłu.

- Cholera, Holt. Mówię prawdę i dobrze o tym wiesz. Wypuść mnie stąd. Idź do domu. Zajrzyj do Mirandy i połóż się do łóżka. Możemy wrócić do tego rano.

- Żebyś czmychnęła z miasta? Nie sędzę.

- Przecież zabrałeś mi kluczyki. Wysunął palec w jej stronę.

- I skonfiskowałem twój motor.

- Widzisz? Więc jak mam wyjechać.

Oparł się o ścianę naprzeciwko celi. Założył ręce. Nie miał najmniejszego zamiaru jej wypuszczać. Póki nie zedrze sobie gardła, błagając go o to. Może nawet wtedy nie zmięknie.

- Dobra. Wróćmy do kościoła. Co tam robiłaś?

- Już ci mówiłam. Szukałam czarnego anioła. Chciałam go zabrać.

- Dlaczego?

- A jak myślisz?

- Myślę, że chciałaś coś tam podrzucić, a nie zabrać.

- Co na przykład?

- Ty mi powiedz. Coś, żeby wplątać w tę sprawę jeszcze kogoś!

- Na przykład kogo, Holt? Gdybym chciała wplątać kogoś jeszcze, już dawno bym to zrobiła. Uwielbiam wymuszoną bliskość, kochanie, ale czy potrzebne nam te kraty?

Jęknął, przyznając jej rację, chociaż tego nie chciał.

- Jeśli nie wiedziałaś, że coś ma się wydarzyć, to po co ostrzegałaś Terry'ego, żeby pilnował pastora Parsleya?

- Nie wiedziałam, podejrzewałam. Już ci mówiłam, że się martwiłam. A ty byś się nie martwił? Chyba każdy by się martwił.

- Każdy, kto planowałby morderstwo. O tak. Przeszyła go wzrokiem.

- Dlaczego akurat ci trzej? Jęknęła.

- Ile razy mam ci to powtarzać? Ciocia Penny dała mi przed śmiercią listę nazwisk. To byli mężczyźni, którzy odwiedzali ojca w ostatnich kilku tygodniach jego życia. Nie wiedziała, po co przychodzili ani co mówili. Gdyby udało mi się to ustalić...

- Co?

- To może dowiedziałabym się, dlaczego...

- Dlaczego się zabił? Przytaknęła.

- Nie, myślę, że obwiniałaś ich o śmierć swojego ojca i zabiłaś ich z zemsty.

Ścisnęła głowę rękoma.

- Nie zabiłam ich. Jak, do diabła, miałabym się dowiedzieć, co się wydarzyło, gdyby byli martwi? Nie rozumiesz? To nie ja pragnęłam ich śmierci. Ktoś nie chciał, żebym się dowiedziała, co się naprawdę wydarzyło.

- Co się naprawdę wydarzyło? - Rzucił się do krat i chwycił pręty. - Twój tatuś sprzeniewierzył pieniądze Hammerbilt. Złapali go. Nie potrafił ponieść konsekwencji, więc się zabił. To się naprawdę wydarzyło.

- Nic o tym nie wiesz.

- Wiem, że twój ojciec skoczył w przepaść, zostawiając ciebie i twoją matkę, byście samotnie zmierzyły się z całym miastem. Wiem, że był słabym tchórzem.

- Zamknij się. Zamknij się!

Chwyciła pręty od drugiej strony i tylko stal ich rozdzielała. Jej twarz była oszalała z gniewu, a ciemne włosy i brwi ostro kontrastowały z mocnymi rumieńcami na policzkach oraz bielą szyi. Ożywiała ją taka namiętność w obronie ojca, jaką okazywała w jego ramionach.

Chciał ją pocałować. Chciał ją udusić.

Tak czy inaczej, mógłby jej dotknąć, a tego pragnął ponad wszystko.

Przeklął. Jej upór. Swoje zadurzenie. Poczul głęboki niekończący się ból w piersi, jakby ktoś wziął maczetę i przeciął jego żebra, trafiając prosto w serce.

Oddalił się dumnym krokiem. Wrócił do biura. Usiadł na krześle za biurkiem. Oddychaj, chłopie. Strząśnij to z siebie i oddychaj.

Co go właściwie tak pociągało w Edie Swann? To gniazdo, które nazywała włosami, z pasmami sterczącymi na wszystkie strony i sypiącymi się na ramiona? Była dziwolągiem, cyrkowym dziwolągiem.

Tak, i ten dziwoląg wstrząsnął jego życiem, tak bardzo jak nic innego od śmierci Cindy.

I o to właśnie chodziło, prawda? O ten bolesny niepokój, który odsunął na bok, o wspomnienia, które pogrzebał - wspomnienia ciemnych zaułków i nagłego przyływu adrenaliny, kiedy ryzykował wszystko. Czy nie był już trochę zmęczony tym usypiającym bezpieczeństwem?

A Edie uosabiała wszystko, co niebezpieczne, niczym granat, który mógł eksplodować pod jego stopami.

Może o to właśnie chodziło. Nie o nią samą, ale o ryzyko, które uosabiała. Chwycił się tego jak tonący brzytwy.

Pomyślał o innych sposobach zaspokojenia tej uspionej potrzeby ryzyka. Skok na bungie z najbliższego mostu.

Szybownictwo. Wyścigi łodzi motorowych. O czymkolwiek, co nie wiązało się z Edie Swann, czarnymi aniołami i trzema trupami.

Zamknął oczy, nagle poczuł się zmęczony do nieprzytomności.

Holt nie pamiętał, kiedy zasnął, ale obudził się, gdy ktoś nim potrząsnął. Kości bolały go od niewygodnej pozycji za biurkiem. Napotkał wzrok swojego ojca.

- Jezu,tato.

Przetarł twarz dłonią. Spojrzał na zegar na ścianie. Była siódma.

- Dzień dobry - rzekł James serdecznie. - Matka kazała przywieźć ci kawę. Nie chciała, żebyś się struł tutejszą. -

Trzymał termos i plastikowy pojemnik. - i krakersy z szynką.

Holt coś gderał, ale ojciec zdawał się na zwracać uwagi na jego gburowatość. Postawił termos i plastikowy pojemnik na brzegu biurka. Zajął miejsce naprzeciw syna.

- Długa noc.

Holt odkręcił termos. Nalał do kubka parującego płynu i jego aromat zaczynał go budzić. Przesunął kawę w stronę ojca, a dla siebie napełnił styropianowy kubeczek. Napój był gorący i mocny. Przywrócił mu jasność myślenia, ale nie usmierzył bólu głowy.

- Aresztowałem Edie.

James zastygł z kubkiem w połowie drogi do ust. On również niewiele spał, bo rozpaczliwie chciał wiedzieć, jak Holt wykorzysta informacje, którymi się z nim podzielił, co powie mu Edie, jeśli w ogóle cokolwiek wiedziała. Wyobrażał sobie, że Holt uda się prosto do niej i zada jej parę pytań. Nie spodziewał się, że ją aresztuje.

- To ona wysyłała czarne anioły.

James odstawił kubek. A więc w końcu mu się poszczęściło? Jeśli Edie wysyłała czarne anioły, to była główną podejrzaną Holta.

- Przykro mi, synu.

- Tak, mnie też.

- Masz dość dowodów, żeby ją postawić w stan oskarżenia? Holt pokręcił głową.

- Mówi, że tego nie zrobiła, nic dziwnego. Ale podtrzymywała tę wersję przez całą noc. I nie mogę jej powiązać z żadnym z tych zdarzeń. Nawet gdybym mógł, to i tak nie wiem, w jaki sposób je zaaranżowała.

James potakiwał ze współczuciem, a w jego głowie tłoczyły się myśli. Jak ją obciążyć, żeby nie było to widoczne?

- Słuchaj, Holt, nie chcę wtykać w to nosa. To teraz twoja robota.

- Ale?

- Ale czy jesteś pewien, że chodzi o morderstwo? Atak serca, reakcja alergiczna i zatonięcie to całkowicie wiarygodne przyczyny. A czarne anioły mogły nie mieć z tym żadnego związku.

- Przypadek? Edie ma listę osób związanych z jej ojcem i trzy z nich po prostu zeszyły z tego świata podczas jej bytności w mieście? Daj spokój, tato, stać cię na więcej.

**174**



Cała krew odpłynęła Jamesowi z głowy.

- Ma listę? Listę nazwisk? Co to za nazwiska? Holt machnął lekceważąco.

- Nieważne. Wszyscy są już martwi.

- Wszyscy?

- Alan Butene... Pamiętasz go? Spadł z drabiny w zeszłym roku. No i nasza trójka.

Serce Jamesa wybijało ciężki rytm.

- To wszyscy?

Holt badawczo przyglądał się Jamesowi.

- Tato, masz coś? Jakiś związek między tymi nazwiskami? James pokręcił głową, pochylił twarz nad kubkiem z kawą.

- Nie, nie. Tylko się zastanawiam. Głośno myślę. Mówisz, że Butene był na liście i spadł z drabiny?

- Wymieniał żarówkę, stojąc na szczycie schodów. Sturlał się na sam dół. Złamał kark. Śmierć na miejscu.

- Kolejny wypadek.

Holt rzucił ojcu ostre spojrzenie.

- Nie mogło być inaczej - powiedział. - Drabina miała z osiemdziesiąt lat.

- Ale Edie nie było wtedy w mieście.

- No dobra, tego jednego jej odpuszczę. Ale co z resztą? - Holt pokręcił głową.

- Mówisz tak, jakbyś chciał, żeby była winna.

James starannie dobierał słowa, zależało mu bowiem, by Holt nie wyczuł, że ma taką nadzieję.

- Nieważne, czego ja chcę - stwierdził Holt beznamiętnie. - Liczy się to, co mam przed oczami.

- I co zamierzasz zrobić?

- Jedyną rzecz, jaką mogę zrobić przy takich dowodach. Wypuścić ją.

## Rozdział 29

Kiedy ktoś w końcu przyszedł otworzyć celę i wypuścić Edie, osobą tą nie był Holt, lecz jego zastępczyni Sam Fish. Wyglądała rześko i nienagannie w swoim wykrochmalonym mundurze, z gładko zaczesanymi i upiętymi z tyłu włosami, błyszczącymi oczami i wypoczętą twarzą. Na jej widok Edie poczuła się jeszcze bardziej zmięta i wypluta. Wyszła chwiejnym krokiem z celi do pomieszczenia aresztu, w którym unosił się słodki zapach potu.

- Gdzie jest Holt?

- W domu.

Żadnych długich wyjaśnień ze strony zastępczyni Fish.

Edie jęknęła. Nie mogła powstrzymać rozczarowania. W marzeniach widziała, jak mu wszystko wyjaśnia, ale sprzeczne pragnienia, by uderzyć go w twarz, paść na kolana i błagać o przebaczenie, doprowadzały ją do szału.

- Co ze mną?

- Co z tobą? - powtórzyła Sam.

Szła przodem do niewielkiego biura zastawionego dwoma biurkami, stalowymi szafami, tablicami ogłoszeń, krzesłami i długą drewnianą ławką pod jedną ze ścian.

- Po prostu mam sobie iść?

- A co? Chcesz tu spędzić kolejną noc?

Sam otworzyła szufladę biurka, wyjęła kopertę i wysypała jej zawartość na biurko. Portfel, karty kredytowe i klucze Edie.

Edie schowała do kieszeni portfel i karty, ale badawczo oglądała klucze. Były dziwnie lekkie.

- Nie ma tu kluczyków od motoru.

Sam zmarszczyła brwi, ale było w tym coś wystudiowanego.

- Naprawdę? Jesteś pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna.

Sam wzruszyła ramionami. Usiadła na dużym krześle i oparła się wygodnie.

- Może ich nie miałaś, kiedy szeryf cię tu przywiózł?
- Nie miałam ich, bo Holt je zabrał.
- Wszystko, co skonfiskował, jest w tej kopercie.
- Wszystko oprócz kluczyków od motoru.
- No cóż... - Odchyliła się razem z krzesłem, nie tracąc stoickiego spokoju. - Na pewno się znajdują. - Uśmiechnęła się.
- W końcu.

W końcu, niech cię lichy porwie.

- Powiedz Holtowi, że może mnie pocałować w dupę. Schowała klucze do kieszeni i odeszła dumnym krokiem.

- Nie sądzę, żeby jeszcze chciał się do ciebie tak bardzo zbliżyć - krzyknęła za nią Sam.

Nie mając motoru, Edie musiała iść pieszo do Red's. Wezwałaby taksówkę, jeżeli w ogóle coś takiego istniało w tej zabitej dechami mieścinie, ale jej komórka została w pokoju nad barem. I prędzej by ją diabli wzięli, niżby poprosiła tę jędzę o cokolwiek, a cóż dopiero o skorzystanie z telefonu.

Wyruszyła więc przed siebie z dumnie uniesioną głową. Po prawie bezsennej nocy była tak zmęczona, że mogłaby przespać miesiąc. Kiedy w końcu dotarła do baru, weszła ciężko po metalowych schodach, otworzyła drzwi i padła na łóżko.

I leżała z szeroko otwartymi oczami.

Sceny z całonocnego przesłuchania odtwarzały się w jej głowie jak film. Cierpienie i gniew na twarzy Holta.

Oskarżenia. Starła się obudzić w sobie święte oburzenie, ale nie mogła. Prawda była taka, że zasługiwała na potępienie. Kłamała. Zawiodła jego zaufanie. Jeśli uważał ją za winną, zawdzięczała to tylko sobie.

Rzecz jasna, doznała lekkiego ukłucia rozczarowania, kiedy nie uwierzył jej wbrew przesłankom. Ale ten świat nie funkcjonuje w ten sposób. Nie świat Edie Swann.

Westchnęła i odwróciła się na bok. Nie miała ochoty spędzić reszty życia w więziennej celi. Nie mogła uwierzyć, że do tego dojdzie.

Ale jeśli nawet Holt jej nie wierzył, to kto inny w Redbud uwierzy?

**12 - Śmiertelny grzech**

**177**

Przeniknął ją chłód. W niewinność jej ojca też nikt nie wierzył. Czy to właśnie było przeznaczeniem czarnego anioła? Stać się świadkiem poświęcenia kolejnej ofiary z rodziny Swanfordów na ołtarzu Redbud? Czy była częścią jakiegoś kosmicznego żartu? Pokrętnym kawałem chorego umysłu skazanym na zatracenie?

Edie otworzyła oczy. Pieprzyć to. Usiadła. Odrzuciła kołdrę. Niech ją lichy porwie, jeśli zgodzi się na rolę chłopca do bicia, obojętnie, czy stał za tym diabeł, czy anioł. Nie rzuci się ze skał, nie pójdzie potulnie do szpitala dla psychicznie chorych i nie pozwoli, by Holt Drennen zrobił z niej miazgę.

James siedział w Claire's i obracał w dłoniach filiżankę kawy. Nie potrafił określić, czy czuł ulgę, czy niepokój, że Edie nie wymieniła jego nazwiska. Czy był w ogóle na jej liście? Nie otrzymał czarnego anioła. Czy nie chciała się do niego dobrać? Czy nie wiedziała o nim? Czy też, podobnie jak on, pragnęła osłonić Holta? A może, co gorsza, wykorzystała jego nazwisko, by pozyskać Holta? Czy jego uczciwy syn nagnie zasady dla własnego ojca?

James wolał tego nie wiedzieć.

Odtwarzał w pamięci wszystkie późne powroty do domu, gdzie czekał na niego mały chłopiec.

- Złapałeś złych facetów, tato? - pytał za każdym razem, a James przyjmował dumę zawartą w tych słowach jako coś naturalnego.

- Jeśli się pojawią, to ich złapię - odpowiadał niezmiennie. A teraz sam był jednym ze złych facetów. Do diabła, zawsze

nim był. Nie, nie zawsze. Tylko przez ostatnich dwadzieścia lat.

Smutek ścisnął mu gardło. Wbił wzrok w filiżankę. Był trenerem tylu drużyn bejsbolowych, obejrzał tyle meczów. Przypominały mu się chwile spędzone z synem. Czy wszystko, co zrobił, pójdzie na marne? Chciał, żeby jego syn był silny i szczęśliwy, żeby dorastał w dobrze prosperującym mieście. Czy to coś złego?

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Machał do niego Red McClure. James kiwnął głową, a właściciel baru wziął to za za-proszenie. Wśliznął się na miejsce naprzeciw Jamesa.

- Dzień dobry, szeryfie.

- Witaj, Red.

Darcy bez pytania przyniosła dzbanek z kawą i filiżankę dla Reda. Właściciel baru zamówił jajka, ale James nie byłby w stanie niczego przełknąć.

- Wczoraj wieczorem Holt aresztował moją barmankę. - Red pokręcił głową. - Pół miasta o tym gada. To było przed samym barem.

James przytaknął, robiąc mądrą minę, a przy tym starając się okazać obojętność.

- Słyszałem, że chodzi o pastora Parsleya i te czarne anioły - naciskał Red.

- Będziesz musiał porozmawiać o tym z Holtem - skwitował James.

Red skinął głową, ale na jego twarzy nadal malowała się troska. Darcy przyniosła mu jajka usmażone z plasterkiem bekonu. Wpatrywał się w białe i żółte oczy, jakby oczekiwał, że do niego mrugną.

Do ich stolika zbliżył się Tillman Crocker. Przysadzisty, siwowłosy mężczyzna z białym wąsem był burmistrzem Redbud.

- Podobno twój chłopak złapał wczoraj tego czarnego anioła - powiedział Tillman. - Słyszałem od Hattie Tuttle.

Sprząta w naszym domu raz w tygodniu. Dowiedziała się od swojego syna, który widział całe zajście przed barem. -

Zwrócił się do Reda: - Pracuje dla ciebie, prawda?

Red przytaknął.

- Już ją wypuścili.

- Naprawdę? - Burmistrz zmarszczył brwi. - Niezbyt mnie to cieszy. James? Co o tym myślisz?

- Holt zabrał ją na przesłuchanie. To wszystko.

- W kajdankach? - zapytał Tillman. James podniósł dłoń.

- Nie jestem już szeryfem, chłopcy. Burmistrz zacisnął usta.

- Dobra. Muszę pogadać z Holtem. Zabójczym nie może chodzić po ulicach. - Spojrzał znacząco na Reda. - Ani pracować dla nas.
  - Słuchaj, Tillman - rzekł uspokajająco Red. - Gdyby była winna, Holt by jej nie wypuścił, mam rację, szeryfie? James nie musiał odpowiadać, bo Tillman zrobił to za niego.
  - Gdyby nie była w to zamieszana, nie zabierałby jej na posterunek. - Burmistrz zwrócił się do Jamesa: - Twój chłopak powinien był powiadomić mnie o tym osobiście.
  - Przecież to było wczoraj wieczorem - odparł James. Tillman puścił jego uwagę mimo uszu.
  - Właściwie powinien zdać sprawozdanie całej radzie miasta.
  - Musisz to z nim uzgodnić - stwierdził James.
  - I na pewno tak zrobię - oznajmił burmistrz. - Do miasta przyjedzie duża delegacja z LAT. Na inspekcję fabryki. Teraz, kiedy nie ma Freda, nasza pozycja nie jest taka silna jak kiedyś. Nie możemy pozwolić, żeby ta sprawa zatruwała atmosferę. Nie chciałbym, aby doszli do wniosku, że w Redbud nie jest bezpiecznie. To niedobry klimat dla interesów.
- Tillman wyszedł, a Red odsunął talerz.
- Czy ten człowiek nie słyszał o domniemaniu niewinności?
  - Jego nie interesują dowody - powiedział James. - On wie, że liczy się ludzkie gadanie, przynajmniej w Redbud. Red ponuro pokiwał głową, zostawił na stole kilka banknotów i nietknięte jajka zastygające na talerzu. James odwrócił od nich wzrok i podniósł filiżankę w stronę Darcy, która podeszła z dzbankiem.
  - Burmistrz ma obsesję na jednym punkcie. - Napełniła filiżankę Jamesa. - Czy to prawda, co mówił? Holt aresztował wczoraj wieczorem tę barmankę? To ona jest czarnym aniołem?
  - Przesłuchał ją i wypuścił. To wszystko. Darcy prychnęła.
  - Wiesz, co mówią... Nie ma dymu bez ognia...

James wbił wzrok w gorący czarny napój parujący z filiżanki. Czuł, że ta mgielka otacza go coraz mocniej, przypominając czasy, do których nie chciał wracać.

Dzień, w którym pochowano Charlesa Swanforda, był gorący jak podmuch z wielkiego pieca. Pamiętał, że pocił się w mundurze. Suknia Evelyn Swanford wisiała na jej szczupłej sylwetce. Jej siostra... jak miała na imię? Penny. Penny Bellingham. Wycierała szyję chusteczką. Wszyscy się wlekli, ciężko dysząc w upale i pragnąc, żeby ceremonia się jak najszybciej skończyła. Marzyli tylko o powrocie do klimatyzowanych samochodów.

A ponad tłumem górował olbrzymi czarny anioł.

Czy dla niego to lepiej, że miasto chciało postrzegać Edie w najciemniejszych barwach? Czy prawdopodobieństwo, że przeszłość wyjdzie na jaw, było przez to większa, czy wręcz przeciwnie? Lyle, Runkle i Parsley nie żyli, pozostał więc tylko jeden człowiek, który mógł opowiedzieć, co się wydarzyło. A on nie miał zamiaru mówić.

Ale był jeszcze problem z Amy Lyle. Nie powiedział jej, że odnalazł Eden. Kiedy to zrobi, będzie można dojść po nitce do kłębka. Amy nie wystarczy świadomość, kim jest Eden. Będzie chciała wiedzieć, dlaczego Fred zapisał jej te pieniądze.

James już raz wykorzystał prawdę, by osłabić więź Holta z Edie. Jej tożsamość i tak wyszłaby na jaw. Lepiej to kontrolować, niż pozwolić na dziki przepływ informacji.

Sięgnął po komórkę, którą miał przy pasku, i wybrał numer Amy Lyle.

## Rozdział 30

Ludzkie gadanie czy rzeczywistość, faktem jest, że zła sława Edie wcale nie zaszkodziła interesom. Przynajmniej nie interesom Reda. Wieczór po jej aresztowaniu był najruchliwszy od dnia świętego Patryka. Najwyraźniej każdy chciał zobaczyć czarnego anioła.

Edie czuła jednak, że wrogość otacza ją niczym kamienny mur, którego nie sposób przebić. Klienci nie podchodzili do baru, woleli, żeby obsługiwała ich Lucy. Co nie przeszkadzało im poszturchiwać się i pokazywać ją palcami.

Nawet Howard i Russ usiedli przy stoliku. Bawiła się pięciocentówką, rzuconą przez kogoś na odchodnym.

- Nie zwracaj na nich uwagi - szepnęła jej Lucy. - Uspokoja się.

Po zamknięciu Edie powlokła się do swojego pokoju. Na drzwiach ktoś napisał sprejem „morderczyni”, z ostatniej litery spływała biała farba.

Następnego dnia kupiła puszkę farby i nad oryginałem dodała emotikon „uśmiech”.

Nie zjednało jej to sympatii klientów Red's. Dni mijały, a biznes zamierał. Niektórzy nadal przychodzili - do następnego miasta z przyzwoitym barem był kawał drogi. Ale inni, jadąc ze swojej zmiany, zatrzymywali się w Pay N Go i wypijali sześciopak w domu.

Tydzień po tym, jak Sam Fish wykopnęła Edie z więzienia, w Red's panował nienormalny spokój. Przy stolikach siedziało niewielu klientów. Grupka tych, którzy widzieli, jak Holt włókł ją po schodach w kajdankach, usadowiła się w narożniku. Trzymając kufle z piwem, zerkali na nią złowrogo. Towarzyszył im Terry Bishop. Edie widziała, że ją obserwuje z wyrazem zadowolenia na twarzy. Była pewna, że to on powiedział Holtowi, że natknął się na nią w kościele. Nic nie mogło bardziej ucieszyć Terry'ego.

Stała za kontuarem, przecierała szmatką i tak już suchą i lśniąca powierzchnię i spokojnie oddawała się obserwacji. Jak długo będzie trwała ta niechęć? Wpływało to nie tylko na jej własne zarobki, ale także Lucy i Reda. Oboje zachowywali się wspaniale - Lucy nie przestawała być jej zagorzałą obrończynią, a Red nie zwolnił jej z pracy. Ale to nie mogło trwać wiecznie. W końcu będzie musiał wybrać pomiędzy biznesem a nią. I wiedziała, jakiego wyboru dokona.



Nagle otworzyły się wahadłowe drzwi, do środka wpadł podmuch gorącego wieczornego powietrza. Do środka weszła nieduża, drobna kobieta. Krótkie włosy miała w nieładzie, luźna garderoba wydawała się brudna i pognieciona.

Amy Lyle.

Potoczyła w koło dzikim wzrokiem, znalazła to, czego szukała. Nie odrywała już oczu od Edie. Wszyscy znieruchomieli.

- Powinnaś się wstydić! - krzyknęła, trzęsąc się z gniewu.

- Żeby tak sobie chodzić, jakby nigdy nic. A ty - wytknęła drżącym palcem Reda - jak możesz jej na to pozwalać? To ohydne. Obrzydliwe! - Podbiegła do baru, jakby pchana huraganem.

- Morderczyni. - Klepnęła Edie. - Morderczyni! - Wymierzyła Edie policzek, szybki, bolesny i pełen złości.

Edie zamarła. Słowo odbiło się echem w jej mózgu, czuła też dotkliwy ból. Pani Lyle wpadła w nieprzytomny, urywany szloch, a Lucy podeszła i otoczyła ją ramieniem.

- Już dobrze, już dobrze, spokojnie.

Odprowadziła wdowę do stolika, ale Amy nie chciała usiąść.

- Nie tutaj - łkała. - Nie z nią w jednej sali. Do Amy podszedł Red.

- Czy mam po kogoś zadzwonić?

Amy zaniósła się jeszcze głośniejszym szlochem.

- Nie ma do kogo - zawodziła. - Nie ma do kogo.

- Odwiozę panią do domu.

- Zrobiła to dla pieniędzy - powiedziała Amy. - Nie rozumie pan? - Złapała Reda za rękę, kurczowo trzymając palcami jego koszulę. - Chciała pieniędzy Freda. I teraz je ma. Jest zła. Zła!

- Niech pani się uspokoi - mówiła łagodnie Lucy. - Red odwiezie panią do domu. - Odprowadziła ją do drzwi. - Tak będzie dobrze. Niech pani jedzie do domu.

- Może ktoś jeszcze powinien wrócić do domu.

Terry Bishop wstał od stolika. Wszyscy utkwili wzrok w Edie. Wyraz ich oczu był jednoznaczny.

Red stanął przy drzwiach i odwrócił się do Edie. Spojrzał przepraszająco, ale wiedziała, że to już koniec.

Wzruszyła ramionami, czuła gorycz.

- Nie dasz rady beze mnie.
- I tak nikt nie przychodzi.
- Nie zrobiłam nic złego.
- Jak widzisz, to nie ma większego znaczenia. Nie miał racji.
- Oddaj mi też klucze od pokoju na górze - powiedział Red.

Sukinsyn.

Rzuciła szmatkę, w sali rozległ się okrzyk radości.

### Rozdział 31

**No** dobra - rzekł doktor Ferguson - to była niezła zagadka.

Świetnie. Holt zmarszczył brwi, patrząc na okryte prześcieradłem ciało pastora Parsleya. Minał ponad tydzień od jego śmierci. Codziennie naciskał Fergusona, a kiedy ten w końcu zadzwonił, było dobrze po północy. Holt był wyczerpany, spał kamiennym snem, wpadł w rodzaj mrocznego, sennego odrętwienia, jakie odczuwał też po śmierci Cindy.

- Wiedziałem, że nie będzie pan chciał czekać - stwierdził Ferguson podekscytowany.

Holt jęknął, przetarł twarz, usuwając resztki snu, i oznajmił, że zaraz będzie.

Nie dość, że dochodziła pierwsza w nocy, to jeszcze doktor bredził coś o zagadkach.

Czy ustalenie jednoznacznej przyczyny śmierci było zbyt dużym wymaganiem? Holt przyjąłby ze spokojem utonięcie, udar, atak serca, do diabła, nawet uduszenie i potem zatonięcie. Ale nie chciał nawet słyszeć o żadnych zagadkach.

- Doktorze, jeśli to pana przerasta, mogę wezwać pana stanowego odpowiednika.

**178**

- Zaraz, zaraz. Niech pan się nie gorączkuje, przecież nie powiedziałem, że jej nie rozwiązałem.

- Więc zna pan przyczynę śmierci?

- Na pewno nie utonął. Woda znalazła się w jego płucach po śmierci.

Holta aż skrzyknęło. Przypadkowe utonięcie byłoby miłą odmianą. Oznaczałoby koniec kłopotów Edie.

- I nie znalazłem też śladów ataku serca czy udaru - mówił dalej doktor. - Żadnej... naturalnej przyczyny.

Holt poczuł jeszcze silniejszy skurcz w brzuchu. Nie podobało mu się to, co mówił doktor. Ale było doskonałym zwieńczeniem tego diabelnie udanego tygodnia. Gniew na Edie ustąpił przed żalem i dręczącą nadzieją, że jest niewinna. Starał się ode-gnać te uczucia, rzucając się w wir pracy. Wyjeżdżał częściej na patrole, zwłaszcza nocą, kiedy najbardziej za nią tęsknił. W każdej wolnej chwili przeglądał swoje notatki. Nie miał żadnego punktu zaczepienia, żaden z tych zgonów nie wyglądał na morderstwo. Nie było też mocnego powiązania między trzema mężczyznami. Oprócz aniołów Edie.

Imadło w brzuchu Holta zacisnęło się jeszcze mocniej.

- Jeśli nie było naturalnej przyczyny, to jaka?

Ferguson odsunął prześcieradło, odkrywając szyję pastora. Twarz nieboszczyka była kompletnie biała, oczy zamknięte, na nacięciu z przodu czaszki widniały brzydkie czarne szwy. Bez życia, bez ducha, przedmiot do dźgania i nacinania. Holt przypomniał sobie chwilę, kiedy ustał oddech Cindy. Trzymał żonę za rękę i patrzył, jak ulatuje z niej życie. Był zadowolony, że to koniec jej cierpień, ale czuł się winny i odarty ze wszystkiego. Kilka dni później, kiedy pracownicy zakładu pogrzebowego zakończyli zwykłe zabiegi, wydawała się nierealna, zupełnie nie przypominała dawnej Cindy. Po prostu jakaś woskowa figura podobna do jego żony.

- Nie ma sińców - powiedział doktor. - Zauważył to pan już na miejscu zdarzenia.

- Uhm.

- Więc wyglądało to tak, jakby w ogóle nie istniała przyczyna śmierci.

Holt wypowiedział na głos oczywistość:

- Ktoś go zabił.

- Tak. I cały czas sobie to powtarzałem. Więc jeszcze raz obejrzałem go dokładnie. I w końcu... - Wskazał na zamknięte oczy duchownego. - Proszę spojrzeć.

Holt odsunął powieki.

- Nie chodzi o oczy - powiedział doktor - tylko o powieki.

Holt przyglądał się zamkniętym powiekom pastora. Wyglądały zupełnie normalnie. Może odrobinę bardziej czerwone niż zazwyczaj, ale to mogło być naturalną cechą Parsleya.

- Wybroczyny krwawe. Purpurowoczerwone plamki na powiekach. Nazywają się wybroczynami krwawymi.

Holt przyjrzał się dokładniej. Czerwień rozbiła się na maleńkie punkciki.

- I to go zabiło?

- Ale skąd, szeryfie. To mi podpowiedziało, co go zabiło. Widzi pan, czasami, kiedy serce przestaje bić, nagle pojawia się to -doktor złożył i zacisnął mocno obie dłonie - skurcz mięśni, który sprawia, że wzrasta ciśnienie krwi. I w pewnych okolicznościach to podwyższone ciśnienie krwi powoduje pęknięcie naczyń włosowatych i podskórne wylewy. Wybroczyny krwawe.

- A co oznaczają „pewne okoliczności“?

- Porażenie prądem. Zwłaszcza w mokrym środowisku. Holt wbił spojrzenie w doktora.

- Chce pan powiedzieć, że poraził go prąd?

- Uhm. Śmierć wskutek porażenia prądem trudno stwierdzić. Niewiele dowodów laboratoryjnych. Musiałem wykonać sporo badań.

- Ale jest pan pewien? Doktor skinął głową.

- Dowody w postaci wybroczyn znajdują się także na błonie otaczającej płuca. Nie znalazł pan przy chrzcielnicy niczego, co mogłoby spowodować przypadkowe porażenie prądem?

- Widział pan to samo, co ja. Nic oprócz ciała i zbiornika z wodą.

- Żadnego radia, elektrycznego wkrętaka? Nawet mikrofon by wystarczył. Jeden pastor w Teksasie umarł kiedyś w ten sposób. Miał właśnie udzielić chrztu.

Holt odtworzył w myślach scenę zdarzenia. Widział miejsce, gdzie była chrzcielnica, która zajmowała tam najwięcej powierzchni. W wodzie znajdowało się jedynie ciało. Dokoła basenu tylko rampa prowadząca do przebieralni i niewielki skrawek podłogi. Gdyby Parsleya przypadkowo poraził prąd, urządzenie, które to spowodowało, znajdowałoby się w wodzie jeszcze po jego śmierci. Co oznaczało, że przyczyniła się do tego inna osoba.

Morderstwo. Niewypowiedziane słowo zawisło w powietrzu.

Trudno było sobie wyobrazić, aby ktoś mógł zaplanować atak serca albo reakcję alergiczną. Ale porażenie prądem? Wystarczyło tylko włączyć do prądu suszarkę do włosów i wrzucić ją do wody. A po wszystkim wyłączyć i zabrać. Dziecko by sobie poradziło.

Holtowi zaschło w ustach. Teraz miał pierwszy konkretny dowód, że w Redbud popełniono morderstwo. Czy sprawczynią była Edie?

Przyszła rano do kościoła. Ostrzegła Terry'ego, jak gdyby wiedziała, że coś może się przytrafić Parsleyowi. Mogła wstąpić do kościoła, jadąc na przyjęcie do domu jego rodziców, i jeszcze zdążyłaby na tę godzinę, o której się pojawiła. Spóźniła się przecież. I była niespokojna. Zdenerwowanie przypisywał perspektywie spotkania z jego rodzicami, ale powód mógł być inny. Bardziej złowieszczy.

Myśl, że Edie przyszła do niego tuż po zamordowaniu Parsleya, sprawiła, że poczuł kwaśny smak w ustach i wzbierające mdłości. Chciał wierzyć, że istniało inne wytłumaczenie tego, co się wydarzyło. Ale chcieć i wiedzieć, to dwie zupełnie różne rzeczy.

Edie nie zawracała sobie głowy pakowaniem. Nie wzięła nawet rzeczy na zmianę. Nie była w stanie wejść do pokoju nad barem.

Nie należała do osób, które ociągają się z odejściem. Nigdy nie zostawiała za sobą przyjaciół. Przecinała więzy i ruszała w drogę.

Do diabła z Redem i jego popapranym miastem. Przeliczyła gotówkę - jeśli będzie oszczędna, to przeżyje jakiś czas na kawie i pączkach. Może starczy na parę nocy w motelu. Przy szóstej autostradzie był motel Cloverleaf. Nie dojdzie tam na piechotę. A Holt nie oddał jej kluczyków od motoru.

Jeśli miasto chce się jej pozbyć, to niech jej, do licha, zapewni eskortę. A jeśli już na to za późno, to niech sfinansuje jej chociaż nocleg.

Kiedy dotarła pod budynek urzędu miejskiego, było już zamknięte. Nic dziwnego. Chociaż słyszała, że Holt w ostatnich dniach pracował do późna. Rozsiadła się więc na progu i postanowiła czekać. Nie trwało to długo. Po pół godzinie na parking przed budynkiem zajechał radiowóz Holta.

Szeryf zauważył ją dopiero po kilku minutach. Przez ten czas mogła obserwować go bez ograniczeń. Jego duże ciało wydawało się spięte i zmęczone. Miała ochotę podbiec do niego, otoczyć go ramionami i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Ale nie będzie.

Fatum, które prześladowało ją przez całe życie, zaczynało się dopełniać, a teraz Holt pociągał za sznurki. Nie chciała poddać się strachowi, ale gdy patrzyła na silną sylwetkę Holta i uświadamiała sobie, że ostrze jego gniewu kierowało się przeciwko niej, serce zaczynało jej łomotać. Czy tak czuł się wojownik, który wiedział, że wróg jest nie tylko mocny i sprawny, ale też podchodzi coraz bliżej? Nie chciała walczyć z Holtem. Pragnęła, by stanął po jej stronie, walczył o nią. Razem z nią.

Wiedząc, że uwierzył w to, co najgorsze, poczuła słabość w nogach i brzuchu. Zły pomysł. Przychodzenie tutaj to był zły pomysł. Chciała zuchwale pokazać wszystkim, na co ją stać, ale nie przemyślała tego. Nie uświadamiała sobie, jak będzie się czuła, kiedy go zobaczy.

Zerwała się na nogi, mając nadzieję, że ulotni się niezauważona, ale ruch zwrócił jego uwagę. Zatrzymał się i spojrzał zim-

no. Otworzyła się między nimi przepaść milczenia. Tylko wielki krzyk mógłby ją przełamać, ale Holt był cichy i znużony.

- Co tu robisz?

- Czekam na ciebie.

Przyglądał się jej, zachowując dystans.

- Dlaczego?

- Chcę, żebyś mnie aresztował.

Jego twarz stężała. Przesunął językiem po wargach.

- Przyznajesz się?

- Nie.

Wyraz twarzy złagodniał. Wrócił do życia, zmarszczył brwi, ruszył do przodu i otworzył drzwi.

- Ale chcesz iść do więzienia?

- Nie.

- Edie...

- Nie chcę iść do więzienia.

Otworzył drzwi posterunku, zapalił światło i rzucił klucze na biurko. Brzęknęły w ciszy, a ich niecierpliwy odgłos pasował do spojrzenia, którym ją obrzucił.

- Nie mam dokąd pójść. Usiadł na skraju biurka i założył ręce. Patrzył na nią złowrogo.

- Żartujesz, tak?

- Nie.

- Coś nie tak w Red's?

- Red mnie wykopał.

- Wykopał cię...

- Najpierw mnie zwolnił. A ponieważ wywlokłeś mnie w kajdankach na oczach całego cholernego miasta, jesteś mi coś winien. A poza tym - zaśmiała się krótko - wszyscy i tak uważają, że tu jest moje miejsce.

Holt zwlekał z odpowiedzią. Odkleił się od biurka i wstał. Podszedł bliżej. Rozważał jej słowa.

- Przykro mi - powiedział.

- Naprawdę?

Wzruszył ramionami.

- Znalazłeś kluczyki od motoru?

- Jeszcze nie.

- No to mnie zamknij.

- Edie...

- Albo więzienie, albo ławka w parku. A jeśli ławka w parku, to i tak aresztujesz mnie za włóczęgostwo, a to oznacza, że wcześniej czy później skończę tutaj. Więc może ominiemy ten środkowy etap?

Westchnął. Wyjął z szuflady biurka pęk kluczy.

- Tylko na jedną noc. Poszła za nim do celi.

- Moje kluczyki znajdą się jutro?

- Zobaczymy.

Co znaczyło: prawdopodobnie nie.

Padła na pryczę, a on stał w środku, opierając się o kraty.

- Zatrzymałaś się w kościele, jadąc do mojego domu na przyjęcie?

O, Boże, tylko nie to.

- Wiesz, że nie. Dlaczego?

- Parsley został zamordowany, Edie. I mogę to udowodnić. Pierwszy, którego śmierci nie da się wytłumaczyć wypadkiem ani przyczynami naturalnymi.

Ta wiadomość ją poruszyła.

- Myślałam... - Poczula, że kręci jej się w głowie, i położyła na niej rękę, żeby odzyskać równowagę. - Myślałam, że utonął.

- Tak to tylko wyglądało.

Holt przyglądał jej się zimno, z oskarżeniem wypisanym na twarzy.

O, Boże. Łzy dławily ją w gardle. Holt był tak blisko, że mogłaby go dotknąć, ale jednocześnie znajdował się na drugim krańcu świata.

- Ja tego nie zrobiłam, Holt.

- Czego nie zrobiłaś? - zapytał łagodnym, smutnym głosem.

- Tego. Tego, co ktoś mu zrobił, żeby to wyglądało na utonięcie.



Błagała go w duchu: Uwierz mi, Holt. Uwierz mi. Czy to możliwe, że ta śmierć nie ma związku z tamtymi? Może to były rzeczywiście wypadki - atak serca, kraksa. Ale jeśli to prawda, po co miałabym zabijać Parsleya?

- Był na twojej liście. Wysłałaś mu anioła. Nawet wiedziałaś, że coś się wydarzy.

- Podejrzewałam - poprawiła go.

Zamilkł i przyglądał się jej twarzy, jakby szukał w niej czegoś, co mogłoby przesądzić o jej winie bądź niewinności, gdyby tylko bardziej wnikliwie się przyjrzał. Nie mogąc znieść jego palącego wzroku, pełnego wahania, odwróciła twarz.

- Co wiesz o Alanie Butenie? - zapytał w końcu. Spodziewała się większej napastliwości, więc to pytanie zbiło ją z tropu.

- O kim?

- O Alanie Butenie. Dopiero po chwili skojarzyła.

- To tylko nazwisko na liście, Holt.

- I nic o nim nie wiesz?

- Wiem, że był rewidentem księgowym i że kilka lat temu przeszedł na emeryturę. Wiem, że nie żyje. Dlaczego pytasz?

- Wiesz, jak umarł?

- Nie.

- Spadł z drabiny.

- No i?

- To był pierwszy wypadek.

- Pierwszy... och. - To otwierało nową możliwość. - Bez czarnego anioła. Co to znaczy?

- To znaczy, że cię tu nie było. Że to był wypadek. To znaczy... Nie wiem, co to znaczy.

Znowu zapadło milczenie. Holt zdawał się badać wzrokiem płytki na podłodze, więc miała kolejną okazję, by mu się przyjrzeć. Tym razem dopuściła do siebie ból. Z tym pragnieniem musiała chyba przyjść na świat, tak długo je czuła

- pragnienie akceptacji, czułych ramiona, które objęłyby ją z uznaniem, miejsca,

które byłoby naprawdę jej domem, a nie składanego łóżka w kącie pokoju.

A kiedy tęsknota stała się już nie do zniesienia, zrobiła to, co zwykle robiła. Zacisnęła szczęki, uniosła do góry podbródek, skierowała swój żal przeciw światu i zamknęła się przed każdym, kto próbowałby przerwać ten stan. Holt tymczasem podniósł wzrok i znowu przyglądał jej się badawczo.

- Może to znaczy, że nie miałam nic wspólnego także ze śmiercią pozostałych osób - powiedziała cicho.

Spojrzał prosto w jej oczy.

- Może.

- Czy znasz panią Butene?

- Znam.

I znowu milczenie. Edie nie chciała pytać. Nie chciała ryzykować, że usłyszy odpowiedź, która jej się nie spodoba. Ale desperacja popychała ją niczym huragan.

- Czy to znaczy... - odchrząknęła, nie mogąc wydobyć głosu - że mi wierzysz? Że wierzysz, że nikogo nie zabiłam?

Holt wykrzywił usta.

- To znaczy, że chcę ci wierzyć. Niech Bóg mi pomoże. Miała ochotę skakać i krzyczeć z radości, ale powstrzymał ją wyraz jego twarzy.

- Ale?

- Ale muszę to udowodnić.

## Rozdział 32

**Edie** nie wiedziała, gdzie Holt spędził noc, ale na pewno nie z nią. To jej nie przeszkadzało. Po ostatniej rozmowie mógłby być nawet na drugim końcu świata, a i tak czuła większą bliskość niż od wielu dni. I kiedy tym razem przebudziła się w jedynej celi

aresztu w Redbud, nie ujrzała świeżo umytej twarzy Sam Fish, ale zielone oczy jej szefa.

- Pobudka - powiedział.

Jęknęła i usiadła. Starła z twarzy resztki snu.

- Już południe?

- Minęła szósta rano. Wsunęła stopy w buty.

- Żartujesz. - Otworzył drzwi celi; wychodząc na zewnątrz, musiała przejść obok niego. - A dokąd mam iść o szóstej rano?

- Ciesz się, że będziesz mogła się jeszcze wyspać. Bo ja mam robotę. - I rzucił od niechcienia: - Chcę się umówić na spotkanie z Hally Butene.

Zatrzymała się, otworzyła szeroko oczy i korciło ją, by skoczyć w jego ramiona. Ale miał w oczach takie isierki, jakby ją przejrzał, więc tylko ziewnęła.

- Wspaniale. Kiedy? Gdzie ona mieszka?

Zabrał klucze, sprawdził, czy ma komórkę, poklepał się po kieszeniach, żeby upewnić się, czy wziął to, co zwykle nosił.

- Idziemy. Zatrzymamy się w Red's i zabierzemy twoje rzeczy. Popędzał ją do wyjścia. Wsiadła do samochodu, tym razem z przodu.

- Nie potrzebuję rzeczy. Obrzucił ją spojrzeniem.

- Masz zamiar wiecznie chodzić w tych samych ciuchach? A zęby? Już nigdy ich nie umyjesz?

- Mogę później wszystko kupić... - Nagle przerwała. - A gdzie właściwie jedziemy?

- Na drogę numer sześć. Uniosła wysoko brwi.

- Chyba nie będziemy się spotykać z Hally Butene gdzieś przy szosie?

Zwolnił i wjechał w uliczkę za barem.

- Niezupełnie.

Wysiadł. Toteż żeby nie siedzieć samotnie z nadąsaną miną, była zmuszona zrobić to samo. Wszedł ciężko po metalowych

**13 - Śmiertelny grzech**

**193**

schodach, a ona za nim. Zatrzymał się, kiedy zobaczył graffiti na drzwiach.

- „Uśmiech” to moje dzieło.

Mruknął coś, ale nie potrafiła stwierdzić, czy z aprobatą, czy z potępieniem.

Mimo że Red żądał zwrotu klucza, nadal go miała. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Kiedy ostatni raz tu byli, Holt ją aresztował. Złość i cierpienie związane z tym spotkaniem nadal wisiały w powietrzu. Ciężko jej to, gdy upychała swój dobytek do torby, którą wtedy rzucił przez cały pokój. Żadne z nich się nie odzywało. Stał przy drzwiach, jak gdyby ich pilnował. Jego duża sylwetka wypełniała pokój, a milczenie sprawiało, że wydawała się jeszcze bardziej przytłaczająca. Gdziekolwiek poszła - do małej łazienki, do niewielkiej szafy - towarzyszył jej wzrok Holta. Porozumienie, do którego doszli poprzedniego wieczoru, przerodziło się w milczenie.

Kiedy skończyła, pomógł jej znieść torby na dół i wrzucił je na tylne siedzenie auta. Następnie pojechał prosto na wschód, do drogi numer sześć. Po dziesięciu minutach zajechał przed motel Cloverleaf.

- Chyba żartujesz? - powiedziała. - Tutaj mieszka pani Butene?

- Nie, ty tu mieszkasz. Wbiła w niego wzrok.

- Musisz gdzieś mieszkać. Muszę wiedzieć, że nie wałęsasz się po ulicach i nie znikniesz o wschodzie słońca. Nie możesz każdej nocy spać w areszcie.

- To przynajmniej oddaj mi kluczyki od motoru, bo będę uziemiona.

- Daj spokój, nie jesteś w środku dziczy. Niecały kilometr stąd jest Waffle House.

- No to wielkie dzięki.

- Będiesz bezpieczna. Nikt nie wie, że tu jesteś. Nikt ci tu nic nie nabazgrze sprejem.

- Zawsze mogę wynająć samochód i wyjechać z miasta.  
- Prawda. Ale niewinna kobieta nie ucieka. Zależy ci, żeby to wszystko rozwikłać, prawda? Nie można tego zrobić na odległość.  
Warknęła.  
- Skąd mogłam wiedzieć, że jesteś miłym facetem?  
Po pięciu minutach była już w pokoju. Holt najwyraźniej przygotował wszystko, zanim ją tu przywlókł.  
- Muszę jechać - oznajmił, kiedy cały jej dobytek stał już w różnych miejscach obskurnego pomieszczenia. - Pani Butene będzie pewnie bardziej rozmowna, jeśli się ogolę i wykąpię.  
- Tak, powodzenia.  
- Nie bądź taka naburmuszona. Kupiłem ci talię kart i magazyn z krzyżówkami. - Kiwnął głową w kierunku tego, co wyglądało jak komoda. Na wierzchu leżała papierowa torba. - Zawsze możesz pooglądać *General Hospital*.  
Kiedy wyszedł, Edie padła na łóżko. Chciało jej się krzyczeć, ale była tak zmęczona, że nie mogła otworzyć ust. Nawet nie zadała sobie trudu, by sprawdzić stan pościeli. Po prostu zamknęła oczy i pozwoliła, by ogarnęła ją ciemność.

### Rozdział 33

W drodze do domu Holt rozmyślał nad swoją decyzją. Rozumiał, że Edie pragnęła wierzyć w niewinność swojego ojca. On sam tak bardzo chciał wierzyć w jej niewinność, że myśl ta huczała mu w głowie niczym młot pneumatyczny.

Zamartwiał się zarówno z powodu materiału dowodowego, jak i jego braku: nie dawało się przypasować Edie do żadnego z miejsc tych zdarzeń. Nawet jej wytłumaczenie dotyczące obecności w biurze Parsleya miało sens. Poza tym to było kilka godzin przed jego śmiercią. Holt dałby też głowę, że zupełnie nic

nie wiedziała o testamencie Freda Lyle'a. Ale to wszystko zasadzało się na wierze, i to wierze jednego stronnika. Jeśli nie zdoła znaleźć innego podejrzanego o zamordowanie Parsleya albo innego wyjaśnienia pozostałych dwóch zgonów, to Edie pozostanie jego jedynym solidnym tropem.

Kiedy dotarł do domu, Mimsy przekazała mu wiadomość, którą słyszała od Carol Ann Baker, która słyszała od Betsy Caldwell, która zatrzymała Amy Lyle u siebie w domu po jej fatalnym najściu na bar.

- Biedactwo - szepnęła Mimsy, a Holt ani chwili nie wątpił, że nie miała na myśli Edie.

Hally Butene miała czas dopiero wieczorem. Przez cały dzień, podczas patrolu, kiedy kontrolował prędkość na drodze prowadzącej do miasta, kiedy siedział za biurkiem, gdziekolwiek przebywał, czuł niepokój związany z tym spotkaniem. Pani Butene mogła wiedzieć i przekazać mu coś, co stanowiłoby klucz do oczyszczenia Edie.

Kiedy w końcu wjechał w długą aleję prowadzącą do domu Butene'ów, powtarzał sobie, że musi się udać. Jakimś sposobem uzyska od Hally Butene to, czego potrzebuje. Skończy się cały koszmar związany z Edie i będą mogli zacząć wszystko od miejsca, w którym przerwali.

Jadąc aleją, zauważył, że trawniki są nieskoszone, krzaki nie-przycięte - wszystko wyglądało znacznie lepiej, kiedy był tu rok temu w związku ze śmiercią Alana. Posiadłość została zbudowana na sporej polaci gruntów rolniczych Tennessee. Prawdopodobnie pani Butene nie była w stanie utrzymać porządku na tak dużym terenie, zwłaszcza że cierpiała na chorobę Parkinsona.

Hally jednak wydawała się osobą, która doskonale potrafi zadbać o siebie, jeśli już nie o gospodarstwo. Wyglądała tak samo dobrze, jak wtedy, kiedy przyszła zająć się Amy Lyle po śmierci jej męża. Była doskonale ubrana, z gładko zaczesanymi siwymi włosami, w kardiganie koloru kości słoniowej. Jej prezencja dodała mu ducha. Trzeźwy i przenikliwy umysł lepiej rokował dla jego spraw.

Podala mu rękę i poczuł jej drzenie. Głowa kobiety również lekko się trzęsła i tak jak pamiętnej nocy, tak i teraz Hally precyzyjnie dobierała słowa wypowiedane lekko schrypniętym głosem.

- Miło pana znowu widzieć, szeryfie. I to w lepszych okolicznościach. Może pan się czegoś napije? Mrożonej herbaty?

Holt chciał jak najszybciej przystąpić do rzeczy, ale drink, choćby i bezalkoholowy, dawał zajęcie rękom i pomagał przełamać ewentualne skrepowanie.

- Chętnie. Dziękuję.

Poszedł za nią do kuchni. Ściany wyłożone były płytkami, blat granitowy. Obserwował, jak wrzuca do wysokich szklanek lód i nalewa herbatę z dodatkiem cytryny. Ręce jej drżały, ale dobrze sobie radziła

- Zauważyłem, że trzeba by ściąć trawę - powiedział Holt, kiedy napełniała drugą szklankę dla siebie. - Jeśli pani chce, mógłbym kogoś przysłać.

Machnęła ręką.

- Och, sama się tym zajmę. Alan nie wydawał zbyt dużo pieniędzy na trawnik. Obawiam się, że jestem bardziej oszczędna niż on.

Zaprowadziła go do wytwornie umeblowanego salonu. W jednym rogu stał fortepian, na ścianie wisiał obraz. Nie była to spotykana zwykle w Redbud reprodukcja z Wal-Martu ani własnoręcznie wykonane meble.

- Szeryfie Drennen, przez telefon wspominał pan coś o moim mężu.

Podniosła szklankę z godnością, pomimo nieustannego drżenia rąk, i wypila łyk, patrząc na Holta ponad brzegiem naczynia. Ten natychmiast złapał przynętę.

- Pani mąż był rewidentem księgowym w fabryce Hammer-bilt, nadzorował produkcję, pilnował, żeby finanse się zgadzały i tak dalej, więc na pewno znał Charlesa Swanforda.

W jej postawie dominowała teraz spokojna czujność, mimo że drzenie ciała nie ustało.

- Swanford. Tak, oczywiście. Ten malwersant.

Holt dostrzegł zniecierpliwienie, widoczne w opuszczeniu wzroku, skubnięciu małego rozdarcia na oparciu kanapy, które następnie przykryła ręką. Przypuszczał, że w tamtych dniach ta sprawa też musiała ją niecierpliwic.

- Ten biedny człowiek się zabił, prawda? - powiedziała w końcu. - Alan był zaszokowany i przygnębiony. Wszyscy byliśmy. Nie tylko z powodu jego osobistej tragedii. Była mowa o konsolidacji i zamykaniu niektórych fabryk i wszyscy siedzieli jak na igłach, czekając, na które fabryki padnie wyrok. - Otrząsnęła się. - Zupełnie inaczej niż dzisiaj. Okropne czasy, okropne.

- Nie wiedziałem, że były jakieś kłopoty korporacyjne.

- Och, na pewno słyszał pan tę historię setki razy. Jak to dziś nazywają? Globalizacja? Większe zyski można osiągnąć za granicą. I to ponosząc mniejsze koszty. Wszyscy się martwili. Zwłaszcza po tym całym zamieszaniu ze Swanfordem.

- Więc może dobrze się stało, że umarł. Wyglądała na zaszokowaną.

- Jak można mówić takie straszne rzeczy?

- Nie ma w tym ziarna prawdy? Westchnęła.

- Nie wiem. Może... koszt procesu, nagłośnienie sprawy. Może na dłuższą metę było to lepsze dla fabryki, ale nie sądzę, żeby ktokolwiek wtedy mógł coś takiego powiedzieć.

- Charles Swanford był podwładnym pani męża. Czy pamięta pani, żeby Alan opowiadał o spotkaniach z nim?

- Przecież spotykali się cały czas.

- Nie zaszło nic szczególnego?

- To było ponad dwadzieścia lat temu. Aż tak nie ufam swojej pamięci.

Holt skinął głową, rozczarowany, i podjął inny wątek.

- Wiem, że przyjaźniliście się z Lyle'ami, ale czy pani mąż znał dobrze Dennisa Runkle'a?

- Dennisa? Na pewno się znali, ale nie spotykali się na gruncie towarzyskim. Może na golfie od czasu do czasu, ale na pewno nie regularnie.



- A pastor Parsley?

- Chodziliśmy do St. Edwards, episkopalnego kościoła w Springfield, więc nie jestem pewna, czy Alan miał z nim jakiś kontakt. Ale kościół miejski dość aktywnie działał w Red-bud, więc ja sama często widywałam Kena. -

Pokiwała trzęsącą się głową. - Trudno uwierzyć, że wszyscy nie żyją. Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami... A tu nawet trójkami... Raczej nie jestem przesadna, ale jednak...

Holt poczuł lekkie zdenerwowanie. Musiał coś osiągnąć, nie mógł stąd odejść bez choćby skrawka informacji, który zmieniłby bieg zdarzeń.

- Jest pani pewna, że mąż nie prowadził interesów z tymi trzema mężczyznami?

- Interesów? Nie. A dlaczego?

Holt zaczął się pocić, ale nie zwracał na to uwagi. Miał nadzieję, że następne pytanie uwolni Edie od kłopotów, a jednocześnie bał się, że może pogрузić ją jeszcze bardziej. Obliznął usta.

- Swanford miał córkę. Eden. Czy pani mąż kiedykolwiek o niej wspomniał, zwłaszcza w tym czasie, kiedy umarł Swanford? Może się z nią widział albo rozmawiał? Teraz nazywa się Swann. Edie Swann.

Na jej twarzy odmalowało się przez chwilę zmartwienie.

- Edie Swann? - Zmarszczyła brwi. - Czy to ta osoba, którą Amy Lyle... och, mój Boże. Ona jest Eden Swanford. - I znowu pokręciła drżącą głową. - Nie. Alan nigdy o niej nie wspomniał. Dlaczego miałby o niej mówić?

- Ma listę, na której znajdują się nazwiska wszystkich osób, które umarły. Także pani męża.

- Listę? - Wpatrywała się w niego. - Chce pan powiedzieć, że istnieje związek między tymi zgonami a śmiercią Alana? Alan przecież spadł z drabiny.

- A Fred miał atak serca, Runkle wypadek samochodowy, Parsley utonął. Same wypadki. Albo przynajmniej tak to miało wyglądać.

**193**

- Tak miało wyglądać... - Przez jej twarz przemknął niepokój. Wstała i podeszła do małego stolika, wzięła do ręki ślubne zdjęcie w ramce. Jej młodsza wersja obok młodszej wersji męża. Para uśmiechała się z ramki. - Nie rozumiem. Jakim cudem... - Odwróciła się do niego. Zauważył, że ma łzy w oczach. - Czy pan twierdzi, że ta Edie zabiła mojego Alana?

- Nie. - Podniósł ręce do góry. - Nie. A w każdym razie staram się tego dowiedzieć.

- Jestem pewna, że pamiętałabym, gdyby nagle pojawiła się tutaj córka Charlesa Swanforda.

Wyjął z kieszeni koszuli fotografię i położył ją na stoliku do kawy. Nie było to najlepsze zdjęcie, ale jedyne, jakie miał. To, które Miranda zrobiła jego telefonem komórkowym. Tamten dzień w Claire's wydawał się odległy o całą epokę.

- Poznaje ją pani?

Hally podeszła do kanapy, obejrzała zdjęcie Edie. Dopiero gdy się odezwała, uświadomił sobie, że przez cały czas wstrzymywał oddech.

- Nie. Obawiam się, że nie. Odetchnął pełną pierśią.

- Jest pani pewna?

- Nie zapomniałabym tak niezwyklej twarzy.

- A to? - Wyjął z kieszeni jednego z aniołów Edie. Podał go Hally. - Czy widziała pani kiedykolwiek taką figurkę? Może wśród rzeczy męża?

Obracała anioła w dłoni, oglądając go uważnie.

- Słyszałam o nich, rzecz jasna, ale czy widziałam tutaj? Nigdy.

- Może mąż wspominał, że dostał taki przedmiot, albo mówił o Charlesie Swanfordzie, albo o czarnym aniele?

- Nie, szeryfie, na pewno nie. Od wielu lat nie słyszałam jego nazwiska, aż do tego szaleństwa z czarnymi aniołami.

- A jak zachowywał się pani mąż w dniach poprzedzających swoją śmierć? Czy był jakoś szczególnie zaaferowany albo tajemniczy?

**200**

- Nie, zachowywał się normalnie. Tak jak zawsze. - Jej oczy znowu zwilgotniały. - Przepraszam. - Wyjęła chusteczkę z rękawa swetra i wytarła je. - Minął ponad rok i myślałam, że opłakałam już Alana. Ale nadal za nim tęsknię. - Wzięła się w garść. Chusteczka zniknęła, a głos nabrał pewności. - Obawiam się, że niewiele panu pomogłam.

Holt wstał z narastającym podekscytowaniem.

- Bardziej niż się pani zdaje.

Ona również podniosła się z kanapy. Uśmiechnęła się smutno.

- Wie pan, kiedy mąż dostał tę pracę w Redbud, pomyślałam, że ciągnie mnie na koniec świata. Ale w małych miasteczkach jest coś szczególnego.

- Więc nie zamierza pani sprzedać domu?

- Nie. Jeśli tylko dam sobie radę. Mam nadzieję, że zdrowie na to pozwoli. I pieniądze, rzecz jasna. Chorowanie sporo kosztuje.

Podążyła mu rękę na pożegnanie i odprowadziła go do drzwi.

- Jeśli pani sobie coś przypomni, proszę do mnie zadzwonić. - Wręczył jej wizytówkę. - Nawet jeśli wyda się to pani nic nie-znaczącym drobiazgiem.

Kiedy odjeżdżał, stała w drzwiach, mocniej otulając się swetrem.

Czy to, co mu powiedziała, wystarczy? Miał nadzieję, że tak. Nikt nie potrafił umiejscowić Edie w Redbud w czasie, kiedy zginął Alan. A jeśli nie miała związku z jego śmiercią, to może także z pozostałymi zgonami. Może nie były one nawet powiązane ze sobą. Albo były, tylko jeszcze nie dostrzegął, w jaki sposób.

Nie licząc osoby Charlesa Swanforda.

I aniołów Edie.

## Rozdział 34

Kiedy Edie się obudziła, było już po piątej. Ponieważ jej zegar wewnętrzny dopasował się do godzin pracy w barze, przespała

cały dzień. Przeciągnęła się, usiadła, obrzuciła wzrokiem motelowy pokój. Sporo wiedziała o takich pokojach. Jeździła z miasta do miasta, zatrzymując się w różnych obskurnych miejscach, dopóki nie znalazła pracy, pokoju do wynajęcia, a czasami nawet mieszkania. Lepiące się komody ze sklejki, tanie kabiny prysznicowe, cienkie kołdry, które śmierdziały papierosowym dymem. Znała to aż za dobrze.

Pomyślała o zrujnowanym domu swojej babci. Wystarczyłoby trochę pieniędzy i dużo ciężkiej pracy. Mogłaby na początek skosić przerośniętą trawę. Przyciąć zdziczałe krzaki. Naprawić huśtawkę z opony. Kilka puszek farby odmieniłoby zewnętrzne ściany. A w środku? Policzyła zadania: odnowić drewniane podłogi, położyć nowe tapety, wymienić zlewozmywak. Pomalować. Czy to naprawdę aż tak wiele? Przecież trochę miłości i troski potrafi działać cuda.

Padła z powrotem na poduszkę. Była najgłupszą kobietą po tej stronie Memphis. Jej następnym domem będzie prawdopodobnie stanowe więzienie dla kobiet.

Poza tym gdyby miała tyle gotówki, żeby kupić jakiś dom, to Redbud byłoby ostatnim miejscem na ziemi, które by wybrała. Miasto zaszczuło jej ojca i chciało zrobić to samo z nią.

A jednak. A jednak.

W Redbud mieszkała Miranda.

I Holt.

Uderzyła pięścią w poduszkę. Powinna planować ucieczkę, a nie snuć marzenia o życiu, którego nigdy nie będzie miała! W mieście, którego nienawidziła od zawsze. I które teraz ją znienawidziło.

Odrzuciła kołdrę i wskoczyła pod prysznic. Puściła bardzo gorącą wodę i pozwoliła jej swobodnie płynąć przez każde pasemko włosów i każdy centymetr skóry. Następnie, aby upewnić się, że całkiem się rozbudziła i odzyskała jasność myślenia, zakreśliła gorącą wodę i stała pod strumieniami zimnej. Policzyła do dziesięciu, zanim ją wyłączyła. Trzęsąc się, wytarła się czymś, co służyło za ręcznik, ale przypominało chusteczkę do nosa. Kie-

dy skończyła, była całkowicie rozbudzona, tryskająca energią i gotowa na wszystko.

Wygrzebała z torby T-shirt i wciągnęła go przez głowę. Wcisnęła się w dżinsową spódniczkę. Kiedy zapinała zamek, zadzwonił telefon komórkowy.

Holt ją sprawdza? Nie poznała numeru, a głos był kobiecy.

- Edie? Lucy.

- We własnej osobie - powiedziała Edie.

- Jak leci? Kochana.

- A jak myślisz?

- Nie pytałabym, gdybym wiedziała.

W głosie starszej kobiety brzmiała niekłamana troska, ale Edie natychmiast podchwyciła też sarkazm.

- Przepraszam. Jestem ostatnio trochę przewrażliwiona.

- Trudno ci się dziwić. Gdzie spałaś? Po zamknięciu poszłam do twojego pokoju, ale cię nie było. Nie wałęsałaś się chyba przez całą noc po mieście, co? Jechałam potem koło parku. Nie widziałam cię.

- Byłam cała i zdrowa. W więzieniu. Lucy zachłysnęła się.

- Szeryf znowu cię aresztował?

- Niezupełnie. Kazałam mu, żeby mnie zamknął. Bo to jego wina, że nagle zostałam bez dachu nad głową.

Lucy parsknęła z podziwem. Albo z niedowierzaniem.

- Edie Swann, jesteś kimś, wiesz?

- Tak, tylko kim. Idiotką?

- Jesteś górą.

- Czy to jakaś gadka dla podniesienia na duchu?

- Tylko stwierdzam.

- Ale co? Że według ciebie nikogo nie zabiłam?

- A zabiłaś? - Pytanie było krótkie i oczekiwane, więc Edie odpowiedziała bez chwili wahania.

- Nie.

- Tak właśnie myślałam. I powiedziałam to wczoraj Redowi. Puściłam mu niezłą gadkę. Zachował się jak jaskiniowiec. Co za facet bez jaj. Chciałam ci tylko powiedzieć, że będę nad nim pracować.
  - Dzięki. Nie jestem pewna, czy chcę wracać do tej pracy.
  - Ale przynajmniej będziesz mogła odejść na własnych warunkach. Gdzie dzisiaj śpisz? Znowu na koszt miasta?
  - Nie, Holt mi coś znalazł. - Przerwała. Holt powiedział, że nikt nie wie, gdzie jest. Może lepiej, żeby tak zostało. - Wszystko dobrze.
  - Na pewno? Daj mi znać, jeśli coś się znowu pochrzani.
  - Dam.
  - Uważaj na siebie.
  - Masz to jak w banku. Lucy?
  - Tak.
  - Dzięki, że zadzwoniłaś. Zachichotała.
  - Nie ma za co, panienko. I nie pozwól, żeby te małomiasteczkowe harpie cię zagryzły.
- Edie czuła się podniesiona na duchu. Jeśli Lucy jej wierzyła, to może inni też.
- Chwyając się tego promyczka światła, wsunęła stopy w klapki. Umierała z głodu. Niech nawet będzie Waffle House. Wzięła trochę gotówki i klucz od pokoju. Gdy trzymała rękę na klamce, po raz kolejny zadzwonił telefon. Co znowu?
- Tego numeru też nie znała, podobnie jak głosu.
- Panna Swann?
  - Tak.
  - Mówi Bradley Cole, adwokat zmarłego Freda Lyle'a.
- Zacisnęła dłoń na słuchawce. Dobre uczucia wywołane telefonem Lucy wyparowały. W głowie Edie brzmiał przepełniony żalem głos Amy Lyle. „Morderczyni!” Policzek palił ją od uderzenia.
- Współczuję pani Lyle - odparła sztywno - ale nie mogę pomóc.

Rozłączyła się. Schowała telefon do kieszeni i wysliznęła się z pokoju.

Telefon znowu zadzwonił. Sprawdziła numer. Cole and Tyrrell. Ruszyła w stronę szosy. Telefon nie milkł.

Poirytowana odebrała. Może wyraziła się nie dość jasno.

- Niech mnie pan zostawi w spokoju. Nic nie zrobiłam pani Lyle.

- Nie po to dzwonię - powiedział szybko Bradley Cole. - Proszę się nie rozłączać. Zapewniam, że warto poświęcić chwilę uwagi.

Stała pod szyldem motelu. Brakowało jednej litery i napis brzmiał „loverleaf”. Oparła się o jeden z słupków.

- Czy chodzi o testament? Cole zamilkł.

- Pani wie o testamencie? - Wydawał się zaszokowany.

- Tak, wiem. Wspominał o nim szef policji. W kółko, do znudzenia. Szczerze mówiąc, nadal nie znam szczegółów.

Wiem tylko tyle, że jestem wymieniona. Pewnie w złym kontekście: „Pannie Eden Swanford zapisuję smażenie się w piekle razem z jej ojcem oszustem”.

- Prawdę mówiąc, zostawił pani pokaźną sumę. Zamarła.

- Co takiego?

- Czy mogłaby pani przyjść jutro do mojego biura, aby to omówić?

- Niech pan zaczeka. Zapisał pieniądze? Mnie?

- Tak.

W tym jednym słowie zawierał się spory ładunek dezaprobaty, ale Edie to zignorowała.

- Ale ja nie znałam tego człowieka.

- Widocznie on znał panią. Przełknęła ślinę.

- Nie rozumiem.

- Wszystko zależy oczywiście od tego, czy nie miała pani nic wspólnego z jego śmiercią.

Zalała ją fala gniewu.

- Już powiedziałam...

- Możemy o tym porozmawiać, kiedy się spotkamy. Jutro?

- Nie wiem. - Obracała w palcach klucz od pokoju. - Nie mam jak przyjechać.

- Mogę przysłać po panią samochód. Za barem Reda McClu-re'a, tak? Może o dziesiątej?

Jego informacje pochodziły sprzed dobrych dwudziestu czterech godzin.

- Nie koło baru.

- Dobrze. Jak pani woli.

Jego głos był chłodny, oficjalny, ale Edie czuła, że musi go trochę podrażnić. Nie lubiła, by ją ktoś naciskał, a Bradley Cole działał w tempie błyskawicy.

- Widzi pan, moje sprawy... trochę się pogmatwały. Mogę do pana oddzwonić?

Zawahał się na ułamek sekundy, jego milczenie było pełne irytacji.

- Oczywiście. - Podał jej numer. - Ale proszę nie zwlekać. Rodzina chciałaby zamknąć tę sprawę.

Rodzina. Edie ujrzała w myślach twarz Amy Lyle. Wczoraj wieczorem, kiedy ta kobieta wrzeszczała na całą salę, nie miała zielonego pojęcia, o czym mówi. Ale teraz...

Edie patrzyła na szosę w stronę Waffle House. Burczało jej w brzuchu na myśl o jedzeniu, ale perspektywa kolacji nie wydawała się już tak kusząca jak przed chwilą.

Ile Fred Lyle jej zostawił? I dlaczego? Brudne pieniądze? Za milczenie? Tak czy siak, były zbrukane.

Ruszyła przed siebie. Chęć zjedzenia czegoś zmuszała ją do działania. Uszła prawie kilometr asfaltem, mijając jakiś sklep i dwie stacje benzynowe, które wyglądały tak, jakby wzniesiono je w czasach wynalezienia samochodu.

Mogłaby wiele zrobić, mając kilka tysięcy dolarów. Kupić nowe sprzęgło do motoru. Nową parę wysokich butów.

Oryginalne są drogie. Albo może wydałaby wszystko na nowy lakier. Czarny



z czerwonymi płomieniami. Albo czerwony z czarnymi aniołami. Nie mogła powstrzymać złośliwego uśmiešku. A potem wzięłaby to, co zostało, i związała z tego upiornego miasteczka. O ile nie siedziałaby w więzieniu.

Popchnęła drzwi do Waffle House. W jej nozdrza uderzył zapach jedzenia smażonego na głębokim tłuszczu.

Wskoczyła na stołek przy barze. Skinęła na kelnerkę i zamówiła hamburgera z frytkami. I kawę, żeby spłukać tłuszcz.

Mogłaby też wykorzystać zapis od Freda na zapłatę zrujnowanego domu stojącego na dzikim obrzeżu Redbud.

Skarciła się za tę myśl. Już drugi raz w ciągu godziny pomyślała o osiedleniu się w Redbud. Marzenia to jedna sprawa, a obsesja - druga.

Nadgryzła hamburgera, zdecydowana skupić się tylko i wyłącznie na tym podłym jedzeniu. Długo siedziała przy kawie, przeciągając posiłek, jak tylko się dało. Oprócz pokoju w motelu nic na nią nie czeka.

W końcu zapłaciła rachunek i wyszła. Znalazła się na szosie prowadzącej do miasta. Szła żwirowanym poboczem, od czasu do czasu mijał ją jakiś samochód. Obok sklepu i dwóch stacji benzynowych. Obok Cloverleaf.

Za jej plecami zawył podrasowany silnik. Odwróciła się i zobaczyła dziesięcioletniego acura pędzącego prosto na nią. Śmignął obok, tak blisko, że mógłby ściąć jej włosy z nóg. Odskoczyła, łykając kurz i tracąc równowagę. Serce jej waliło.

A niech to wszyscy diabli!

Ze strachu zaschło jej w ustach. Patrzyła za znikającymi światłami samochodu. Chyba pędzi sto osiemdziesiąt na godzinę, spokojnie. Żaden znany jej model acura nie rozwijał takiej prędkości. Specjalna przesyłka dla niej?

Przełknęła ślinę. Czy narasta paranoja?

Roztrzęsiona zerwała się na nogi. Strzepnęła żwir z rąk i kolan. Rozejrzała się dokoła. Nic podejrzanego. Ani nikogo.

Ale zapadał już zmrok. Powinna wrócić do motelu, bo może to jednak nie był przypadek. Widziała już oczyma wyobraźni, jak przemyka ukradkiem, by schować się niczym bezbronna myszka.

Niedoczekanie.

Mogła dalej popisywać się brawurą, ale nie była głupia. Trzymała się teraz lewego pobocza drogi, idąc jak najdalej od jezdni. I rozglądała się dokoła, aby nikt jej nie zaskoczył znieścacka. Żadnego samochodu na horyzoncie. Jedynym stworzeniem był koń stojący w oddali za płotem.

Po piętnastu minutach horyzont rozświetlił neon Hammer-bilt. Przeszła na drugą stronę szosy i stanęła przy metalowym ogrodzeniu, które wyznaczało zewnętrzny skraj obszaru fabryki. Ściskając pręty, zajrzała do środka. Za rozległym obszarem trawy i betonu stał solidny i niewzruszony kompleks budynków fabrycznych. Latarnie oświetlające teren dopiero się zapalały. Budowla przysłaniała niebo, dominowała nad całym miastem. I nad jej życiem. Wiele lat temu, kiedy była za mała, żeby to rozumieć, za tymi murami wydarzyło się coś niedobrego. Coś, co na zawsze zmieniło jej życie.

Czy jej ojciec naprawdę był złodziejem? Piekielne dziedzictwo.

W oddali pojawił się samochód, który wyjeżdżał z terenu fabryki i kierował się w jej stronę. Cofnęła się w cień, ale nawet z tej odległości widziała, że nie było to zwyczajne auto. Długi, czarny sedan z przyciemnionymi szybami wyglądał tak, jakby wiozł wielkiego dostojnika i jego towarzyszy. Za nim wyjechały jeszcze dwa samochody i wszystkie trzy minęły ją w pompatycznej paradzie, kierując się do miasta.

Słyszała, że do fabryki ma przyjechać delegacja na inspekcję. Zanim jej zła sława stała się tematem numer jeden, to wydarzenie rywalizowało z czarnymi aniołami o palmę pierwszeństwa w miasteczkowych plotkach. Samochody na pewno wiozły ważne osobistości, które przybyły, by ocenić przydatność miasta dla dalszych inwestycji.

Oparła się o płot w przypływie nagłego zmęczenia. Przyjechała do Redbud, aby dowiedzieć się prawdy i zamknąć przeszłość. A teraz była bardziej osaczona niż kiedykolwiek. Przez niektórych podejrzewana. Przez innych oskarżana. Złapana w pułapkę. Dosłownie.

**208**

Bez pośpiechu wracała do motelu. Słońce już całkiem zaszło i noc wypełzła na niebo. Dlaczego ciemności tak ją pociągały? W ciemnościach wszystko było wymieszane i nieostre; wszystkie drogi wyglądały tak samo, kierunki zlewały się ze sobą. To otwierało tyle możliwości. W ciemnościach wszystko mogło się zdarzyć.

Ale w tej chwili nic się nie działo. Wyłonił się jedynie neon motelu „loverleaf” i migający napis „wolne pokoje”. Przeszła pod nim, skręciła do swojego pokoju, włożyła klucz do zamka.

Otworzyła drzwi.

I stanęła jak wryta. Patrząc na bałagan. Koce i pościel były roz-włóczzone po całym pokoju. Torby opróżnione, wszędzie wałały się ubrania, buty i bielizna. Materac został przecięty na środku, a jego wnętrzości tonęły w oceanie czerwieni. Wszędzie była krew. Na łóżku, na podłodze, na pustych torbach, na jej rzeczach. Krew spływała po ścianach, płynęła strużkami po komodzie.

A na lustrze ktoś nabazgrał czerwone litery: „Śmierć zabójczym”.

## Rozdział 35

**To** farba - stwierdził Holt. - Czerwona farba. - Podeszedł do krawężnika, na którym siedziała Edie, stukając niecierpliwie stopą. - To nie krew.

- I przez to mam się poczuć lepiej?

Przyjechał tu prosto z domu Butene'ów, bo zaalarmowała go wiadomość zostawiona przez Edie na komórce: „Wszędzie jest pełno krwi”.

Popędził do motelu, dzwoniąc po drodze do Sam i wzywając ją na miejsce zdarzenia. Wydawało mu się, że minęły wieki, nim dotarł do swojego samochodu, i że jechał tydzień, chociaż licznik pokazywał sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ponieważ był

**14 - Śmiertelny grzech**

**209**

niemal pewien, że znajdzie Edie pociętą, poczuł ulgę, że ucierpiał jedynie pokój. Ale i tak wyglądało to bardzo źle. Kiedy przyjechał, Sam zabezpieczyła już miejsce. Była w środku i robiła zdjęcia. Pozostawiła wystraszoną i opryskliwą Edie pod jego opieką.

- Mówiłeś, że nikt nie wie, gdzie jestem - powiedziała. To było dla niej najbardziej niepokojące.
- Nikt nie wiedział.
- Ktoś musiał wiedzieć, Holt. To oczywiste. Musiałeś komuś powiedzieć.
- Tylko mojemu tacie. Gdyby coś mi się stało. Pobladła.
- Twojemu tacie? Zmarszczył brwi.
- No tak. Chyba nie sądzisz, że zrobił to były szeryf Redbud? Otworzyła usta. I zaraz je zamknęła.
- Albo właściciel motelu, u którego wynająłem pokój. Nie sądzę, żeby chciał niszczyć swoją własność.
- A co z acurą? Pokręcił głową.
- To jeden z miejscowych dzieciaków, wydaje mu się, że jest Jamesem Deanem. Pogadam z nim.

W ich stronę szedł drobnymi kroczkami cherlawy mężczyzna z cienkim wąsikiem, w koszuli wypuszczonej na spodnie.

- Szeryfie, jedną minutkę. Co pan zamierza z tym zrobić? Holt wstał i przywitał się z nim.
- Pan Prewitt? Mężczyzna przytaknął.
- Czy prosiłem, żeby nikomu nie mówić, że jest tutaj panna Swann?
- Jasne. Pamiętam o tym. - Zerknął na otwarte drzwi do pokoju, gdzie żółta taśma ograniczała wejście. - Wie pan, ile będzie mnie to kosztowało? - Zerknął na Edie, w jego spojrzeniu nie było śladu zyczliwości. - Gdybym wiedział, że chce ją pan tu zadekować, nie byłbym taki pomocny.

Holt przeszył go wzrokiem.

- A pracownicy? Pokojówki, portierzy, sprzątaczk.

- To nie Hilton, szeryfie - odpowiedział Prewitt. - Jedna kobieta przychodzi raz w tygodniu. Zatrudniam od czasu do czasu kogoś do odkurzania. Nikomu z nich nic nie mówiłem. Przysięgam.

- Niech pan poda ich nazwiska mojej zastępczyni. Jest w środku.

Prewitt oddalił się, a Holt wrócił do Edie.

- I co mam teraz z tobą zrobić?

- Nic. Jestem dużą dziewczynką. Sama o siebie zadbam.

- Tak jak poprzedniej nocy?

- Oddaj mi motor, to będziesz miał mnie z głowy. Holt zebrał się na odwagę. I skoczył na głęboką wodę.

- A może pojechałabyś ze mną do domu? Poderwała głowę. Jej oczy płonęły ciemnym blaskiem.

- Czarny anioł i szef policji? To by chyba nie pomogło twojej karierze.

- Mój problem, a nie twój. Nie masz dokąd pójść, a u mnie będziesz bezpieczna.

- To samo mówiłeś o motelu.

- Nie sądzę, żeby ktoś włamał się do domu szeryfa, aby wszystko zachłapać farbą.

Szurała nogami. Opuściła głowę, potem znowu podniosła. Unikała jego wzroku.

- To twój dom rodzinny. Są rodzice. I Miranda...

- Byłaby zachwycona, że pani z tatuażem u niej zostanie. Spojrzała ponad jego ramieniem. Widział w jej oczach tęsknotę, pokusę. Ale również ostrożność. Czego się bała?

- To jak? - zapytał. Miał ochotę ująć jej podbródek, odwrócić twarz Edie do siebie. Przesunąć kciukiem po upartym podbródku, pocałować zawzięte usta i zmusić ją, by wyznała, czym się martwi.

Coś przyszło mu na myśl. Zrobiło mu się gorąco, podniósł do góry ręce. Postąpił krok do tyłu.

- Nawet cię nie tknę, jeśli tym się martwisz.

Wreszcie na niego spojrzała. Ale zamiast nabrać pewności, warknęła tylko:

- Dzięki. Miło wiedzieć, że potrafisz mi się oprzeć.

- Chciałem tylko powiedzieć...

- Tak, wiem, co chciałeś powiedzieć. Wszystko się pogmatwało i nie możemy tego jeszcze bardziej spieszyć, pieprząc...

- Szeryfie!

Podbiegła do nich Sam, wymachując jakimś papierkiem, za nią dreptał Prewitt.

- Pan Prewitt podał mi te nazwiska. - Sam nie mogła złapać tchu albo od biegu, albo z podniecenia. - Wiesz, kto jest na liście?

Podala Holtowi świstek papieru. Przebiegł wzrokiem krótką listę.

Trzy nazwiska. I ostatnie. Terry Bishop.

## Rozdział 36

**Dawaj go** - rzekł ponuro Holt.

- Tak jest, szeryfie! - Sam zasalutowała, zaczerwieniła się po korzonki włosów i popędziła. Ale zdążyła jeszcze zerknąć na Edie i nie było to przyjacielskie spojrzenie.

- To znaczy, że nie mogę uprzętnąć tego bałaganu? - Prewitt wskazał kciukiem na pokój Edie.

- Tylko przez dzień lub dwa - odparł Holt. - I niech pan nie wydaje kart ani kluczy - ostrzegł. - Zarezerwuję wolne pokoje, żeby mieć pewność.

Prewitt oddalił się zrezygnowany, zostawiając Edie sam na sam z Holtem.

- No... to wszystko ustalone? - spytał. - Mogę cię podrzucić do domu po drodze na posterunek. Wezmę w obroty naszego wspólnego przyjaciela.

- Terry Bishop nie jest moim przyjacielem. Jak widać.

- Miałaś z nim jakieś zatargi, oprócz tego w kościele?

Odtworzyła w pamięci swoje spotkania z Bishopem i doszła do wniosku, że nic się nie stanie, jeśli opowie o nich Holtowi. Nic, co powiedziała Terry'emu, nie dawało podstaw do tego, żeby reagować z taką przemocą, ale większość ludzi nie lubi, jak wtyka się nos w ich tajemnice. Może o to chodziło Terry'emu.

- Był stałym klientem w Red's.

- Wkurzyłaś go czymś? - zapytał oschle Holt. - Za dużo piany w piwie?

- Umiem nalewać piwo, Holt.

- Czyli nie piwo. Więc co?

- Być może...

- Co?

- Trochę za bardzo go naciskałam.

- W jaki sposób? Wiem, że umiesz przyłożyć, ale jednak jesteś dziewczyną.

- Myślę... myślałam... że on coś wie o fabryce. O jakichś, sama nie wiem, brudach. Chciałam, żeby mi o tym powiedział. Może zbyt... agresywnie wyrażałam te żądania.

- Uderzyłaś go?

- Nie.

- Groziłaś mu?

- Nie tak bardzo. Ale samo wypytywanie o to, co wie, może już być wystarczającą groźbą. Jeśli to coś dotyczy konkretnej osoby. Albo jest niebezpieczne.

- Albo jedno i drugie.

Patrzyli na siebie, a domysły wisiały w powietrzu. W tym momencie przydreptał do nich Prewitt.

- Proszę. - Podał Holtowi dwa klucze. Wskazał na Edie. - Ona ma trzeci.

Prewitt odszedł, a Holt zamknął pokój, nie naruszając policyjnej taśmy.

- Gotowa? - zapytał.

- Do czego? - odpowiedziała pytaniem Edie, wiedząc doskonale, co miał na myśli. Nie zamierzała zbliżyć się do jego domu. I do jego ojca. Zwłaszcza do ojca.

Zanim Holt zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon.

Odetchnęła. Co za ulga.

Holt odebrał. Słuchał. Kiwał głową.

- Dobra robota. Nie, będę za pół godziny. Muszę po drodze podrzucić Edie. Jak tylko chcesz. Dobra. - Rozłączył się i spojrzał na Edie drwiąco. - Zdaje się, że Terry nie jest szczęśliwy z powodu wizyty na posterunku. - Zatknął telefon za uchwyt przy pasku. - No to dalej. Zadzwonię po drodze do matki, żeby ci pościeliła na sofie w salonie.

Zebrała całą odwagę.

- Nie jadę do twojego domu, Holt. Zmarszczył brwi.

- Na pewno będzie ci tam wygodniej niż w celi. Albo na ławce w parku.

- Jest inna opcja.

- Tak? Jaka?

Im mniej ludzi będzie wiedziało, gdzie jest, tym lepiej.

- Wolę nie mówić.

Holt skrzywił się jeszcze bardziej.

- Ni cholery mnie nie obchodzi, co wolisz, a czego nie. Gdziekolwiek pojedziesz, muszę o tym wiedzieć.

Wzruszyła ramionami. Nic nie powiedziała. Co by to dało? Tylko by się z nią pokłócił.

- Mogę cię nawet przykuć kajdankami do tego znaku. - Kiwnął głową, wskazując szyld motelu. - Przynajmniej będę wiedział, gdzie spędzisz całą noc.

- Akurat w to uwierzę. Puste pogrożki, Holt. Nie w twoim stylu.

Przejechał dłonią po włosach.

- Do cholery, Edie, nie zostawię cię na łasce losu.

- Dlaczego nie?

- Wiesz, dlaczego nie.



- Bo jestem podejrzaną w sprawie o morderstwo, którą prowadzisz?

- To też.

- Bo będziesz za mną tęsknił?

- Bo będę się o ciebie martwił. - Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na nią bezradnie. - I co? Teraz jesteś zadowolona? Powiedziałem to. I powiem ci coś jeszcze. Niech mnie diabli porwą, jeśli ci pozwolę, żebyś mi to zrobiła. Nie będę leżał bezsennie i rozmyślał, czy coś ci się nie stało. Czy żyjesz. Już to przerabiałem. I drugi raz nie mam zamiaru.

Przyglądała się jego zatroskanej twarzy. Przepełniło ją ciepłe uczucie. Miło, kiedy ktoś się o ciebie troszczy. Miło, że to on się o nią troszczy.

- Pojadę do Lucy - powiedziała.

- Lucy?

- To koleżanka z baru. Myślę, że mnie przenocuje. Mogę spać na podłodze.

- Myślisz?

- No dobra, wiem. Jeszcze jej nie pytałam.

- Na miłość boską...

- Dobra, dzwonię, okej?

Wyjęła telefon z kieszeni. Ściągnęła numer z poprzedniej rozmowy z Lucy. Wyjaśniła starszej kobiecie, w jakiej się znalazła sytuacji.

- Jasne, dziewczyno - zadudnił w telefonie głos Lucy. - Przyjeżdżaj. To nie Biltmore, ale mam kanapę, na której możesz się przespać.

- Dzięki. Mogę prosić o coś jeszcze?

- Wal.

- Możesz po mnie przyjechać? - Opisała Lucy, gdzie jest, i skończyła rozmowę.

Holt spojrzał na nią.

- Przecież mogłem cię tam zawieźć.

- Jasne. Szef policji zajęcza swoim autem i mnie podrzuca. Czy może być coś bardziej rzucającego się w oczy?

- Chcę dostać adres i numer telefonu.
- Dobrze, dobrze. Co chcesz. Złapał ją za ramiona.
- Jesteś upartą wiedźmą, wiesz?

Jego dotyk podziałał jak porażenie prądem. Podniosła na niego wzrok. Utkwione w niej oczy błyszczały.

- Po prostu chciałeś mieć mnie w swoim domu - powiedziała. I w swoim łóżku, dodała w myślach.
- A czy to byłoby takie złe? - Jego duże, silne dłonie przesunęły się z jej ramion na szyję. - Są gorsze rzeczy. - Dłonie prześliznęły się po jej podbródku, musnęły policzki i w końcu, w końcu, w końcu odnalazły jej wargi. Zaschło jej w ustach. Całe ciało zamieniło się w płynną masę.

Jego kciuk błędził po linii ust. A wzrok podążał za palcem. Westchnęła. Z lekkim zdziwieniem.

Jej wzrok także znieruchomiał, utkwiony w słodkie wygięcie jego dolnej wargi. W widoczne nad nią, a także na policzkach i brodzie punkciki jednodniowego zarostu.

Czy jeszcze oddychała? Nie wiedziała. Nie dbała o to.

- Chcesz mnie pocałować czy co?
- Uhm. Myślę o tym.
- To nie myśl. Przejdź do czynu.

Uśmiechnął się. Wygięcie było jeszcze słodsze. Pociągnął ją za róg budynku, z dala od ludzkich oczu. Przycisnął do ściany motelu. Jego ręce sunęły w górę. Musnęły jej twarz. Zatopiły się we włosach. Jego palce usunęły wsuwki, a dłonie, o Boże, dłonie schwyciły jej głowę.

- Uwielbiam kobietę, która wie czego chce - mruknął. I nic więcej nie powiedział. Nie mógł, bo jego usta znalazły inne zajęcie.

Słodkie, słodkie usta. To wspaniałe pulsowanie pragnienia głęboko w środku. Wszechświat pożądania. Przywarła do niego całym ciałem, najmocniej, jak tylko mogła, a on ścisnął ją gorączkowo, rozpaczliwie pragnąc, tak jak ona, czegoś więcej. Podniósł ją z ziemi. Wysoko w górę, do ciemnego nieba, gdzie całe stworzenie otaczało ich pod gwiazdami.

Zabrakło jej tchu. Ciało się odprężyło. I w końcu zaczęła płakać. Ale nie był to narastający szloch, ale szybki, niespodziewany strumień łez.

Zauważył to, ciągle trzymając ją w górze.

- Co jest?

Pokręciła głową. Nie mogła mówić.

Puścił ją, pozwalając, by jej ciało się ześliznęło. Powolny, wspaniały zjazd, który uruchomił cudowną eksplozję w jej piersiach, brzuchu i niżej.

Kiedy dotknęła stopami ziemi, pogłaskał ją po mokrym policzku.

- Nie chciałem doprowadzić cię do płaczu. Uśmiechnęła się przez łzy.

- I nie doprowadziłeś. Tylko... - Przełknęła ślinę. - To było takie piękne. Ty jesteś... - zająknęła się - taki... taki piękny.

- Hej, to mój problem.

Zaśmiała się i rozplakała jeszcze bardziej.

- Hej, nie było chyba aż tak źle, co? - spytał łagodnie. Pokręciła głową.

- Myślę... - Zadrżała, rozejrzała się bezradnie wokół siebie i nie mając dokąd uciec, spojrzała znowu na niego. - O, Boże, myślę...

- No co?

- Myślę, że się w tobie zakochałam.

Zasłoniła usta dłonią, jakby słowa wypłynęły bez jej zgody.

- Och.

Przełknęła. Spojrzała na niego przez łzy.

- Tylko tyle? Och?

- Och, do licha.

Trąciła go wierzchem dłoni. Chwycił jej rękę i pocałował. Zadrżała.

- Kochać mnie to fajna sprawa, Edie.

- Nie, wcale nie - zawodziła. - Przecież myślisz, że zabiłam trzy osoby! Jak mogę kochać kogoś, kto uważa, że mogłabym to zrobić?

- Każda para ma swoje problemy.  
- Myślisz, że to zabawne? To nie jest zabawne! To katastrofa! To... - Urwała. Uświadomiła sobie, co powiedział. -  
Sądzisz, że jesteśmy parą?  
Założył jej kosmyk włosów za ucho.  
- Może trochę dziwną.  
- Ale...  
- Czy sądzisz, że zaprosiłbym cię do swojego domu, żebyś spała pod jednym dachem z moją córką, gdybym w ciebie nie wierzył?  
- Ale te czarne anioły...  
- Tak, to zadra w oku. Ale jestem w tobie zakochany, więc nie mogę być zupełnie obiektywny.  
Westchnęła.  
Powoli na jej twarz wypłynął szeroki uśmiech. Wysunął palec w jej stronę.  
- Znowu mnie rozczarowujesz. Bo to cofnę. Rzuciła się ku niemu w ciemność.  
Objęła go ramionami za szyję, otoczyła w talii nogami. I pocałowała bardzo mocno. W tym momencie nadjechała Lucy.

## Rozdział 37

**Holt** nie był **zadowolony**, że Edie ma odjechać bez **niego**. Byłby spokojniejszy, **gdyby** wiedział, że jest w jego domu, pod okiem ojca. Ale nie chciała ustąpić.

- Jadę z Lucy.

Siedzieli na otwartym bagażniku wiekowego pikapa Lucy, a Edie, machając nogami, trzymała Holta za rękę. Lucy uprzejmie zostawiła ich samych, wsiadła do kabiny wozu i zamknęła okna, podczas gdy Edie załatwiała problem z Holtem.

- To mi się nie podoba - powiedział Holt.

- Tak, już to mówiłeś. Setki razy.

Objął jej ramiona. Coś się z nią działo. Coś, do czego nie miał dostępu.

- Na pewno niczego nie ukrywasz? Pokiwała głową.

- Obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze.

Przyciągnął ją bliżej; przytulanie zmieniło się w mocny uścisk.

- Mógłbym zrobić ci krzywdę, jeśli nie będzie. Odepchnęła go, zeskoczyła na ziemię. Poszedł za nią do kabiny.

- Uważaj na siebie - powiedział, kiedy już usiadła.

- Zaopiekuję się nią, jak należy - obiecała Lucy. Podała mu świstek papieru ze swoim adresem i telefonem. - Zawsze możesz mnie złapać w Red's.

- Dzięki.

Holt wsadził papier do kieszeni. Zamknął drzwi i odprowadzał wzrokiem odjeżdżające auto.

W drodze powrotnej do miasta starał się przestać myśleć o Edie, by skupić się na osobie Terry'ego Bishopa. Gdyby przyznał się do winy, Edie byłaby oczyszczona.

Ale myśli ciągle wracały do jego kobiety. Widział jej wydatne, miękkie usta, dzikie, kuszące ciało. Czuł jej zapach: korzenny, świeży, pełen egzotycznych obietnic.

Proponując jej schronienie w swoim domu, nic na tym nie zyskiwał. Była główną podejrzaną o morderstwa w sprawie, którą on prowadził. Ewidentny konflikt interesów. Ale nie potrafił się powstrzymać.

I nie chciał, do diabła.

Znowu to czuł. Ryzyko. Jeśli będzie dalej tak postępował, postawi na szali całe swoje życie w Redbud. A teraz nie było to tylko jego życie. Nie miał prawa pozbawiać Mirandy korzeni. Dzieci potrzebują stabilizacji.

Skręcił na plac i zaparkował przed budynkiem urzędu miejskiego. Siedział w aucie, ściskając dłońmi kierownicę.

Kręcił głową.

Co on wyrabia? Rozmyśla o przyszłości z kobietą, przed którą być może nie ma przyszłości. Oczywiście, jeśli nie dowie się, kto zabił trzech najbardziej znaczących obywateli Redbud. I jeśli nie okaże się, że to ona.

Holt usłyszał zawodzący głos już w korytarzu budynku. Przenikliwy, fałszujący, irytujący. Okropny dźwięk przybrał na sile, gdy Holt wszedł do biura.

Terry Bishop siedział na środku pokoju, przykuty kajdankami do krzesła, i wył jak pies, któremu obcięto ogon.

Miękka koszula wisiała na pogniecionym T-shircie. Jego włosy były zebrane w niechlujną kitkę, która podskakiwała, kiedy huśtał się w tę i z powrotem na krześle, pijany i wściekły.

Na widok Holta wyszczerzył zęby.

- Hej, szeryfie! Jak się miewa pana wytatuowana panienska? Roześmiał się, a Holt wymienił spojrzenia z Sam, która wzruszyła ramionami.

- Zachowuje się tak, odkąd go zgarnęłam - powiedziała.

- Gdzie był? - zapytał Holt.

- W Red's.

- Jak długo?

- Kilka godzin, według Reda.

- A przedtem?

- W domu. Jego ciotka to potwierdziła. Powiedziała, że wcześniej był w Cloverleaf.

- Hej, jestem tu - przerwał im Terry. -1 nie jestem głuchy. Holt odwrócił się do niego. Skoro Terry chciał mówić, to proszę bardzo, niech gada.

- Co robiłeś w motelu?

- Pracowałem. Z odkurzaczem. Jak zwykle.

- O której stamtąd odjechałeś?

- Nie wiem. Jak skończyłem robotę.

Sam wyszła zza biurka i usiadła na jego brzegu.

- Rano, po południu, wieczorem? Terry odpowiedział z ponurą miną.

- Rano.

Holt stuknął palcem w oparcie krzesła. Czyli Terry mógł widzieć, jak przywiózł Edie.

- Czy widziałeś tam Edie Swann?

- Może. - Uśmiechnął się szeroko. - Małe gniazdko miłości dla pana i wytatuowanej...

- Zamknij się. - Sam kopnęła Terry'ego w nogi, przez co stracił równowagę. - Trzymaj się tematu. Czy wieczorem wróciłeś do motelu?

Wbił w nią groźne spojrzenie, wyprostował się. Teraz nie wyglądał na tak pijanego jak przed minutą.

- A niby po co?

- Czy wróciłeś do motelu? - Holt powtórzył pytanie bardziej stanowczo.

Terry łypnął na niego.

- Nie.

Holt miał dość. Odsunął krzesło i wstał, górując na aresztowanym.

- Zdejmuj buty.

Terry spojrział tak, jakby Holt kazał mu odkręcić głowę.

- Co?

- To, co słyszałeś - powiedziała Sam. - Ściągaj buty. Gderając, Terry zsunął, za pomocą drugiej nogi, jeden z tanich mokasynów, potem drugi.

Sam wzięła but i odwróciła go podeszwą do góry. Pokazała Holtowi. Znoszone mokasyny miały żłobienia na podeszwie. Holt dokładnie przyglądał się szczelinom. To, czego szukał, znalazł na drugim bucie. Wewnątrz jednego z rowków widniały zaschnięte czerwone ślady.

Przeniósł wzrok na Terry'ego.

- Na pewno nie chcesz nam powiedzieć, gdzie byłeś przed pójściem do baru?

Terry krążył spojrzeniem od Holta do Sam i z powrotem.

- Czy wróciłeś do motelu, Terry? - zapytała Sam. Terry nadal milczał.

- Na podeszwie twojego buta jest czerwona farba - oznajmił Holt. - Założę się, że kiedy wyślemy próbkę do laboratorium, to będzie pasowała do czerwonej farby z pokoju Edie Swann.

Terry'emu zrzęda mina.

- Czy wróciłeś do motelu? - zapytała raz jeszcze Sam.

- Nie zrobiłem tego - powiedział Terry.

- To znaczy czego? - spytał Holt.

- Niczego! Nie zdemolowałem jej pokoju. Już tak było. Przysięgam. Chciałem z nią porozmawiać. Zapukałem do drzwi, a one się otworzyły.

- A to ci przypadek - stwierdziła oschle Sam. - I musiałeś wejść do środka.

- Myślałem, że może coś jej się stało. Sam zachnęła się.

- Proszę, proszę... Prawdziwy samarytanin. Terry spojrzał na nią spode łba.

- Nic nie zrobiłem.

- Nie nazwałabym wtargnięcia do pokoju niczym - rzekła Sam.

Zacisnął wargi.

Ale Holt chciał, żeby mówił.

- O czym chciałeś porozmawiać z panną Swann?

Terry podniósł wzrok na Holta. Gniew minął. Skurczył się w krześle, jakby chciał się rozpuścić, co upewniło Holta, że musi coś wiedzieć.

- Powiedziałeś, że chciałeś z nią porozmawiać. I dlatego tam wróciłeś, tak? O czym chciałeś rozmawiać?

Terry obliznął wargi. Holt poszedł za ciosem.

- Czy to miało związek z Hammerbilt? Jakież ważne informacje na temat fabryki?

Terry wytrzeszczył oczy.

- A skąd pan...

Szybko się opanował. Wyprostował na krześle. Zamknął usta.



Holt pochylił się ku niemu.

- Co to za wielka, mroczna tajemnica, Terry?

Czekali. Dali Terry'emu dłuższą chwilę, aby pomyślał nad odpowiedzią. Ale ten uparcie milczał. Sam rozłożyła ręce.

- Myślę, że on nic nie wie. Poszedł tam tylko po to, żeby wykonać swoje podłe zadanie i wylać czerwoną farbę.

- Zamknij się - warknął Terry. - Nic o tym nie wiesz.

- Ale cię znam - mówiła dalej Sam. - Od roku nieustannie pakuję cię za kratki.

- O co chodzi, Terry? - zapytał Holt. - Poszedłeś tam z puszką farby czy z informacjami?

- Nie kłopotz się - powiedziała Sam do Holta. - I tak możemy go zamknąć za wtargnięcie. Farba na butach, reszta też pasuje.

- Ale ja nic nie zrobiłem!

- Zawsze ta sama śpiewka - stwierdziła Sam. - Jesteś pijakiem, Terry. Pijakiem i popaprańcem.

- Zamknij się.

- On nic nie wie - zwróciła się Sam do Holta, a Terry'emu krzyknęła prosto w twarz: - Jesteś zerem!

- Zamknij się! - wrzasnął Terry. - Właśnie, że wiem, i to sporo! I coś za to chcę! Dlatego tam wróciłem, tak? Wiem, że ona ma pieniądze. Ciągłe mnie wypytywała o fabrykę. Jeśli czegoś chce, to niech za to zapłaci.

Holt wymienił spojrzenia z Sam.

- Przecież jest barmanką - zdziwił się Holt. - Ile może mieć pieniędzy?

Teraz, kiedy Terry wszystko z siebie wyrzucił, wyglądał jak pęknięty balon.

- Ma pieniądze od Lyle'a. Dużo kasy. Całe miasto o tym wie. Pani Lyle przyszła do baru i powiedziała.

- I chciałeś wyłudzić od niej trochę tej kasy w zamian za... no właśnie, za co?

Terry poruszył się na krześle. Zacisnął usta. Holt był zmęczony jego unikami. Złapał Terry'ego za brodę.

- Za co?

Terry wyrwał się z uścisku Holta.

- Nie wiem! - Rzucił Holtowi aroganckie spojrzenie. - Chciałem wziąć pieniądze i wynieść się z tego miasta.

- Pijak i krętacz - powiedziała Sam.

- A w kościele, Terry? Tam też nic nie zrobiłeś?

Terry wbił wzrok w Holta. Na jego twarzy odmalowały się zdziwienie i strach.

- Może na temat pastora też coś wiedziałeś. I może nie chciał ci zapłacić.

Terry pokręcił głową. Gwałtownie.

- Nie.

- Tym razem też przysięgniesz? - zapytała Sam.

- To ona! - krzyknął Terry. - Czarny anioł. Ona to zrobiła. Wszyscy to wiedzą.

Holt nie okazał poirytowania.

- Widziałeś, jak to zrobiła?

- Nie - przyznał.

- Więc równie dobrze mogłeś to być ty, a nie panna Swann.

- Ale...

- Ciekawe, co by powiedzieli w Red's, gdyby wiedzieli, że ty też tam byłeś.

Terry w popłochu rozejrzał się po pokoju. Wyglądał jak królik w pułapce.

Holt wstał i skinął na Sam, która odpięła Terry'emu kajdanki.

- Wierzy mi pan?

Terry był zdumiony. Wstał i rozcierał nadgarstki.

- Nie wiem - powiedział Holt. - Potrzebuję trochę czasu, żeby to przemyśleć.

Sam chwyciła ręce Terry'ego i ponownie go zakłuła. Terry za-skowyczał.

- No co...?

Popchnęła go w kierunku aresztu.

- Musimy wiedzieć, gdzie cię szukać.

Przeklinał przez całą drogę. Nie zamilkł nawet wtedy, kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi celi. Sam wróciła i zamknęła drzwi między biurem a aresztem. Nadal docierały do nich przekleństwa Terry'ego, ale hałas nie był już tak dokuczliwy.

Obejrzała swoje ręce. Nie ma wątpliwości, gdzie był Terry Bishop. Podeszła do biurka, znalazła płyn do odkażania rąk i przetarła nim dłonie. Była zadowolona, że wspólnie z Holtem tak sprawnie osaczyli Terry'ego. Na pewno Holt zrozumie to, co zrobiła. Przecież zrobiła to dla niego. Dla ich zespołu. Zrozumie to. Ale mimo tych zapewnień leżało jej to na sercu jak dwutonowy móżdziej.

Przygryzła wargę, spojrzała na Holta. Siedział pogrążony w myślach, z wzrokiem wbitym w przestrzeń.

- I co o tym myślisz?

Spojrzał na nią w taki sposób, jakby słyszał jej głos, ale nie rozumiał słów. Powtórzyła pytanie.

- Jak to zgrabnie ujęłaś - powiedział - Terry jest pijakiem i krętaczem. Mógł pojechać do motelu, tak jak mówi, wkurzyć się, że jej nie ma, i zdemolować pokój.

Sam przytaknęła.

- Wcale bym się nie zdziwiła. - Zawahała się, nie wiedząc, jak poruszyć inny temat, ale chciała mieć to już z głowy.

- A co z pastorem? Nie mówiłeś serio, prawda? Nie sądzisz, że to Terry mógł go zabić?

Holt potarł kark. To był długi, wyczerpujący dzień. Czuł się zmęczony.

- Chciałbym to wiedzieć, Sam. Widzisz, pomyślała, potrzebujesz pomocy.

- Jak ci poszło z panią Butene?

Holt powtórzył jej przebieg rozmowy z Hally Butene. Dla Sam brzmiało to jak wielkie nic.

- Więc nie jesteś bliżej rozwiązania zagadki?

- Jestem bliski stwierdzenia, że Edie nie miała nic wspólnego ze śmiercią Butene'a.

**15 - Śmiertelny grzech**

**225**

- Ale nie wiesz nawet, czy jego śmierć jest powiązana z tymi trzema, nad którymi pracujemy.

Holt oparł się na poręczy krzesła, jak zwykle, ale cały czas wydawał się spięty.

- Nie.

Sam przytaknęła. Otworzyła usta. Zamknęła je. Serce zaczęło jej nagle fikać koziółki.

- Coś cię gnębi? - zapytał Holt.

Jakim cudem ten facet zawsze wiedział, o czym myśli? Na nic twarz pokerzysty.

- Nie wiem, czy chcesz to usłyszeć. Skinął głową z rezygnacją.

- Mogę, Sam. Wal.

Oblizła usta, podjechała z krzesłem do Holta. Wychyliła się do przodu. Powiedziała sobie, że to wszystko dla jego dobra i że jej podziękuje.

- Zostawmy na boku to, co zdarzyło się w motelu. Dlaczego Terry'emu miałoby zależeć na śmierci pastora Parsleya?

Terry nie jest typem pracoholika. Pastor umiera i Terry traci jedno z niewielu źródeł dochodów.

- Więc nie ma motywu.

- Z mojego punktu widzenia nie.

- A scenariusz z szantażem?

- Z jakim szantażem? Chcesz coś znaleźć, ale to tylko twoje pobożne życzenia. Przepraszam, że to mówię. Mogę sobie wyobrazić, że Terry chce wyłudzić gotówkę od kogoś, kto dopiero przybył do miasta i stał się pariasem, ale od duchownego? Osoby, która ma liczne kontakty, pozycję i, co za tym idzie, władzę? Terry nie odważyłby się na to. A co z Runkle'em i Lyle'em? Nie ma powiązania między nimi a Terryem.

Holt wyprostował się w krzesło. Wziął do ręki ołówek i zaczął stukać nim w gumkę leżącą na biurku. Zły znak.

- Do czego zmierzasz? Wzięła głęboki oddech.

- Jest tylko jedna osoba powiązana ze wszystkimi trzema zgonami. Tylko jedna osoba z jakimś motywem. Wiesz o tym. I ja wiem. Całe miasto o tym wie.

- Nie formułujemy aktu oskarżenia na podstawie tego, co całe miasto wie.

Sam pokręciła głową. Nie chciała tego powiedzieć, ale musiała.

- Jesteś z nią za bardzo związany. Nie myślisz logicznie.

- Mamy tylko poszlaki.

- Lepšie to niż wielkie nic w przypadku kogokolwiek innego.

Zerwał się na nogi. Wcisnął ręce do kieszeni. Zaczął chodzić tam i z powrotem. Wiedziała, że musi wyłożyć kawę na ławę.

- Burmistrz dzwonił, kiedy cię nie było. Wyznaczył na jutro spotkanie grupy kryzysowej. Chce, żebyś zdał relację z postępów dochodzenia. I domaga się, żebyś wezwał policję stanową.

Holt stanął. Spojrzał na nią tak, jakby eksplodował w nim pocisk.

- A niech mnie diabli, jeśli wezwę! - Dwoma susami dopadł do jej biurka i oparł się o jego brzeg, pochylając się nad nią. - Ona tego nie zrobiła.

Sam siedziała bez ruchu.

- I jesteś tego pewien, bo...

- Bo... - Rozłożył ręce. - Bo jestem, i już. Spojrzała na niego ze smutkiem.

- Słaby argument. Gdybyś nie był z nią tak bardzo związany, sam byś zauważył, jaki marny.

- Nie zadzwonię po stanowych i tyle.

Sam skrzyżowała ręce na piersi. Podniosła brodę i utkwiała wzrok w Holcie. Jeszcze nigdy w życiu nie wystąpiła przeciwko przełożonemu. Ale teraz jest inaczej, powtórzyła sobie. To dla jego dobra.

- Domyślałam się, że tak powiesz. Więc zrobiłam to za ciebie. Przyjadą jutro. O dziesiątej.

## Rozdział 38

O dziesiątej Lucy podjechała pikapem do strefy zakazu parkowania, przed budynek w Nashville, w którym mieściły się biura kancelarii Cole i Tyrrell.

- Jesteś pewna, że nie potrzebujesz duchowego wsparcia? - spytała Lucy.

Letnia burza wisiała w powietrzu przez całą drogę, niebo miało grafitowy kolor. Drapacze chmur nie wpuszczały resztki światła, która się jeszcze sączyła, poranek więc wydawał się upiorną nocą. Pasowało to do nastroju chwili.

Tajemnica dziwnego spadku, zanurzanie się po raz kolejny w brudnej przeszłości.

Ruch uliczny dudnił i szumiał jak nigdy w Redbud. Przez moment Edie wyobraziła sobie, że ginie w gęstym strumieniu ludzi w tym ciemnym mieście. Nie byłoby to trudne. Pomachałaby Lucy na pożegnanie, weszła do budynku, policzyła do trzydziestu i wyszła na ulicę. Uff. Już zniknęła.

Ale w ten sposób pogrzebałaby zbyt wiele spraw. Choćby swoją niewinność. A poza tym... usta ją mrowiły na wspomnienie pocałunku Holta.

Jesteś głupia, Edie Swann.

- Dzięki - zwróciła się do Lucy. - Ale nie chciałabym ci psuć okazji do zakupów.

Wysiadła z pikapa i weszła do wnętrza budynku.

Biura prawników mieściły się na dwudziestym czwartym piętrze. Podczas jazdy windą dudniło jej w uszach i wpatrywała się w swoje stopy. Wszystkie jej rzeczy zostały zniszczone w motelu. Pozostała tylko dżinsowa minispódniczka i T-shirt, które miała na sobie poprzedniego dnia. Zamiast kłapek włożyła sandały pożyczone od Lucy, więc przynajmniej jej stopy prezentowały się, jak należy.

Gdy przekroczyła grube i ciężkie drzwi do biura, poczuła się jak w świątyni. Drogie meble, puszyste dywany, wszechobecna cisza. Masywne skórzane fotele nabijane były mosiężnymi ćwiekami, a na ścianach wisiały portrety ludzi w czerwonych strojach.

Sekretarka pasowała do wystroju wnętrza. Nie wyglądała wprawdzie jak osoby na portretach, ale dobrze skrojony kostium na obfitych kształtach, ciężkie złote kolczyki i złoty naszyjnik przywodziły na myśl facetów o czerwonych twarzach i obwisłych policzkach objadających się wołową pieczeńią.

Edie podała swoje nazwisko i chociaż kobieta nic nie powiedziała, zdołała zmierzyć gościa wzrokiem od góry do dołu, rejestrując krótką koszulkę, wymiętą spódnicę i zatrzymując dłużej oczy na postaci dziewczyny wytatuowanej na jej ramieniu.

Edie uśmiechnęła się szeroko.

- Myślę, że się mnie nie spodziewa.

Poczekala, aż sekretarka przekaze szefowi informacje, że osoba umówiona z nim na dziesiątą jednak się pojawiła.

Bradley Cole okazał się potężnym mężczyzną, a garnitur i kamizelka dodatkowo go pogrubiały. Wstał, gdy weszła do jego gabinetu. Wyszedł zza biurka, jakby na powitanie.

Edie stanęła jak wryta. Bradley Cole nie był sam.

Na krześle, po drugiej stronie dużego biurka z wiśniowego drewna siedziała Amy Lyle.

Wdowa po Fredzie Lyle'u patrzyła chłodno na Edie.

- Powiedziała pani, że zadzwoni - odezwał się Cole. Impulsywna, spontaniczna Edie. Kiedy się w końcu nauczy?

- Przepraszam - rzuciła w powietrze, do nikogo w szczególności. I odwróciła się, by odejść. Uciec. Znaleźć miejsce - jakiegokolwiek miejsce - gdzie da się oddychać.

- Niech pani zostanie.

Po raz pierwszy od tamtego wieczoru w barze Edie usłyszała głos Amy Lyle. Zapamiętała go zupełnie inaczej.

Trzymając już rękę na klamce, zmarszczyła nos.

- To nie jest dobry pomysł. Za wczesna pora dnia na fizyczną przemoc.

Pani Lyle miała tyle przyzwoitości, by się zawstydzić. Wyprostowała się w krześle, poruszyła dłońmi, którymi ścisnęła torebkę na kolanach.

- Przepraszam za tamto - odezwała się sztywno. - Nie byłam sobą.
  - Mimo to...
  - Amy, moja droga - powiedział Cole łagodnie - może będzie lepiej, gdy zajmiemy się tą sprawą innym razem.
- Droga Amy spojrzała prosto na Edie.
- Czy pani też by tak wolała, panno Swanford?
- Edie zrozumiała, że rzuca jej w ten sposób rękawicę. Zdjęła dłoń z klamki, wyprostowała plecy.
- Nazywam się Swann. I mogę zostać, jeśli pani chce.
- Cisza. Następnie królewskim skinieniem głowy wdowa wskazała drugie krzesło przy biurku Bradleya Cole'a. Edie bez pośpiechu zajęła miejsce.
- Cole natomiast zasiadł w przesadnie wielkim skórzanym fotelu za biurkiem. Odchrząknął. Obrócił się na krzesło i sięgnął po plik papierów. Uważnie studiował jeden z nich.
- Nazywa się pani Eden Swanford i jest pani córką Charlesa i Evelyn?
  - Tak. To znaczy tak się kiedyś nazywałam. Jak powiedziałam, teraz nazywam się Swann.
  - I to jest kopia orzeczenia sądu o zmianie nazwiska? Pokazał jej kopię oficjalnego dokumentu, który przechowywała w skrytce depozytowej w Memphis.
  - Tak.
  - Ma pani jakiś dowód potwierdzający ten fakt?
  - Mogę przedstawić oryginał. A poza tym mam prawo jazdy.
  - To wystarczy.
- Wyjęła z kieszeni prawo jazdy i podała adwokatowi.
- Dlaczego zmieniła pani nazwisko? - odezwała się Amy Lyle. Edie spojrzała na nią z boku. Co takiego jej zrobiła?
- Jedyną jej winą było dostarczenie wiadomości. Jeśli Fred Lyle padł trupem z tego powodu, to nic na to nie poradzi.
- Nie chciałam już być Eden Swanford - odparła. Amy zatopiła spojrzenie w jej oczach, pytając bez słów. Edie westchnęła.



- Mój ojciec popełnił samobójstwo. Matka zmarła na oddziale psychiatrycznym. Swanford było zbyt obciążone. Czy to pani wystarczy?

- Nie wiedziałam o pani matce. - Głos kobiety nieznacznie złagodniał.

- To nie jest sprawa, o której chciałabym trąbić.

- Panno Swann - zaczął Cole, ale pani Lyle podniosła dłoń.

- Proszę mi o niej opowiedzieć. Czy miała czarne włosy, tak jak pani?

Edie westchnęła ze znużeniem.

- Po co to pani? Co za różnica?

- Proszę powiedzieć.

- Nie, była blondynką. To mój ojciec miał ciemne włosy. Był Walijczykiem, podobno. - Amy zmieszała się nagle. - O co chodzi? - zapytała ją Edie.

Pokręciła głową.

- Więc jest pani podobna do ojca?

- Chyba tak. Amy odchrząknęła.

- Czy pani matka... czy ona... napomykała coś... robiła może jakieś aluzje, że... - Amy machnęła bezradnie ręką w stronę adwokata i rzuciła mu błagalne spojrzenie.

Edie skierowała na niego wzrok.

- Pani Lyle próbuje poruszyć - zaczął Cole - kwestię... ojcostwa. Czy pani miała jakiegokolwiek wątpliwości, czy może matka albo ktoś z krewnych dawali powód do tego, by wątpiła pani, że jej ojciec jest naprawdę jej ojcem?

Edie zamrugła. Co to, do diabła...?

- Nie. I proszę mi wierzyć, że wiele razy bywały takie chwile, że skakałabym z radości, gdybym wiedziała, że nie jest... - odwróciła wzrok, wstydząc się do tego przyznać - ...że nie jest moim prawdziwym ojcem.

W pokoju znowu zapadła cisza. Przerwała ją w końcu pani Lyle.

- Dlaczego...?

Edie przeniosła wzrok z niej na prawnika.

- Dlaczego co?

Bradley Cole położył dłonie na pliku papierów leżących na biurku.

- Wie pani, że mąż pani Lyle wymienił panią w testamencie. Sam sporządziłem ten kodycyl.

- No i?

- No i chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego to zrobił - wybuchnęła Amy. - Jeśli nie jest pani... jego... dzieckiem...

- Jego dzieckiem?

- Odmówił udzielenia mi tej poufnej informacji, kiedy poprosił o dodanie takiego punktu do swojego testamentu - powiedział Cole. - Pani Lyle nie ma pojęcia, dlaczego jej mąż zapisał tyle pieniędzy zupełnie obcej osobie. Pierwsze podejrzenie, jakie się nasuwa...

- Och. - Dopiero teraz wszystko pojęła. - Rozumiem. Nieślubne dziecko. Pani mąż i moja matka. - Prawie się roześmiała. - Nie, moi rodzice byli do siebie bardzo przywiązani. Moja matka była całkiem rozbita, kiedy ojciec odebrał sobie życie. To znaczy załamała się nerwowo. Całkowicie.

- A... pani?

- Co ja?

- Czy pani i mój mąż... - Ścisnęła poręcz krzesła. Głos nabrzmiał gniewem.

- Nie, nie - szybko uspokoiła ją Edie. - W żadnym wypadku. Nie. Nigdy. Nawet go nie znałam.

- Więc dlaczego? - wykrzyknęła Amy Lyle. - Kim pani dla niego była?

Na jej twarzy malowały się cierpienie, gniew i frustracja. Edie ogarnęła falą niechcianego współczucia. Zwróciła się do Cole'a.

- O jakiej kwocie rozmawiamy?

- Ćwierć miliona dolarów - odparł adwokat krótko. Słowa zawisły w powietrzu, podobnie jak jej niedowierzenie.

Edie otworzyła usta, ale wydobył się z nich tylko zduszony pisk.

Cole szybko nalał szklanek wody z pojemnika na stojaku i podał Edie. Wypiła do dna.

- Nie miała pani pojęcia - zauważyła Amy Lyle.

Edie pokręciła głową. Odzyskała zdolność oddychania.

- I nie podejrzewa pani dlaczego?

- Mam pewną teorię - zdołała w końcu wykrztusić Edie. - Ale ona się pani nie spodoba. Może lepiej, żeby trzymała się pani tej wersji o nieślubnym dziecku.

- Chcę znać prawdę, panno Swann. - Amy ugniatała torebkę jak ciasto. - Muszę wiedzieć.

- No dobrze. Prawda jest taka. Myślę, że pan Lyle miał coś wspólnego ze śmiercią mojego ojca.

Bradley Cole uniósł brwi. Amy rzuciła jej ostre spojrzenie.

- Nie - powiedziała. - To niemożliwe.

- Jakie inne wyjaśnienie ma sens? To brudne pieniądze, pani Lyle. Zapłata za nieczyste sumienie.

- To śmieszne.

- Naprawdę?

- Mówi pani, że mój mąż... - Uniosła się w krześle. Zaczęła od nowa: - Sugeruje pani, że Fred...

- Zamordował mojego ojca. Tak. Właśnie tak.

## Rozdział 39

Kiedy Edie i Lucy wyruszyły w drogę powrotną do Redbud, burza rozszalała się już na dobre. Strugi deszczu rozbijały się o przednią szybę auta. Lucy upchała w przestrzeń między siedzeniami torby z różnych sklepów, a Edie wykorzystała ten haczyk, aby odwlec nieuniknione pytania. Nie zależało jej na otaczaniu tajemnicą spotkania z prawnikiem, ale nie była jeszcze pewna, jak się do tego wszystkiego odnieść. Wskazała więc kciukiem do tyłu na liczne pakunki.

- Wykupiłaś całe miasto?

- No pewnie - odparła Lucy. - Miałabym jechać taki kawał drogi i nie opróżnić konta?

Wyliczyła Edie wszystkie okazyjne zakupy, dając jej czas na rozmyślanie o Amy Lyle.

Cały świat tej kobiety wywrócił się do góry nogami i Edie współczuła jej wbrew sobie. Jeśli ktokolwiek wiedział, czym jest utrata całego świata, to tą osobą była Edie. I nie życzyła nikomu podobnego losu. No, może jedynie ludziom, którzy jej ten świat odebrali.

Może.

Prawda jest taka, że nie zdawała sobie sprawy, jak się skończy jej długofalowa misja. Skrzywdzeniem ludzi, których krzywdy wcale nie chciała. Albo skrzywdzeniem ich w zupełnie niezamierzony sposób.

Pani Lyle, dzięki Bogu, nie załamała się nerwowo po raz kolejny. Nie tak jak tamtego wieczoru w barze. Ścisnęła nerwowo swoją torebkę, jakby tylko ta rzecz pozwalała jej zachować równowagę, ale słuchała. Broniła niewinności męża. Ale gdzieś w tym sprzeczniwie rodziło się jednak ziarno wątpliwości. Wątpliwości, które mogły nigdy nie przerodzić się w pewność. Edie wiedziała, czym było życie z takim uczuciem.

Poruszyła się w fotelu. Dlaczego zawsze najpierw działała, a potem myślała? Jesteś impulsywna, uparta, dźwięczał jej teraz w głowie głos ciotki: „Świat nie jest taki czarno-biały, jakbyś chciała, Eden Swanford. Pewnego dnia ta prawda do ciebie dotrze”.

Westchnęła. Niech лихо porwie ciocię Penny. Znowu miała rację.

- Sprawy nie poszły po twojej myśli? - powiedziała Lucy. Edie skierowała spojrzenie na starszą kobietę.

- Westchnęłaś - wyjaśniła Lucy. - Jakby cały świat zwałił ci się na głowę. Pomyślałam, że pewnie nie poszło dobrze.

- Była tam Amy Lyle.

- Oho.

- Była nawet... miła. Przeprosiła mnie za tę scenę w barze. Lucy prychnęła.

**228**

- Rychło w czas, według mnie.
- Wiele się zmieniło w jej życiu.
- No proszę, proszę, jakaś ty miłosierna i przebacząca. Edie uśmiechnęła się z goryczą.
- Prawda? Kto by pomyślał?

Lucy przestawiła wycieraczki na maksymalną moc.

- I co teraz? Jesteś tłusta i bogata?
- Tłusta? Za żadne skarby. Bogata? - Edie stanęły przed oczami te wszystkie zera. - Nie wiem. Mam wrażenie, że to nie jest w porządku. Nigdy w życiu nie widziałam Freda Lyle'a.
- A o czym właściwie rozmawiamy? W dolarach i centach? Edie odpowiedziała.
- O Jezu drogi. - Lucy wzięła głęboki oddech, zupełnie zaskoczona, a furgonetka na chwilę zboczyła z kursu.
- Hej, uważaj.
- Uważam. Droga jest cholernie śliska. I jakiś duppek siedzi mi na tyłku.

Edie spojrzała do tyłu. W deszczu nie widziała zbyt dobrze. Auto wyglądało na czarnego pikapa.

- Zwolnij, może cię wyprzedzi.
- Ale zamiast ich wyprzedzić, pikap uderzył w ich tył. Mniejsze auto Lucy znowu zjechało w bok i kobieta robiła, co mogła, by nie wypaść na pobocze.
- Co jest? Hej... ty dupku! - Lucy krzyknęła i dodała gazu. Czarny samochód znowu przywalił w ich tył. Mocniej.
  - O Jezu! - Edie pomyślała o acurze. Jeśli to był jakiś miejscowy kaskader...

Poczuły kolejne uderzenie.

Pikap Lucy jechał prosto na pobocze. Kręciła kierownicą, starając się utrzymać na drodze, ale koła ślizgały się po mokrej nawierzchni.

Edie krzyknęła. Lucy się wydzieriała. Pikap wyskoczył z szosy, przewrócił się na bok i przeleciał nad skrajem drogi w mroczną otchłań.

O drugiej po południu było już dawno po spotkaniu z radą miejską, a policja stanowa w osobie agenta Jacksona Lodge'a pojawiła się na posterunku, przejmując akta sprawy czarnego anioła i zwalniając Holta z obowiązku jej prowadzenia.

Sam była zbulwersowana.

- Ma pan szczęście, że nie postawiłem pana w stan oskarżenia o utrudnianie śledztwa - oznajmił mu Lodge.

Ten mały, przysadzisty mężczyzna o cechach służbisty rozkładał już swoje rzeczy na biurku Holta.

- Prawda jest taka - odezwała się Sam - że szef nie wiedział, że ona jest czarnym aniołem, kiedy się z nią... hm... spoufalił.

Holt rzucił jej piorunujące spojrzenie, ale czuła się okropnie, widząc, jak Lodge go traktuje. Nie miała zamiaru napytać mu większej biedy. Wprost przeciwnie. Widzisz, powiedziała sobie w duchu, tak to jest, kiedy wyłamujesz się z szeregu, zamiast słuchać rozkazów.

- Przepraszam - wymamrotała. - Za wszystko. Ja tylko... Nie myślałam, że on...

- Postąpiła pani, jak należało - powiedział Lodge.

Co również było prawdą i wszyscy o tym wiedzieli. Ale jeśli postąpiła właściwie, to dlaczego tak podle się z tym czuła? Spojrzała na Lodge'a. Zebrał wszystkie przybory do pisania - ołówki, długopisy, markery - i włożył je do kubka do kawy będącego własnością Holta.

- Hm... to szefa... - powiedziała Sam.

Przerwał jej dźwięk komórki Holta. Odebrał, a jego twarz przybrała dziwny wygląd.

- Coś się stało? - zapytała go.

Jego twarz z miejsca się rozchmurzyła.

- To Miranda - odparł i zwrócił się do Lodge'a: - Moja córka. Mogę? - Wskazał ręką na drzwi.

Lodge wzruszył ramionami.

- Nie widzę przeszkód. Proszę się zająć rutynowymi obowiązkami.

- Wszystko w porządku? - zapytała Sam.

**230**

- Och, wiesz, jaka jest Miranda. Ciagle jakieś pomysły. Holt pospieszył na dwór, a Sam została z Lodge'em. Bez zbędnych słów agent rozsiadł się na fotelu Holta, pochylił nad jego biurkiem i zaczął czytać akta sprawy.

#### Rozdział 40

Gdy Holt znalazł się na zewnątrz, pobiegł do samochodu, osłaniając się przed deszczem. W uszach rozbrzmiewał mu płaczliwy głos Edie.

- Holt, pospiesz się. Proszę, Lucy... o Boże, ona jest ranna. Źle z nią.

Rzucił kłamstwo Lodge'owi i Sam, żeby przez chwilę nie mieć ich na karku.

- Co się stało?

Głosem rwącym się od szlochu Edie opowiedziała mu o drodze powrotnej z Nashville w strugach deszczu i o ataku czarnego pikapa. Ten głos powiedział mu więcej o jej stanie niż same słowa.

- Gdzie jesteś?

- Nie wiem - załkała.

Odpalił silnik, ale nie mógł ruszyć z miejsca, dopóki mu nie poda choćby przybliżonej lokalizacji.

- Jechaliście do Redbud. Którą szosą? Powiedziała mu.

- W porządku, to mi wystarczy. - Ruszył na południe, zaraz za miastem włączając syrenę. - Rozejrzyj się teraz.

Widzisz coś charakterystycznego?

- Nic nie widzę w tym deszczu. - Głos jej się rwał. Efekt podwyższonej adrenaliny. Zimno. Szok. To nie był dobry znak.

- W porządku. Mów do mnie, Edie. Już jadę. Jak długo jechaliście, zanim uderzył w was ten pikap?

- Nie... wiem.
- Na pewno wiesz. Uspokój się. Policz do trzydziestu, to ci pomoże. Spróbuj jasno myśleć.

Cisza.

- Edie!
- Liczę...
- Licz na głos.
- ... jedenaście, dwanaście...

Doliczyła do trzydziestu pięciu i dopiero wtedy jej głos się uspokoił, a oddech odzyskał w miarę normalny rytm.

- W porządku. Teraz wróćmy do drogi powrotnej. Czy jechałyście pół godziny? Może czterdzieści pięć minut?
- Raczej pół godziny. - Dobra. Zaraz tam będę. Możesz się gdzieś schować przed deszczem? Jest tam jakieś drzewo?
- Nie chcę zostawiać Lucy.
- W porządku. Ale postaraj się schować przed deszczem.
- Nie zostawiaj mnie.
- Nie zostawię. Zaraz będę. - Chciał, żeby mówiła, żeby była przytomna. - Po co pojechaliście do Nashville?
- Do adwokata Freda Lyle'a. W sprawie... testamentu. Amy Lyle też.
- Była tam? To musiało być interesujące.
- Nie uderzyła mnie.
- Tym lepiej dla niej.
- Żal mi jej.
- To nie ta Edie, którą znam i kocham.
- Myślałam.
- O czym?
- O pieniądzach. Powinnam je zatrzymać?
- A co byś z nimi zrobiła?
- Nie wiem.
- Kupiłabyś nowy motor?
- Porzucić moją... moją dziewczynkę?
- Nowy zestaw grający?



- Uhm.

Jej głos był coraz słabszy, co go przeraziło.

- Edie?

- Tak, jestem.

- Co jeszcze mogłabyś zrobić z pieniędzmi Freda Lyle'a?

- Kupiłabym... dom.

- Dom? Chyba wiem, który.

- Wymaga... wymaga remontu... - Jej głos uciekał.

- Tak, ale mam dwie ręce. I ty masz dwie ręce. Cisza.

- Edie?

Znowu cisza. Dodał gazu, nie rozłączając się, i wezwał przez radio ambulans.

Zauważył rozbite auto godzinę drogi od miasta. Zjechał na pobocze i stanął z piskiem hamulców. Popędził przez zarośla w dół nasypu, ślizgając się po błocie.

Pikap przewrócił się na bok i leżał przygwożdżony do ziemi od strony kierowcy, z otwartymi drzwiami. Zdaje się, że Edie zdołała wyciągnąć Lucy na zewnątrz - starsza kobieta leżała na ziemi, twarzą w błocie. Edie znajdowała się obok niej, ale była nieprzytomna.

Holt sprawdził puls obu kobiet. Żyły, dzięki Bogu, chociaż puls Edie był lepiej wyczuwalny niż Lucy. Wyglądało na to, że starsza kobieta złamała nogę. Nie wiadomo, co jeszcze. Przykrył ją kocem i poncho ze swojego samochodu, drugim kocem otulił Edie. Poszedł rozstawić światła alarmowe na poboczu dla kierowcy ambulansu, po czym wrócił do kobiet.

Poklepał Edie lekko po twarzy, chcąc doprowadzić ją do przytomności. Jęknęła, otworzyła oczy. Zobaczyła Holta i zaczęła płakać. Przygarnął ją do siebie.

- Nic ci nie jest? Niczego nie złamałaś? - Przesunął rękoma po jej ciele, ale nie znalazł poważnych obrażeń. Miała sińce i zadrapania, a krew spływała po jej twarzy i szyi, rozmywana przez deszcz. - Wszystko w porządku - powiedział łagodnie. - Nic ci nie jest.

Dźwięk syreny rozdarł wilgotne powietrze i kilka sekund później ratownicy medyczni schodzili po nasypie do rowu. Szybko ocenili stan Lucy, położyli ją na noszach i z pomocą Holta wnieśli na górę do karetki.

Holt pomógł Edie wejść po śliskim nasypie. Na górze jeden z ratowników dokonał szybkich oględzin.

- Nic mi nie jest. - Siedziała skulona pod mokrym kocem i tylko nogi wystawały jej z samochodu Holta. Dała ratownikom znak ręką, żeby odjechali. - Lucy was potrzebuje. Jedźcie. Jedźcie już.

- Przywiozę ją do szpitala - zapewnił Holt ratowników. Ambulans odjechał na sygnale, a Holt wyjął suchy koc dla Edie i wepchnął ją do samochodu.

- Widziałaś kierowcę? Pokręciła przecząco głową.

- Za bardzo padało.

- A pikapa?

- Był duży. Czarny. I tyle.

- Zostaniesz sama na dwie minuty?

Skinęła, a Holt wyszedł na deszcz. Przeszedł szosą w jedną i drugą stronę, szukając jakichś śladów opon, czegoś, co wskazałoby na typ pikapa, który zepchnął auto Lucy do rowu. Ale jeśli nawet były jakieś ślady, zmył je deszcz.

Złorzeczając na pogodę, wrócił do swojego samochodu, zapalił silnik i ruszył za ambulansem.

Edie przez całą drogę do szpitala kuliła się pod kocem. Pomimo deszczu na dworze było bardzo upalnie, ale nieustannie wstrząsały nią dreszcze. Ciągle miała przed oczami Lucy. Krew na jej twarzy. Płytki oddech, ledwie unoszący pierś, którą pogruchoła kierownica. Okropny widok gołej kości sterczącej z nogi.

Zamknęła oczy i znowu zaczęła płakać.

- Cholera - łkała. - Cholera, cholera, cholera. Niech to wszyscy diabli.

Holt zjechał na pobocze i przytulił Edie.

- Jezu - zanosila się szlochem. - Co mi przyjdzie z płaczu? - Uderzyła go słabo w pierś. - Dlaczego Lucy? Nic nikomu nie

zrobiła. - Wzięła głęboki, drżący oddech, czknęła i odepchnęła go od siebie. - Jedź. Chcę jak najszybciej być w szpitalu.

- Spokojnie, superdziewczyno. Zaraz będziemy. Zapalił silnik i znowu wyjechał na drogę.

Zaciskała powieki, skupiając się na oddychaniu, i łzy w końcu przestały płynąć. Ale czuła się tak, jakby również jej serce przestało bić. Albo wyszło. Zmarznięta i niema siedziała z wzrokiem utkwionym w przestrzeń, starając się nic nie odczuwać.

Szpital znajdował się niecałe dwadzieścia kilometrów od Redbud. Edie pchnęła drzwi oddziału ratunkowego.

Pomimo jej protestów Holt nalegał, żeby ktoś ją zbadał. Dopiero później, kiedy zerknęła do lustra, uświadomiła sobie, że jej twarz jest w wielu miejscach rozcięta. Największa rana znajdowała się nad brwią i wymagała założenia kilku szwów. Edie wypadła z pikapa i ciało bolało ją, ponieważ uderzyła o ziemię, ale jakimś cudem niczego nie złamała. Ktoś opatrzył jej zadrapania, ale nie zwróciła nawet uwagi kto. Pragnęła tylko dowiedzieć się, w jakim stanie jest Lucy.

Siedziała z Holtem w szpitalu, a tymczasem Lucy przewieziono na chirurgię. Wieść o wypadku szybko się rozeszła, tak jak rozchodziły się wszystkie informacje w Redbud. W szpitalu pojawił się Red, który zajął miejsce obok Edie w poczekalni. Wymienili tylko zdawkowe pozdrowienia i nie rozmawiali, nikt nie mówił wiele. Pielęgniarka przyniosła formularze do wypełnienia.

- Ma jakichś bliskich krewnych? - spytała.

- Syna - odparł Red, wprawiając w zdumienie Edie, która nie wiedziała, że Lucy ma dzieci. - Ale on mieszka w Atlancie.

- Może pan się z nim skontaktować? - zapytała pielęgniarka.

Red wzruszył bezradnie ramionami.

- Nie wiem.

- Ja go znajdę - powiedział Holt.

Odszedł na bok, aby zadzwonić, gdzie trzeba. Kilka minut po jego odejściu nadeszła Sam Fish w jak zwykle odprasowanym i wykrochmalonym mundurze i w postawie

**16 - Śmiertelny grzech**

**241**

karnego sierżanta. Towarzyszył jej jakiś mężczyzna, mały, schludny, ubrany w garnitur służbista.

- Holt rozmawia przez telefon - powiedział Red.

- Nie przyszedł do szeryfa - odezwał się mężczyzna. - Jestem agent Lodge, ze stanowego biura śledczego Tennessee -przedstawił się, patrząc prosto na Edie. - Panna Swann?

- Tak?

Patrzyła to na niego, to na Sam, ale ta ostatnia odwróciła wzrok. Oho.

- Pójdzie pani z nami. Edie się nie ruszyła.

- Chodzi o wypadek? Mogę wam powiedzieć wszystko, co wiem, tylko chcę wiedzieć, czy Lucy...

- Nie chodzi o wypadek - przerwał jej agent Lodge.

Dał znak Sam, która wyjęła kajdanki i chciała zapiąć je na nadgarstkach Edie. Dziewczyna się wyrwała.

- Co ty wyprawiasz?

- Edie Swann, jest pani aresztowana z powodu podejrzenia o morderstwo - wyrecytowała Sam, nie bez złośliwego uśmiešku.

Red wstał.

- Co? - powiedziała Edie. - Chyba żartujesz.

Sam znowu spróbowała założyć kajdanki, ale Edie wrywała ręce.

- Nie dotykaj mnie! Nie zrobisz tego...

Przerażenie i gniew z powodu wypadku wybuchły teraz ze zdwojoną siłą. Kopała i krzyczała, zmuszając Lodge'a by wkroczył do akcji. Wspólnymi siłami przewrócili Edie na podłogę, a Lodge usiadł na niej jak na krowie w czasie rodeo, wykręcił jej ręce do tyłu i zakuł w kajdanki.

Zamieszanie ściągnęło do poczekalni pielęgniarki i obsługę szpitala, a także Holta.

- Lodge, co ty, do diabła, wyprawiasz? Lodge postawił Edie na nogi.

- To, co sam powinieneś zrobić parę tygodni temu.

**242**

- Dopiero co ktoś próbował ją zabić. Czy to nie dowód, że nic nie zrobiła?

- Tylko dowód na to, że ludzie w Redbud mieli już dość i postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. - Popchnął Edie do przodu. - Idziemy.

Okręciła się, walnęła go głową i zaczęła uciekać.

- Edie!

Holt pobiegł za nią, ale Lodge i Sam byli szybsi.

Red wystawił nogę, Lodge potknął się i zwolnił tempo, ale Sam rzuciła się na Edie parę metrów dalej. Dziewczyna przewróciła się z jękiem, który ścisnął Holta za serce.

Odepchnął Sam, ale ta nie dawała za wygraną. Holt skoczył między kobiety.

- Cofnij się, Sam. - Rozkaz Holta był stanowczy i nieznoszący sprzeciwu, ale Sam popatrzyła niepewnie najpierw na niego, potem na Lodge'a. - Pracujesz dla mnie - warknął Holt - i mówię ci, żebyś się cofnęła.

Twarz Sam była czerwona jak burak. Holt nie odrywał wzroku od zastępczyni, skupiając jej uwagę. Powinna się wstydzić. Lojalność była najważniejsza, wiedziała o tym. Powinien wywalić ją na zbity pysk za to, że wezwała stanowych za jego plecami. Ale potrzebował sojusznika, a w tej chwili Sam była jedyną kandydatką. I uważał, że jest mu coś winna. Najwyższy czas. Zapytał ją więc cicho, kto jest jej przełożonym - on czy Lodge? Agent pokręcił głową, ale Sam przemyślała sprawę i wycofała się.

Holt z ulgą odwrócił się do Edie. Pomógł jej wstać, odgarnął włosy z jej twarzy.

- Cholera, Edie, nacięcie krwawi. - Wytarł krew, a ona się skrzywiła. - Dostyc tego, dobra? Zajmę się tym. Obiecuję.

-Zwrócił się do Lodge'a: - Co z kaucją?

Zwykle nakaz określał wysokość kaucji.

- Pełnomocnik sądowy chciał, żeby rozstrzygnął to sędzia -powiedział Lodge.

Holt zaklął pod nosem. To oznaczało więzienie.

- Tylko parę dni - wytłumaczył Edie. - Aż ustalą wysokość kaucji. Zrobię, co się da, żeby to przyspieszyć. Idź z nimi, dobrze? Wszystko będzie w porządku.

- Tak, jak diabli.

Holt odsunął się, a Sam chwyciła Edie. Ta wyrwała się, ale odeszła między Lodge'em a Sam. Holt ruszył tuż za nimi. Przy drzwiach Edie zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Powiedz Lucy, że jestem z nią myślami. Potem zniknęli za drzwiami w strugach deszczu.

## Rozdział 41

Lodge zawiózł Edie do więzienia hrabstwa. Nie było to Alcatraz, ale też nie przypominało pokoju za biurem Holta. Wepchnęli ją do tymczasowej celi - betonowego pomieszczenia za ciężkimi stalowymi drzwiami. Ostry zapach środka dezynfekcyjnego nie był w stanie zabić smrodu spoconych ciał i wymiocin. Z zielonej ściany wystawała betonowa ławka, również pomalowana na zielono. Sala była tak rzęsiście oświetlona, że każdy jej zakamarek jarzył się jak po wybuchu nuklearnym. Okno w stalowych drzwiach mówiło, że można zapomnieć o prywatności. Nie ma ucieczki, nie ma kryjówek.

W pomieszczeniu były już trzy zatrzymane. Jedna chrapała na podłodze, dwie pozostałe ułożyły się na ławkach, rozciągnięte jak wilki chroniące swego terytorium. Otaksowały ją zimnymi, znudzonymi oczami. prostytutki, oszustki, pijaczki? Która z nich była morderczynią? W ich oczach mogła okazać się najgorsza z tego towarzystwa. Patrzyły tępo na Edie, czekając, co zrobi. Ale była zbyt wyczerpana i osłabiona, aby walczyć o miejsce. Usiadła w rogu na podłodze i skuliła się pod ścianą.

Dziesięć minut później funkcjonariusz więzienia wywołał jedną z kobiet do rejestracji. Minęło parę godzin, nim przyszła

kolej na Edie. W tym czasie do pokoju wprowadzono jeszcze dwie kobiety, a Edie zajęła miejsce na ławce. Smród już jej nie przeszkadzał, co samo w sobie było niepokojące. Jedna z aresztowanych, śpiąca na podłodze, nie przestawała chrapać pomimo kopniaków, które miały to przerwać.

W końcu wywołano Edie. Dał się słyszeć niski brzęczący dźwięk, przypominający bzykanie komara, potem szcęknięcie zamka. W drzwiach stanęła strażniczka, która zaprowadziła Edie do rejestracji. Przed nią znajdował się rząd komputerów na blacie biurka, uniesionym tak wysoko, że odpowiadając na pytania zadawane jej przez funkcjonariuszy musiała zadzierać głowę. Czy chorowała na opryszczkę, serce, czy nie ma HIV? Data urodzin, przeliterować nazwisko. Czy już kiedyś przebywała w zakładzie karnym hrabstwa Corley?

Zrobiono jej zdjęcia i pobrano odciski palców. Inaczej niż gliniarze w telewizji, ci z więzienia pobierali odciski do komputera, który obsługiwał technik przykładający każdy jej palec do płytki fotograficznej. Najwyraźniej nie było to łatwe zadanie, bo powtórzono pobieranie odcisków aż z ośmiu palców.

- Pierwszy dzień w pracy? - zagadnęła Edie.

Ale żart nie trafił na podatny grunt. To była naga rzeczywistość. Nie jakiś areszt na posterunku, ale poważne więzienie dla prawdziwych przestępców.

Pozwolili jej wykonać jeden telefon. Nie skorzystała. Do kogo miała zadzwonić?

Kiedy znalazła się z powrotem w izbie zatrzymań, funkcjonariuszka uzbrojona w lateksowe rękawice sprawdziła jej jamę ustną i zajrzała pod język, żeby się upewnić, że niczego tam nie ukryła. Potem zaprowadziła Edie do pomieszczenia z prysznicem i brudną toaletą i poleciła, żeby umyła się specjalnym mydłem przeciwko wszom, które jej podała. Zanim Edie dostała ubrania, funkcjonariuszka kazała jej podnieść ręce i odwrócić się powoli, żeby mogła stwierdzić, że nie ma niczego oprócz skóry. Otrzymała paczkę, w której było mydło, szczoteczka i pasta do zębów, grzebień i myjka. Dodano do tego szorstki ręcznik, prześcieradło

i drapiący koc. Funkcjonariuszka udzieliła dalszych instrukcji, ale Edie słyszała ją jak przez watę. Cztery godziny na tydzień rekreacji, godzina odwiedzin, ale dopiero po trzech dniach.

Ręce miała spięte kajdankami. Powłócząc nogami, przeszła przez kilka ciężkich zielonych drzwi, które nie różniły się między sobą i otwierały z odgłosem podobnym do bzyczenia komara oraz elektronicznym kliknięciem, dobiegającym gdzieś ze środka. Powlokła się w dół korytarza, do kolejnego betonowego pomieszczenia, tym razem cztery razy większego niż tamta pierwsza ciupa. Dwadzieścia kobiet kręciło się tam i z powrotem. Na jednej ze ścian świecił ekran telewizora. Z głośnika dobiegała muzyka radiowa. Ponad tym zgiełkiem unosił się szmer rozmów. I znowu zamknęły się za nią stalowe drzwi. Z dźwiękiem metalicznym i ostatecznym. Rozejrzała się dokoła. W centrum obserwacyjnym siedziało czterech strażników, nieustannie śledzących poczynania więźniarek. Unikała ich wzroku i znalazła miejsce przy jednym ze stalowych stolików wbudowanych w podłogę. Były niskie jak w przedszkolu, a siedzenia - okrągłe stolki - przymocowano do nich na stałe. Hałas uderzał w nią falą. Aby się przed nim obronić, usiłowała przypomnieć sobie takty Brahmsa, ale zgiełk ją rozpraszał. Patrzyła w tłum niewidzącym wzrokiem. Jej ojciec wolał umrzeć niż trafić w takie miejsce. Po raz pierwszy zaczęła go rozumieć.

## Rozdział 42

Holt próbował wykorzystać swoje stanowisko, żeby zobaczyć się z Edie przed wyznaczonym terminem, ale nikt nie zamierzał naginać dla niego przepisów, zwłaszcza że sprawę nadzorował agent Lodge. Więzienie znajdowało się pod zarządem szeryfa hrabstwa i informacja o związku Holta z aresztowaną rozeszła się lotem błyskawicy.

Funkcjonariusze okazywali swoją dezapro-



batę bez słów, wystarczyło, że kazali mu czekać w poczekalni dla odwiedzających jak innym osobom i podobnie jak tamtych odsyłali z kwitkiem. Żadnych odwiedzin przez pierwsze siedemdziesiąt dwie godziny. Nie pozostało mu nic innego, jak wyobrazić sobie, co też głupiego mogła jeszcze wymyślić Edie, żeby wpędzić się w większe kłopoty. Odmówiła pobrania odcisków palców, wymiany swoich rzeczy na więzienny strój? Rzuciła się, wyrywała? Może już siedziała w izolatce?

Złapał sądowego urzędnika i próbował ustawić sprawę Edie na następny dzień, ale sędzia był na wakacjach, wracał na początku przyszłego tygodnia, więc wszystko musiało się przeciągnąć. Wyglądało na to, że Edie nie tak prędko wyjdzie z więzienia.

Klnąc, pobiegł do samochodu. Deszcz przestał padać. Musiał obejrzeć miejsce wypadku i zająć się poszukiwaniem czarnego pikapa, który uderzył w samochód Lucy. Po drodze odebrał telefon. To był dzień, kiedy Miranda chodziła na półkolonie. Miał ją odebrać pół godziny temu. Cholera. Jak mógł zapomnieć?

Gościwie przeprosił kierowniczkę półkolonii, wytłumaczył, że miał nagłą sprawę i że zaraz poprosi kogoś, żeby jak najszybciej przyjechał po Mirandę.

Wyjeżdżając z parkingu, szybko zadzwonił do matki. Nie odbierała ani domowego, ani komórki. Spróbował zadzwonić do ojca, ale on również nie mógł pojechać po Mirandę.

- Zerwał mi się pasek klinowy - powiedział. - Utknąłem w Berding i czekam na matkę.

Berding leżało około czterdziestu kilometrów na południe, przy drodze do Nashville. Tej samej, którą jechały Lucy i Edie. Mało brakowało, a byłby świadkiem wypadku.

- Co tam robisz? James jęknął.

- Miałem genialny pomysł, żeby kupić matce nową pralkę, o którą męczy mnie od dawna. Wygląda na to, że zamiast pralki kupię nowy pasek klinowy.

- Dobra. Ale powiedz mamie, żeby włączyła komórkę. Po co jej telefon, skoro ciągle go wyłącza?

Zamiast udać się na miejsce wypadku, Holt popędził do ośrodka YMCA, który organizował półkolonie. Po drodze zadzwonił do Sam.

- Jest Lodge? - spytał bez żadnych wstępów.

- Nie - odparła Sam.

- To dobrze. Chcę cię prosić o przysługę. Obdzwoń wszystkie warsztaty w hrabstwie. Szukasz dużego czarnego pikapa z uszkodzonym przodem. Jeśli coś znajdziesz, to powiedz, żeby wstrzymali się z naprawą do mojego przyjazdu. I będę wdzięczny, jeśli zapomnisz poinformować o tym naszego kolegi ze stanowej. Westchnęła.

- Masz nie zajmować się tą sprawą.

- Sprawą czarnego anioła. To jest usiłowanie zabójstwa.

- Słuchaj... przykro mi, że tak się to potoczyło.

- O tak, powinno ci być przykro.

Milczała, a on powstrzymał gniew. Była mu potrzebna.

- Wiesz co? Daruj sobie przeprosiny i zamiast tego zrób to dla mnie. Wezmę to na siebie, jeśli Lodge się dowie.

- Sama mogę nadstawić karku - zjeżyła się.

- To znaczy, że to zrobisz? Zawahała się, a Holt zaklął pod nosem.

- Dam ci znać, jak się czegoś dowiem - powiedziała w końcu. - To nie znaczy, że uważam, że twoja laska jest niewinna - dodała szybko.

- Nie musisz.

Co ustalili, zakończyli rozmowę. Wjechał na parking przed YMCA. Miranda czekała na niego na werandzie przy wejściu w towarzystwie kierowniczkę.

Gdy tylko zobaczyła jego samochód, wybiegła i wdrapała się do auta.

- Gdzie byłeś? - spytała z wymówką w głosie. Pomachał kierowniczkę i odjechał.

- Przepraszam, córeczko. Czasami zdarza się coś niespodziewanego.

- Ale co?

Rzucił okiem na jej jasną główkę, piękne delikatne rysy, które odziedziczyła po matce, i bardziej niż czegokolwiek na świecie zapragnął, aby te sprawy ją omijały. Ale nie ominą. Nigdy się tak nie dzieje.

- Och... po prostu... różne sprawy. Zrobiła nadaśaną minę.

- Nie lubię tych spraw. Westchnął. Witaj na świecie, panno M.

- Ja też nie. - Mierzwiąc jej włosy, pomyślał o Edie. - Ja też nie.

Holtowi udało się przesunąć rozprawę wstępną Edie o parę dni, ale i tak siedziała dłużej, niż powinna. Odliczał minuty do przepisowych siedemdziesięciu dwóch godzin i był w więzieniu z samego rana.

Hrabstwo Corley zainstalowało rok wcześniej nowy system wideo. Nie przywiązywał do tego wagi, bo uważał, że jeśli było to dobre rozwiązanie dla więzienia, to nie ma sprawy. Ale kiedy zaprowadzono go do monitora i powiedziano, żeby usiadł i poczekał, aż Edie ukaże się na ekranie, gotował się ze złości. Chciał ją zobaczyć osobiście, nawet jeśli tylko przez szklaną przegrodę. Tymczasem dzieliły ich dziesiątki metrów przestrzeni - korytarze, cele, biura - bo ona siedziała zupełnie gdzie indziej, patrząc na jego postać w innym monitorze. Jak mógł mieć pewność, że nic jej nie jest, skoro nie mógł jej zobaczyć naprawdę?

Miała na sobie strój taki jak wszyscy więźniowie - bezkształtne ubranie w jaskrawopomarańczowym kolorze.

Koszulka wycięta w V wisiała na jej szczupłej sylwetce, jakby była po starszej siostrze. Podobnie jak zbyt duże spodnie. W tych workowatych rzeczach wydawała się apatyczna i pokonana.

Dotknął ręką ekranu i kiwnął głową, żeby podniosła słuchawkę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, gdy to zrobiła.

- Jasne.

Dobrze, że nie zatraciła chociaż swojego sarkastycznego humoru.

- Słuchaj, pracuję nad tą sprawą. Nie zapominaj o tym.

- A agent Lodge? Co on robi? Przyjrzał się jej uważnie.

- Nie trać wiary we mnie, Edie Swann. Rzuciła mu wymuszony uśmiech. -Ja?

Pochylił się do przodu, chcąc być bliżej niej, ale wyszedł poza kadr i musiał się cofnąć. Rozmowa za pośrednictwem monitora stwarzała wrażenie chłodu i dystansu, ale pewnie tak właśnie miało być. Oficjalnie. Beznamiętnie.

Więzienie to nie żarty, ale chodziło o Edie. Jego Edie.

- Pracuję nad sprawą pikapa. Na pewno nie pamiętasz marki albo modelu?

Pokręciła przecząco głową.

- Za bardzo padało. Ale na pewno był to duży, czarny pikap.

- No dobrze, takiego auta szukamy. Posłuchaj. Nie pozwolę, żebyś tu zgniła, rozumiesz? Za parę dni będzie rozprawa wstępna. Jeszcze kilka dni, Edie. Dasz radę. A potem wyznaczą kaucję i wyjdiesz stąd.

Roześmiała się. Krótko i zdecydowanie niemiło.

- Swanfordowie są znani z tego, że w tym mieście dostają w skórę. Na jakiej podstawie uważasz, że ze mną będzie inaczej?

- Nie jesteś winna.

- A on był?

Holt już otworzył usta, by odpowiedzieć twierdząco, ale zaraz je zamknął. Wszyscy byli przeświadczeni, że Charles Swan-ford jest winny. Ale również Edie wielu ludzi uważało za winną. Po raz pierwszy Holt zaczął się nad tym zastanawiać. Jeśli mogli się mylić wobec Edie, to czy nie popełnili błędu w sprawie jej ojca?

- Nie wiem - odpowiedział ostrożnie.

- Może już czas się tego dowiedzieć - odparła Edie. Zadźwięczał dzwonek sygnalizujący koniec widzenia. Edie, nienaturalnie posłuszna, wstała i powlokła się z powrotem wraz z innymi więźniami.

## Rozdział 43

Amy Lyle dowiedziała się o aresztowaniu Edie w **taki** sposób, w **jaki** większość ludzi dowiadywała się w Redbud o różnych sprawach. Sherry Adams, pielęgniarka ze szpitala, opowiedziała o **tym swojemu mężowi, który** pracował w sklepie **komputerowym** i codziennie po południu wpadał na kawałek ciasta do Claire's - gdzie Emmalyn Brainerd piła kawę ze **swoim** klubem czytelniczym i usłyszała, **jak** opowiadał o zamieszkaniu w szpitalu.

- Już najwyższy czas, żeby ktoś zrobił porządek z tą kobietą - powiedziała Emmalyn.

- Dziękuję, że zadzwoniłaś. - Amy zdobyła się tylko na tyle.

Odłożyła telefon i zagapiła się na piętrzące się wokół niej białe sterty! Siedziała na podłodze, na środku gabinetu męża. A dokoła wałały się dokumenty sprzed z górą dwudziestu lat. Fred był prawdziwym chomikiem. Amy zamierzała już upchać to wszystko do kartonów i wyrzucić, ale niespodziewanie dla samej siebie zaczęła przerzucać papiery, szukając wszystkiego, co wiązało się z okresem od czerwca do lipca 1989 roku.

W większości były tam akta dotyczące szacunkowych kosztów, zysków i strat, zestawienia budżetowe, raporty kwartalne z fabryki. Ale znalazła również protokoły z posiedzeń rady miejskiej i spotkań izby handlowej oraz programy dawnych spotkań Klubu Rotariańskiego.

Były także stosy zeszytów z notatkami i mnóstwem bazgro-łów na marginesach. Z tego wszystkiego co i rusz wyskakiwały takie słowa, jak tajemnica, ukryć i oskarżyć, zapisane po wielekroć piórem po tych samych śladach, pojedyncze literki przeobrażone w marsjańskie kwiatki i monstrialne stwory. Tylko raz pojawiło się nazwisko Charlesa Swanforda, ale podkreślone trzy razy.

Co to wszystko znaczyło? Fred nie żył i Amy nie mogła go zapytać. Stała jej przed oczyma uparta twarz Edie Swann, jej ciemne oczy, bujne włosy. Tak wiele jej odebrano. Czy z winy Freda? Czy jego testament był formą zadośćuczynienia?

Amy wstała z podłogi z cichym jękiem. Zrobiła parę kroków po stertach papierów, które kiedyś stanowiły życie jej męża, i podeszła do telefonu.

Tydzień po aresztowaniu Edie odbyła się rozprawa wstępna. Funkcjonariusze zakuli ją w kajdanki i połączyli łańcuchem z paroma innymi więźniarkami, po czym wyprowadzili ze strefy bezpieczeństwa na korytarz. Szurając nogami, udały się do sali sądowej, ubrane w brzydkie, sztywne więzienne ciuchy, niczym na upokarzającej, pomarańczowej paradzie. Gdy tylko wyszła na korytarz, jej uszy musiały przyzwyczać się do ciszy. Nieustanny zgiełk panujący w więzieniu wydawał się bardziej normalny niż szum zwyczajnego życia.

Holt był już w sali, kiedy weszła do środka. Posłał jej uśmiech, chcąc dodać Edie otuchy, ale niewiele to zmieniło, bo widziała wszystko jak przez mgłę. Nie była z natury próżna, ale na samą myśl, że ogląda ją w więziennym stroju - z bliska i osobiście, a nie tylko za pośrednictwem ekranu telewizyjnego - zalała ją fala wstydu.

Oskarżyciel określił ją jako osobę, która nigdzie nie może zagrześć miejsca, niezwiązaną ze społecznością, i wnosił, by pozostała w więzieniu. Sędzia ustalił kaucję w wysokości miliona dolarów, co oznaczało, że równie dobrze mógł jej w ogóle nie ustalać, bo Edie i tak nie miała najmniejszych szans na zgromadzenie takiej kwoty. Mogłaby wykorzystać spadek po Fredzie Lyle'u, ale wskutek aresztowania jego odbiór stał pod znakiem zapytania.

Wszystko razem trwało krócej niż samo doprowadzenie jej na miejsce. W eskorcie strażników wróciła do celi, a hałas panujący w betonowym pomieszczeniu wprawiał ją w drżenie. Tymrazem jednak postmodernistyczna symfonia nieharmonijnych dźwięków wydawała się czymś znanym i uspokajającym.

Ale kilka godzin później, kiedy już rozgościła się w celi, znowu ją wywołano. Ktoś wpłacił kaucję. Odmówiła wyjścia, nie chcąc, aby Holt trwonił na nią pieniądze przeznaczone na naukę

Mirandy. Ale strażniczka nalegała, więc Edie ruszyła za nią korytarzem, czując narastające poczucie winy. Oddali jej rzeczy, w których tu trafiła. Przebrała się. Dostała też z powrotem zegarek, pierścionki, portfel i wszystkie osobiste przedmioty, co pokwitowała na formularzu. Chwiejnym krokiem wyszła z więzienia i zatopiła się w dźwiękach normalnego życia.

Tak jak przypuszczała, czekał na nią Holt, wysoki i silny w promieniach słońca. Ale obok niego stał ktoś jeszcze, ktoś, kogo nie spodziewała się już nigdy w życiu zobaczyć - drobna kobieta ze spłowiałymi jasnymi włosami. Amy Lyle.

#### Rozdział 44

**Edie** stanęła jak wryta. Patrzyła to na wdowę po Fredzie Lyle'u, to na Holta, a poczucie krzywdy narastało. Jak mógł ją tu przywieźć? Przeszła obok obojga, ale Holt ją zatrzymał.

- Edie, to jest...

- Ona mnie zna - powiedziała Amy zdecydowanym tonem.

- Napawa się pani tym widokiem? - spytała Edie.

- Przyjechałam tu, żeby zabrać panią do domu. Edie wbiła w nią wzrok.

Przechodzący koło nich dwaj funkcjonariusze więzienni przyglądali się tej scenie z ciekawością. Holt chwycił ją za ramię.

- Nie rozmawiajmy tutaj.

Zaprowadził ją do samochodu, Amy Lyle deptała im po piętach.

Kiedy doszli do auta, Edie odzyskała panowanie nad sobą.

- Zaraz. Zaraz! - Wyzwoliła się z uchwytu Holta i odwróciła do Amy. - Co pani powiedziała?

Amy wyprostowała ramiona.

- To, co pani słyszała.

- Dlaczego miałabym gdziekolwiek z panią pojechać?

Starsza kobieta uśmiechnęła się. Jakby ją to bawiło.

- Po pierwsze, nie ma pani gdzie się podziać. Pani przyjaciółka Lucy...

Przerwała, bo Holt pokręcił ostrzegawczo głową, ale Edie to dostrzegła.

- Co się dzieje z Lucy?

- Porozmawiamy o tym później - powiedział Holt. Zimny dreszcz przeszedł Edie po plecach.

- Teraz.

- Przepraszam - szepnęła Amy do Holta. - Myślałam, że wie.

- Że co wiem? - krzyknęła Edie, nie chcąc uwierzyć w to, co spodziewała się za chwilę usłyszeć.

Holt wyciągnął rękę, ale Amy pierwsza otoczyła ją ramieniem.

- Odeszła wczoraj - powiedziała łagodnie i przygarnęła Edie do piersi ciepłym, mocnym gestem, który był zarówno dziwny, jak i pocieszający. Przytuliła się do ciała, którego nie знаła. Do obcej kobiety. Amy tuliła ją, mówiąc straszne słowa, zmieniające jej życie.

- Przykro mi, tak bardzo mi przykro.

Dopiero wtedy dotarł do niej sens tych słów, pojęła ich znaczenie.

Lucy. Nie żyje. O, Boże.

Słońce stało teraz wysoko na niebie, ale Edie dokładnie pamiętała tamten deszczowy dzień i wielkiego, czarnego potwora, który zaatakował od tyłu. Krzyk Lucy. Jej zakrwawione, poranione ciało.

Nie, to nie może być prawda. Nie może.

- Pojedźmy do domu.

Amy pogłaskała Edie po plecach. Edie oderwała się od niej. Oparła się o samochód Holta.

- Nie rozumiem - powiedziała.

Czuła, jakby z jej ciała odpłynęła cała krew.

- Jej klatka piersiowa była zmiądzona - wyjaśnił Holt - i nie udało się zatamować krwawienia.



Po twarzy Edie spłynęła łza, szybko ją wytarła. Zadarła brodę.

- A pogrzeb?

- Syn zabiera ją do Atlanty i tam pochowa.

Nie będzie mogła się nawet pożegnać. Prosić o wybaczenie.

- To nie twoja wina - powiedział Holt, zgadując jej myśli. Nie spierała się z nim. Wiedziała swoje i czuła na plecach stu-

kilowy ciężar. Mógł ją przygwoździć do ziemi, więc wyprostowała się, by mu sprostać. Spojrzała podejrzliwie na Amy.

- Dlaczego chce mnie pani zabrać do domu?

- Zapłaciła za ciebie kaucję. Amy uciszyła go krótkim „pst”.

- Miał pan jej nie mówić.

Amy chwyciła Edie za rękę i uścisnęła.

- Jedźmy już do domu. Weźmie pani prysznic. Zrobię kawę. A potem odbędziemy długą rozmowę. I zrozumie, jeśli postanowi pani nie zostawać.

Edie popatrzyła na Holta. Skinął głową. Otworzył tylko drzwi. Amy wsiadła. A Edie, złamana żalem i zagubiona, wsunęła się za nią.

Cudownie było wziąć prysznic. Prywatność, gorąca woda i mnóstwo pachnącego świeżością szamponu. Wytarła się puszystym ręcznikiem. Ulubione džinsy i najwygodniejszy czarny top czekały na nią na łóżku w pokoju gościnnym Lyle'ów.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy zobaczyła swoje ubrania. Przyłożyła je do nosa i wdychała zapach bawełny świeżo wypranej w dobrym proszku. Każdy był lepszy od tego, którego używano w więzieniu. Ubrała się i poszła prosto do kuchni, gdzie Amy zajęta była parzeniem kawy, a Holt starał się zachowywać w miarę swobodnie w otoczeniu żółtych różyczek na ścianach, ręcznikach i kuchennym blacie. Krzeselka z giętego metalu, z żółtymi poduchami, które pasowały do stolika, wydawały się przy jego postaci małe jak dla krasnoludków, a filigranowa filiżanka wyglądała w jego dużych dłoniach jak zabawka. Serce jej drgnęło na

widok męskiego ciała wypełniającego przesadnie udekorowane pomieszczenie.

- Lepiej? - zwróciła się Amy do Edie.

Postawiła na stole tacę z filiżankami, dzbankiem i talerzem ciastek. Napełniła filiżankę i podała Edie.

- O wiele - odparła Edie. - Dzięki.

Holt rzucił się na ciasteczka, wszyscy milczeli zajęci jedzeniem. Edie nigdy w życiu nie czuła się taka głodna. Te ciastka wydawały się ambrozją w porównaniu z państwowym wiktem, którym karmiono ją przez ostatnich siedem dni. Ale czymże jest siedem dni w porównaniu do czekających ją lat podłego jedzenia. Wzdrygnęła się i zaczęła się bawić okruszkami na talerzu.

- Doceniam to, co pani zrobiła, pani Lyle.

- Ale chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłam?

Edie zaryzykowała i podniosła na nią wzrok. Na twarzy starszej kobiety malowały się spokój i uprzejmość.

- Mam nadzieję, że... nie z powodu tego, co zdarzyło się w barze. Myślałam, że już to sobie wyjaśniłyśmy.

- Oczywiście. - Amy położyła dłonie na stole. - Po naszym spotkaniu w biurze Bradleya przejrzałam każdy papierek, który mój mąż zgromadził w ciągu wielu lat pracy. I muszę powiedzieć, że wcale mi to nie poprawiło samopoczucia. Kiedy byłaś dzieckiem, wydarzyło się coś strasznego. Szczerze mówiąc, nie chciałam tego przyznać, ale myślę, że mój mąż coś o tym wiedział. I chciał ci to jakoś wynagrodzić. Takie było jego życzenie. Jak mogłam pozwolić, żebyś siedziała w więzieniu, skoro stać mnie na to, żeby ci pomóc?

- Czy to oznacza, że nie wierzy pani, że kogoś zabiłam? Zawahała się.

- Powiedzmy, że wstrzymuję się z osądem. Musisz gdzieś mieszkać przez ten czas, a u mnie jest mnóstwo miejsca.

- Pani Lyle, staje pani sama przeciwko całemu miastu. Poklepała Edie po ręce.

- Mów mi Amy. Proszę. Tak to już jest w małych miasteczkach. Póki ktoś się nie przeciwstawi, dominuje mentalność tłu-

mu. Oczywiście, to musi być ktoś mający dobrą pozycję. Biorę cię pod swoje skrzydła, Edie Swann, więc nie musisz się martwić resztą miasta. Zobaczysz.

Wstała, żeby zanieść naczynia do zlewozmywaka. Edie zebrała filiżanki i ruszyła za nią.

- Jest jeszcze jedna rzecz - powiedział Holt.

Edie podała filiżanki Amy, który włożyła je do zmywarki.

- Już dość, proszę. Chyba nie dam rady przyjąć dziś kolejnego gestu dobroci.

- Będziesz musiała, kochanie, bo jest coś jeszcze. Pani Lyle... Amy... znalazła związek między naszymi ofiarami.

- To nie było trudne, naprawdę - stwierdziła Amy, trzymając w rękach ściereczkę do naczyń. - Gdybym wiedziała, że tak ci zależy na znalezieniu tego powiązania, powiedziałabym wcześniej.

Edie przeniosła wzrok z Amy na Holta i z powrotem. Z niepokojem. I wyczekiwaniem.

- Rada miasta - kontynuowała Amy. - Byli w tym samym czasie członkami rady miasta.

Edie zmarszczyła brwi. Oczekiwała czegoś... sama nie wiedziała. Diabolicznego? Jakiegoś tajemnego kultu?

Tajnego stowarzyszenia spod znaku trupiej czaszki? Rada miasta była czymś tak prozaicznym, że chciało jej się śmiać. A jednak... Siedzieli w zwyczajnej kuchni, w otoczeniu kuchennych sprzętów i ciasteczek, w miejscu, gdzie planuje się i przygotowuje posiłki, gdzie rodzina się zbiera, by cieszyć się ich smakiem. I rozmawiali o morderstwie. Czy róże zaczęły więdnąć, czy słoneczne ściany przykrył cień? Czy to ciemność, którą nosiła w sobie? Czy ukryta prawda o całym wszechświecie? Że zło czai się wszędzie. Nawet tutaj, w zwyczajnej, słonecznożółtej kuchni. A także w radzie miejskiej małego miasteczka.

- Przecież wiele osób musiało należeć do rady miasta - zauważyła Edie.

- Nie w 1989 roku - stwierdził Holt.

Edie przeniknął zimny dreszcz: 1989. Rok, w którym umarł jej ojciec.

**17 - Śmiertelny grzech**

**257**

Czy było widać, że jest wstrząśnięta? Amy rzuciła Holtowi zatroskane spojrzenie.

- W ogrodzie jest urocza altanka - powiedziała cicho. - Holt, może zaprowadzisz tam Edie?

Nie miała ochoty na przechadzkę po ogrodzie, ale też nie chciała siedzieć w żółtej kuchni. Holt otoczył ją ramieniem. Dała się wyprowadzić przez tylne drzwi na ciepłe powietrze letniego wieczoru. Ogród przylegający do kuchni mienił się feerią barw, a w powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy.

Edie odetchnęła głęboko, a zapach zdawał się przywracać jej siłę.

- Ładny ogród.

- Nie taki ładny jak ty.

Ale Edie nie była w nastroju do słuchania komplementów. Nic nie powiedziała, tylko chodziła po ogrodzie, milcząca i nieprzystępna.

Altanka okazała się rzeczywiście urocza, otoczona żywopłotem, z ławeczką w środku. Edie nie mogła się zmusić, by tam wejść. Pragnęła ciszy, samotności, a nie tak widocznego miejsca. Prześliznęła się wzdłuż rzeźbionej ściany na tyły altanki, gdzie gęste drzewa wyznaczały granicę posiadłości. Było tam zupełnie ciemno, ciemno, przyjemnie i cicho. Oparła się o ścianę, odchyliła głowę i zamknęła oczy.

Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty. Dwa tysiące dziewiąty. Śmierć jej ojca. Śmierć jej przyjaciółki. Nie mogła przestać myśleć o złowieszczej zbieżności tych dat, o podobieństwach, o zagrożeniu. Co jeszcze ją czeka ze strony czarnego anioła? Przypomniała sobie wypadek na motorze, pisk ślizgających się opon, obezwładniającą bezradność, gdy leciała w powietrzu. Kto pragnął jej śmierci?

- Cholera - wymamrotała. Żal i strach wzmagął się, więc dodała głośniejszym głosem: - Cholera, cholera, cholera!

- Edie - odezwał się Holt ze spokojem, a gdy przysuwał się do niej, na jego twarzy malowała się łagodność.

Odepchnęła go.

- O nie!

- Co nie?

- Nie bądź taki miękki i rozlazły. Masz być twardy i silny, i wściekły jak diabli. Ktoś zabił Lucy! - Chwyciła się za głowę, jakby to mogło jej pomóc w ogarnięciu tej nieprawdopodobnej rzeczy i uwierzeniu w jej realność. - O, Boże, Boże...

Nie była w stanie opanować drżenia, które ogarnęło całe ciało. Rozglądała się dokoła dzikim wzrokiem, szukając wyjaśnienia, którego nie sposób było znaleźć. Wszystko przez jej niepomysłowe dążenie do zemsty.

- Znajdę ich. Przysięgam.

I jakby chciał potwierdzić to przyrzeczenie, otoczył ją ramionami.

Z początku szamotała się, usiłując wyzwolić się z jego uścisku. Chciała być wściekła, i tego się trzymać. Tylko to mogło pokonać przerażenie.

Ale nie puścił jej. Przemawiał łagodnie, szeptał i trzymał ją mocno, więc w końcu opadła z sił i zawisła w jego ramionach jak szmaciana lalka, uderzając go tylko pięściami w pierś, jakby chciała w ten sposób uciszyć swój szloch. Emocje płynęły z niej szeroką falą, czuła, jakby miała obnażone serce, bolały ją wszystkie kości. Usiadła na ziemi, a Holt przygarnął ją, kołysał, uspokajał i koił.

Robił dla Edie to samo, co dla Mirandy. To samo, co zrobiłby dla każdego zagubionego dziecka. Przytulał. Dawał jej do zrozumienia, że na tym świecie jest coś trwałego, co nigdy nie zniknie. W końcu się wyciszyła i oparła o niego, siedząc na trawie w cieniu drzew. Głaskał ją po włosach, po szyi, po ramionach. Słyszał, że jej oddech się uspokaja. Ale parę minut później znów stał się przyspieszony. Tylko że tym razem poddawał się innemu rytmowi. Obudziła się świadomość. Że są tu sami, ukryci wśród drzew. On też zaczął szybciej oddychać. Nie przytulał już dziecka, lecz kobietę z krwi i kości, której krągłości wypełniały jego dłonie. Odwróciła się do niego,

z płonącymi oczami i masą czarnych włosów, jej ręka błędziła po jego brodzie, na twarzy czuł jej oddech.

Bez słowa przyciągnęła jego głowę i usta do swoich warg.

Gorączka zamieniła się w ognistą burzę, otchłań, za którą tęsknił, choć nie uświadamiał sobie tego aż do chwili, kiedy znów to poczuł. Ach, więc to takie uczucie. Pragnąć jej, pożądać. Kochać ją.

Położył się na ziemi, pociągając ją ze sobą tak, że znalazła się nad nim. Piersi na jego piersiach, nogi oplecione wokół jego nóg. Jak długo na to czekał? Całą wieczność.

Wsunęła dłonie pod jego koszulę i pieściła skórę. Nie mógł już dłużej czekać. Nie musiał. Ściągnęła z niego koszulę, potem zdjęła swój top. Wyśliznęła się z tych cudownie opiętych dzinsów i zdarła z niego spodnie. Całowała go, pieściła i z jękiem rozkoszy, który zlał się w jedno z jego jękiem, pomogła mu rozgościć się w swoim wnętrzu jak w domu.

Nie minęły dwie minuty i był gotowy. Kurczowo ścisnął trawę, by się powstrzymać. Usiadła na nim, pierwotna i dzika, z zamkniętymi oczami i włosami rozsypanymi po wygiętych w łuk plecach. Jej piersi kołysały się, sutki sterczały. Wszedł jeszcze głębiej, o ile to w ogóle było możliwe. Ssała swoje palce, wciągając je i wypychając, a on coraz mocniej ścisnął trawę. Potem dotknęła swoich piersi wilgotnymi palcami, pieszcząc naprężone sutki, a rozkosz była tak intensywna, że nie mógł już wytrzymać. Ani minuty, ani sekundy, ani...

To nie w porządku, krzyczało coś w jego głowie, kiedy wybuchnął w jej wnętrzu. To nie w porządku, że wprawiała go w ekstazę.

Nie wiedział, jak długo leżał, niezdolny do wypowiedzenia jednego słowa, niezdolny do najmniejszego ruchu. W końcu opadła na jego ciało. Jej delikatne i słodkie ręce błąkały się po nim całym, odpłynął, trzymając ją w ramionach.

Ocknął się, słysząc cichy jęk. Otworzył oczy i ujrzał aksamitną szarość zmierzchu. Powietrze zrobiło się chłodniejsze, a bryza muskała jego nagą skórę. Edie leżała obok na plecach, z szeroko

rozrzuconymi nogami. Dłoń zanurzyła głęboko między nogami i jęczała z rozkoszy.

Przeszył go dreszcz, gdy pojął, co robi.

Pogłaskał ją po włosach, zatapiając palce w ich gęstwinie.

- Pomóc ci? Mruknęła coś.

- Dzisiaj pracuję za nas dwoje - powiedziała.

- Pozwól mi. - Odsunął jej rękę, a ona uchyliła jedno oko.

- Leż spokojnie i baw się dobrze. Może czegoś się nauczysz.

Przyjął ten dar, tak jak przyjmował wszystko, co jej dotyczyło - jako nowe i podniecające doświadczenie.

Obserwował kołysanie jej bioder, taniec palców. Rytmiczny i piękny. Jeden z najbardziej erotycznych widoków, jaki kiedykolwiek oglądał. Kiedy patrzył, jak jej ciało pulsuje i ściąga go do siebie.

Nie protestowała, kiedy wśliznął się do środka. Całe jej wnętrze pulsowało, przebiegały przez nią skurcze. Ich usta się spotkały, wilgotne i pożądliwe, i tym razem biodra pracowały w zgodnym rytmie. Księżyc wzeszedł, a ich ciała rozgrzewały się, powoli i łagodnie, w długim, pieszczotliwym walcu, zakończonym czułym westchnieniem.

Potem leżeli, patrząc na gwiazdy.

- Myślisz, że Amy wie, co tu robimy? - zapytała Edie.

Zamknął ją w ramionach i cieszył się tym pierwotnym uczuciem, które ogarniało go, gdy noc otulała ich ciała. Las osłaniał ich przed sąsiadami, a granie cykad tłumilo inne dźwięki. Przed wzrokiem Amy chroniła ich altanka, ale nietrudno było się domyślić, co tu robią.

- Pewnie tak. To był jej pomysł.

Edie nie odzywała się przez dłuższy czas, a Holt wiedział, że o czymś rozmyśla. Czekał. W końcu przerwała milczenie.

- Jak myślisz, dlaczego to robi?

- Powiedziała ci, dlaczego.

- I ty jej wierzysz?

- Są jeszcze dobrzy ludzie na tym świecie.

Skinęła, ale nie wyglądała na przekonaną.

- Moglibyśmy tu spać - zamruczała.

- Kiedy ostatni raz spałem w ogródku, miałem dziesięć lat. -Przewrócił się na bok, żeby na nią spojrzeć, ona zrobiła to samo. Przejechał palcem po jej nosie. - Poza tym jutro muszę zawieźć Mirandę na półkolonie.

Westchnęła.

- Dobrze, innym razem.

Usiadła, zgarnęła swoje rzeczy i zaczęła się ubierać. Sięgnął po swoją garderobę.

- Ratusz otwierają o dziesiątej. - Włożył slipy. - Amy cię zawiezie, spotkamy się na miejscu.

Przełożyła głowę i ramiona przez czarną koszulkę.

- A co jest w ratuszu?

- Protokoły z posiedzeń rady miasta.

- Sądzisz, że jeśli planowali zabicie kogoś, to robili notatki? Wzruszył ramionami.

- Nie wiemy, czy to planowali. Poza tym nigdy nic nie wiadomo.

Otoczył ją ramieniem i odprowadził do domu. Było już zupełnie ciemno, księżyc świecił wysoko na niebie i rozjaśniał noc. Czuł się nasycony i senny, jak gdyby zjadł ogromny posiłek i wypił do tego butelkę wina. Uśmiechnął się do siebie. Taka właśnie była Edie. Wypełniała go po brzegi, wprawiała w oszołomienie i nadawała światu więcej barw.

Pocałował ją przed drzwiami, przedłużając pożegnanie. A potem patrzył, jak znika we wnętrzu ciemnego już domu.

## Rozdział 45

W Redbud przechowywano protokoły z zebrań rady miasta, począwszy od 1947 roku, więc w piwnicy urzędu miejskiego



zgromadzono wiele ich pudeł. Nietrudno było się tam dostać, zwłaszcza w towarzystwie Holta. Nikt nie podważał jego prawa do badania dokumentów związanych z miastem, nikt nie powiedział słowa, kiedy wprowadzał tam główną podejrzaną w sprawie o morderstwa oraz żonę jednej z ofiar. Amy Lyle zaborczo objęła Edie ramieniem i posłała serdeczny uśmiech urzędnicze miejskiej.

- Dzień dobry, Barb. Dziś wieczorem próba chóru - powiedziała.

Barb skinęła głową. Obrzuciła wzrokiem Amy i towarzyszące jej osoby.

- Do... do zobaczenia na próbie - odparła.

Zniknęły za drzwiami prowadzącymi do piwnicy. Najgorsze mieli z głowy.

- Ciekawe, jak szybko to się rozejdzie po mieście - szepnęła Amy do Edie, kiedy schodziły na dół.

Betonowe ściany i podłoga nie wpuszczały upału do podziemnego pomieszczenia. Na dole panował chłód. Piwnicę przecinały rzędy metalowych półek, na których stały jedne na drugich niezliczone, podobne do siebie pudła. Ale Holt bez wahania skierował się do półek, gdzie znajdowały się dokumenty rady miasta.

- Trochę tu poprzestawiałem, bo musiałem zrobić miejsce na akta spraw. - Szedł wzdłuż jednego z regałów, w końcu się zatrzymał. - Na szczęście wiem, gdzie wszystko jest.

Zdjął z półki pudła oznakowane datą 1980-1989.

Zebrania rady odbywały się raz w miesiącu, co oznaczało przejrzenie dwunastu protokołów. Ale w 1989 roku było ich osiemnaście. Sześć dodatkowych zebrań mogło stanowić kolejny dowód na to, że w tamtym roku w Redbud nastąpiły jakieś epokowe wydarzenia.

Holt rozdzielił akta, podając Edie i Amy nieduży plik. Usiedli na krzeselkach, które rozstawił w rogu przy małym stoliku.

Edie utkwiała wzrok w papierach, ale słowa rozmazywały się przed jej oczami. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na Holta. Pieściła wspomnienie poprzedniej nocy jak miłosny

kokon, którego nie chciała opuszczać. W tej otoczce czuła się bezpiecznie i ciepło. Była chroniona. Może to fałszywe poczucie bezpieczeństwa, ale tylko tego mogła się ucześcić.

Holt podniósł wzrok, przyłapał jej spojrzenie. Serce Edie załała fala ciepła. Niczym prąd elektryczny przebiegła przez jej piersi i między nogami.

- Amy, daj nam, proszę, minutkę - poprosił Holt, nadal wpatrując się w Edie, która również nie mogła oderwać od niego wzroku.

Starsza kobieta zaczęła podnosić się z krzesła.

- Oczywiście.

- Nie, nie, nie odchodź - rzekł Holt, po czym pochylił się i pocałował Edie.

Jej ciało poddało się natychmiast, miękkie i gotowe. Przytrzymała go za koszulę, przedłużając dotyk jego ust.

Kiedy w końcu się od siebie oderwali, wykrzywił usta w kpiącym uśmiechu.

- Pomyślałem, że lepiej załatwić to od razu, bo inaczej nic byśmy nie zrobili.

Poczuła, że twarz jej płonie. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz się zaczerwieniła. Na tę myśl zarumieniła się jeszcze mocniej. Odchrząknęła, zerknęła na Amy. Oczy starszej kobiety wypełniły łzy.

Edie, skruszona, przeprosiła za swoje zachowanie. Amy pokręciła głową.

- Nie przepraszaj. - Pogmerła w torebce i wyjęła pogniecioną chusteczkę. Wytarła oczy. - To tylko dlatego... że jeszcze pamiętam, jak to jest. - Uśmiechnęła się przez łzy do Edie, obejmując spojrzeniem również Holta. - Macie szczęście.

Amy schowała chusteczkę do torebki i na powrót zajęli się leżącymi przed nimi papierami sprzed dwudziestu lat.

Ale nie na długo. Po kilku minutach Holt podniósł wzrok znad dokumentów.

- Zaraz, zaraz. - Spojrzał na Edie, potem na Amy. - Kto jest obecny na waszych zebraniach?

Przeczytali listę nazwisk. Czterech członków rady i sekretarka, która sporządzała protokół. Trzej mężczyźni z tej listy byli ofiarami czarnego anioła. Czwartym był poprzedni burmistrz, już nieżyjący. Ale w sześciu dodatkowych zebraniach wzięła udział piąta osoba: James Drennen.

- Twój ojciec? - zdumiała się Amy.

Edie siedziała bez ruchu, mając niemądrą nadzieję, że Holt zapomni o jej obecności.

- Był szefem policji - dodała Amy. - Nic dziwnego, że był na zebraniach.

- O nie. - Holt pokręcił głową. - To nieprawda. Chcę powiedzieć, że to nie jest normalna procedura. Sam uczestniczę w tych zebraniach tylko dwa razy do roku. I tylko po to, żeby przedstawić raport na temat przestępczości.

Holt i Amy zmarszczyli brwi, zastanawiając się nad tą zagadką.

- Może w tamtych latach było inaczej - odezwała się Amy.

- Nie sądzę - powiedział Holt. - Nawet jeśli, to mamy tu sześć zebrań... - przerzucił dokumenty - ...w ciągu miesiąca.

Amy pochyliła się podekscytowana.

- Wiesz co? Obojętnie, jaki był powód, dla nas to lepiej. Nie musimy przeglądać protokołów. Możemy zapytać Jamesa.

- Rzecz w tym... - zaczął powoli Holt, ale przerwał. Spojrzał na Edie. Jego wzrok palił ją jak brandy.

- No w czym? - zapytała Amy.

- Rzecz w tym, że od dłuższego czasu szukasz powiązania między tymi trzema mężczyznami - dokończyła miękko Edie.

Holt milczał.

- Holt, to było wiele lat temu - stwierdziła Amy. - Twój ojciec pewnie tego nie pamiętał.

- Na pewno Amy ma rację - dodała Edie.

Położyła rękę na jego dłoni, ale zaraz ją cofnęła. Na jego twarzy widoczne było niedowierzanie, ale też coś jeszcze. Strach.

- Kto jest... - Przerwał, oblizwał wargi. - Kto jest na twojej liście? - zadał w końcu pytanie Edie.

- Na jakiej liście? - zdziwiła się Amy.

- Wiesz, kto na niej jest - odparła Edie. - Parsley, Runkle, Lyle, Butene.

- I? - nie dawał za wygraną.

Edie zacisnęła dłonie pod stołem. Opuściła wzrok na papiery, nie będąc w stanie patrzeć na Holta.

- I? - powtórzył.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, w ciężkiej ciszy.

W końcu Edie spojrzała w pochmurne zielone oczy człowieka, którego najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie nie chciała skrzywdzić.

- I Drennen - odpowiedział za nią. - Czy tak? Czy tak? Powiedz to, do cholery.

- Tak. Drennen. Zadowolony? Tak, jest na mojej liście.

- Tylko on jeden pozostał - powiedział Holt z niedowierzaniem. - Nic dziwnego, że nie chciałaś być w moim domu.

- Odsunął się od stolika. - O, mój Boże.

Ile razy rozmawiał z ojcem o morderstwach? James był też jedyną osobą, której powiedział, że Edie jest w motelu.

Poczuł falę mdłości. Chwycił się metalowych prętów półki, aby utrzymać równowagę.

Co jego ojciec zrobił?

I co, na litość boską, miał teraz z tym począć?

Jego umysł wywijał koziółki, wprawiając go w stan oszołomienia. Spadał, spadał i spadał, w otchłań bez końca. I kiedy ta czarna dziura niemal go pochłonęła, zadzwonił jego telefon.

- Sprawdziłam te warsztaty, o które mnie prosiłeś - powiedziała Sam bez wstępów.

- Co?

Jego umysł był zbyt przytłoczony, by zrozumieć jej słowa.

- Duże pikapy? Pamiętasz? Prosiłeś mnie, żebym sprawdziła wszystkie warsztaty w sąsiednich hrabstwach. Chyba znalazłam to, czego szukasz. Czarnego pikapa w Berding.

Pręt, którego się trzymał, wbijał mu się w dłoń, ale nie czuł bólu. Jego ojciec ma czarnego pikapa. I z tego, co wiedział, auto było w warsztacie w Berding.

**260**

- Jesteś pewna, że nie ma drugiego?
- Tak. A co? Coś nie tak? Śmiechu warte.
- Nie. Dzięki.
- Mam go sprawdzić?
- Nie, zajmę się tym.
- Coś jeszcze?

Ręka mu drżała. Przełknął ślinę. Telefon ślizgał się w spoconej dłoni.

- Informuj mnie, co robi Lodge.

Podskoczył, gdy poczuł czyjaś dłoń na plecach. Odwrócił się. Stała przed nim Edie. Krew huczała mu w głowie, nie mógł sobie przypomnieć, skąd Edie się tu wzięła. Ani gdzie są. I co tu robią. Ale trwało to tylko minutę. Spojrzał przez ramię. Byli sami.

- Gdzie Amy?

- Wycofała się taktownie do damskiej toalety. - Edie objęła go rękoma w pasie, oparła głowę na jego piersi. Nie ruszył się, stał sztywno, w niewygodnej pozycji.

- Holt, przepraszam. Bardzo, bardzo przepraszam. Wyzwolił się z jej objęć.

- Muszę iść.

Nim zdążyła otworzyć usta i cokolwiek powiedzieć, był już w połowie drogi do wyjścia.

- No dobra - rzuciła w przestrzeń. - Nie ma problemu. Opadła na jedno z metalowych krzeseł przy stoliku. Oparła głowę na rękach.

Powinna była powiedzieć Holtowi.

Powinna, mogła. Dobrymi intencjami jest... i tak dalej.

Ale nie zrobiła tego. Łatwo stwierdzić, dlaczego. Odsunął ją od siebie w taki sposób. Jak truciznę. Jakby była chora na jakąś zaraźliwą chorobę.

Chciała, żeby prawda wyszła na jaw. Miała tylko nadzieję, że nie zwali jej z nóg.

- Wszystko w porządku? - zabrzmiał łagodny głos Amy Lyle nad ramieniem Edie.

- Nie sędzę.

Nie, gdyby oceniać to po wyrazie twarzy Holta. Wiedziała aż za dobrze, dokąd się tak śpieszył. Ale nie chciała nawet myśleć, co się stanie, kiedy tam dotrze.

Odwróciła się do Amy.

- Możesz mnie gdzieś podrzucić?

Rozdział 46

Holt pędził jak demon z piekła rodem. Wjechał pełnym gazem na podjazd po lewej stronie żółto-białego domu, w którym dorastał, i zatrzymał się z piskiem hamulców. Wpadł do środka.

- Tato! Tato!

Jego matka wyłoniła się z kuchni, wycierając ręce w fartuch.

- Co się dzieje? Jest na dworze - powiedziała. Przemknął przez kuchnię jak torpeda i pognął do ogrodu, a znany pisk drzwi wydał mu się wrzaskiem.

Ojciec malował szopę na narzędzia. Postawiona w latach trzydziestych, chyliła się ku upadkowi, ale James starannie ją odbudował. Holt pomagał mu w weekendy, szlifując deski i wbijając gwoździe. I malując. Mimsy chciała, żeby szopa pasowała kolorem do domu, więc pomalowali ją na jasnożółty kolor i zrobili białe wykończenie. To właśnie nad tym wykończeniem pracował James, kiedy Holt wielkimi susami pędził przez trawnik.

Ojciec przysłonił oczy, zobaczył go i wrócił do malowania.

- Wczesny lunch? - spytał.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że byłeś na zebraniach rady miasta w tym samym czasie, co wszystkie trzy ofiary?

Ręka z pędzlem zatrzymała się, ale tylko na ułamek sekundy. Holt nie był pewien, czy mu się nie zdawało.

- Nie chciałem, żebyś wiedział.

**262**

Nie na taką odpowiedź liczył Holt. Ze strachu skrzyknął go w żołądku.

- Dlaczego? Co się wtedy wydarzyło? James milczał.

Aby przebić się przez ten mur, Holt wypalił z najcięższego działa.

- Czy zabiłeś ojca Edie?

Ale reakcją jego ojca był brak reakcji. Jak gdyby to pytanie było normalne, wręcz oczekiwane.

- Nie w taki sposób, jak myślisz.

- Więc w jaki? Cholera, tato, co ty zrobiłeś? Wyszarpnął ojcu pędzel. Biała farba rozprysła się na ich koszule i na żółte drewno pod wykończeniem.

James spojrział na niego twardo, ze smutkiem.

- Powiem ci, czego nie zrobiłem, synu. Nie zabiłem Runkle'a ani Parsleya i nic więcej nie musisz wiedzieć.

- A co z Lucy Keel? - warknął Holt.

- Co takiego?

- Mówię o pikapie, który uderzył w Lucy i Edie, kiedy wracały z Nashville. Był duży i czarny. Taki jak twój. Wpatrywał się w ojca. Człowieka, którego zawsze szanował. Do tej pory był dumny z tego, że jest jego synem. Na twarzy Jamesa pojawił się teraz wyraz bólu. Holta raniło to równie mocno. Właśnie oskarżył własnego ojca o morderstwo. Mężczyznę, który nauczył go, jak być mężczyzną.

- Co ty zrobiłeś, tato? - Przejechał dłońmi po włosach. - Nie mogę uwierzyć, że o tym rozmawiamy. Tato, co ty zrobiłeś?

Zanim James odpowiedział, nie wiadomo skąd dobiegł do nich głos Edie.

- Holt! Zaczekaj!

Odwrócił się. Wybiegła zza domu i pędziła do nich przez trawnik. Skąd się tu, u diabła, wzięła?

- Odejdź stąd - powiedział do niej Holt. - To nie twoja sprawa.

- Do diabła, akurat. - Pociągnęła go za rękę, ale nie ruszył się. - Daj spokój, Holt. Zapomnij o tym. To ci złamie serce.

- Za późno - powiedział Holt. - Powiedz jej, tato. Powiedz jej, jakim jeździsz samochodem.

James milczał.

- Czarnym pikapem - pomógł mu Holt. - Dużym. I wiesz, gdzie jest? W warsztacie.

Edie jęknęła. Zakryła rękoma usta.

- I co? Teraz chcesz, żebym o tym zapomniał? - zapytał Holt.

Edie milczała. Wpatrywała się w Jamesa z wyrzutem, a w jej szeroko otwartych oczach malowało się niedowierzanie.

- Tak właśnie myślałem. - Holt odwrócił się do ojca. - Gdzie byłeś tego popołudnia, kiedy Dennis Runkle miał wypadek?

James wbił spojrzenie w trawnik. Tam również lśniły plamki białej farby.

- Tutaj. Naprawiałem skrytkę. Byłem w sklepie z narzędziami, z farbami. Z innymi rzeczami. Mam rachunki, jeśli chcesz.

- A w dniu śmierci Parsleya?

- Byłem ma przyjęciu... Przecież wiesz.

- Nie... nie byłeś tu przez cały czas. Zniknąłeś. Pojechałeś po lód.

- Tak było.

- I wstąpiłeś do kościoła?

- Byłem w sklepie koło warsztatu Myera - odparł cicho James. - Zapytaj Burketta. Kupiłem cztery paki lodu i rozmawialiśmy o meczu. Oglądał go tam na swoim małym telewizorze, który tam ma, i Chipper Jones wywalczył akurat remis.

- Cholera, tato. Okłamałeś mnie, wyciągałeś ode mnie informacje, wykorzystywałeś to, co nas łączy. Nie sądzisz, że jesteś mi winien prawdę?

- To jest prawda, synu.

- A co z inną prawdą? Co się stało w 1989? James nie odpowiedział.

Dzień był jasny, dochodziło południe, słońce mocno grzało. Ale wokół Holta zdawały się gromadzić ciemne chmury.

- Co wiesz o ojcu Edie?



Jego ojciec nadal milczał, Holt pokręcił nim.

- Powiedz coś, do cholery! Edie odezwała się pierwsza.

- Nic mnie to nie obchodzi, Holt! Już mnie to nic nie obchodzi. - Rozdzieliła ich, zasłaniając sobą ojca Holta, jakby to on był osobą pokrzywdzoną, a nie ona. - Cokolwiek się stało, to już przeszłość. Zostawmy ją w spokoju. Gdybym wiedziała, że grzebanie się w starych sprawach skrzywdzi tyle osób, to nigdy bym tu nie przyjechała. O, Boże, proszę cię, Holt. Daj spokój. Mój ojciec nie żyje. A twój jest tutaj, z krwi i kości.

- Jakbym o tym nie wiedział! - burknął Holt.

James wyszedł zza pleców Edie, tak że nie stała już na linii ognia.

- Przykro mi - powiedział, zwracając się do niej. Holt złapał ojca i pociągnął.

- Nie mów jej, że ci przykro! Pozwoliłeś, żeby wsadzili ją do więzienia! Przez ciebie sam ją aresztowałem!

- Próbowałem ją nakłonić do wyjazdu, Holt. Próbowałem jej pomóc. Ale ty się nie przejmujesz ostrzeżeniami, prawda? - rzekł do Edie.

Holt taksował ojca zwięzonymi oczami.

- Ty próbowałaś? Co masz na myśli? Jak, do diabła, mogłeś... - Wpatrywał się w ojca. Wściekłość wzięła górę na bólem i niedowierzaniem. - To ty byłeś w motelu?

James spojrzał mu przeciągle w oczy. To wystarczyło.

- O, mój Boże - westchnęła Edie. - Proszę, niech pan tylko nie mówi, że majstrował pan przy moim motorze.

Holt gwałtownie odwrócił głowę w stronę Edie.

- Przecież to był wypa... - Ogarnęła go fala mdłości, nie mógł dokończyć słowa. - Taki wypadek, jak pozostałe.

Jego ojciec pokręcił głową, trzymając uniesione ręce, jakby błagał o pokój.

- Przysięgam, że nie wiem nic o twoim...

Zanim Holt pomyślał, co robi, przycisnął ojca do szopy na narzędzia.

- Co z ciebie za człowiek. - Holt chwycił Jamesa za koszulę i potrząsał nim. - Kim ty, do diabła, jesteś?!

- Holt, synu, nawet nie dotknąłem jej motoru.

- Mogłeś ją zabić!

Holt już nie panował nad sobą. Jego ramię samo wybiegło do przodu, a pięść wylądowała na szczęce ojca. James przewrócił się na trawę.

- O, Boże - jęknęła Edie.

- Holt! - Matka biegła przez trawnik. - Co tu się dzieje, na miłość boską? Dobry Boże. - Stała i pochyliła się nad mężem. Spojrzała ze złością na swojego syna. - Rozum ci odebrało?

James jęknął, siadając, przygarbione ramiona dodały mu lat, wyglądał na pokonanego. Żona tuliła go, patrząc na syna tak, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

- Holcie Drennen, masz natychmiast przeprosić ojca.

- Cicho, Mimsy - powiedział łagodnie James.

- Nie będę cicho.

- Właśnie że tak.

Protesty matki ustały jak nożem uciał. Holt zauważył kątem oka, że Edie odeszła na bok. Opadła na ławkę przy stole ogrodowym i oparła głowę na rękach.

Holt nie zwracał na nikogo uwagi. James się nie bronił. Nie ruszył nawet palcem. Mało tego, nie powiedział słowa we własnej obronie. Zresztą, co miał mówić.

Holt wpatrywał się w ogród, który tak dobrze znał. Pozostałości domku na drzewie, który James zbudował, gdy syn miał dziewięć lat, nadal tkwiły na dużym klonie w rogu. Holt planował, że odbuduje go za kilka lat, kiedy Miranda podrośnie. Furtka do ogrodu, z mechanizmem niezmiennie wymagającym naprawy, stała otwarta na oścież, jak zawsze gdy ktoś wybiegał, nie zamykając jej za sobą. Kochał ten dom, ale kiedy poślubił Cindy, opuszczał go bez żalu. Jak mógł pogrzebać pragnienie posiadania własnego domu? Radość z tworzenia czegoś, co jest tylko jego własnością? Przywłókł się tutaj jak zraniony pies. Ale przecież jego rana już dawno się zagoiła.

- Bardzo proszę, żebyś spakowała rzeczy Mirandy - zwrócił się oficjalnie do matki. - Wyprowadzamy się. Mimsy poderwała się na równe nogi.

- Co? Wyprowadzacie się? Dokąd pójdziecie? James wstał z trudem.

- Holt. Synu. Nie rób tego. Musisz ochłonać. Oczy Mimsy wypełniły się łzami.

- Co się stało? Proszę, niech ktoś mi powie, co się stało.

Holt otworzył usta, żeby jej powiedzieć. Że jej mąż był zamieszany po uszy w morderstwa trzech szanowanych obywateli miasta. Że prawdopodobnie zabił Lucy Keel. Groził kobiecie, którą Holt kochał, i zataił dowody świadczące o jej niewinności.

Ale szok i cierpienie w oczach matki to było dla niego za dużo. Przeniósł spojrzenie na Jamesa. Nie mógł na niego patrzeć.

- Niech on ci to wytłumaczy.

Holt powlókł się przez trawnik w stronę samochodu.

- Ale... nie możesz zabrać Mirandy. To dziecko nie zna innego domu - wołała za nim matka.

Z trudem dowlókł się do narożnika. Dotarł do auta, oparł się ciężko o jego dach, krzyżując ręce i zwieszając głowę. Nogi mu drżały, koszula była mokra od potu.

- Daj mi kluczyki, poprowadzę.

Skąd się tu wzięła Edie? Ach, tak. Przypomniawszy sobie, co się przed chwilą wydarzyło. Mdłości wzmogły się niebezpiecznie.

- I nie wciskaj mi kitu, że to służbowy wóz, którego nie mogę prowadzić - dodała. - To sytuacja awaryjna.

Spojrzał na nią przez ramię. Czarne włosy opadające w nieładzie na plecy, wielkie, ciemne oczy, pełne współczucia i miłości.

I choć powinno go to podnieść na duchu, poczuł się jeszcze gorzej. Ojciec też go kochał. A Edie oszukała go już dwa razy.

Holt odwrócił się z trudem. Oparł się plecami o samochód.

- Powinnaś była mi powiedzieć.

- Ale po co? Żeby wcześniej złamać ci serce?

- Aha. Więc zataiłaś informacje ważne dla śledztwa tylko po to, by... chronić moje delikatne uczucia?

**18 - Śmiertelny grzech**

**273**

Twarz Edie zapłonęła.

- No dobra, z początku tak było. Nic nie mówiłam, bo nie chciałam, żebyś wiedział o liście i o tym, że to ja wysyłałam czarne anioły. Ale potem...

- Potem łatwiej było dalej kłamać. Może dlatego, że kłamstwo to jedyny sposób życia, jaki znasz.

Ostre jak brzytwa słowa cięły boleśnie. Poczula się zraniona. Stała, nie mogąc wydobyć głosu, kiedy on wsiadł do samochodu i odjechał.

## Rozdział 47

Berding należało do tych miasteczek, które powstawały przy starych szosach. Wzdłuż wąskich, ledwie dwupasmowych dróg, które nie prowadziły do autostrad międzystanowych, były rozsiane małe miściny. Stykały się ze sobą, a potem z braku miejsca rozpychały na pola uprawne i rozrastały na boki. Holt znał ich nazwy od zawsze: Trenton, Three Corners, Goosefoot. Szybko się przez nie przejeżdżało, a wzdłuż głównej ulicy stały liczne drogowskazy kierujące do kwitnących niegdyś firm. AC Pajama, Fabryka Traktorów i Maszyn Rolniczych Bradforda. Nawet Zajazd Starlight wydawał się już tylko zapomnianym miejscem nawiedzonym przez duchy. Wjazd do Berding wyznaczała góra zardzewiałych aut na podwórku firmy skupującej złom. Znajdujący się dalej szereg sklepów straszył pustymi oknami wystawowymi, z wyjątkiem niedużego składu i komisju antyków o nazwie Pearl's. Najokazalszym budynkiem był Dom Pogrzebowy Walkera, solidna budowla z czerwonej cegły z parkingiem i zadbanym terenem. Cóż za ironia, że właściciel domu pogrzebowego jest najbogatszym człowiekiem w umierającym miasteczku, pomyślał Holt. Wymowa tego faktu uderzała go zwłaszcza teraz, kiedy wszystko wokół

niego zdawało się również umierać. Jego rodzina. I tak zwane życie uczuciowe.

Warsztat znajdował się na drugim końcu miasta. Przy ulicy stał jeden dystrybutor paliwa. Za nim mieściła się mała budka przyklejona do warsztatu, przez którego otwartą dwuskrzydłową bramę widać było wjazd na kanał. Mechanik zauważył samochód z napisem Redbud PD i wyszedł na zewnątrz, wycierając ręce wytłuszczoną szmatą.

- Przyjechał pan obejrzeć tę ciężarówkę, o którą pytaliście? Holt przybrał surowy wyraz twarzy, ukrywając cierpienie.

Ale nie mógł nic poradzić na to, że puls rozsadzał mu skórę. Mechanik prowadził go na boczny parking, gdzie stał duży czarny pikap ojca.

Obszedł auto dokoła. Nie zauważył żadnych uszkodzeń, zwłaszcza takich, jakich się spodziewał.

- Co z nim nie tak? Mechanik podrapał się po głowie.

- Zerwany pasek klinowy. Holt zeszywniał.

- Ktoś panu zapłacił, żeby tak odpowiadać? Mężczyzna wydawał się skonsternowany.

- Zapłacił?

- Chciałbym obejrzeć papiery.

Mechanik się oddalił, a Holt w tym czasie obejrzał dokładnie przód ciężarówki ojca. Potarł palcami plamę na lewej stronie zderzaka - był tam ślad farby i małe wgniecenie. Ale od miesięcy. Wiedząc, że tylko duża siła uderzenia mogła zepchnąć samochód Lucy z drogi, spodziewał się czegoś więcej. Dużo więcej.

Podniósł się zmieszany.

Wrócił mechanik, który podał Holtowi kartkę papieru przypiętą do tabliczki. Holt przeczytał informację: „Naprawić pasek klinowy, jeśli się da. Założyć nowy, jeśli nie”. Dalej widniał szacunkowy koszt i telefon kontaktowy do ojca.

- Nie było uszkodzeń na przednim zderzaku? - zapytał Holt.

- Na przednim zderzaku? Nie, szeryfie.

- Jesteś pewny?

- Mamy tylko naprawić pasek klinowy. Był mocno uszkodzony. Więc czekamy na nowy. Założymy go i auto będzie jak nowe.

Mechanik wrócił do pracy, a Holt oparł się o samochód ojca. Przetarł palcami twarz, a uczucie ulgi było tak wielkie, że cały drżał.

Jezu Chryste, on tego nie zrobił. Jego ojciec nie zabił Lucy.

Gapił się na budynek warsztatu, starając się opanować drżenie, wdychając zapach części samochodowych, benzyny i oleju.

Ale co to oznaczało? Że nie majstrował przy motorze Edie? I nie miał nic wspólnego ze śmiercią tamtych trzech? Być może.

Jedno wiedział na pewno: gdzieś musiał być drugi duży czarny pikap ze zniszczonym przodem. I ktoś inny siedział za kółkiem.

Holt zostawił Edie przed domem, więc ruszyła pieszo do Amy. Po drodze zadzwoniła do niej, żeby o wszystkim powiedzieć.

- Dzwoniłam do Drennenów, żeby się dowiedzieć, czy wszystko w porządku - powiedziała, kiedy pojawiła się Edie.

- Mimsy była taka zmartwiona. Tak płakała, że ledwie mogłam zrozumieć, co mówi. Czy Holt naprawdę uderzył swojego ojca? Nie mogę w to uwierzyć. Jest jakaś szansa, żeby to jeszcze dziś załagodzić?

- Raczej nie. Amy cmoknęła.

- I zabiera Mirandę? Mało nie złamał Mimsy serca. Gdzie on chce mieszkać z tym dzieckiem? Jedyne motel w pobliżu to Clo-verleaf - głos jej drżał - ale przecież tam jej nie weźmie.

Tyle się wydarzyło, że Edie zapomniała o stanowczej decyzji Holta, żeby wyprowadzić się z Mirandą. Twarz Amy pojaśniała.

- A może tutaj? Mam pokój. Przynajmniej dopóki nie zastanowi się, co robić.

**270**

- No nie wiem...
- Nie chcesz, żeby tu był?
- Och, nie chodzi o mnie. Nie jestem pewna, czy on chciałby przebywać tak blisko mnie.
- O czym ty mówisz? Szaleje za tobą.
- Tak. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Powtórzyła, co powiedział Holt. Amy poklepała Edie po ręce.
- Musiał się wykrzyknąć, a ty byłaś pod ręką. Nie myślał tak.
- Czuję, że myślał.
- Musicie się pogodzić, bo i bez waszych kłótni mamy dość problemów. - Wstała i wzięła Edie za rękę. - Chodź, dziewczyno. Musimy to naprawić.

Amy zawiozła ją do budynku urzędu miejskiego, przed którym stał samochód Holta. Edie zerknęła nieufnie.

- Może lepiej tu zostanę. Nie chcę przypominać zastępcy Fish i agentowi Lodge'owi o swoim istnieniu.
- Chcesz, żebym go zmiękczyła?
- Tak.
- Tchórz.
- Wiem.

Ale Amy uśmiechnęła się i weszła do środka. Nie było jej tak długo, że Edie umierała z niepokoju. Wysiadła i oparła się o samochód, wdychając świeże powietrze. To niedobry znak, że Amy potrzebowała tyle czasu, żeby przekonać Holta, że co było, minęło....

Kiedy stała przy samochodzie, podjechało jakieś auto i zaparkowało obok wozu Holta. Serce jej zamarło, kiedy ujrzała, kto wysiadł. Lodge.

Zamknął drzwi, obszedł samochód Holta i na jej widok zmarszczył brwi.

- Co pani robi przy samochodzie szeryfa, panno Swann?

W pierwszej chwili chciała się odgryźć, ale przypomniała sobie, że Amy w nią wierzyła i liczyła na to, że będzie się odpowiednio zachowywała. Więc udzieliła odpowiedzi. Bez pośpiechu.

I może nie z takim szacunkiem, na jaki Lodge w swoim własnym mniemaniu zasługiwał. Odpowiedziała krótko i zwięźle:

- Czekam.

Oczy Lodge'a zwięźliły się w szparki. Zdaje się, że nie przepadał za krótkimi i zwięzłymi odpowiedziami, tak samo jak za przemądrzałymi. Kazał jej się odwrócić, a kiedy to zrobiła, pchnął ją na samochód, polecił rozstawić nogi i obmacał z góry na dół w biały dzień, na oczach wszystkich, którzy byli na placu.

- Nie noszę broni - zaprotestowała zduszonym głosem, bo Lodge ciężką ręką przyciskał ją do maski.

- Podobnie jak wielu w tym mieście, nie wierzę ci na słowo - powiedział Lodge.

Przejechał ręką w górę i dół po jej nogach, plecach i piersi. Sprawdził kieszenie, znalazł klucze i portfel, nic poza tym. Na tym powinno się skończyć, ale nadal przyciskał ją do auta, i to coraz mocniej, bo teraz miał do dyspozycji obie ręce.

- Dobra. A teraz powiedz mi, co tu robisz.

- Czekam na mnie. - Głos Holta dobiegł od strony budynku urzędu miejskiego. Był spięty i wściekły. - Zostaw ją, Lodge.

- Żebyś mógł ją utulić? A może raczej przytulić?

- Powiedziałem - głos Holta dobiegał teraz z bliska - żebyś ją puścił.

Lodge puścił ją, wyprostowała się z pewnym trudem. Holt i Lodge mierzyli się wzrokiem. Amy patrzyła z przerażeniem.

- Jeśli jeszcze raz jej dotkniesz - rzekł Holt - oskarżę cię o nękanie.

- A ja ciebie o utrudnianie śledztwa, jeśli będziesz ją chronił. Całe zajście ściągnęło na nich uwagę przechodniów. Edie nie

dbała o swoją reputację. I tak była już zszargana. Ale Holt to zupełnie inna historia.

- Czy nie musisz czasem odebrać Mirandy z półkolonii? - powiedziała szybko Edie, a ponieważ nadal stał bez ruchu, co groziło tym, że Lodge go uderzy albo aresztuje bądź zrobi coś innego, co mu przyjdzie do głowy, powtórzyła: - Holt? Miranda?



Holt zrobił krok do tyłu, nie odrywając wzroku od Lodge'a.

- Naciesz się nią, póki możesz, „szeryfie” - dodał ironicznie ten ostatni. - Niedługo zamkną ją w więzieniu dla kobiet. Na dźwięk słowa „więzienie” Edie przeszył dreszcz strachu. Holt chwycił ją mocno za ramię i odciągnął od Lodge'a, który wszedł do budynku.

- Co za straszny człowiek - powiedziała Amy. Nikt nie zaprzeczył. Odwróciła się do Holta. - Nie martw się o Mirandę. Odbiorę ją z półkolonii i przywiozę do domu.

- Nie trzeba - odparł Holt szorstko.

- Cała przyjemność po mojej stronie. A wy musicie trochę pobyć sami. - Zwróciła się do Edie: - Do zobaczenia później. - Mrugnęła i wsiadła do samochodu.

Edie spojrzała na Holta.

- Co się dzieje?

- Wsiadaj.

Wściekłość buchała z niego, więc tym razem posłuchała go bez gadania. Wsiadł również i odjechali.

- Dokąd zmierzamy?

- Metaforycznie? Nie mam pojęcia.

Akurat tego było jej trzeba. Humor egzystencjalny.

- Dosłownie.

Ale to go nie interesowało.

- Jeśli ten sukinsyn jeszcze raz ci to zrobi...

- To co wtedy? Uderzysz go? Daj spokój, Holt. Jest coś więcej do stracenia niż moja wolność. Twoja praca, przyszłość Mirandy. Nie odrzucaj tego z mojego powodu.

- Jasne. Bo i po co, tak? - zachnął się. - Nie masz zbyt dobrego mniemania o sobie, prawda?

- Myślałam, że ty też nie masz.

To mu zamknęło usta i jechali dalej w milczeniu. Mijały kolejne minuty, w tej ciszy rósł między nimi coraz wyższy mur, cegła po cegle, aż Edie chciało się krzyknąć, przedrzeć do Holta. Ale odezwał się pierwszy.

- Mam, hm... - Jego głos brzmiał tak, jakby miał w gardle wielką drzazgę, więc odchrząknął i zaczął jeszcze raz: - Mam pewną wiadomość.

Opowiedział jej o samochodzie ojca.

- Więc może nie majstrował przy moim motorze - powiedziała powoli, przyswajając nowe informacje. - Może to był wypadek. Prawdziwy.

- W takim razie pierwszy.

Edie miała pustkę w głowie. Tak przywykła do myśli, że to James jest złoczyńcą, że teraz nie wiedziała, co myśleć. Bo jeśli James nie był tym czarnym charakterem... to kto? Gapiła się przez okno, jakby gdzieś tam czaiła się postać przestępcy. Ale przed jej oczami rozpościerały się znajome i przyjazne widoki Redbud. Przeszył ją dreszcz.

- I co teraz? - zapytała nagle zadowolona, że siedzi z Hol-tem w ciasnym samochodzie, zamiast włóczyć się po ulicach, gdzie każdy mógł ją dopaść.

- Będziemy szukać dalej. Gdzieś musi być inny czarny pikap z uszkodzonym przodem. Znajdziemy go.

Zanim zapadnie wyrok skazujący czy dopiero potem?

Wiózł ją do domu Amy, a Edie zastanawiała się, czy kobieta poprosiła go, by został, i czy się zgodził. Ale tak bardzo bała się usłyszeć odpowiedź, że nic nie mówiła. Zatrzymał się i siedzieli w samochodzie. Patrzył przed siebie, z jedną dłonią opartą na kierownicy.

- Słuchaj, Amy zaprosiła Mirandę i mnie, żebyśmy się u niej zatrzymali na jakiś czas.

- Mówiła, że ma taki zamiar. Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

- I co o tym myślisz?

- Prosisz mnie o pozwolenie? Zawahał się.

- Chyba tak.

Wzruszyła ramionami. Po co znowu się spierać?

- Sam zdecyduj. Miranda musi gdzieś spać.

**274**

- Miranda, tak?

Poczuła, że twarz jej płonie. Pomyślała, że najwyższy czas opuścić to ciasne, przytulne miejsce, pachnące skórą i nim. Otworzyła drzwi.

- Już powiedziałam, sam zdecyduj.

Poszedł za nią do domu. Nie było ani Amy, ani Mirandy, ale Amy zostawiła w kuchni informację, że Miranda będzie spać u koleżanki, a ona sama poszła na próbę chóru i nie wróci na noc. W lodówce czekał upieczony kurczak i butelka wina. Na koniec życzyła miłego wieczoru.

Był to z jej strony dowód sympatii, ale tak niepasujący do obecnej sytuacji, że aż krępujący.

Holt czytał nad jej ramieniem, a jego ciało niemal ją otulało. Uświadomiła sobie, że są zupełnie sami. Sami w domu, który był świadkiem radości i tragedii. Który dawał schronienie małżeństwu i rodzinie. Stabilność tego miejsca przenikała ją do głębi. Jak by to było, gdyby żyła z nim w ten sposób?

Holt cofnął się o krok, jakby czytał w jej myślach i nie chciał być częścią tego swojskiego obrazka.

- Poradzisz sobie sama?

Pozostawiła mu decyzję i najwyraźniej już ją podjął.

- Myślę, że dam radę. Skinął głową.

- Gdyby coś się działo, będę w biurze.

- Jasne.

- No to w porządku. - Zaszurał nogami, rozejrzał się dokoła. - Zadzwoń do mnie.

Położyła jedną dłoń na sercu, a drugą uniosła.

- Na pewno.

- No to w porządku.

- Już to mówiłeś.

- Tak. Jasne.

Westchnął ciężko i wyszedł tylnymi drzwiami. Gdy tylko zniknął, zrobiło jej się przykro. Nie chciała, by sam decydował. Nie, jeśli to oznaczało, że odejdzie.

Do diabła.

- Holt! - Dopadła go przy samochodzie, jeszcze nie zdążył otworzyć drzwi. Patrzył na dom, jakby również nie był pewien, czy chce odchodzić. - Nie zjem sama całego kurczaka.

## Rozdział 48

**Z** początku było sztywno i oficjalnie, choć oboje starali się, jak mogli. Holt nadal nie pasował do kuchni Amy, wyglądał jak gigant na polu maleńkich żółtych kwiatków. Ale wolał jeść w kuchni niż w jadalni, bo mógł nakrywać do stołu, podczas gdy ona podgrzewała kurczaka w mikrofalówce. Kiedy postawiła obiad na stole, przytrzymał jej krzesło.

Nie należała do nieśmiałych osób, ale nagle i niespodziewanie poczuła się onieśmielona. Gdy siedzieli w kuchni jak stare małżeństwo, miała przedsmak tego, jak mogłoby wyglądać ich życie. I nie wiedziała, czy jej to odpowiada. W jej kuchni nie byłoby nic żółtego. Ani różowego. Gdyby mogła urządzić ją po swojemu, byłaby czerwona i czarna, biała i chromowana. Jak Piękna, jej motor. Jeśli Holt sądził, że przywiąże ją do żółtych kwiatków i pieczonych kurczaków, i tych dziewczynskich drobiazgów...

Zagalopowała się. Zachowuje się jak jakaś Martha Stewart, snuje plany. Wypiła łyk wina. Holt ją obserwował. Czy wiedział, o czym myślała? Zaczerwieniła się. Poczuła to i zrobiło jej się jeszcze cieplej. Co się z nią dzieje? Nigdy się nie rumieniła.

- Czy opowiadałem ci o kocie pani Beasly?

Pytanie było tak niespodziewane, że kompletnie zapomniała o tym, nad czym się przed chwilą zastanawiała.

- Kto to jest pani Beasly?

Zaczął snuć opowieść, długą historię o swoim pierwszym dniu pracy na stanowisku szefa policji Redbud.

Zadzwoiła do niego, już nieżyjąca, pani Beasly. Była roztrzęsiona, ponieważ

jakiś zablakany kot wskoczył do jej domu przez otwarte okno. Twierdziła, że to duch jej zmarłego męża.

- Nazywała go Merl, tak miał na imię jej zmarły mąż - powiedział. Mówił dalej, naśladowując południowy akcent starszej damy: - „Szeryfie, niech pan przyjedzie i aresztuje tego kota. Nie chcę, żeby mój mąż mnie nawiedzał”. Siedzę w biurze i zastanawiam się, skąd ona wiedziała, że kot był jej mężem, czy może czasem mój tata miał z tym coś wspólnego. Chciałem też zrobić dobre wrażenie. A to wszystko pierwszego dnia. Więc jadę sprawdzić, upewniam się, że faktycznie jest jakiś kot, który ma na futrze namalowane wielkie „M”, jakby ktoś go pomazał markerem. Łapię kota i wynoszę na dwór. Czuję się jak dobry samarytanin. Kilka godzin później znowu dzwoni pani Beasly, znowu gada o swoim mężu. Jadę tam, ta sama historia. Łapię kota, wystawiam na dwór. I tak jeszcze cztery razy. Zaczynam myśleć, że coś tu nie gra w tej historii z duchem. Po piątym telefonie zmądrzałem i udaję, że odjeżdżam spod jej domu, ale skręcam tylko za narożnik, wysiadam i obserwuję. I nagle pani Beasly otwiera okno i wpuszcza kota do domu.

Edie się uśmiechnęła.

- No nareszcie - powiedział miękko. - Na to czekałem. Spojrzał jej przeciągle w oczy. I może sprawiło to wino, może wyraz jego oczu, a może kot pani Beasly. W każdym razie atmosfera zrobiła się cieplejsza.

- I co zrobiłeś?

- Wróciłem z jedzeniem dla kota. Posiedziałem chwilę. Posłuchałem opowieści o jej wnukach.

Pokręciła głową.

- Czy ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś porządnym facetem, szeryfie Drennen?

- Zatrzymała tego kota. Nazwała go Beasly. Edie odłożyła widelec.

- Teraz już zmyślasz. Podniósł dłoń.

- Czy porządni faceci kłamią?

Zesztywniała. Jego słowa znowu ostudziły atmosferę i przypomniały Edie o tym, co powiedział parę godzin wcześniej.

- Nie tak jak ja. Wydawał się zaskoczony.

- Och, Edie. Nie. Nie to chciałem powiedzieć.

Odsunął się z krzesłem, rozejrzał po kuchni, jakby któryś z kwiatków mógł wyskoczyć ze ściany i pospieszyć mu na ratunek.

Skubnęła kurczaka stygnącego na talerzu.

- Ale miałeś rację. Okłamałam cię.

- Prawda nie zawsze jest taka prosta i oczywista, jak byśmy chcieli. Chodzi o to...

- Chodzi o to, że się popieprzyło.

- Ale co?

- No ty, ja. - Machnęła dłonią. - No z nami. Popieprzyło się i tyle.

- To znaczy?

- Ty jesteś stróżem prawa, a ja pójdę do więzienia. - Odsunęła talerz. - Popieprzyło się i nie da się naprawić.

- Nie pozwól, żeby ten dupek namieszał ci w głowie.

- Kto... Lodge? Nie musi. Sama widzę, co się dzieje. Sięgnął przez stół i chwycił jej dłoń. Miał ciepłą skórę, silne palce. Byłoby miło pozostać w jego uścisku, uśpić niepokój fałszywym poczuciem bezpieczeństwa.

- Rozgryzę to - powiedział.

- Zanim cię wyrzuci czy dopiero potem? Nie odpowiedział.

- To tylko praca - odparł w końcu. Patrzyła na ich splecione palce.

- No widzisz, właśnie to miałam na myśli. Jesteś porządnym facetem i będziesz walczył do śmierci. A ja? Zdążyłam już rozbić twoją rodzinę na kawałki...

- Mój ojciec jest temu winien.

- Tylko dlatego, że się pojawiłam. I nie mam zamiaru rozwalać także twojej kariery.

Holt patrzył, jak jej ręka wyślizguje się z jego dłoni. To był powolny, prosty gest. Jej dłoń prześliznęła się po kremowym stoliku, otarła o prawie puste naczynie z kurczakiem, przemknęła między talerzami wciąż pełnymi jedzenia, serwetkami i szklankami - normalnymi rzeczami, jakie pozostają po domowym obiedzie. Ale czuł się tak, jakby coś ważnego zniknęło za horyzontem. I miało nigdy nie powrócić. A gdyby nawet wróciło, to już nie takie samo.

Odwrócił wzrok. Usta ułożyły się w wymuszony uśmiech.

- Dzięki za obiad.

- Niewiele zjadłeś.

- Tak jak ty.

Siedzieli jeszcze chwilę, a milczenie stawało się coraz bardziej krępujące i bolesne. W końcu wstał i ruszył w stronę drzwi. Nie powiedział „dobranoc”. Ani „do zobaczenia”.

## Rozdział 49

**Zanim** Holt pozbiarał się po tym całym trzęsieniu ziemi, którego doświadczył, **minęła** dobra chwila. Siedział w samochodzie, mając nadzieję, że zdarzy się kolejny cud. Ale ponieważ Edie tym razem nie wybiegła zza drzwi, żeby go zawołać, odjechał. Udał się do biura, gdzie **znalazł** liścik od Sam z informacją, że Terry podpisał zobowiązanie i został zwolniony.

No i dobrze. Holt był w tak podłym nastroju, że nie miałby siły użerać się z Terryem.

Jak zawsze, wrzucił klucze do górnej szuflady biurka. Zobaczył kopertę z imieniem Edie. Rozerwał ją. Wypadły z niej kluczyki od motoru. Nie ma od niej ucieczki, choćby nie wiem jak się starał.

Miał nieodpartą chęć kogoś kopnąć, ale ponieważ nikogo nie było, kopnął krzesło. Poszybowało w powietrze i wylądowało na

biurku Sam, zrzucając na podłogę równo ułożone dokumenty i czarny notes w skórzanej oprawie ze złotym napisem „Spotkania”.

A niech to diabli. Spojrzał na bałagan i z ciężkim westchnieniem pozbierał rzeczy Sam, wiedząc, że ułożyła je w określonym porządku, którego nie jest w stanie odtworzyć. Położył księgę spotkań na wierzchu, ale coś mu nie pasowało. To nie był notes Sam. Swój trzymała przy telefonie.

Otworzył notes i zobaczył wizytówkę Dennisa Runkle'a zatknietą za okładkę. A więc znaleźli książkę spotkań. Zastanawiał się, kiedy, u licha, Sam zamierzała mu o tym powiedzieć.

Notes był podzielony na dni, z których każdy zajmował osobną stronę. Zakładka pozostała na dniu, w którym umarł Runkle. Holt przesunął palcem w dół strony. Spotkania Runkle'a były ułożone podług adresów; to z Edie pod notatką „Dogwood 144”. Następne spotkanie dotyczyło również posiadłości we wschodniej części miasta. Na Myrtle, niedaleko od Dogwood. Pewnie dlatego Runkle ustawił je razem. Holt utkwiał wzrok w numerze domu, stukając palcem w książkę. Adres wydawał się znajomy, ale nie wiedział dlaczego.

Już miał pójść do samochodu i pojechać pod podany adres, kiedy doznał olśnienia. Przypomniał sobie, kto mieszka na Myrtle.

Terry Bishop.

Dom na Myrtle spowijała w ciemnościach upiorna aura. Jego szeroki, ostro zakończony dach wbijał się w niebo oświetlone blaskiem księżyca. Holt wszedł po schodach i zanurzył się w ciemność panującą pod łukiem z dziko rosnących krzewów, który osłaniał frontowe drzwi. Po drugiej stronie wyłonił się dom i gdyby Holt był dwadzieścia lat młodszy, zastanowiłby się dwa razy, zanim zapukałby do drzwi. Jego młodsza wersja wyobrażałaby sobie, że za tymi mrocznymi ścianami rozgrywają się sceny rodem z gotyckich horrorów. Ale Holt był dużym chłopcem i wiedział, że jedyna groza, jaka go czeka, to spotkanie z Terryem.

**280**



Drzwi otworzyła Ellen Garvey, która zerknęła na niego z zaciekawieniem.

- Szeryf! - Jej dłoń powędrowała do serca, a oczy napełniły się troską. - O, mój Boże, czyżby coś się stało?

- Szukam Terry'ego, panno Ellen.

Wyglądała niezbyt schludnie. Czerwona pomadka na ustach rozmazała się i pobrudziła skórę poza konturem warg, nadając jej wygląd klauna. Holt ogarnęło współczucie. Wydawała się słaba i wątła, a jeszcze zamartwiała się Terryem.

- Przepraszam, że panią obudziłem. Machnęła ręką lekceważąco.

- Och, nie spałam. Niech pan powie, o co chodzi. Coś się stało Terry'emu? Chyba nie jest ranny?

Holt zapewnił ją, że o ile wie, Terry'emu nic się nie stało.

- Chciałbym z nim porozmawiać.

- Właśnie miałam iść spać, ale... - Otworzyła szerzej drzwi. - Proszę, niech pan wejdzie.

Zaprowadziła go do małego saloniku. Na podłodze leżał wytarty dywan, ze ścian schodziła tapeta. Ale Terry'ego nie było.

- Proszę - powiedziała Ellen. - Niech pan usiądzie.

- Nie trzeba. To długo nie potrwa. Chciałbym tylko porozmawiać z Terryem.

- Ale go nie ma.

- A wie pani, gdzie jest?

- Chyba nie narobił sobie znowu kłopotów?

- Nie wiem, panno Ellen. Czy wspominał może, że widział się z Dennisem Runkle'em w dniu jego śmierci?

Wydawała się zaskoczona.

- A po co miałby to robić?

- Nigdy nie wymieniał tego nazwiska? - zapytał Holt.

- Nie przypominam sobie. W każdym razie aż do dnia jego śmierci. Ale wtedy wszyscy o nim gadali. - Zadrżała, ale była też wyraźnie podekscytowana. - Sprawa czarnego anioła. - Położyła palec na ustach. - Od wielu dni o niczym innym się nie mówi.

- A czy Terry kiedykolwiek wspominał, że ma jakieś informacje o fabryce Hammerbilt?  
- Mój Boże. Informacje? Jakiego rodzaju?  
- Coś... poufnego. Może kłopotliwego. Pokręciła przecząco głową.  
- Skąd ten chłopak bierze takie pomysły? - spytała płaczliwie, skubiąc obwisłe spodnie. - Przykro mi to mówić, ale mój siostrzeniec udaje ważniejszego, niż jest. To wada. Wiem. Ale na pewno nic się za tym nie kryje.  
Spojrzała na Holta błagalnie, jakby prosiła, by nie osądzał Terry'ego zbyt surowo. Holt zmarszczył brwi.  
- Wie pani, gdzie może teraz być? Znowu pokręciła głową.  
- Sądzę, że pożyczył sobie samochód. Młody człowiek musi mieć samochód - stwierdziła.  
- Niech pani na siebie uważa - poprosił z powagą. - Wiem, że Terry jest pani siostrzeńcem, ale do aniołów to on nie należy.  
- Nikt z nas nie jest aniołem - odparła sztywno.  
- Nie chciałbym, aby panią wykorzystywał - powiedział Holt.  
- Chyba pan nie myśli... - Zaśmiała się nerwowo. - Terry na pewno mnie nie skrzywdzi.  
Holt nie był tego taki pewny, ale nie chciał też przerazić starszej pani.  
- Proszę dzwonić, gdyby pani czegoś potrzebowała. Podał jej wizytówkę.  
Ellen odprowadziła go do drzwi. Oddychał głęboko nocnym powietrzem, ciepłym i przesyconym wonią zdziczałego ogrodu, ale i tak świeższym niż stęchlizna, której zapach wypełniał dom.  
Pojechał do baru Red's, ale Terry'ego tam nie zastał. Nie pokazał się przez cały wieczór. Nie było go również w Cloverleaf, a Prewitt, właściciel motelu, powiedział, że nie pojawił się od tygodnia.  
Zaintrygowany, ale nie zmartwiony, Holt oparł się o samochód, zagapił na znak „loverleaf” i wsadził rękę do kieszeni. Po-

czuł pod palcami niewielkie klucze. Wyjął je. Kluczyki od motoru Edie. Nie pamiętał, kiedy włożył je do kieszeni, ale prawdę mówiąc, niewiele pamiętał oprócz tego, że miotał się po posterunku.

Może już śpi? Na pewno nie, było tuż po dziesiątej. Będzie chciała z nim rozmawiać? Po krepującym obiedzie i po tym, jak odszedł bez słowa, pewnie nie będzie chciała go widzieć po raz drugi tego samego wieczoru. Do diabła, w ogóle nie chce go widzieć, kropka. I to dla jego dobra, rzecz jasna.

Chrzanić to.

Odjechał i po drodze bacznie obserwował ulice na wypadek, gdyby pojawił się Terry albo ktoś inny, kogo nie powinno tam być. Do domu Amy Lyle było niedaleko. Do żadnego miejsca w Redbud nie było daleko.

Wjechał na podjazd, zaparkował samochód dokładnie tam, skąd odjechał przed kilkoma godzinami. Ruszył tą samą ścieżką do drzwi, zbierając siły do tego spotkania.

Otworzyła drzwi. Na jej twarzy malowało się zdziwienie.

- Tak, wiem - powiedział. - Nie spodziewałaś się, że tak szybko mnie zobaczysz.

- Coś się stało?

- Mam coś dla ciebie.

Edie wystawiła głowę. Chciał jej dać prezent? Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Z bólem musiała przyznać, że pomimo tego, co mu powiedziała, cieszyła się, że wrócił. To głupota, jasne. Czysty idiotyzm. Ale co mogła na to poradzić, że od samego patrzenia na niego jej ciało rozpałało się niczym neon?

- Wyciągnij rękę.

- Holt...

- No dalej, wyciągnij rękę.

Podjęła zabawę. Wyciągnęła rękę, spodem dłoni ku górze. Położył na niej kluczyki od motoru.

Podniosła na niego wzrok. Wpatrywała się w jego twarz, ale nic nie wskazywało na to, aby z niej zartował.

**19 - Śmiertelny grzech**

**289**

- Poważnie?

- Poważnie.

Nie była pewna, czy to przyjąć. Oparła się o futrynę drzwi, trzymając kluczyki na otwartej dłoni, jakby się bała, że ją ugryzą.

- Będziesz miał przez to kłopoty, prawda?

- Skąd.

- Na pewno tak. No widzisz? Właśnie o to mi chodziło.

- Weźmiesz w końcu te cholerne kluczyki?

To było samolubne, ale nie mogła już opierać się dłużej. Zamknęła kluczyki w dłoni. W tej samej sekundzie chwycił dłoń Edie i pociągnął do samochodu. Ledwie zdołała zamknąć drzwi.

- Zaczekaj!

- No dalej. Chcę to mieć z głowy.

Wpakował ją do auta i zawiózł do miasta, na posterunek. Wysiedli i zaprowadził ją za róg, gdzie znajdował się nieduży parking odgradzony łańcuchem. Chwyciła łańcuch i spojrzała na motor. Stał oparty o słup, przypięty ciężkimi łańcuchami.

- Co będzie, jak ucieknę?

- Będę cię ścigał.

Uczciwa umowa, zważywszy że oboje wiedzieli, że nigdzie się nie wybiera. Serce jej waliło, czuła skurcz w żołądku. Otwieranie bramy zdawało się trwać całe wieki. Podekscytowana, podbiegła do uwięzionego harleya. Wydawało jej się, że minęła wieczność, zanim Holt odpiął łańcuchy.

Przesunęła drżącą dłonią po smukłej sylwetce. Chromowane części były zakurzone. Nacisnęła przycisk, obróciła kluczyk i odpaliła silnik. Zawarczał, odzyskując życie. Ten niski, gardłowy warkot pobudził w niej elektryczny impuls, nieopisane pragnienie, by poczuć na ciele pęd powietrza. Ale zanim zdołała odjechać, zadzwonił telefon Holta. Oddalił się, by go odebrać.

- Coś się stało? - zapytała, kiedy wrócił.

Nie mogła się doczekać, kiedy ruszy i poczuje wiatr na ramionach.

- Ktoś doniósł o włamaniu do kościoła miejskiego. Wyciągnęła z torby siedzenie dla pasażera.

- Zawiozę cię. - Nie czekała na odpowiedź, tylko zamocowała przyssawki do błotnika. - Będzie szybciej niż samochodem - dodała.

Nie oponował. Kiedy znaleźli się na skrzyżowaniu ulic East i Courthouse, klepnął ją w ramię. Zwolniła i zatrzymała się. Z tego miejsca widzieli tyły kościoła. Obok drzwi stał zaparkowany saturn.

- To samochód Ellen Garvey - powiedział Holt.

Edie zatrzymała motor. Zsiadli i przeszli na drugą stronę ulicy, instynktownie przyspieszając kroku i opuszczając głowy. Dotarli do tylnych drzwi. Holt powoli przekreślił kłamkę. Drzwi się otworzyły.

W samym kościele było ciemno, ale światło sączyło się z korytarza znajdującego się nieco dalej przed nimi.

Skierowali się w tamtą stronę. Przystanęli na rogu. Przywarli do ściany.

Holt wyrzwał zza rogu. Wziął Edie za rękę i prześliznął się na oświetlony korytarz. Jakies dwa metry dalej zauważyli otwarte drzwi. Zakradli się do nich. Holt powoli je otwierał, aż ich oczom ukazały się miotły, mopy i inne akcesoria do sprzątanania. Schowek gospodarczy.

Na środku, na odwróconym metalowym wiadrze siedział Terry Bishop i pochylał się nad tekturową teczką.

## Rozdział 50

Holt wyprostował się, położył ręce na biodrach.

- Co tam masz?

Terry podskoczył jak oparzony. Teczka upadła na podłogę, papiery się rozsypały. Edie chwyciła je, zanim Terry zdążył to zrobić.

- Co to jest? - zapytała.

Terry miał minę winowajcy. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

- Sprawozdania - sama odpowiedziała na swoje pytanie. Przerzucała kartki. - Zestawienia produkcyjne z Hammerbilt. Dienne. Tygodniowe. - Przerzuciła kolejne kartki. - Miesięczne. - Sprawdziła daty na stronach. - Spójrz na daty, 1987, 88,89. - Wymieniła z Holtem spojrzenia.

- Skąd to masz? - zapytał Holt Terry'ego. Terry'emu zrzęda mina. Holt złapał go za koszulę.

- Odpowiadaj. Skąd masz te papiery?

- Znalazłem.

- Uhm. A niby gdzie je „znalazłeś”?

Poruszył się na swoim siedzisku z wiadra i w końcu wyznał:

- U ciotki Hannah.

- Co masz na myśli? - powiedział Holt do Terry'ego. - Jak to u ciotki?

- W jej pokoju.

Holt wbił wzrok w Terry'ego. Mężczyzna unikał spojrzenia szeryfa.

- Co robiłeś w jej pokoju? - zapytał Holt. Terry nie odpowiedział.

Holt potrząsnął nim.

- Co robiłeś...?

- Już nie żyła, tak? Niczego nie potrzebowała. Miała różne broszki, naszyjniki i takie tam. A ja potrzebowałem pieniędzy. Nie mam zamiaru gnąć w tym mieście do końca życia. Mam plany.

Holt puścił go z pogardą.

- Jezu, Terry. Okradanie zmarłych.

- A papiery? - zapytała Edie.

- Były w jej szafie. Pod babskimi fatałaszkami. Kapeluszkami, butami i takimi różnymi.

- Dlaczego miałyby to chować...

- A skąd mam wiedzieć? - przerwał Terry. - Ale pomyślałem, że nie ukryłaby tego, gdyby to nie było coś ważnego.

- Niech zgadnę - odezwał się Holt. - O tym chciałeś porozmawiać z Edie w motelu?

Terry rzucił Edie spojrzenie winowajcy, wzruszył ramionami i skinął głową.

- Ale nie zniszczyłem twoich rzeczy - oświadczył.

- Tak, wiem o tym - stwierdziła Edie.

- Naprawdę? - Terry gapił się na nią tak, jak gdyby nie mieściło mu się w głowie, że ktoś mógł mu uwierzyć.

- Czy twoja ciotka Ellen o tym wie? - zapytał Holt. Terry wydawał się przerażony.

- Do diabła, nie.

Holt stukał stopą w podłogę. Obserwował Terry'ego. Miał na policzkach dwudniowy zarost, przyjął postawę obronną. Jak Ellen Garvey mogła żywić choćby cień uczucia do swojego siostrzeńca...

- Czy widziałeś się z Runkle'em w dniu jego śmierci? - zapytał Holt.

Terry zrobił się czujny na samo wspomnienie zmarłego agenta nieruchomości.

- Jasne, że nie.

- Gdzie byłeś tamtego popołudnia? Spojrzenie Terry'ego krążyło po pokoju.

- Pracowałem w motelu. Niech pan zadzwoni do Prewitta. Potwierdzi to. Poprosiłem o zaliczkę, a ten drań mi jej nie dał.

Holt ściągnął usta.

- Runkle zapisał twój adres w swoim notesie. Po co, Terry? Jesteś pewien, że nie umówiłeś się z nim na spotkanie?

- Do diabła, całkowicie pewien. Ja w ogóle z nikim się nie spotykam. Nie wiem, dlaczego zapisał mój adres. Może spotkał się z ciotką Ellen. Mówiła, że chce sprzedać dom. Może wtedy spotkał się z nią. Pytał ją pan?

- Rozmawiałem z nią. Nic o tym nie wspominała - powiedział oschle Holt.

- No nie wiem, nie wiem!

Rzucił Holtowi kolejne wyzywające spojrzenie.

- To zabawne, że wciąż gdzieś wypływa twoje imię - stwierdził Holt. - Najpierw w związku z pastorem. Teraz z Runkle'em.

- Nie miałem z tym nic wspólnego. Przysięgam! - Zerwał się na równe nogi. - Mogę już iść?

Holt wyciągnął rękę i kiwnął palcami.

- Daj mi klucze od kościoła.

- Ale jutro będą mi potrzebne. Mam odkurzać z samego rana.

- Wpadnij po nie na posterunek. I potem je oddaj.

Terry wydawał się poirytowany, ale sięgnął do kieszeni i rzucił klucze na dłoń Holta.

- A co z moimi papierami?

- To nie są twoje papiery, prawda? - rzekł Holt. - To własność Hammerbilt.

- Ale...

- Spadaj, zanim cię aresztuję.

- Za co?

- Coś wymyślę.

Terry rzucił Holtowi wyzywające spojrzenie, ale szeryf zrobił krok w jego kierunku i Terry umknął za drzwi.

- Dlaczego Hannah Garvey to zrobiła? - spytała Edie.

- Może ich nie ukryła. Tylko po prostu przechowywała. Nie wiemy, jak było naprawdę, a Terry'emu nie można wierzyć.

- Ale po co je przechowywała? Po co je w ogóle zabrała?

- Kto wie? Kiedy mój ojciec przechodził na emeryturę, przy-targał do domu mnóstwo śmieci. Większość z tych rzeczy nadal leży w pudłach w garażu.

Na wspomnienie Jamesa wrócili do rzeczywistości. Edie odwiozła Holta do budynku urzędu miejskiego, gdzie zamknął teczkę w stalowej szufladzie.

- Rozmawiałam z głównym księgowym Hammerbilt - powiedziała Edie. - Może on będzie w stanie stwierdzić, co to za sprawozdania.

Napisała nazwisko Arlena Mayborne'a na skrawku papieru i podała Holtowi, który obiecał, że rano zadzwoni do fabryki.

Nie pozostawało nic innego, jak wrócić do domu. Patrzyli na siebie przez pokój, a na ich twarzach malowało się to samo pytanie.



Holt podszedł do Edie.

- Edie...

Zrobiła krok w tył.

- Dzięki za motor. Podszedł bliżej.

- Zabierz mnie na przejażdżkę. Cofnęła się.

- Nie dzisiaj.

- Nie chcesz chyba, żebym tu spał, prawda?

- Jeśli pojedziesz ze mną do domu, wiesz, jak to się skończy. Zbliżył się.

- Brzmi nieźle. Oparła się o ścianę.

- Tak, tylko dlatego, że masz jakieś dziwaczne skłonności samobójcze.

Znalazła się w pułapce. Odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy. Pochylił głowę, a jego usta zaczęły się niebezpiecznie zbliżać. Z jękiem dała nura pod jego ramię. I szybko uciekła.

- Przestań. Jeśli sam nie potrafisz o siebie zadbać, ja to zrobię. I wybiegła za drzwi.

- Dzięki, mam - zawołał za nią, ale nie ruszył się z miejsca. Wybiegła na dwór, uruchomiła motor i odjechała jak najszybciej, żeby przypadkiem nie zmienić zdania.

Kiedy obudziła się następnego ranka w domu Amy Lyle, myślała o Holcie. Leżała w łóżku, nie otwierając oczu i wyobrażając sobie jego postać. Poranne światło przenikało przez zamknięte powieki, a ona starała się utrwalić w pamięci jego obraz, aby mogła go przywołać, gdy będzie daleko i zacznie tęsknić.

Widmo więzienia wisiało nad nią jak nadciągająca burza. Taka, która sprawia, że chmury suną po niebie przez wiele godzin, nim spadnie z nich deszcz. Postępowała właściwie, zachowując dystans. Ale tak przyjemnie byłoby obudzić się rano przy jego boku.

Ubrała się, zaparzyła kawę i wypila ją w kuchni Amy Lyle. Liścik, który zostawiła kobieta, ciągle leżał na szafce.

Edie wzięła

go do ręki. Zadzwoiła na komórkę Amy, a ponieważ ta nie odebrała, zostawiła jej wiadomość z podziękowaniem. „Dzisiaj ja przygotuję obiad, daj mi znać, o której”.

Rozłączyła się i wyszła na dwór obejrzeć motor. Pomimo złego traktowania wyglądał nieźle. Żadnych uszkodzeń, prawdziwych czy wyimaginowanych. Edie podjechała do warsztatu Myera, kupiła niezbędne rzeczy i spędziła cały ranek, ścierając kurz, polerując chromowane części i przywracając Pięknej połysk. Zrobiła przerwę na lunch, zjadła resztki kurczaka, a potem wsiadła na motor i ruszyła w drogę.

Czuła pod sobą moc maszyny, a gorące letnie powietrze owiewało jej twarz i piersi. Rozgrzewało płuca, dodawało energii. Ryk motoru i prędkość przywróciły jej siłę. Mogłaby tak spędzić całe życie, zawsze w drodze, wybierając nowe miejsca przeznaczenia, coraz szybciej i coraz dalej. Słońce było wysoko, niebo cudownie błękitne, a droga kusiała.

Holta obudził dźwięk telefonu. W oczach czuł piasek, a kiedy przejrzał się w lustrze nad umywalką, zobaczył zmęczoną twarz z cieniem zarostu. Ochlapał się zimną wodą i wyruszył do Ber-ding. Spod samochodu wyszedł ten sam mechanik.

- Przywieźliśmy go na holu - powiedział, wskazując na czarnego pikapa zaparkowanego pod ścianą warsztatu. -

Rano mieliśmy telefon. Stanowy patrol znalazł porzucony wóz. Pomyślałem, że może to pana zainteresuje.

To było mało powiedziane. Pikap był duży, czarny, a cały przód miał rozwalony i wgnieciony.

- Otwierałeś go? - zapytał mechanik.

- Nie, proszę pana - odparł mężczyzna. - Niczego nie dotykałem, oprócz tego, co było konieczne, żeby go przyholować.

Podziękował mechanikowi, wyjął z samochodu lateksowe rękawiczki, włożył je i otworzył drzwi po stronie kierowcy.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się Holtowi w oczy, były rdzawe plamy na podłodze przy siedzeniu kierowcy. Krew? Miał nadzieję, że tak. Wrócił do swojego wozu po akcesoria do zabezpiecze-

nia dowodów, a następnie pobrał próbki. Obudził Sam, podał jej numery rejestracyjne i polecił, by pojechała do biura i namierzyła auto. Czekając, aż oddzwoni, obejrzał wnętrze pikapa, używając małej latarki o intensywnym świetle. Siła uderzenia wyłamała zamknięcie skrytki. Była pusta. Ale udało mu się pobrać dobre odciski palców z deski rozdzielczej. Przejechał światłem latarki po siedzeniach, szukając obcych włókien i uszkodzeń tapicerki. Sprawdzał, czy nie ma zgrubień lub innych niezwykłych kształtów. Niczego nie znalazł ani z przodu, ani z tyłu.

Kiedy skończył oglądać wnętrze i otworzył maskę, zadzwoniła Sam.

- Zgłoszono kradzież tego samochodu.

- Gdzie?

- W Memphis.

Serce zaczęło mu szybciej bić. Miał nadal mnóstwo znajomych w Memphis.

- Mam to zbadać?

- Nie, sam się tym zajmę.

Zachnęła się z irytacją, ale na razie nie był w stanie bardziej jej zaufać.

- Widziałem, że znalazł się notes Runkle'a. Miło, że mi powiedziałaś.

- Zdobyliśmy go dopiero wczoraj wieczorem - zaprotestowała. - Miałam zamiar powiedzieć ci o tym rano.

Wstrzymał się od komentarza. Nie wiedział, czy może jej wierzyć. Westchnęła i powiedziała:

- Osłaniaj tyły, szefie.

Jasne. Wiedziała, co mówi. Gdyby osłaniał tyły, to nie wbiłaby mu noża w plecy. Ale wyczuwał żal w jej głosie i wiedział, że któregoś dnia w końcu przyzna się do błędu. A na razie, nadal jej potrzebował.

Dlatego nic więcej nie powiedział. Spojrzał na zabezpieczony materiał dowodowy. Pytania kłębiły się w jego głowie. Ruszył do samochodu. Im szybciej zawiezie próbki do zbadania, tym szybciej pozna odpowiedź.

## Rozdział 51

**Edie** mknęła szosą, pokonując zakręty krajowej drogi. Miejscami lasy wcinały się w zaorane pola. Na łąkach pasły się duże czarne krowy angus, a ich spokój i zadowolenie kontrastowały z ożywieniem dziewczyny. Od czasu do czasu mijala jakiś dom. Stodoły, pikapy, konie.

Wszystko przytwierdzone mocno do ziemi, nad którą śmigiała.

Redbud ginęło w kurzu, który zostawiała za sobą. Postanowiła przejechać tyle, na ile wystarczy benzyny, i dopiero potem zawrócić. Wdychając gorące powietrze, które na nią napierało, naśmiewała się w duchu ze skautowskich upodobań, które właśnie w sobie odkryła. Mogłaby po prostu jechać przed siebie. Ufarbo-wać włosy, zmienić imię. Uciec.

Uśmiechnęła się do siebie. Holt miał na nią zły wpływ. On i te jego roześmiane zielone oczy. Jego córka, jego rodzice, jego własne, głębokie korzenie.

Sposobem na życie Swanfordów była ucieczka. Ale przyjechała do Redbud, by rzucić wyzwanie tej tradycji. By stanąć do walki.

Nie wiedziała jednak, że będzie to walka na śmierć i życie.

Patrzyła, jak droga ucieka spod kół, i czuła pokusę, by się rozpuścić. Uniknąć konsekwencji. Kolczastych drutów, państwowego wiktów i dzieciennych stolików. Wymuszonego ograniczenia przestrzeni, jakim było więzienie. Chciała pozostać wolna i mknąć drogą.

W tym momencie usłyszała syrenę, zerknęła do lusterka. Błękitne światła szybko się do niej zbliżały.

Zjechała na pobocze. Z samochodu wysiadł agent Lodge. Podszedł do niej.

- Odwróć się - rozkazał bez wstępów i uprzejmości.

Edie podporządkowała się posłusznie i jęknęła, kiedy poczuła na nadgarstkach kajdanki.

- A to za co?

- Kradzież motoru i oddalenie się. Mogę za to uzyskać cofnięcie kaucji.

Przeszukał ją, zabrał portfel, klucze i telefon.

- Nie ukradłam motoru. Pojechałam tylko na przejażdżkę.

- Uhm.

Pociągnął ją w stronę wozu.

- Moment. A co z moim motorem?

- Przyślę kogoś, kto go odholuje.

Super. A tymczasem stanie się łupem dla każdego, kto się napatoczy.

- Zadzwoń do Holta. Potwierdzi, że nie ukradłam motoru.

- Do Holta? - burknął Lodge. - Chyba do szeryfa Drennena. Skacze tak, jak mu zagrasz, więc powie, co zechcesz.

- Mówię ci, że nie...

- Lepiej żebyś kłamała, bo jeśli dowiem się, że szeryf Dren-nen oddał ci motor, to oskarżę go o pomoc w ucieczce. -

Wepchnął ją na tylne siedzenie samochodu. - A teraz zamknij się i siedź spokojnie. Jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo, to do wszystkich innych zarzutów dołożę stawianie oporu.

Kopnęła tył fotela kierowcy ze złością i frustracją, po czym opadła na siedzenie. Co za dumny syn wioskowego głupka, przekłete kurze łajno, kutas i głupek. Ale nie powiedziała tego na głos.

Zdenerwowała się tym, co powiedział o Holcie. Pomimo jej dobrych intencji zawsze kończyło się tak samo - jego życie było w jej rękach.

Kiedy dotarli do Redbud, Lodge wywlókł ją z samochodu i popychając, poprowadził do budynku rady miejskiej, koło gabinetu burmistrza i wreszcie do drzwi posterunku policji.

W biurze siedziała Fish, która, widząc Edie, zerwała się na równe nogi. Błysk zdumienia szybko pokryła zawodową obojętnością.

Lodge rzucił Sam klucze.

- Zamknij ją - poleciał.

Sam była wzorowo posłuszna, jak zwykle. Zaprowadziła ją do aresztu. Gdy tylko zostały same, Edie przystanęła.

- Zadzwoń do Holta - wyszeptała. Sam przewróciła oczami.

- Lepiej, żeby trzymał się od ciebie z daleka. Popchnęła Edie, ale ta zapała się obcasami.

- Zrób to. Powiedz mu, żeby nie mówił Lodge'owi, że sam oddał mi motor.

Sam uniosła brwi.

- Lodge będzie go o to pytał, tak? I masz powiedzieć Hol-towi, żeby się nie przyznawał. Lodge groził, że go oskarży, jeśli okaże się, że to prawda.

Sam zmarszczyła brwi.

- Ale przecież on oddał ci ten motor, tak?

- No tak, ale nie o to chodzi. Powiedz mu, żeby nie...

- A ty dostaniesz w tyłek za to, że go ukradłaś?

- Ja już i tak mam kłopoty. Mniej czy więcej, co za różnica? Sam zerknęła na nią. Wskazała głową, żeby weszła do celi. Edie się nie opierała.

- Zadzwonisz do niego?

Sam zamknęła stalowe drzwi na klucz. Edie chwyciła się prętów.

- Zrobisz to? Sam odeszła.

- Poczekaj. Sam! Zadzwoń do niego! Zadzwoń!

Sam zniknęła za drzwiami, a Edie została sama w celi.

Sam wróciła do biura, w którym Lodge rezydował za biurkiem Holta. Rzadko widywała Holta, odkąd rozgościł się tu Lodge, i tęskniła za nim. A szczególnie za zaufaniem, jakim się obdarzali. Niech diabli porwą tę kobietę. Odkąd przyjechała do miasta, życie wszystkich zamieniło się w kubeł pomyj. Brudnych, rozmokłych i śmierdzących.

Jednakże Sam doceniała poświęcenie, a Edie ofiarowała samą siebie jak na tacy. Sam spojrzała na Lodge'a, który wyglądał oficjalnie i nienagannie. Siedział dumny jak paw. Była pewna, że

jest zadowolony, iż udało mu się znowu zapuszkować Edie. No cóż, przynajmniej w tym jednym punkcie się zgadzali. A jednak.

Może ta Edie Swann nie była taka zła. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła Sam, było dawanie Lodge'owi do ręki broni, której mógłby użyć przeciwko Holtowi.

Cud nad cudy. Zdaje się, że ona i Edie miały jednak ze sobą coś wspólnego.

Holt pojechał do siedziby policji stanowej, żeby oddać próbki i odciski palców, które pobrał z pikapa. Hrabstwo miało swojego koronera, ale nie zatrudniało innego personelu, więc kiedy zachodziła taka potrzeba, korzystał z pomocy policji stanowej. Poprosił, żeby się z tym pospieszyli. Obiecali, że się postarają, ale zawsze dużo obiecywali, a rzeczywistość wyglądała inaczej. Kto wie, ile czasu zajmie im ustalenie tożsamości osoby, która prowadziła samochód. I czy w ogóle będzie to możliwe.

Kiedy wszystko pozałatwiał, było po dwunastej. I właśnie wtedy zadzwoniła Sam i powiedziała mu o Edie. Zaklął pod nosem, a potem polecił Sam, aby ją wypuściła.

- Sądzę, że to nie jest dobry pomysł, szefie.

- Nie pytam cię o zdanie.

- Co mam powiedzieć Lodge'owi?

- Nic. Zniknij mu z oczu. Jedź na patrol. A jeszcze lepiej, sprawdź to miejsce, gdzie znaleźli porzuconego pikapa.

Znajdź jakiś cień dowodów. Cokolwiek. Ja się zajmę Lodge'em.

- Albo on się zajmie tobą - burknęła Sam.

Edie zerwała się na równe nogi, kiedy Sam weszła do aresztu.

- Powiedziałaś mu?

- Powiedziałam - odparła Sam.

- Ico?

Otworzyła drzwi.

- Możesz iść.

- Co?

**301**

- Jesteś wolna...
- Słyszałam. Ale dlaczego? Sam zmarszczyła brwi.
- Przyjaciele są tam, gdzie trzeba. Żadna z nich nie potrzebowała konkretów.
- Coś mu za to grozi? - spytała Edie.
- Nie mnie oceniać. Mam cię wypuścić, i tyle.
- Nie jesteś szczęśliwa z tego powodu, co?
- Nie mnie oceniać. - Pokręciła głową z dezaprobatą, co wyrażało więcej niż słowa. - No dalej. Bo Lodge może wrócić.
- Na pewno nie podwiesz mnie do motoru?
- Na pewno nie - odparła Sam.

Odprowadziła Edie do biura, rzuciła na biurko jej rzeczy. Wyszła razem z nią z biura i z budynku. Wsiadła do swojego auta i odjechała na południe.

No, no, no. Sam Fish. Kto by pomyślał?

Kiwając głową i rozmyślając nad kapryśną kobiecą naturą, Edie ruszyła w przeciwnym kierunku, do warsztatu.

- Hej, Andy!

Edie zajrzała do warsztatu, szukając mechanika. Wydawało się, że nikogo nie ma, ale odpowiedział jej jakiś głos:

- Kto go szuka?

Edie weszła do środka, obeszła camaro i zobaczyła Burketta leżącego pod samochodem. Pochyliła się nad nim.

- Czy kilka godzin temu prosili cię o odholowanie pojazdu?

Andy wysunął się spod samochodu. Zobaczył Edie.

- Chodziło o twój motor, na szosie numer sześć?

- Już go przyholowałeś?

- Nie. Najpierw muszę się zająć tym. - Skinął głową w stronę chevroleta. - Coś się zepsuło w twoim harleyu?

- Nękanie przez policję - powiedziała, a ponieważ Andy nic nie rozumiał, dodała: - Nieważne. Słuchaj, czy mogę się tam jakoś dostać?

- Nie potrzebujesz holowania?



- Muszę się tam dostać. Ale jeśli o mnie chodzi, to możesz wykasować Lodge'a za holowanie.

Andy zastanawiał się chwilę. Wytarł ręce w zatłuszczoną szmatę.

- Daj mi dziesięć minut.

Czekając na niego, spróbowała jeszcze raz złapać Amy. Jeśli sprawy będą dalej toczyły się w ten sposób, to z obiadu nici. Edie zadzwoniła do domu i na komórkę, ale nikt nie odbierał, więc zostawiła wiadomości z przeprosinami na obu telefonach.

Czekała na Andy'ego dwadzieścia minut zamiast dziesięciu i kiedy w końcu dotarła do harleya, dochodziła piętnasta. Podziękowała Andy'emu za podwiezienie i ruszyła na południe. W Thompsonville znajdował się supermarket. Nie było jeszcze za późno, żeby zjeść razem obiad, nawet jeśli będzie to tylko spaghetti i sos ze słoika. Kupiła też składniki na sałatkę i butelkę z dressingiem. I jakiś chleb czosnkowy. Nie była dobrą kucharką. Miała nadzieję, że Amy doceni jej gest, nawet jeśli jedzenie będzie ze sklepu.

Zapakowała zakupy do toreb przy motorze i ruszyła z powrotem do miasta. Zastanawiała się, ile przekleństw wyrzucił z siebie Lodge, kiedy odkrył, że jej nie ma. Miała nadzieję, że Holta nie było wtedy w pobliżu.

Kiedy zbliżała się do centrum Redbud, zadzwonił jej telefon. Ku swojemu zdumieniu, usłyszała Ellen Garvey.

Starsza kobieta prosiła, żeby do niej wpadła.

Edie pomyślała o przygotowaniach do obiadu, nie chciała rozczarować Amy.

- Mogę przyjechać później. Po obiedzie. Albo jutro. Zakładając, że znowu jej nie zapuszczają.

- Och, moja droga. - Ellen wydawała się zmartwiona. - Chodzi o Terry'ego.

Serce Edie zabiło mocniej.

- Coś się stało?

- Boję się, że... - W głosie starszej kobiety słychać było wahanie. Czy Terry coś zrobił? Skrzywdził ją?

- Zaraz tam będę - powiedziała Edie.

Popędziła na motorze na Myrtle Street i podjechała długą, krętą alejką na tyły domu. Zostawiła motor. Zapukała do tylnych drzwi. Podobnie jak frontowe były zasłonięte przerośniętymi drzewami i krzewami. Trzeba by miesięcy pracy i maczety, żeby to wykarczować.

Ellen podeszła po kilku minutach. Edie niecierpliwie przebierała nogami, wyobrażając sobie wszelkie możliwe sytuacje. Ale kiedy starsza kobieta otworzyła drzwi, wyglądała raczej normalnie. Pomadka rozmazała się na jej twarzy. Miała na sobie inną sukienkę niż wtedy, ale też o dziewczęcym kroju, tym razem z poduszkami na ramionach. Nie było śladu sińców.

Skrzywiła się lekko i spojrzała na Edie z pewnym rozczarowaniem.

- Och, moja droga. Nie musiałaś podjeżdżać od tyłu jak komiwojażer.

Edie ulżyło, że zastała starszą panią w dobrej formie, więc tylko się uśmiechnęła. Wiele osób w Redbud miało o niej znacznie gorsze zdanie.

- Nie chciałam zostawiać motoru na ulicy.

Ruszyła za Ellen brudnym korytarzem do kuchni. Nie zauważyła niczego niezwykłego. Zdziwiona, odezwała się:

- Nic pani nie jest? Terry nic pani nie zrobił, prawda?

- O, nie. Nic z tych rzeczy - uśmiechnęła się promiennie.

- Naprawdę? Myślałam, że...

- Muszę ci coś pokazać.

Ellen wzięła Edie za rękę i poprowadziła obok pokoju, w którym jadły lunch, do małego saloniku.

Pierwszą rzeczą, jaką Edie dostrzegła, był Terry śpiący na staromodnej sofie, z rękoma złożonymi na sercu, jak do trumny. Ale nawet nie zdążyła się zdziwić, bo jej spojrzenie pobiegło na środek pokoju, gdzie rozgrywała się niezwykła scena.

Okrągły stół był nakryty śnieżnobiałym obrusem, a na nim stał filigranowy serwis do herbaty. Połyskiwały złożone brzegi filiżanek i spodeczków. Malutkie uszka filiżanek sprawiały wrażenie,

że rozpadną się przy najlżejszym podmuchu. Obok dzbanka stał prześliczny miecznik i cukierniczka z miniaturowymi szczypczykami do kostek cukru. Na kilkupoziomym talerzu leżały maleńkie ciasteczka, polukrowane ładnie na różowo, jasnozielono i żółto, i kanapeczki bez skórek, powycinane w serduszka i gwiazdki. To była bajkowa sceneria - z innego czasu, z innego świata. A przy stole, ubrana w zwiewną bluzkę, która mogła kiedyś należeć do jej praprababci, siedziała Miranda i patrzyła zachwyconym wzrokiem.

## Rozdział 52

Mogę już wziąć różowe? - zapytała Miranda. Była wciśnięta za stół, uwieczona w ciężkim krześle. - Powiedziałaś, że będę mogła, jak tu przyjedzie.

- Cicho, dziecko - uciszyła ją Ellen. - Podoba ci się?

Edie zamrugła. Nie wiedziała, co powiedzieć. Co robiła tutaj Miranda? I dlaczego Terry spał?

- U... urocze.

Ellen westchnęła uszczęśliwiona.

- Już tak dawno nie przyjmowałam gości.

- Bardzo... masz bardzo ładną bluzkę, Mirando - pochwaliła Edie.

- Ciocia Ellen mi ją dała. - Dziewczynka wierciła się i wodziła wzrokiem od Edie do Ellen, jakby wyczuwając coś, czego nie była w stanie zrozumieć.

- Ciocia Ellen?

Edie nie sądziła, aby Drennenów łączyło jakieś pokrewieństwo z Garveyami. Gdyby tak było, Holt by jej o tym powiedział.

- Pożyczyłam ci ją, kochanie - powiedziała Ellen do Mirandy. - Żebyś się ubrała na przyjęcie. Nie możesz być na przyjęciu w tych okropnych krótkich spodenkach.

**20 - Śmiertelny grzech**

**305**

Miranda nie miała humoru i kręciła się w krześle.

- Jestem głodna.

- Cierpliwości - uspokajała ją Ellen. - Wszystkie damy muszą nauczyć się cierpliwości. Bóg jeden wie, że ja też musiałam.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytała Edie Mirandę. Miranda spojrzała na Ellen.

- Tatuś był zajęty. A nie wiem, gdzie babunia i dziadziuś. Ciocia Ellen powiedziała, że zrobimy przyjęcie.

Ellen odsunęła krzesło dla Edie.

- Proszę, moja droga, usiądź.

Ale Edie wyczuwała w pokoju jakieś złe prądy. Oczy Ellen błyszczały jak w chorobie, a Miranda... Co tu robiła córka Holta?

- Przez telefon wspomniała pani o Terrym. Ellen westchnęła.

- Tak, mój biedny siostrzeniec stał się problemem. Zdaje się, że znalazł jakieś papiery i przekazał je policji. Ściągał na nas uwagę, sama rozumiesz - uśmiechnęła się Ellen. - On uwielbia słodczyce. Wprost objada się nimi. Chyba zjadł coś, co mu zaszkodziło.

Edie przełknęła ślinę. Dlaczego to brzmiało... złowieszczo? Cokolwiek się tu działo, miała złe przeczucia.

- To bardzo miło z pani strony, panno Ellen. Ale na Mirandę już czas. Nie może jeść słodczy przed obiadem.

Edie ruszyła w stronę dziewczynki, ale Ellen była szybsza i zagroziła jej drogę. Starsza kobieta pochylała się nad krzesłem, na którym siedziało dziecko. Ściągnęła usta z niezadowoleniem.

- Ale zadałam sobie tyle trudu. To tylko maleńkie ciasteczka. Na pewno jedno czy dwa nie zaszkodzą. No, może chociaż troszkę - dodała z chytrym wyrazem twarzy. - Ona bardzo by chciała zjeść chociaż jedno, prawda, kochanie? Miranda energicznie skinęła głową.

- To różowe.

Sięgnęła ręką do talerza z ciasteczkami.

- Nie jedz! - krzyknęła Edie, nie wiedząc dlaczego.

Miranda zamarła, a Ellen opuściła jej wyciągniętą rękę.

- Mądra dziewczynka - powiedziała do Mirandy. - Goście mają pierwszeństwo.

I spojrzała ostro na krzesło, które odsunęła dla Edie. Edie zawahała się, nie docierało do niej, co się dzieje. Czy uprzejma, delikatna Ellen Garvey zagrażała Mirandzie?

- Siadaj - rozkazała, a jej głos nie był ani uprzejmy, ani delikatny.

Dreszcz niepokoju przebiegł Edie po plecach, ale posłusznie usiadła. Na pewno błędnie to wszystko interpretowała, a poza tym nie chciała przestraszyć Mirandy.

- Napijesz się herbaty? - zapytała Ellen z uśmiechem. Podniosła dzbanek i naląła gorący brązowy napój do delikatnych filiżanek. Trzymając srebrne szczypce nad filigranową cukiernicą, zapytała: - Jedna kostka czy dwie? - Ellen wpatrywała się z oczekiwaniem w Edie, która nie wykonała żadnego gestu, żeby podnieść filiżankę. - Czy wiesz, że Dennis wrzucił trzy kostki do herbaty? Zawsze sobie trochę folgował. Już jako chłopiec. Wiesz, że chodziliśmy razem do szkoły? Po co się żenił z tymi ładnymi, skoro mógł wybrać przyzwoitą kobietę w swoim wieku? Czy mówiłam ci, że miałam konkurenta? Alvin chciał się ze mną ożenić, ale nie mogłam zostawić matki. Na wzmiankę o Dennisie Runkle'u Edie przeniosła wzrok z filiżanki na Ellen. Oczy starszej kobiety pały wrogością.

- Dennis? Dennis Runkle? Częstowała go pani herbatą? Kiedy?

- Och, kiedy przyszedł porozmawiać o sprzedaży domu. - Ellen rozejrzała się wokół siebie z niechęcią. - Już nie mogę się doczekać, kiedy pozbędę się tego zatęchłego, okropnego domostwa. Dennis obiecał, że znajdzie mi ładne i całkiem nowe mieszkanie. Byłoby wspaniałe, prawda? Miło sobie gawędziliśmy przy herbacie i pysznych cytrynowych ciasteczkach. Wyobraź sobie, że Dennis zjadł cztery. Oczywiście, zadbałam o to, aby zmielić orzeszki. Gdybyś nie wiedziała, że tam są, to nic byś nie zauważyła. - Westchnęła z radością. - Powiedział, że są wyśmienite.

**301**

Edie przeszył zimny dreszcz. Żołądek skręcił jej się ze strachu. Z trudem pojmowała, co mówiła starsza kobieta. To nie mogła być prawda. Nie mogła.

A jednak jeśli Ellen była odpowiedzialna za śmierć Runkiem...

Niespodziewanie przed oczami Edie ukazała się ścieżka. Niekończąca się droga pod błękitnym niebem, sposób wyjścia z kłopotów, w które się zaplątała. Pod warunkiem że starsza pani mówiła prawdę, a nie była to schizofreniczna opowieść. To, o czym opowiadała, było prawdopodobnie wytworem chorego umysłu, ale Edie musiała się upewnić.

- Czy pani... - Obliznęła wargi. Dlaczego były takie suche? - Czy pani przygotowała również coś dla pastora?

Ellen uśmiechnęła się z dziwnym błyskiem w oczach.

- Och, nie musiałam. Ten tłusty głupiec sam się podłożył. Chciał naprawić odpływ. To było tak, jakby przemówił do mnie Bóg. Dał mi okazję, pomysł. Czy Bóg kiedyś do ciebie przemówił? To nie jest przyjemne, nie przypomina herbatki. Jest w tym lęk i wszechmoc. - Zamilkła. Przez jej ciało przebiegło drżenie.

- To tak, jakby mężczyzna dotykał mnie we wszystkie sekretne miejsca. Potężne uczucie. I podniecające. A kuchnia kościelna była o parę kroków. Gofrownica pod ręką. Nie musiałam się specjalnie wysilać.

Słowa Ellen z trudem docierały do Edie. Czy ktokolwiek w to uwierzy? Słyszała to na własne uszy i nie była w stanie pojąć.

- Miała pani... szczęście.

- O, nie, moja droga - powiedziała surowo Ellen. - Szczęście nie miało z tym nic wspólnego. No, może mi sprzyjało z panem Butene. Wtedy miałam szczęście.

To nazwisko było jak kolejny cios, ale jeśli nawet starsza pani zauważyła przerażenie Edie, to się tym nie przejęła.

- Może nazywam go zbyt oficjalnie? - Zmarszczyła brwi.

- Pewnie nie wiesz, że był moim ojcem. Oczywiście, skąd miałabyś wiedzieć. Matka trzymała to w tajemnicy, nawet przede

mną. Ale kiedy umarła, przestały wpływać pieniądze. Dlaczego Alan Butene miałby wypłacać matce co miesiąc pewną kwotę? Tylko z mojego powodu. Oczywiście, wszystkiemu zaprzeczył. Wyśmiał mnie. Wyobrażasz sobie? - Dyszała ze złości. - Jestem pewna, że ty też byś się rozzłościła. Potrzebowałam pieniędzy, żeby zacząć nowe życie. Skąd miałam wiedzieć, że drabina się przewróci, jeśli nią mocno potrząsnę? Edie stłumiła okrzyk.

- Gdybyś nie wystraszyła biednego Freda Lyle'a na śmierć, to pewnie nic by się w moim życiu nie zmieniło.

Siedziałabym tu stara, niekochana, niechciana przez nikogo - stwierdziła Ellen. - Ale ty podsunęłaś mi pomysł.

Edie znowu poczuła skurcz w żołądku. Gdyby mogła, powiesiłaby się za to, że w ogóle przyszło jej do głowy, żeby przyjechać do Redbud.

Ale poczucie winy nie miało teraz znaczenia. Liczyło się ujawnienie prawdy. I wydostanie się z pułapki, w którą sama się wpakowała. I dostarczenie Mirandy do domu całej i zdrowej.

- Czy wiedziałaś, że anioły są posłańcami Boga? - paplała dalej Ellen, a Edie w tym czasie obrzuciła wzrokiem pokój, próbując przypomnieć sobie rozkład domu i szukając najszybszej drogi ucieczki. - Twoje czarne anioły były moimi posłańcami. Bóg chciał, żeby zapłacili za to, że zostawili mnie na stracenie w tym potwornym domu. Matka urobiła sobie ręce po łokcie, pracując dla tych mężczyzn. A kiedy zachorowała, nic ich to nie obchodziło. Czy chociaż raz przyszli ją odwiedzić? Po co robić sobie kłopot. Przecież Ellen się nią opiekowała. Ellen może zostać. Ellen może porzucić wszelkie myśli o własnym szczęściu. College, mąż, dzieci. Ellen da radę. Zawsze Ellen. Ellen, Ellen, Ellen. Cieszyłam się, kiedy umarła. Cieszyłam się! - W jej głosie brzmiała triumfalna złość. Po chwili rozpogodziła się. - No dobrze, ciasteczko czy kanapka?

Edie przełknęła ślinę. W saloniku było dwoje drzwi. Czy kuchnia znajdowała się po prawej, czy po lewej?

- Nie jestem głodna.

- Oczywiście, że jesteś - Ellen wskazała palcem na talerz. - Nie możesz się kręcić po okolicy i twierdzić, że tego nie zrobiłaś. - Wyciągnęła rękę i przykryła dłoń Edie. - Moje biedactwo, wiem, że jest ci przykro. Mój Boże, nikt się nawet nie zdziwi, jeśli wybierzesz łatwe rozwiązanie.

Oszłomiona tymi słowami Edie wpatrywała się w starszą kobietę z niedowierzaniem. Ellen westchnęła.

- Miranda coś zje, prawda, kochanie?

Wolną ręką wzięła z talerza maleńkie różowe ciasteczko i podała je dziecku.

I w tym momencie Edie zrozumiała, do czego Ellen była potrzebna Miranda. Z łomoczącym serce Edie próbowała wyrwać ciasteczko, ale Ellen wcisnęła je do rączki Mirandy i ciągnęła jej dłoń do ust. Miranda wrzeszczała, a Edie zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła zrobić. Zerwała się i próbowała chwycić córkę Holta.

Ale Ellen była szybsza i zwinniejsza, niż Edie się wydawało. A poza tym znajdowała się bliżej. Szarpnęła krzesło, na którym siedziała dziewczynka. Przewróciło się na podłogę, ale Ellen zdążyła chwycić Mirandę.

- A teraz - powiedziała pieszczotliwie, trzymając dziecko w mocnym uścisku - pobawimy się troszkę i zjemy dużo różowych ciasteczek, prawda?

Miranda krzyknęła ze strachu, a Edie patrzyła z przerażeniem, jak Ellen oddała się kołyszącym krokiem, z dzieckiem w ramionach. A ciasteczko i to, co w nim było, znajdowało się tuż przy buzi dziewczynki.

- Poczekaj! - krzyknęła Edie. - Poczekaj! Ellen stanęła. Odwróciła się do Edie.

- Tak?

Edie mogła ją dogonić. Przewrócić starszą kobietę na ziemię, chwycić Mirandę i uciec. Ale czy... czy to coś nie znajdzie się w buzi dziewczynki, zanim Edie do niej podbiegnie? Wystarczyłoby pół sekundy, aby wcisnąć jej to do buzi. A jeśli w ciastku coś było, o, Boże, jakaś okropna trucizna... Jeśli Miranda by to



przełknęła... Edie nie mogła ryzykować. Przecież chodziło o córkę Holta. O ukochaną córkę Holta.

Cofnęła się do stołu. Sięgnęła po swoją filiżankę. Ellen obserwowała ją bez ruchu.

O, Boże. Edie zamknęła oczy, modląc się cicho do tej siły we wszechświecie, czymkolwiek ona była. Podniosła filiżankę.

- No dalej - szepnęła ochryple Ellen ze wzrokiem utkwionym w Edie.

Edie starała się nie przełykać. Czy to co jest w tej herbacie może mimo to przeniknąć do jej organizmu? Ręka jej drżała, gdy odstawiała filiżankę, i zabrzączał spodeczek.

- A teraz ciastko - powiedziała Ellen tym samym ochryplym głosem. - Upiekłam je specjalnie dla ciebie.

Nie miała wyboru. Musiała przełknąć. Połknęła płyn, który trzymała w ustach, i zagrała ostatnią kartą.

- Nie zjem, dopóki nie puścisz Mirandy.

Ellen pokręciła głową i mocniej ścisnęła dziecko. Miranda wrzasnęła.

- Robisz jej krzywdę - krzyknęła Edie.

- Nie, moja droga, to ty robisz jej krzywdę. - Wrzaski Mirandy zmusiły Ellen do podniesienia głosu. - Ty albo Miranda... wybór należy do ciebie, nie do mnie.

- Chcę do domu - zawodziła Miranda. Jej krzyki przybrały na sile. - Chcę do tatusia! Chcę do tatusia!

- Przestań! Przestań natychmiast! - rozkazała Ellen.

Ale Miranda kopła starszą kobietę, dziko, na oślep waliła pięściami, usiłując się wysliznąć z jej objęć. Ellen uchyliła głowę, próbowała podnieść ją wyżej, aby wzmocnić uścisk. Lecz Miranda wiała się jak piskorz, torując sobie drogę ucieczki. Nagle ześliznęła się na podłogę i wyrwała z ramion Ellen.

Edie skoczyła do przodu, chwyciła dłoń Mirandy i ruszyła biegiem. Do kuchni i tylnymi drzwiami na dwór. Porwała Mirandę na ręce i zbiegła z nią po schodach aż do podjazdu, gdzie stał zaparkowany motor.

Posadziła dziecko za swoimi plecami.

- Trzymaj się mocno! Żebyś nie spadła!

Motor odpalił z głośnym rykiem. Edie odjechała. Wiatr rozwiewał jej włosy. Modliła się, aby to, co połknęła, nie zaczęło działać, zanim odwiezie Mirandę w bezpieczne miejsce.

### Rozdział 53

Kiedy zadzwonił telefon, Holt oglądał miejsce, w którym znaleziono porzuconego pikapa. Odezwał się spokojnym głosem, nie sądząc, że może zwiastować koniec jego świata.

- Tu szpital rejonowy, szeryfie. Pana córka jest u nas. Zesztywniał.

- Miranda? Czy nic jej nie jest? Co się stało?

- Wygląda na to, że nic jej nie jest. Gorzej z kobietą, która ją przywiozła. Na prawie jazdy jest nazwisko Swann. Czarne włosy, tatuaże?

Holt biegł w stronę samochodu.

- Co się stało Edie?

- Cały czas próbujemy to ustalić. Wniosła pana córkę do szpitala i straciła przytomność w izbie przyjęć. Potrzebna nam pana zgoda na zbadanie córeczki.

- Zaraz tam będę.

Pomachał do Sam, która wpatrywała się w niego z miejsca, gdzie porzucono pikapa. Szarpnięciem otworzył drzwi, ustawił światło, włączył syrenę i odjechał z piskiem opon. Po drodze połączył się przez radio z Sam i wyjaśnił, dokąd jedzie. A potem skoncentrował się wyłącznie na tym, aby jak najszybciej się tam dostać.

Kiedy podjechał pod wejście do izby przyjęć, wyskoczył niemal w biegu i wpadł do środka. Złapał pierwszą osobę z personelu, jaka się nawinęła, i obrócił ją dokoła.

- Miranda Drennen?

Ale kobieta wskazała mu recepcję. Z zaschniętymi ustami, spoconymi dłońmi i walącym sercem podbiegł do kontuaru.

- Tatusiu!

Odwrócił się gwałtownie, w samą porę, by pochwycić córeczkę w ramiona. Z płaczem uwiesiła mu się na szyi, przytulił ją najmocniej, jak się dało. Ze szlochem wyrzucała z siebie jakieś niepowiązane słowa. Pani łabędziowa, ciocia, różowe ciasteczko.

- Już dobrze, mój skarbie. Jestem tutaj. Tatuś jest przy tobie. Przytulał ją i przemawiał łagodnym, śpiewnym głosem, wdzięczny jak nigdy za to, że może trzymać w ramionach płaczące, ale całe i zdrowe dziecko.

W końcu się uspokoiła, a jego serce zwolniło bieg. Dopiero wtedy zobaczył matkę i ojca siedzących cicho na twardej plastikowych krzesłach w poczekalni.

Widząc ojca, poczuł gwałtowny przypływ gniewu, ale szybko się uspokoił. Przynajmniej Miranda nie musiała czekać na niego samotnie.

Zaniósł ją do rodziców. Usiadł z nią na kolanach, wtuliła się w niego mocno, wkładając kciuk do buzi. Nie robiła tego od bardzo dawna.

Głaszcząc Mirandę po włosach, zwrócił się do matki:

- Czy powiedziała, co się stało?

- Nie mogłam z niej prawie nic wydobyć. Mówiła coś o ciastku, którego nie chciała zjeść.

Miranda dostała czkawki;

- A co z Edie?

- Nic nam nie powiedzieli.

- Bo chyba nic nie wiedzą. - Po raz pierwszy odezwał się jego ojciec.

Holt nie mógł się zmusić, żeby na niego spojrzeć.

Kilka minut później Miranda usnęła. Holt delikatnie przeniósł wyczerpane dziecko na kolana matki i poszedł szukać Edie. Wykorzystał odznakę, aby dostać się do znużonego lekarza w stroju chirurga.

- Myślę, że to zatrucie - oznajmił doktor.

**313**

Holt spojrział na niego przerażony.

- Zatrucie?

- Arszenik. Może to wypadek. Zdarza się. Czy miała do czynienia z pestycydami, trutką na szczury, z czymś podobnym?

- Wątpię.

- Samobójstwo?

Holt odtworzył w pamięci poprzedni wieczór. Ani jej słowa, ani zachowanie nie wskazywały, aby doszła do punktu krytycznego.

- Nie. To wykluczone. Doktor wzruszył ramionami.

- Więc pozostaje tylko jedno wytłumaczenie.

Holt przestał myśleć. Nie chciał dojść do miejsca, gdzie czekało morderstwo.

- Wyjdzie z tego? - odważył się spytać, chociaż bał się odpowiedzi.

- Jeszcze nie wiem. Daliśmy jej succimer. To antidotum. Jeśli nie zadziała, to podamy dimercaprol. Jest bardziej toksyczny, ale mamy ten lek. Wiele zależy od tego, jak dużo trucizny wchłonęła i jak szybko do nas trafiła.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Tak, ale nie odpowie na żadne pytania. Miała konwulsje, więc wprowadziliśmy ją w śpiączkę.

Konwulsje. Wolał sobie tego nie wyobrażać.

- Chcę ją tylko zobaczyć.

- Bardzo proszę.

Lekarz zaprowadził Holta do pomieszczenia za zasłoną i zostawił samego.

Edie była blada, wokół zamkniętych powiek miała czerwone obwódki, a czarne rzęsy odbijały się od skóry jak gałęzie drzewa na tle śniegu. Wziął ją za rękę, wyprostował palce, pogłaskał. W jej przedramię wkłuto wenflon, przez który płynęło lekarstwo i inne życiodajne substancje. Dlaczego ludzie, których kocha, zawsze trafiają w to samo miejsce - walczą o życie na szpitalnym łóżku, podłączeni do monitorów, z igłami wkłutymi w ciało?

Położył rękę Edie. Odgarnął kosmyk włosów z jej czoła.

- Nie umieraj, Edie Swann - poprosił cicho. - Nie waż się umierać.

Wrócił do poczekalni. Miranda nadal spała na kolanach babci.

- Możesz zabrać ją do domu? - zapytał Holt.

Mimsy nie zadała ani jednego pytania, nie wypowiedziała słowa skargi.

- Oczywiście - odparła. - Widziałeś Edie?

- Chwilę. Żyje. Na razie.

- Och, Holt, tak mi przykro - powiedziała Mimsy. - Jak mogło do tego dojść?

- Ktoś ją otruł.

- Co? - Jego ojciec zerwał się na równe nogi.

- O, mój Boże - odezwała się matka w tej samej chwili. - Czy myślisz...? - Jej wzrok spoczął na Mirandzie.

- Czy mówiła, że chce jej się wymiotować albo że ją boli brzuch?

- Nie.

- Nie wiem, co się stało. Prawdopodobnie nic jej nie jest, ale lepiej, żeby zbadał ją lekarz.

Obudzili dziecko i Holt poczekał, aż lekarz zbada Mirandę. Dostała w nagrodę lizaka i lizała go zachłannie, nadal kurczowo trzymając się swojego tatusia.

- Ciocia Ellen powiedziała, że mogę zjeść ciastko - poskarżyła się Miranda. - Ale potem żadnego mi nie dała.

Holt zamarł. Rzucił spojrzenie matce, a potem przeniósł wzrok z powrotem na córkę.

- Kto to jest ciocia Ellen?

- Odebrała mnie wcześniej. Powiedziała, że nie masz czasu. Jego umysł pracował na zwiększonych obrotach, a imię obijało się po głowie. Ellen.

- Czy pani łabędziowa wróci do domu? - zapytała Miranda. Odpowiedział, ale nieuważnie. Był w stanie myśleć wyłącznie o tym imieniu. Przychodziła mu na myśl tylko jedna Ellen

**315**

powiązana ze sprawą. A jeśli we wszystko była zamieszana Ellen Garvey, to gdzieś za nią musiał czaić się Terry.

- Jeszcze nie - mówił, bezwiednie gładząc Mirandę po włosach. - Jest jeszcze chora.

Przełknął ślinę. Wszystko się w nim burzyło na taką myśl. Ellen Garvey była stara. A starzy ludzie nie robią takich rzeczy. Była uprzejma. Pracowała w kościele, na miłość boską. Jeśli Miranda mówiła o Ellen Garvey, to na pewno ktoś zmusił tę kobietę do zrobienia tego, co zrobiła.

A może Miranda się myliła? Jak mógł wierzyć słowom wystraszonej pięcioletniej dziewczynki?

Ale powtórzyła to jeszcze raz.

- Ciocia Ellen chciała, żeby pani łabędziowa zjadła ciasteczko, a ona nie chciała. I nie chciała mnie puścić. A potem szybko uciekłyśmy.

Holt czuł narastający gniew i oburzenie, ale zmusił się do zachowania spokoju. Jego gwałtowna reakcja mogłaby jeszcze bardziej przerazić Mirandę.

- Wiesz co? - Podniósł jej bródkę i pogłaskał po nosku. - Pojedziesz do domu z babunią, a ja przywiozę ciastka na obiad. Co ty na to?

- Różowe ciastka?

- Różowe, niebieskie, jakie tylko chcesz.

- Chcę różowe. Z białymi kwiatkami.

- Masz to jak w banku. Jedź teraz z babunią, a ja wrócę do domu na ciastka.

Spróbował przekazać dziewczynkę matce, ale uczepiła się go kurczowo.

- Obiecujesz? Nie lubię cioci Ellen. Zacisnął zęby z ponurym wyrazem twarzy.

- Ani ja. Nigdy więcej jej nie zobaczysz. Obiecuję. Idź już. - Pocałował Mirandę. - Dzielna z ciebie dziewczynka.

Wsadził ją na tylne siedzenie samochodu Mimsy.

- Kocham cię, słoneczko.

- Ja też cię kocham, tatusiu.

**310**

Pomachał jej na pożegnanie, a do oczu napłynęły mu łzy. Dzięki ci, Edie, że ją uratowałaś. Dzięki, dzięki, dzięki. Dopiero teraz pozwolił sobie na wybuch gniewu. Zaciskając pięści, popędził do samochodu. Kopnął oponę. Głupi, głupi, głupi. Jak mógł tego nie zauważyć? Starszym ludziom wszystko się myli i można nimi łatwo manipulować. Ale jednak...

Ellen poczęstowała je ciastkami? Zatrutymi ciastkami? Chociaż brzmiało to dziwacznie, tylko taki wniosek mógł wyciągnąć ze słów swojej córki. Gdzie był wtedy Terry? Miranda w ogóle o nim nie wspomniała.

Pędził w stronę miasta, wybierając po drodze różne numery

i krzycząc na każdego, kto odbierał telefon, aż namierzył w końcu opiekunkę z półkolonii Mirandy. Nie było to trudne.

- Miała pana wizytówkę - powiedziała młoda kobieta do telefonu. - A na drugiej stronie było napisane, że wyraża pan zgodę na odebranie Mirandy. Pracuje w kościele. Byłam pewna, że wszystko w porządku. Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego.

Holt zeszywniał przy telefonie, miał ochotę krzyczeć. Ale zdołał się opanować.

- Wolałem się upewnić.

To nie jej wina, że zaufała osobie, którą znała od lat. Kto mógłby cokolwiek podejrzewać?

Zadzwoił do Sam, opowiedział jej o wszystkim i polecił, żeby przyjechała pod dom Garveyów. Nie był pewien, co tam zastaną, ale jeśli Terry w jakiś sposób zmusił ciotkę, żeby odebrała Mirandę, to kto wie, do czego będzie zdolny teraz, kiedy jego plany spaliły na panewce.

Holt spotkał się z Sam przed domem. Wyjął broń i polecił zastępczyni, by zrobiła to samo.

- Spodziewasz się oporu? - zapytała.

- Nie wiem, czego się spodziewać - odparł ponuro. - Terry może wziąć ciotkę za zakładnika albo wymyślić coś gorszego. Już nie panuje nad tym, co robi. Muszę być przygotowany na wszystko. Ja wejdę od frontu, ty zabezpieczaj tyły - rzekł Holt. - Nie chcę, żeby ktoś nas zaskoczył.

**317**

- Co z Edie?

Holt spojrział na nią, zdziwiony, że ją to obchodzi. Zaczerwieniła się i dodała:

- Nie prosiłam nikogo, żeby ją zabił, Holt. Po prostu chciałam, aby sprawiedliwości stało się zadość.

- Nie wiem, co z nią. - Holt wziął głęboki oddech. - Nie mogę o tym teraz myśleć. Muszę się skupić na tym zadaniu.

Skinęła głową i włączyła krótkofalówkę.

- Słuchaj, jest coś, co od dawna chciałam ci powiedzieć.

- Nie możesz z tym poczekać?

- Pewnie tak. Ale idziemy tam uzbrojeni i w ogóle, wolę to z siebie zrzucić. - Wyprostowała ramiona. - Chciałam ci podziękować, że mnie nie wylałeś.

- Powiniennem.

- Wiem.

- Masz szczęście, że jesteś cholernie dobrym zastępcą. - Włączył krótkofalówkę i przygotował broń. - Idź za mną, chociaż...

- To się więcej nie zdarzy. Zerknął na nią.

- Nie myśl, że na tym się skończy.

Usta jej drgnęły, ale powstrzymała się od uśmiechu.

- Nie myślę.

- No dobra, dość gadania. Do roboty.

Skinął na nią. Podeszła do podjazdu i zniknęła z tyłu, podczas gdy Holt wszedł po schodach. Przez luk z przerośniętych krzewów i pod frontowe drzwi.

Zapukał.

Cisza.

Zapukał znowu.

- Niech pani otworzy, panno Ellen. Tu szeryf Drennen. Nadal bez odpowiedzi.

- Wchodzę - powiedział do Sam. - Mógł ją związać albo co. Spotkamy się w środku. Liczę do trzech.

**312**



Odliczył, kopnięciem otworzył drzwi i wpadł do środka. Nie licząc odgłosu jego kroków, było cicho jak w rodzinnym grobowcu.

- Sam - szepnął do radia. - Masz coś?

- Czysto - odparła.

Ostrożnie szedł przed siebie, z wycelowaną bronią, sprawdzając kolejne pokoje, zanim posunął się dalej. Minał posępny korytarz z wąskimi schodami prowadzącymi na pograżone w ciemnościach pierwsze piętro; następnie salonik, którego przeszklone drzwi były zamknięte, kiedy wpadł tu ostatnim razem. Wszedł do środka. Pokój został zamieniony na sypialnię. Duże, szpitalne łóżko bez pościeli zajmowało niemal całą przestrzeń. Wycofał się i zanurzył w głąb domu.

Znalazł pozostałości poczęstunku w pokoju, w którym był z Ellen poprzedniego wieczoru. Kunsztowne filiżanki i ciasteczka leżały rozrzucone na stole. Dotknął jednego ołówkiem. Różowe, tak jak mówiła Miranda. Ujrzał w wyobraźni przerażoną twarz córki i bladą, pozbawioną życia Edie. Ogarnęła go nieopanowana furia, ścisnęła ołówek tak mocno, że przełamał go na pół.

Z posępną miną przeczesał resztę pokoju. Zauważył wyraźne ślady walki. Jedno krzesło odepchnięte, drugie przewrócone. Rozlana herbata. Co tu się, do diabła, stało?

- Mam coś - odezwała się Sam przez radio. - Na piętrze.

Udał się z powrotem na korytarz i wszedł na piętro. Sam czekała w holu przy otwartych drzwiach do pokoju.

Kiwnęła głową w stronę pomieszczenia, wszedł do środka. Na podłodze leżał Terry.

- Nie żyje - stwierdziła Sam.

Śmierć Terry'ego zabiła Holta z tropu. Jeśli Terry nie żył, to nie on pociągał za sznurki. A to znaczyło... Boże, istne wariactwo. Czyste szaleństwo..

- A ciotka?

- Nie wiem - powiedziała Sam. - Czekałam na ciebie, żeby sprawdzić resztę pokoi.

**319**

Na górze znajdowały się jeszcze dwie sypialnie. W drugiej z nich znaleźli Ellen Garvey. Leżała na łóżku, ubrana w pożółkłą suknię ślubną. Spódnica z falbanami była szeroko rozpostarta, głowę przykrywał tiulowy welon. Na twarzy Ellen zastygł śmiertelny grymas. Przy boku kobiety spoczywał zasuszony bukiet, na którym jej palce zamarły jak kurczowo zaciśnięta łapa potwora. Sam opuściła broń. Gwizdnęła pod nosem.  
- To nie wygląda na noc poślubną.

#### Rozdział 54

**O** dziesiątej Holt przerwał niekończącą się papierkową robotę przy biurku i pojechał na cmentarz. Niebo było bezchmurne, słońce stało wysoko na niebie, zapowiadał się upalny dzień. Nie najlepszy na spacer po otwartym terenie, ale wszystko zostało już zaplanowane, więc niewiele mógł na to poradzić. A poza tym Edie doceni tę ironię. W dniu pogrzebu jej ojca też panował upał. Zaparkował przy bramie i udał się w stronę grobu. Minął liczne tablice, które upamiętniały mieszkańców miasta, niegdyś osoby z krwi i kości. Niektóre nazwiska brzmiały znajomo, bo rodziny te nadal stanowiły rdzeń Redbud. Ale o wielu zapomniano już dawno temu, pozostały po nich wyblakłe napisy z odległymi datami, jak na przykład rok 1842. Dzieci zmarłe w niemowlęctwie, matki, które odeszły przed urodzeniem dzieci. Mordercy i złodzieje oraz szanowani obywatele. Ile sekretów pogrzebała ta ziemia? Dobrze, że chociaż jeden z nich mógł ujrzeć światło dzienne. Próbkę krwi pobrane z porzuconego pikapa należały do zbira, który wykonywał roboty ogrodnicze dla rodziny Butene. Bez zbędnych ceregieli podał nazwisko Hally Butene. Holt nie wie-

rzył własnym oczom, kiedy udał się do Hally, aby ją przesłuchać, a znalazł w szafie związaną Amy Lyle.

- Pomyślałam sobie, że Hally może coś pamiętać - opowiadała Amy Holtowi, kiedy odzyskała siły po dramacie, który przeżyła. - Może razem udałoby nam się dojść to tego, co się wydarzyło.

- Ale nie chciała, żebyś węszyła, tak samo jak nie chciała, żeby Edie grzebała w przeszłości.

Amy zadrżała.

- Edie dzwoniła do mnie trzy albo cztery razy. - Jej oczy napęłniły się łzami. - Chciała ugotować dla mnie obiad.

Holt objął jej szczupłe ramiona. Nie rozumiał jeszcze, co kierowało Hally Butene. Dopiero później, gdy złożyła zeznania, a Arlene Mayborne przeanalizował zabrane Terry'emu dokumenty, cała sprawa stała się jasna.

Sprawozdania znajdujące się w teczce zawierały prawdziwe dane produkcyjne, faktyczne zestawienie zysków i strat. A nie cudowne liczby, które Alan Butene, jako rewident księgowy, przedstawiał IAT, spółce-matce. Sprawozdania pokazywały, że fabryka miała straty - i to bardzo duże - a zyski spadały na łeb, na szyję. W efekcie te dokumenty stały się drugim zestawieniem księgowym. Tym prawdziwym.

Alan Butene i zarządzający fabryką Fred Lyle obmyślili wspólnie plan, który polegał na fałszowaniu zestawień finansowych po to, aby fabryka mogła przetrwać działania konsolidacyjne, jakie nastąpiły pod koniec lat osiemdziesiątych.

Odkrył to ojciec Edie, który groził, że ujawni prawdę. Gdyby fałszerstwo wyszło na jaw, mogłoby to doprowadzić nie tylko do zamknięcia fabryki, ale również zakończenia karier zawodowych Butene'a i Lyle'a.

Postanowili więc wrobić Charlesa Swanforda. Holt odkrył, że ojciec Edie cierpiał w tym czasie na depresję. Ten fakt w połączeniu z potęgą jego przeciwników, przekonaniem, że spełnią swoje pogroźki, wstydem, jaki musiał odczuwać, gdy całe miasto odwróciło się od niego, i zagrażającą mu utratą źródła utrzymania

**21 - Śmiertelny grzech**

**321**

i wolności, spowodował, że zdecydował się na krok ostateczny i rzucił się w przepaść.

- Wmieszanie w to Charlesa miało być rozwiązaniem tymczasowym - wyjaśniała Hally Butene grobowym głosem w pokoju przesłuchań. Jej zeznania rejestrowała taśma. - Tylko na jakiś czas, aż wymyślą, co zrobić. Ale Charles skoczył z tej skały.

- A napaść na Edie?

Odwróciła wzrok zawstydzona. Nasiliło się drżenie głosu i dłoni - widomy znak stresu, jaki przeżywała. Ale nie dawała się złamać. Prostowała plecy i patrzyła mu w oczy, z taką samą determinacją, z jaką podejmowała działania, pomyślał.

- Bardzo tego żałuję. To było głupie. Niewymownie głupi akt rozpacz. Wpadłam w panikę. Przeraziłam się, że zabiorą mi emeryturę Alana, jeśli prawda wyjdzie na jaw. Obawiam się, że mój mąż nie zarządzał domowymi finansami z taką zręcznością, jak sprawami Hammerbilt. Dom i emerytura to wszystko, co mi po nim pozostało. - Westchnęła. - Nie zamierzałam nikogo skrzywdzić. Chciałam tylko postraszyć Edie. To mnie, oczywiście, nie usprawiedliwia. - Z jej ust wydobył się krótki, gorzki śmiech. - Nic nigdy nie idzie tak, jak się zaplanuje, prawda? Holt zauważył, że ten stan rzeczy trwał przez dwadzieścia lat. Samobójstwo Charlesa Swanforda było na rękę konspiratorom. Burmistrz i pozostali członkowie rady miasta przekonali Jamesa, by zatuszował oszustwo. Dla dobra miasta.

- Posłuchałem ich, synu - powiedział James do Holta w tym samym pokoju przesłuchań. - Podjąłem najlepszą decyzję, jaka była wtedy możliwa. Miasto zupełnie by podupadło, gdyby zamknęli fabrykę Hammerbilt.

- I pozwoliłeś, aby rodzina Edie dźwigała ten ciężar.

- Nie byłem dumny z tego, co zrobiłem, ale dobro całego miasta przeważyło na dobru jednej rodziny.

Hannah Garvey również odegrała w tym swoją rolę, była bowiem jedyną osobą, której Alan ufał i która w związku z tym pro-

tokołowała przebieg spotkań rady miasta. Kiedy Holt dokładniej obejrzał wszystkie protokoły, okazało się, że jej nazwisko, jako sekretarki, figurowało na każdym z nich.

Oczywiście, nie była jednak aż tak godna zaufania, za jaką ją uważano, skoro później szantażowała Butene'a.

- Myślę, że zaczęła wtedy chorować - powiedział James - i bała się, że zabraknie jej pieniędzy na leczenie.

Nic dziwnego, że Alan Butene nie zarządzał dobrze domowymi finansami, skoro były one nieustannie drenowane.

Ale skąd Ellen wpadła na ten szalony pomysł, że Alan był jej ojcem, Holt mógł się tylko domyślać. Prawdopodobnie jedynie takie wytłumaczenie przyszło jej do głowy. Analiza rachunku bankowego Ellen ujawniła poważny uszczerbek w jej dochodach po śmierci matki. Alan doszedł widocznie do wniosku, że może zakończyć sowite wypłaty, ale Ellen przyzwyczała się do dodatkowych pieniędzy. Aby zmusić go do kontynuowania wpłat na konto, musiała mieć dobry powód, więc może wymyśliła sobie, że jest jego córką. To nie było aż takie naciągane. Czy Amy Lyle nie myślała w ten sam sposób o Edie?

A poza tym arsenik mógł uszkodzić jej mózg. Wdychała go przez całe lata, gdyż znajdował się w farbie schodzącej płatami ze ścian. To właśnie tej trucizny dodała do herbaty i ciasteczek, które przygotowała na śmiertelne przyjęcie. Zmieleła ją na drobny pył.

Kierując się przeczuciem, Holt doprowadził też do ekshumacji ciała Hannah. Autopsja wykazała, że przyczyną śmierci było zatrucie arsenikiem, a nie, jak wszyscy myśleli, rak. Matka Ellen była jej pierwszą ofiarą.

Zbliżając się do miejsca, które przyszedł obejrzyć, zbierał siły. Bronił się przed emocjami. Później będzie na to mnóstwo czasu. Skupił się na szczegółowej inspekcji. Obszedł miejsce dokoła i wszystko obejrzał. Był zadowolony z tego, co zobaczył. Anioł wyglądał tak... Tak, jak powinien. A groby Garvey-ów, przysypane świeżą ziemią, znajdowały się na drugim końcu cmentarza.

Ostatnie spojrzenie i ruszył z powrotem. Miał nadzieję, że zrobił to, co należało. Miał nadzieję, że Swanfordowie, gdziekolwiek są, będą zadowoleni.

## Rozdział 55

Holt się nie mylił: dzień zrobił się naprawdę upalny. Ale pomimo gorączki samochody zastawiły całą drogę wzdłuż cmentarza, a przez bramy płynął strumień ludzi. Powstał taki korek, że Holt zawezwał Sam.

- Rusz tyłek i jedź na cmentarz. I to szybko. Musimy pokierować ruchem.

Włączył syrenę, a jej wycie torowało mu drogę. Wjechał przez bramę na cmentarz i powoli przedzierał się na miejsce.

Zgromadził się tam już spory tłum. Nie tylko ci, których oczekiwał, jak Amy Lyle, ale także Andy Burkett, który zamknął w tym dniu warsztat, i Darcy, która zrobiła to samo z Claire's. Zjawił się także Red, razem z grupą stałych klientów baru, takich jak Russ Elam i Howard Wayne, ściskający w rękach czapki Hammerbilt. Przybył burmistrz, którego białe włosy połyskiwały w słońcu. Dostrzegł też koleżanki mamy z klubu robótek ręcznych, klubu książkowego i pokerowego. I wiele innych osób, nieznanych mu z imienia. Była też, oczywiście, Miranda, która machała do niego i podskakiwała obok Mimsy. I Jamesa.

Na widok ojca poczuł wewnętrzne napięcie. To nie było w porządku, nie powinien tu przychodzić. Holt czuł na sobie jego spojrzenie pomimo szyby i odległości. Ogarnął go smutek przemieszany ze złością i odwrócił wzrok. Być może obecność Jamesa była tu jak najbardziej na miejscu.

Zatrzymał się i siedział przez chwilę w samochodzie, ogarniając wzrokiem tłum. Powiedział sobie, że wszystko będzie dobrze, po czym odwrócił się do pasażerki.

- Możesz już otworzyć oczy.

Edie głęboko odetchnęła, trochę zaniepokojona zachowaniem Holta. Odebrał ją ze szpitala, a gdy tylko wsiadła do samochodu, kazał jej zamknąć oczy.

- Po co? - zapytała.

- Nie pytaj. Lubisz niespodzianki, prawda?

Po wszystkim, co przeszła, ulgą byłaby dla niej długa i sympatyczna seria przewidywalnych zdarzeń. Czy Amy ugotowała coś pysznego na jej powitanie? Wyobraziła sobie balony i wykonany ręką Mirandy napis: „Witaj w domu, Edie”. Przez tych kilka tygodni, które Edie spędziła w szpitalu, dostała całe mnóstwo kartek z życzeniami powrotu do zdrowia. Pielęgniarki przyczepiały je do ścian, do przenośnego stolika, nawet do stojaka na kroplówki tak długo, póki był potrzebny. Kiedy w końcu odzyskała przytomność, a potem także świadomość, powitali ją serdecznie. Jeśli Amy i Miranda zaplanowały coś specjalnego, nie chciała ich rozczarować. Zamknęła więc oczy.

Jazda trwała dłużej, niż zabierało dotarcie do domu Amy. Wykorzystała ten czas na odpoczynek, a w każdym razie próbowała. Była jeszcze słaba, straciła sporo na wadze i męczył ją najmniejszy wysiłek. Ale żyła. I powinna być za to wdzięczna.

- Edie - powiedział w końcu Holt. - Możesz już otworzyć oczy.

Otworzyła, mrugając.

Żadnych balonów. Ani napisu „Witaj w domu, Edie”. A nawet samego domu. Tylko ściana ludzi. Wszyscy zwróceni w stronę...

- Co się dzieje? Dlaczego jesteśmy na cmentarzu i co tu robią ci wszyscy ludzie?

- Przyszli tu dla ciebie.

- Dla mnie?

- Chodź, pomogę ci wsiąść.

Oparła się na jego ramieniu i ruszyli przez tłum. Mijani ludzie wyciągali ręce, aby poklepać ją po plecach, dotknąć ramienia. I życzyli zdrowia. Zupełnie obcy ludzie.

**325**

- Dobrze, że już jesteś.

- Cieszymy się, że jesteś zdrowa.

Red puścił do niej oko. Amy ją objęła. Mimsy uścisnęła jej rękę, a Miranda nalegała, żeby ją wzięła na rękę.

- Jeszcze nie, kochanie - powiedział Holt i sam podniósł córkę.

Jedynym człowiekiem o ponurej twarzy był w tym tłumie James. Holt zatrzymał się przed ojcem, nie kryjąc niezadowolenia, a ten cofnął się o krok. Milczał w poczuciu wstydu.

Holt posadził sobie Mirandę na ramionach i wziął Edie za rękę.

- Chodź, muszę ci coś pokazać.

Zaprowadził ją do jedyne miejsce na cmentarzu, jakie znała. Kamień na nagrobku ojca był czysty, a na grobie ktoś posadził stokrotki i cynie. Ale nie była to jedyna różnica. Czarnego anioła spowijała zasłona z grubego brezentu.

Spojrzała na posąg, potem na Holta.

Burmistrz Crocker postąpił krok do przodu, a tłum się uciszył.

- Panno Swann, pani i jej bliscy zostaliście źle osądzeni przez to miasto, a my nie chcemy, aby spoczywał na nas ten cień. Nie możemy zmienić tego, co się stało, a jedynie na przyszłość wykazać więcej mądrości. Wiemy, że największym życzeniem pani matki było przywrócenie dobrego imienia pani ojca. Udało się pani tego dokonać. A my, jako mieszkańcy miasta, pomyśleliśmy, że aby uczcić pamięć pani ojca i oczyścić się z winy, spełnimy to życzenie. Zrobiliśmy składkę i... - Kiwnął głową i paru mężczyzn ściągnęło brezent.

Edie otworzyła usta.

- Och - zawołała Miranda. - Jaki ładny.

Anioł istotnie był ładny. Śnieżnobiały, gładki i świetlisty. Zniknęły ostre, przerażające rysy. Na jego twarzy malowały się teraz łagodność i współczucie. Zagięte skrzydła chciały objąć i ochronić skrzywdzonych.

**320**



Edie nie wiedziała, co powiedzieć. Pomyślała o matce i jej strasznym, nieludzkim krzyku.

Tłum stał w milczeniu, oczy wszystkich zwrócone były na nią. Oczekiwali... czego? Czegoś. Ale czy była im coś winna? Komukolwiek z nich?

Holt otoczył ją ramieniem.

- Wszystko dobrze? - wyszeptał.

- To twój pomysł? - odparła szeptem.

- Miasto to wymyśliło, jak powiedział burmistrz. A ja tylko wyraziłem zgodę, kiedy zwrócili się do mnie z tym pomysłem.

Spojrzała na białego anioła. Był mniejszy. Delikatniejszy niż tamten. Anioł czułości. Najwyższy stopień współczucia. W fałdach jego szaty wyryto jedno słowo: „Miłosierdzie”.

Poczuła się tak, jakby matka dotknęła jej włosów i wyszeptała: „Dziękuję”, a nieludzki krzyk zamienił się w westchnienie ulgi. Rozejrzała się po otaczających ją ludziach i zobaczyła zarówno tych, którzy nią pogardzali, jak i tych, którzy twardo stali po jej stronie. Przez wzgląd na nich i na siebie samą powtórzyła słowo matki.

- Dziękuję. - I uśmiechnęła się, a tłum wzniósł okrzyk.

Później leżała w altanie z zamkniętymi oczami, opierając głowę na kolanach Holta. Miranda i Amy były w ogródku. Dobiegał do niej śpiewny, wysoki głosik Mirandy, która gawędziła ze starszą kobietą.

Holt odgarniał włosy z jej czoła.

- Wiesz, co? Nie podziękowałem ci jeszcze za ocalenie życia Mirandzie.

- Uhm. - To była cała odpowiedź.

- To chyba znaczy, że musisz tu zostać. Spojrzała na niego jednym okiem.

- Jeśli się komuś uratuje życie, to jest się odpowiedzialnym za tę osobę - powiedział łagodnie.

Zamknęła oko.

- Teraz, kiedy nie ma już... przeszkód - mówił dalej. - Nie złamiesz mojej kariery, nie wybuchnie żaden skandal. Nie ma wymówek.

- Jest coś jeszcze - wymamrotała.

- Tak? A co takiego?

Miranda zapiszczała z radości, więc Edie usiadła. Wskazała głową na dom, gdzie zza rogu wyłonił się ojciec Holta.

- To.

- Dziadziuś!

Miranda objęła go rączkami za kolana. Holt wstał, zrobił parę kroków i stanął w napięciu przy wejściu do altany, sztywny jak pałacowy strażnik.

- Usiądź, Holt - powiedziała łagodnie Edie. - To ja go poprosiłam, żeby przyszedł.

Obrócił się na pięcie i utkwiał w niej spojrzenie.

- Co takiego?

- To, co słyszałeś.

Ojciec zerkał na niego z ogrodu. Amy szepnęła coś do Mirandy i zabrała ją do domu.

A James zaczął iść przez trawnik, kierując się do altany.

Holt nadal stał sztywno w drzwiach, więc James nie mógł pokonać dwóch stopni, aby wejść do środka.

- Witaj, Edie. - Skinął głową w jej stronę. - Holt. - Jego spojrzenie napotkało wzrok syna, ale żaden się nie ruszył.

Edie obserwowała, jak się nawzajem sondują. Nie przypuszczała, aby kiedykolwiek mogła zapalać sympatią do Jamesa Drenna, ale nie zamierzała też umieszczać go na czarnej liście. Mimo że chciała. A nawet powinna.

Holt mógł zadzierać głowę i trwać w uporze, ale wiedziała, że bardzo przeżywa ten rozdźwięk w swojej rodzinie. A poza tym była jeszcze Miranda. Edie nie mogła znieść myśli, że dziecko Holta będzie dorastało w świecie rozszczepionym na dwoje, jak kiedyś ona. Miranda potrzebowała swojej babuni i dziadziusia tak samo, jak potrzebowała ojca.

- Wejdz do środka, James - poprosiła Edie. - Holt, zabierz tyłek z przejścia.

Holt stał nieruchomo jeszcze przez pół sekundy, a potem niechętnie się odsunął. Opadł na ławkę koło Edie i zaborczym gestem chwycił jej dłoń, jak gdyby się bał, że James podejdzie bliżej i ją odrąbie.

James zdjął czapkę z daszkiem, usiadł naprzeciwko nich, nerwowo mnąc nakrycie głowy. Nikt się nie odezwał.

Jezu. Chyba ona była tu najbardziej pokrzywdzona? Jeśli potrafiła zdobyć się na zawieszenie broni, to dlaczego oni nie mogą?

- Słuchajcie, tak nie może być - zaczęła w końcu Edie. - Nie chcę, żebyście przestali ze sobą rozmawiać z mojego powodu.

- To nie jest twoja wina - rzucił Holt.

- Nie obwiniam cię - odezwał się w tym samym momencie James.

- Ale ja sama czuję się winna. Wiem, że to, co zrobiłeś, wyrządziło mi krzywdę - powiedziała do Jamesa. - To było złe. Ale prawda wyszła na jaw...

- Tylko dlatego, że ją z niego wydusiliśmy - wtrącił Holt.

- Jest mi bardzo przykro, bardziej niż mogę wyrazić - wyznał James. - Przepraszam was oboje. Wiem, że co się stało, to się nie odstanie, ale...

- To zamknięta sprawa - przerwała mu Edie. - Każdy z nas zapłacił wysoką cenę. - Spojrzała na Holta. - Czy naprawdę chcesz bez końca rozdrapywać te rany?

Obaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem. W końcu James wstał.

- Dziękuję ci, Edie, że próbowałaś. Chwiejnym krokiem wyszedł z altanki. Edie szturchnęła Holta.

- Nie pozwól mu odejść.

James odwrócił się, spojrzał na syna.

- W porządku, Edie. Pewnego dnia mi przebaczy. - Jego usta wykrzywiły się w takim samym drwiącym uśmiechu, jaki widywała u Holta. - Będzie musiał. Mama nie da mu żyć, jeśli tego nie zrobi. - Włożył czapkę i zsunął daszek na czoło. - Widzimy się wieczorem?

- Nie opuszczę tego za żadne skarby - obiecała Edie. Holt odwrócił się do niej.

- O co mu chodzi? O czym wy mówicie?

- Twoja mama zaprasza nas na obiad. Holt spojrzał na Edie spode łba.

- Nie będę jadł z nim obiadu.

- A co z Mirandą? Zamierzasz ograniczać jej kontakty z dziadkami?

Nic nie powiedział, tylko zacisnął zęby. Zagrała kartą Mirandy, ale to nie podziałało. Miała jeszcze jednego asa w rękawie.

- Chcesz, żebym tu została? Nie mogę, jeśli to oznacza, że zawsze będziesz przechodził na drugą stronę ulicy, kiedy zobaczysz rodziców. Będę jak drzazga pod paznokciem. Powód ciągłego bólu. A tego nie chcę. Nie chcę skrzywdzić Mirandy. Ani ciebie.

Holt zacisnął usta w ponurym grymasie. Popatrzył na ojca. James pokręcił głową.

- Ona tak nie myśli, synu.

- Czyżby? - zapytała Edie. I założyła ręce na piersi.

- Nie rób tego - odparł James. - Proszę. Mam już dość kłopotów. Nie odgrajaj się, że odejdziesz z mojego powodu. - Mocniej nacisnął czapkę na głowę. - Idę już. Nikt nie musi przychodzić dziś na obiad. Mamy czas, żeby to rozwikłać. Ruszył przez trawnik.

Edie nie odrywała wzroku od Holta.

- To jak będzie, szeryfie? Życie z urazami czy życie ze mną?

- Jesteś jak cholerny wrzód na dupie - powiedział Holt.

- Jakbym nie wiedziała.

Holt westchnął i zbiegł po schodach.

- Tato! Poczekaj!

Patrzyła, jak Holt biegnie po trawie do ojca. Ich rozmowa była krótka. Podali sobie ręce. Z ulgą zamknęła oczy. Opadła na ławeczkę w altanie, spocona z wysiłku. Rety, godzenie zwaśnionych stron było ciężką pracą. Holt wrócił i przyczał się w wejściu.

- Zadowolona?

- A ty? Jęknął.

- Ale na obiad nie idę. Edie westchnęła.

- Ależ idziesz. Jestem jeszcze słaba, ledwo trzymam się na nogach. A jeśli nie pójdziesz, będę się zamartwiać i to może opóźnić mój powrót do zdrowia.

Spojrzał na nią spode łba.

- Nie chcesz opóźnić mojego powrotu do zdrowia, prawda?

- Jak długo zamierzasz stosować te sztuczki? Wzruszyła ramionami szczęśliwa.

- Tak długo, jak będę musiała. Rozchmurz się już. Usiądź koło mnie i pobaw się moimi włosami. To nic przyjemnego zostać otrutym.

Z domu wyszła Miranda i wbiegła po schodach do altanki, trzymając w ręce loda, który ściekał też po jej koszulce.

- Chcę się jeszcze raz przejechać.

- Uhm - powiedziała Edie. - Ja też.

- Możemy? - zapytała tatusia.

- Już niedługo - odparł i posadził ją na ławce koło siebie.

- To znaczy kiedy?

Edie odpłynęła myślami, przysłuchując się przekomarzaniom ojca z córką. Przypuszczała, że za kilka dni będzie mogła znowu wsiąść na motor. Poczuć pod sobą jego grzmiącą siłę. Wiedziała nawet, dokąd pojedzie na pierwszą przejażdżkę.

Jeszcze nie mówiła o tym Holtowi ani nikomu innemu, ale zrobiła użytek z pieniędzy, które zapisał jej Fred, i wpłaciła zaliczkę na zrujnowany dom z huśtawką ze starej opony. Mirandzie spodoba się ta huśtawka.

Wspólnie z Holtem zajmą się remontem domu. Uprzątną z niego stare wspomnienia i napelnią go nowymi. Zdejmie buty i zapuści korzenie. Doświadczy tego, jak to jest, kiedy należy się do jakiegoś miejsca. A jeśli poczuje się za bardzo osaczona? Wtedy ona, Holt i Miranda, i ktokolwiek jeszcze się pojawi, wskoczą na motory i pojedą na miłą, długą przejażdżkę. A kiedy postanowią wrócić, na końcu drogi zawsze będzie coś na nich czekało. Dom.

### Od autorki

Do napisania tej powieści zainspirowała mnie legenda o czarnym aniele z cmentarza Oakland w mieście Iowa. Aby dowiedzieć się więcej o tej legendzie przeczytaj *Ghosts of the Prairie - Behind the Legends* na stronie <http://www.prairieghosts.com/oakland.html>.

Więcej o tym, jak ta historia wpłynęła na powstanie *Śmiertelnego grzechu*, znajdziesz na mojej stronie [www.anniesolomon.net](http://www.anniesolomon.net).